

ŚWIAT I SŁOWO

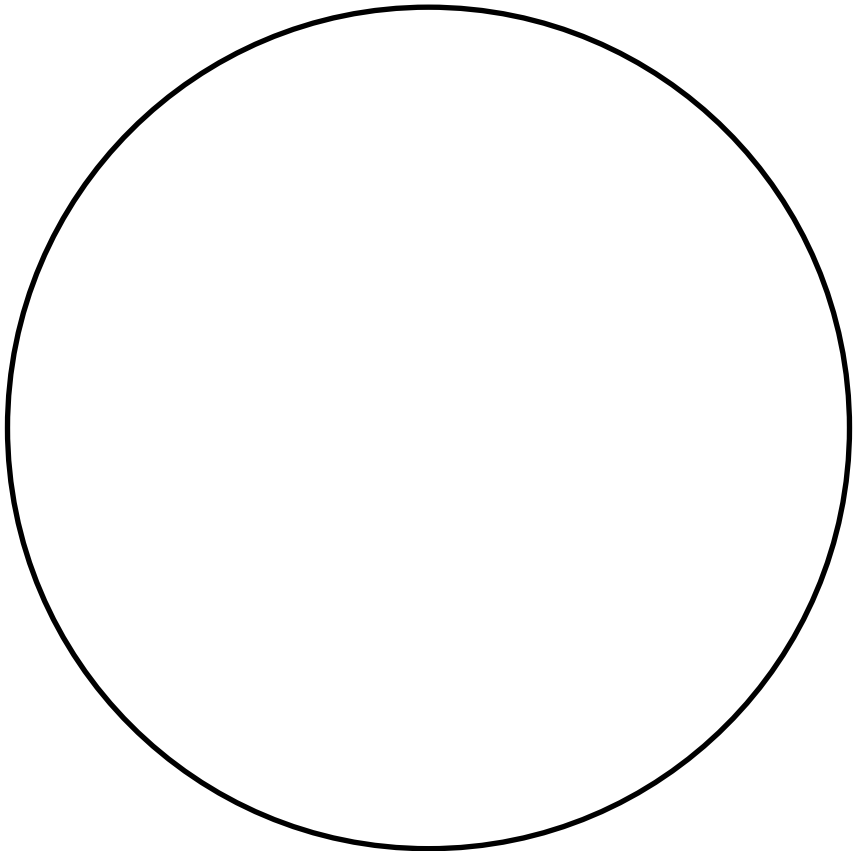
FILOLOGIA – NAUKI SPOŁECZNE – FILOZOFIA – TEOLOGIA

AKADEMIA TECHNICZNO-HUMANISTYCZNA
INSTYTUT TEOLOGICZNY IM. ŚW. JANA KANTEGO
KSIĄŻNICA BESKIDZKA
BIELSKO-BIAŁA 2010

Świat i Słowo

filologia • nauki społeczne • filozofia • teologia

ISSN 1731-3317
nr 1(14) 2010



Zmagania z Darwinem

Rada Programowa

Prof. dr Aleksander Bjelčević – Uniwersytet w Lublanie
Ks. prof. dr hab. Tadeusz Borutka – Uniwersytet Teologiczny Jana Pawła II w Krakowie (Przewodniczący)
Prof. dr hab. Stanisław Gawliński – Uniwersytet Jagielloński
Prof. ATH dr hab. Ewa Jurczyńska-McCluskey – Akademia Techniczno-Humanistyczna
Prof. dr hab. Michał Kliś – Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach
Prof. dr hab. Stanisław Kulpaczynski – Katolicki Uniwersytet Lubelski
Prof. dr hab. Wojciech Ligeza – Uniwersytet Jagielloński
Prof. dr hab. Jacek Łukasiewicz – Uniwersytet Wrocławski
Prof. dr hab. inż. Józef Matuszek – Akademia Techniczno-Humanistyczna
Prof. dr hab. Władysław Nowak – Uniwersytet Warmińsko-Mazurski
Prof. dr hab. Iwona Nowakowska-Kempna – Wyższa Szkoła Filozoficzno-Pedagogiczna „Ignatianum” w Krakowie
Ks. prof. dr hab. Henryk Skorowski – Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie
Prof. dr hab. Tadeusz Sławek – Uniwersytet Śląski
Prof. dr hab. Stanisława Stueden – Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II
Ks. prof. dr hab. Jerzy Szymik – Uniwersytet Śląski
Prof. dr hab. Andrzej Sulikowski – Uniwersytet Szczeciński
Prof. dr Ljiljana Sarić – Uniwersytet w Oslo
Prof. dr hab. Emil Tokarz – Akademia Techniczno-Humanistyczna
Prof. dr hab. inż. Marek Trombski – Wyższa Szkoła Zarządzania Ochroną Pracy w Katowicach
Prof. UŚ dr hab. Krzysztof Uniłowski – Uniwersytet Śląski
Prof. dr hab. Czesław Walesa – Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II
Prof. dr hab. Piotr Wilczek – Uniwersytet Warszawski

Recenzent naukowy
dr hab. Aleksandra Kunce

Komitet Redakcyjny

Anna Węgrzyniak (red. naczelna), Michał Kocpyk (zastępca red. naczelnej), Maciej Kalarus (sekretarz redakcji)
Agnieszka Będowska-Kopczyk, Tomasz Markiewka (translacja), Stanisław Gębala (teatr, dramaty), Marek Bernacki, Ireneusz Gielata (historia literatury), ks. Piotr Greger, ks. Sławomir Zawada, ks. Andrzej Witko (teologia), Renata Jochymek (metodyka nauczania literatury), Ryszard Koziołek (krytyka literacka i muzyczna), ks. Piotr Kroczyk (prawo), ks. Leszek Łysień, Marek Rembierz (filozofia), Magdalena Stach-Hejzosa (nauki społeczne), Tomasz Bielak, Robert Pysz, Tomasz Stępień (komunikacja i media), ks. Marek Studenski (pedagogika), Barbara Tomalak (teoria literatury), Jolanta Szarlej, Jacek Warchala (językoznawstwo), Katarzyna Wojtasik (psychologia)

Redaktorzy odpowiedzialni
Ireneusz Gielata, Ryszard Koziołek

Dofinansowano ze środków Gminy Bielsko-Biała

Adres Redakcji
ul. S. Żeromskiego 5, 43-307 Bielsko-Biała 7, skr. poczt. 61
tel. 033 81 90 670; fax. 033 81 91 207
e-mail: swiatislowo@ath.bielsko.pl
www.swiatislowo.ath.bielsko.pl

Redakcja techniczna
Tomasz Sekunda

Projekt okładki
Łukasz Kliś

Copyright © by Akademia Techniczno-Humanistyczna, Bielsko-Biała 2010



Łamanie
Wydawnictwo «scriptum» Tomasz Sekunda
scriptum@scriptum.strefa.pl
www.scriptum.strefa.pl

Na stronach Wydawnictwa można także nabywać bieżący i archiwalne numery czasopisma

Druk i oprawa:
Poligrafia Inspektoratu Towarzystwa Salezjańskiego
ul. Konfederacka 6, 30-306 Kraków; tel. 12 266-40-00

Spis treści

Ireneusz GIELATA, Ryszard KOZIOŁEK, Zmagania z Darwinem.....9

ROZMOWA

Darwinizm na uniwersytecie. Rozmowa z udziałem:

Tadeusza Sławka, Tomasza Stępnia, Ireneusza Gielaty,
Ryszarda Koziółka i Tomasza Bielaka.....15

STUDIA I SZKICE

Ewa KOSOWSKA, Dar i wina Darwina37

Ireneusz GIELATA, Piętno darwinizmu.....49

Ryszard KOZIOŁEK, Biologia literatury63

Sylwia KARPOWICZ-SŁOWIKOWSKA, Mesjasz czy Antychryst?
Bolesława Prusa czytanie Darwina75

Krzysztof FIOŁEK, Darwinizm wyznaniem filozoficznym
Aleksandra Świętochowskiego?.....87

Tomasz MRÓZ, Czechow wobec Darwina i darwinizmu.....97

Marek PACUKIEWICZ, Kanibale w ogrodzie. Ewolucjonizm i jego
demitologizacja w *Jądrze ciemności* Josepha Conrada.....105

Marek MIKOŁAJEC, Arcyludzkie i zwierzęce na przykładzie
Pamiętnika Stefana Czarnieckiego, Witolda Gombrowicza121

Joanna ZACH, Darwin w *Ziemi Ulro*135

Paweł TOMCZOK, Opowiadanie bez teleologii. Darwin – Parnicki –
Sebald145

Michał KŁOSIŃSKI, Problem hybrydy157

Mikołaj MARCELA, Michael Jackson i inni metysi. Pop a ewolucja167

Tamara BRZOSTOWSKA-TERESZKIEWICZ, Prestrukturalizm
i antydarwinizm.....177

Aleksander NAWARECKI, Czy Ireneusz Opacki był darwinistą?.....189

Jan POTKAŃSKI, Krytyka literacka jako dobór płciowy199

Jerzy PASZEK, Małopolskie monografie modernistów.
Poststrukturalizm w świetle darwinizmu207

MATERIAŁY – KOMENTARZE – RECENZJE

Marek BERNACKI, „Oby moje dzieło przyniosło ludziom pożytek...” ..225	
Anna JAWORSKA, Recenzja tomu „ <i>We mnie jest płomień, który myśli</i> ” – głosy do Herberta (w 10. rocznicę śmierci Poety)	233
Artur ŻYWIOŁEK, Recenzja książki <i>Romantyzm i nowoczesność</i>	239
Mateusz PŁOTKOWIAK, Sherlock, jaki jest.....	249
Dorota CHŁOPEK, Znaczenie poprzez hasła leksykonu.....	253
Justyna ŁABĄDŹ, <i>Abrakadabra, hokus-pokus, haxenabkratzen</i>	263

Contents

Ireneusz GIELATA, Ryszard KOZIOŁEK, Struggling with Darwin9

INTERVIEW

Darwinism at University. A Discussion with Tadeusz Sławek,
Tomasz Stępień, Ireneusz Gielata, Ryszard Koziołek
and Tomasz Bielak.....15

STUDIES AND ANALYSIS

Ewa KOSOWSKA, Gift and Guilt of Darwin.....37

Ireneusz GIELATA, A Stigma of Darwinism.....49

Ryszard KOZIOŁEK, Biology of Literature.....63

Sylwia KARPOWICZ-SŁOWIKOWSKA, The Messiah or the Antichrist?
Bolesław Prus reading Darwin.....75

Krzysztof FIOŁEK, Darwin's Evolutionism as a Philosophical Creed
of Aleksander Świętochowski?.....87

Tomasz MRÓZ, Chekov vs. Darwin and Darwinism.....97

Marek PACUKIEWICZ, Cannibals in the Garden. Evolutionism and its
Demythologization in Joseph Conrad's *Heart of Darkness*.....105

Marek MIKOŁAJEC, Super-Human and Animalistic in Witold
Gombrowicz's *Stefan Czarniecki's Momoires*.....121

Joanna ZACH: Darwin in the *Land of Ulro*.....135

Paweł TOMCZOK, Non-Teleological Narratives. Darwin – Parnicki –
Sebald.....145

Michał KŁOSIŃSKI, A Problem of a Hybrid.....157

Mikołaj MARCELA, Michael Jackson and other Metis.
Pop and Evolution.....167

Tamara Brzostowska-Tereszkiewicz, Prestructuralism
and Anti-Darwinism.....177

Aleksander NAWARECKI, Was Ireneusz Opacki a Darwinist?.....189

Jan POTKAŃSKI, Literary Criticism as Sexual Selection.....	199
Jerzy PASZEK, Lesser-Polish Monographs of Modernists. Post-structuralism in the Light of Darwinism.....	207

MATERIALS, COMMENTS, REVIEWS

Marek BERNACKI, „May my work bring benefit to people”	225
Anna JAWORSKA, Review of a book „Inside me there’s a flame that thinks”. Glosses on Herbert (on the 10 th anniversary of the poet’s death).....	233
Artur ŻYWIOŁEK, Review of a book Romanticism and Modernity	239
Mateusz PŁOTKOWIAK, Sherlock, the way he is.....	249
Dorota CHŁOPEK, Meaning in the lexicon entries	253
Justyna ŁABĄDŹ, Abrakadabra, hokus-pokus, haxenabkratzen	263

Ireneusz Gielata, Ryszard Koziołek

Wstęp. Piętno Darwina

Ubiegły rok przyniósł dwie rocznice: 200-lecie urodzin Karola Darwina i 150-lecie publikacji jego najważniejszego dzieła: *On the Origin of Species by Means of Natural Selection, or the Preservation of Favoured Races in the Struggle for Life* (przeł. polski Szymona Dickensteina i Józefa Nusbauma: *O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego czyli o utrzymaniu się doskonalszych ras w walce o byt*, 1884). Dzieło to wywołało rewolucję w ludzkiej myśli i w kulturze drugiej poł. XIX w. i do dnia dzisiejszego powoduje liczne spory i kontrowersje. Koncepcja Darwina była szokującą odpowiedzią na to, co ukazała mu natura poddana scjentyistycznej obserwacji. „Żadna inna naukowa rewolucja – zauważa John Berger (*Spotkania*, Warszawa 2001) – nie niosła ze sobą tak nikłej nadziei”.

Rewolucja darwinowska jest jedyną spośród rewolucji naukowych, która trwa nieprzerwanie od półtora wieku, a dziś, dzięki gwałtownemu rozwojowi genetyki, znów jesteśmy w jej centrum. Autorytatywność i groza teorii ewolucji natychmiast po jej opublikowaniu zaczęła oddziaływać na literaturę i rodzącą się nowoczesną humanistykę. Te 150 lat, to czas intensywnego przepracowywania „szoku darwinowskiego” – traumy wywołanej zakwestionowaniem uprzywilejowanego miejsca człowieka w kosmosie. Z najwyższego stopnia stworzenia człowiek upada do rangi ostatniego produktu gry natury – gry bez graczy, dziejącej się na skutek bezcelowych praw reprodukcji i selekcji.

Odczarowany ze swej wyjątkowości człowiek doświadczył nowego rodzaju uczucia, który Berger nazwał „smutkiem darwinizmu”. Smutek ten zauważalny jest już u samego Darwina, w ostatnim zdaniu pracy *O pochodzeniu człowieka*:

Musimy jednak przyznać – jak mi się wydaje – że człowiek, mimo wszystkich swoich szlachetnych zalet, mimo współczucia, które odczu-

wa dla najwięcej upośledzonych, mimo życzliwości, którą rozciąga nie tylko na innych ludzi, lecz na najskromniejsze istoty żywe, mimo swe go niemal boskiego umysłu, który przeniknął ruchy i budowę układu słonecznego – człowiek nosi jeszcze w swej postaci fizycznej niezatarte znamię niskiego pochodzenia (przekł. K. Zaćwilichowskiej).

Nowy model świata coraz trudniej pozwala na znalezienie miejsca, w którym człowiek znowu będzie mógł czuć się kimś ważnym, kimś wokół kogo toczy się historia, sensem stworzenia – czy najogólniej: podmiotem.

Ale szok ewolucjonistyczny wpłynął także na wyodrębnienie się nauk humanistycznych jako odrębnego królestwa kultury, historii, wolności. Humanistyka jako odrębna dziedzina wiedzy w znacznej mierze ukształtowała się „po” Darwinie – w sensie chronologicznym, ale też merytorycznym: jako reakcja na próby naturalistycznego tłumaczenia zjawisk.

Dla badaczy odmiany języka zwanej literaturą, Darwin jest ważny szczególnie jako twórca narracji i metafor, którymi skutecznie i sugestywnie wypowiedział wiedzę o historii naturalnej i nowym w niej miejscu człowieka. Nie tylko rzetelność badawcza, ale atrakcyjność narracji Darwina uczyniła jego odkrycie, natychmiast po publikacji, składnikiem powszechnej świadomości nowoczesnego społeczeństwa. Za pomocą jego metafor nadal ujmujemy swoją kondycję, nie tylko jako biologicznych i społecznych jednostek, ale nawet tę specyficzną funkcję, jaką pełnimy będąc ludźmi uniwersytetu. Oto dwa najświeższe przykłady. W niedawnym numerze „Tygodnika Powszechnego” profesor Michał Heller pisał o zaletach zatrudniania naukowców na 3 lata.

Taka sytuacja jest normą na Zachodzie i ma szereg zalet. Prowadzi bowiem do naturalnej selekcji najlepszych naukowców, którzy – żeby otrzymać kolejną pracę – muszą się wykazać znaczącymi sukcesami w poprzedniej. Wszystko w myśl zasady *publish or perish*, czyli „publikuj albo giń” (Michał P. Heller, *Fizyka Deluxe*, „Tygodnik Powszechny” 2009 nr 48 [29 listopada], s. 39).

Drugi przykład to wydana właśnie głośna książka Lindsaya Watersa *Zmierzch wiedzy*, w której autor dowodzi czegoś przeciwnego, mianowicie że nadmiar publikacji naukowych wiedzie do samozagłady nauki uniwersyteckiej.

Jedyne, co się liczy, to produkcja; nie jej odbiór, nie ludzki użytek. To właśnie produkcja dla samej produkcji, nic więcej. Dzieło życia naukow-

ców żyjących pod tym reżimem odłączono od żywego doświadczenia; praktykę ma się w nim za nic. Jeśli nadal będziemy podążać w tym kierunku, osiągniemy to, co Angus Fletcher nazywa [...] „bankructwem na wielką skalę”. (L. Waters, *Zmierzch wiedzy. Przemiany uniwersytetu a rynek publikacji naukowych*, przeł. T. Bilczewski, Kraków 2009, s. 47).

„Darwinowski” numer „Świata i Słowa” poświęcamy różnym relacjom darwinizmu i humanistyki. Z pomocą autorów zamieszczonych w nim tekstów pragniemy przyjrzeć się różnym strategiom pracy nad darwinizmem – próbom oswojenia jego grozy w ramach jednolitych wizji rzeczywistości, ale też radykalnym sprzeciwom, sposobom wyznaczania takich dziedzin ludzkiej działalności, gdzie nie sięgają prawa ewolucji. Tom ten stanowi obraz zmagania się pisarzy, filozofów, teologów, naukowców z niemożliwym do usunięcia z naszej refleksji „piętnem Darwina”.

ROZMOWA

Darwinizm na uniwersytecie

Rozmowa z udziałem: Tadeusza Sławka, Tomasza Stępnia,
Ireneusza Gielaty, Ryszarda Koziółka i Tomasza Bielaka

Ryszard Koziółek: Witam Panów. Chciałbym, żebyśmy porozmawiali o Darwinie i uniwersytecie. Jako inspirację wybrałem głosy dwóch autorów. Pierwszy należy do Lindsaya Watersa, autora wydanego u nas niedawno *Zmierzchu wiedzy*. Pisze on o kryzysie systemu wydawniczego, w którym badacz akademicki musi publikować jak najwięcej, chcąc przetrwać na rynku uniwersyteckim. Waters ujmuje naszą rzeczywistość właśnie w alegorię darwinowskiej walki o przetrwanie.

Inspiracja druga pochodzi od Michała Hellera, który pisze na łamach „Tygodnika Powszechnego” o korzyściach, jakie przynosi zatrudnianie młodych naukowców na krótki okres: „Taka sytuacja jest normą na Zachodzie i ma szereg zalet, prowadzi bowiem do naturalnej selekcji najlepszych naukowców, którzy, żeby utrzymać kolejną pracę, muszą wykazać się znaczącymi sukcesami w poprzedniej. Wszystko w myśl zasady *publish or perish*, czyli *publikuj albo giń*”.

Co sądzicie o trafności tych diagnoz lub chociażby tylko sugestywnych alegorii? Czy się w tym odnajdujecie?

Tomasz Stępień: Ja bym tu dodał jeszcze jedną kwestię. Skoro haśle wywoławczym stał się Darwin, mógłby to być również taki ciąg myślenia: Darwin – nowoczesna nauka – pozytywistyczny paradygmat badań naukowych i kryteria naukowości, przełom antypozytywistyczny i humanistyka. Pytanie, czy to, co uprawiamy, jest nauką czy nie i komu właściwie jest potrzebne. Myślę, że to ściśle wiąże się z książką, od której wyszliśmy.

Tadeusz Sławek: Pewnie się odnajdujemy, oczywiście, tylko może nie pod pewnymi darwinowskimi sztandarami, może nie myślimy o naszej historii, sytuacji w kategoriach Darwina. Przyniosłem ostatni biuletyn „MLA”, który jest bardzo miarodajnym czasopismem dotyczącym profesji i stanu profesji, w nim mocny akcent na ekonomiczne aspekty tejże. Autorzy artykułu piszą, że w ogóle spadek zatrudnień, liczby otwieranych posad uniwersyteckich jest dramatyczny i sięga już nieomal 30% w humanistyce. To o czymś świadczy, prawda? Warto więc wrócić do tego, o czym mówił Tomek, do szerszego pytania o humanistykę, o to, czy jesteśmy potrzebni. Kwestia użyteczności tego, czego uczymy, jest stałym elementem wszystkich sprawozdawczości brukselskich.

Tomasz Bielak: Ta książka nie do końca odpowiada naszej sytuacji. Dlaczego? Dlatego, że my z jednej strony mówimy o nadprodukcji, z drugiej – polski system akademicki generuje z trudem kilkanaście etatów na wydział rocznie (miejsca pracy pojawiają się z reguły dlatego, że ktoś odchodzi z powodów zdrowotnych, politycznych lub umiera). Dlatego owo „miejsce początkowe” kryzysu nijak się ma do problemów uczelni, o których pisze Waters. Amerykanie tak naprawdę nie walczą o byt czy utrzymanie kierunku. Władze ich uczelni walczą o kolejnych noblistów (nie tylko legendarny MIT, gdzie mamy na jeden kilometr kwadratowy jednego noblistę, a słynna „ściana sław” onieśmiela każdego naukowca). Apokaliptyczny ton wywodu Watersa jest w Polsce chyba obecny od paru lat. Polska nauka (dokładniej – polska nauka publiczna) jest w notorycznym kryzysie, a humanistyka tym bardziej, co pewnie bezpośrednio łączy się z pytaniem, czy jest potrzebny ktoś, kto „niczego nie wytwarza” (czy my, humaniści, coś produkujemy?).

Ireneusz Gielata: Profesor Sławek wspomniał o redukcji etatów na kierunkach humanistycznych. Pisze o tym również Waters, który zwraca uwagę na pewien paradoks związany z tym procesem. A mianowicie, wraz ze zmniejszeniem liczby etatów rośnie w zastraszający sposób ilość publikacji naukowych. Przy czym produkcja nie jest tu w żaden sposób powiązana z recepcją – spada ilość kupowanych przez biblioteki uniwersyteckie książek i spada ilość książek w nich wypożyczanych. Nikt już nie jest w stanie nadążyć za tą produkcją. A ona wciąż rośnie. Waters sugeruje, że pokolenie profesorów wytworzyło rodzaj nacisku zmuszającego – zwłaszcza młodych pracowników – do ciągłego publikowania, mnożenia tekstów, których nikt nie czyta.

Ryszard Koziółek: Ja postrzegam humanistę na podobieństwo rolnika w Unii Europejskiej, który produkuje za dużo, więc trzeba go dotować. Książka jest jedynym materialnym produktem naszej działalności, w przeciwieństwie do nauczania. Ono oczywiście „produkuje absolwenta”, tak też można powiedzieć. Ale to przede wszystkim tekst jest dowodem naszej produktywności.

Tadeusz Sławek: Mnie się wydaje, że użyteczność jest kryterium anachronicznym, w gruncie rzeczy dziewiętnastowiecznym, jak mówił Tomasz, stanowi pewien pozytywistyczny mit. Ale to ciekawe z tym rolnikiem, odpowiednością pomiędzy pozycją humanisty a rolnika w Unii Europejskiej. Rolnika, którego trzeba dotować, aby produkował. Chociaż tu paradoksalnie trzeba go dotować, by nie produkował, prawda?

Tomek wspominał o dziewiętnastowiecznym paradygmacie – to pułapka, w którą daliśmy się wpędzić, wymuszająca przekonanie, że to, co „produkujemy” da się skwantyfikować, musi dać się wymierzyć. Sam byłem biurokratą, więc wiem, że biurokracja musi zobaczyć produkt, zobaczyć książkę, dotknąć, choćby jej nikt nie przeczytał, musi ją mieć, pieniądze poszły na to i na to. Nauczanie nie odgrywa w naszych karierach zawodowych niemal żadnej roli. Uważam, że to jest nieszczęście, bowiem cały ciężar został przerzucony na publikacje, a to, gdzie leży serce i początek naszego zawodu, czyli nauczanie, zostało odsunięte na bok.

Tomasz Stępień: Zgoda, przy czym to jest ciągle pytanie o to, kim jesteśmy, bo każdy, kto znalazł się w przestrzeni uniwersytetu, przynajmniej polskiego, musi być nauczycielem akademickim, czy tego chce, czy nie.

Tomasz Bielak: Myślę, że potrzebne jest w tym miejscu drobne dopowiedzenie: z „pomocą” w tej sytuacji przychodzą uczelnie prywatne, które zupełnie odwracają tę relację. Dla ich właścicieli i władarzy liczy się głównie dydaktyka i to dydaktyka na swój sposób „szolmeńska”. W takiej przestrzeni liczy się „interesariusz” (bo trudno już powiedzieć, że to student, skoro ma w zanadrzu dziesięć wzorcowych podań do dziekana-tu z przygotowanymi pretensjami i szasta nimi, kiedy konkretne zajęcia nie spełniają pewnych standardów czy oczekiwań). **Dorobek naukowy** ma znaczenie drugorzędne, bardziej liczą się **stopnie naukowe**, które powinny wiązać się ze wspomnianą „mocną dydaktyką” (z użyciem sprzętów multimedialnych, z zabawami intelektualnymi, z wyjściami metodycznymi, itd.). Co ciekawe, wielu z nas tam się właśnie odnajduje. Uczelnie prywatne stają się przystanią dla osób mających problem z na-

ukowością, która w uczelni publicznej stanowi kryterium przydatności do zawodu i jest stawiana zdecydowanie na miejscu pierwszym.

Ryszard Koziołek: Tylko co stanowiłoby kryterium wartościowania dydaktyki: liczba studentów, którzy przychodzą na zajęcia? Na pozór wydaje się to najprostszym rozwiązaniem. Ale to jest przecież czysto komercyjne spojrzenie na studenta jako na klienta. Ja sobie nie wyobrażam takiej sytuacji, że ocalamy jedynie tego dydaktyka, który przyciąga największą ilość słuchaczy. Może zdarzyć się tak, że ktoś prowadzi hermetyczne konwersatorium, na które przychodzi trzech studentów i ono może być znakomite. Uważam, że uniwersytet to jest instytucja, którą powinna cechować pewna szlachetna rozrzutność.

Tomasz Bielak: Spencer, wcześniej niż Darwin, ukuł formułę: *the survival of the fittest*. Perspektywa zajmowanego w obrębie akademii miejsca każe mi ustawicznie zadawać pytanie, jak definiować tę kategorię, innymi słowy – co to znaczy być *the fittest*? Czy to znaczy być komercyjnym (rozdawać piątki w indeksach), być takim *key-note speakerem* (stawać na głowie, śpiewać na wykładach, aby zgromadzić rzesze studentów, bo to będzie miarą wartości), czy raczej być *the fittest* to być bezkompromisowym, pisać jeden tekst rocznie, ale taki, że potencjalnym czytelnikom uginają się kolana, co niestety (wybaczcie beczelność młodziaka!), wydaje mi się obecnie niemożliwe, bo bazy danych SAGE czy PROJECT MUSE pokazały polskim naukowcom, że z dzisiejszej perspektywy być wybitnym jest szalenie trudno.

Tomasz Stępień: Ja bym tutaj wrócił do kwestii dotyczących specyfiki obszaru, w którym funkcjonujemy. Przed naszą rozmową sięgnąłem do bardzo starej książki pani Marii Janion i do stosunkowo świeżej książki Tadeusza *Antygona w świecie korporacji*. Myślę, że pojawiają się tam problemy ściśle powiązane z tym, o czym mówi Waters. Janion stawia zasadnicze (tytułowe dla książki) pytanie: humanistyka – poznanie czy terapia? Czy mamy iść w kierunku ścisłej nauki, gdzie wzorcem jest algorytm, pewna matematyzacja, ścisłość a zarazem hermetyczność języka, czy też w kierunku form perswazji społecznej o wyraźnym nacechowaniu aksjologicznym? Tradycyjna humanistyka, zwłaszcza polska, miała charakter terapii. Literaturoznawstwo ściśle przylegało do literatury i budowało na ogół jakąś krzepiącą bądź uzdrawiającą opowieść adresowaną do wykształconych (i kształcących się) warstw społeczeństwa polskiego. Humanistyka jako poznanie, nauka... Tu w punkcie wyjścia jest badacz, który z dystansem podchodzi do jakiegoś obszaru

zjawisk kulturowych i usiłuje o nim coś sensownego powiedzieć. Potem może odegrać jedną z dwu odrębnych ról społecznych. Po pierwsze: **naukowca**, co wiąże się z określoną procedurą badawczą, ściśle określoną metodologią i językiem opisu, autorytetem naukowości (prawdy?). W perspektywie rynkowej jest to specjalista-ekspert od sprzedawania takich czy innych rzeczy, czy to będą ludzie, idee czy produkty. Po drugie: **uczony – myśliciel – mędrzec**, nie wstydzmy się tego słowa. To kierunek, w którym poszedł Bauman, poszła Janion, poszedł Tadeusz, o czym świadczą jego książki. W punkcie dojścia roli specjalisty-eksperta jest pytanie: „jak coś sprzedać?”. W drugim wariantcie – próba odpowiedzi na pytanie: „jak żyć?”. Obie role przenikają się, myślę, że w każdym życiorysie naukowym można je (obecne w mniejszym lub większym stopniu) odnaleźć.

Tadeusz Sławek: Tak na marginesie tego, o czym mówił Tomek. Zgadzam się, tylko to jest jeszcze dość optymistyczny obraz. Przedstawia pewną sferę, w której funkcjonuje jakaś grupa ludzi, wielka lub niewielka i ona jest takim bibelotem. Ale ten bibelot się szanuje, odkurza, od czasu do czasu renowuje, daje się mu ładny kredens, żeby ładnie wyglądał. Natomiast, jeśli dobrze rozumiem pańską uwagę, sytuacja jest o tyle gorsza, że o ten bibelot już nikt nie dba. Tam się ukruszył, tam się odłamał, nikt go nie restauruje, jest w złej kondycji.

Ireneusz Gielata: Uniwersytet nie „żyje” w próżni. To instytucja, która podlega procesowi, który prof. Sławek w swojej książce *Antygoną w świecie korporacji* nazwał „kryzysem elitarności”. Książka ukazała się w 2002 roku. W jakiś sposób koresponduje z wydaną w naszym kraju w 2008 roku książką Francka Ferudiego *Gdzie podzieli się wszyscy intelektualści?* Ferudi zwraca uwagę na to, że większość polityków tworzących Unię Europejską promuje inkluzję, która polega – by użyć formuły prof. Sławka – na „schlebaniu temu, co małe”. Uniwersytety, zwłaszcza prywatne, walcząc o jak największą liczbę kandydatów, zaczynają prowadzić politykę inkluzji. A więc nie podejmują żadnych prób, by doskonalic gusta społeczne. Wręcz przeciwnie – chcą być powszechnie dostępne i dlatego dopasowują swoje programy do przeciętnego studenta. W ten sposób inkluzja przyczynia się do poszerzenia dostępu do wiedzy. Ferudi mówi, że inkluzja wcale nie przyszła z dołu, tylko z góry. To na uniwersytetach powstały koncepcje tzw. „pedagogiki inkluzyjnej”, która polega na kształceniu dzieci i młodzieży w taki sposób, aby nie poczuły one, że są kimś gorszym. „Poczuj się dobrze, ma ci być dobrze” – to hasło pedagogiki opartej na inkluzji. Toteż nie można młodego człowieka

karać, zwłaszcza za to, że czegoś nie wie. Trzeba go nauczać łatwych rzeczy, nie wymagać od niego zbyt wiele, by nie poczuł się „kimś gorszym”. Polityka inkluzyji sprawia więc, że rośnie ilość studentów, a jednocześnie maleją wymagania, jakie się im stawia. W efekcie profesorowie nie uczą, lecz trenują młodych ludzi. A trening ten służy jedynie do tego, aby mogli oni – jak pisze Ferudi – bezpiecznie „zaparkować” w rzeczywistości gospodarki rynkowej. Dlatego na uczelniach nie szuka się już mistrzów, nawet tych, którzy funkcjonują jak bibelot, lecz trenerów.

Tomasz Bielak: *À propos* bibelotyżacji – przywołam dwa cytaty z książki Davida Lodge’a *Fajna robota*. Bohaterowie rozmawiają: „czy to cię nie niepokoi – spytała, to, że rzeczy, którymi tak się przejmujemy, na przykład, czy Derrida, krytykując metafizykę nie dopuszcza możliwości idealizmu albo czy teoria Lacana jest fallocentryczna lub czy teoria Foucaulta da się pogodzić z dialektycznym materializmem zupełnie nie obchodzą 99,9% społeczeństwa”. I drugi cytat: „Sądzę, że to samo powiedziałby przedstawiciel szarego społeczeństwa o seminarium poświęconym dekonstrukcji, dlaczego społeczeństwo ma płacić, żeby się dowiedzieć, że ludzie nie chcą powiedzieć tego, co mówią, a chcą powiedzieć to, czego nie mówią, kiedy ze sobą rozmawiają?”¹. W procesie, o którym Pan Profesor mówił, jest pewien dramat. Chętnie określiłbym swoje stanowisko tak: Według mnie powinno istnieć miejsce dla tych, którzy zajmują się rzeczami nierentownymi. Ale największy problem w tym, że środowisko coraz częściej staje się podejrzliwe wobec samego siebie. Zaczynają się dziwne migracje, wynikające z faktu, że żyjemy w kulturze, w której dominuje *fetysz ratingu*. Jesteśmy oceniani notorycznie, jesteśmy poddawani ankietowaniu – nawet anonimowo, w Internecie (przykład: *ocień.pl*). Mam wrażenie, że została naprawdę garstka ludzi, którzy są w stanie oprzeć się takiej tendencji. Zacznie się pewien rodzaj „koniunkturyzacji nauki”: człowiek, który do tej pory zajmował się Miłozsem, w końcu się „złamie” i napisze tekst o „pudelku.pl”, bo to się „sprzeda”. I jeszcze jedno: Irek cały czas podkreśla, że tekstów jest coraz więcej, a naukowców coraz mniej. Ale powtarzam, to jest możliwe w amerykańskiej rzeczywistości uniwersyteckiej, gdzie czasopism jest naprawdę mnóstwo i są naprawdę inne pieniądze. W polskiej humanistyce tymczasem mamy „korek”, na publikację książki habilitacyjnej czeka się więcej niż rok, na publikację w „Tekstach Drugich” (jeśli zostaniemy zakwalifikowani) pewnie tyle samo, na wydanie monografii

¹ Cytaty pochodzą z książki: D. Lodge, *Fajna robota*, Poznań 1998.

pokonferencyjnej – wartej jeden punkt – czekamy często dwa lata. Tak naprawdę to są zupełnie inne realia.

Ireneusz Gielata: Właśnie ukazała się książka Dominika LaCapry *Historia w okresie przejściowym*. Jej ostatni rozdział stanowi polemikę z książką Readingsa *Uniwersytet w ruinie*. LaCapra pokazuje, że poczucie, jakoby uniwersytet znajdował się w stanie kryzysu dominuje już pośród XIX-wiecznych intelektualistów. Sugeruje wręcz, że kryzys wiedzy czy zmierzch wiedzy stały się powracającym toposem myśli nowoczesnej.

Tomasz Stępień: W tej sytuacji pojawia się pytanie, jakim dyskursem ma się zajmować filolog? Portalem „Pudelek” czy poezją Miłosza? Odpowiem tak: psim obowiązkiem badacza tekstów kultury jest zajmowanie się tym, co się dzieje we współczesnym świecie. Oczywiście nie chodzi o to, aby większość badaczy zajmowała się pudełkiem, blogami, forami internetowymi. Ale jest przecież tak, że ludzie ciągle coś czytają, oglądają, mają takie lub inne przeżycia intelektualne i artystyczne, jakieś życie duchowe. A ono rozgrywa się bardzo często poza przestrzenią filharmonii, poza BWA, poza czasopismem specjalistycznym artystycznym, literackim, w znacznej części dzieje się w „galaktyce Internetu”.

Tomasz Bielak: Zastanawiam się, czy przypadkiem sami sobie nie strzeliliśmy „samobója” z doborem tematyki badawczej? Prosty przykład: składamy co pół roku wnioski o granty z KBN-u. Kiedy analizujemy listę odrzuconych, widzimy, że wiele wniosków dotyczy właśnie badań literackich, a grant za wiele tysięcy euro, dotyczący nowej tkaniny (w kraju, gdzie przemysł włókienniczy jest w odwrocie!), zostaje zaakceptowany. Dlaczego nie udaje się przekonać tych, którzy decydują, że symboliczna kartka papieru i długopis oraz dobre miejsce w bibliotekach jest również wartościowe, ma charakter użyteczny? Nasze dłubanie może przecież mieć spektakularny charakter i nie musi oznaczać zamknięcia. Ryszard pyta o poziom komercjalizacji, a ja pytam, dlaczego nie potrafimy skomercjalizować naszych badań, które dla mnie na swój sposób są atrakcyjne, bo możemy dać ludziom informacje, na temat tego, jak wyglądają obszary kultury, w której żyjemy. W mojej ocenie interesujący jest moment, w którym udało się środowisku wmówić, że nasze badania nie będą komercyjne i nie są atrakcyjne dla odbiorcy. Polonistka czy neofilologie są i tak w uprzywilejowanej roli, anglistyka cieszy się nadal ogromną popularnością, a poloniści mają dosyć dużą „mobilność”, zamieniają się w PR-owców, medioznawców, kulturoznawców, muzykologów, ale co począć na przykład z taką filologią klasyczną?

Tadeusz Sławek: Pan pyta, gdzie to się zaczęło? Trudno mi odpowiedzieć jednoznacznie; chodzi zapewne o cały splot przyczyn, których nie potrafię dokładnie nazwać. Ale gdyby kontynuować wątek oświeceniowy, o którym mówił Tomek, trzeba by powiedzieć, że studiujemy go wrywkowo. Przejęliśmy tę nieszczęsną niewidzialną rękę rynku Smitha, ale nie czytamy, że dalej Smith mówi nam już coś trochę innego, bardzo krytycznego. Wynotowałem to sobie, Smith mówi tak: „Wraz z postępem podziału pracy, ogromna większość tych, którzy z niej żyją, a więc ogromna masa ludności zatrudniona będzie jedynie w kilku bardzo prostych czynnościach, wielokrotnie zaledwie w jednej lub w dwóch”. Potem zadaje sobie pytanie, co zrobić z edukacją. Krótko mówiąc, myśmy chyba nie odrobili lekcji oświecenia, a jeśli odrobiliśmy, to taką w miarę szkolną, ładną, pozytywną, z kultem wiedzy itd., itd. Owa koncepcja świata oświeconego, który można całkowicie wyjaśnić i doskonalić samym rozumem miała oczywiście w sobie coś naturalnego, urzekającego, wskrzeszała dawną dumę mitycznych tytanów, przybliżała niebo, które zamierzała osiągnąć. Ja myślę, że my tak odczytaliśmy oświecenie, zachłysłiliśmy się kwantyfikowalną, racjonalną, sprzedażną, użyteczną wiedzą. Nie zauważyliśmy natomiast, że niebo, do którego nas przeprowadziła – nie jest to tam, tylko to tu. Wracając do nieszczęsnego Smitha: „Człowiek, który spędza swoje życie, wykonując kilka prostych czynności, których skutki są być może zawsze – bądź prawie zawsze – takie same, nie ma okazji ćwiczyć swojej inteligencji czy pomysłowości i wynaleźć nowe sposoby pokonywania trudności czy takie, które się nigdy nie zjawiają?”. I jeszcze ostatni punkt, zawsze wydawało mi się dziwne, że cały czas mówiliśmy o reformie uniwersytetów, właściwie nie zadając sobie pytania, jak ma wyglądać człowiek, który przychodzi na uniwersytet, nie pytając o szkołę średnią. Jako rektorzy patrzyliśmy na reformę ministra Handkego bez entuzjazmu, ale z zainteresowaniem i życzliwością, powiedziałbym. Dzisiaj, kiedy całe kółko się przekręciło, widzę, że to było niedobre. Utworzenie gimnazjum kosztem liceum było katastrofą.

Ireneusz Gielata: Ale i kierunki techniczne cierpią na brak kandydatów, bo trzeba na nich studiować matematykę. Ktoś chce iść na inżynierię, czy biologię? To są kierunki, które stawiają wysokie wymagania studentom, a młody człowiek woli się uczyć „łatwo i szybko”.

Tomasz Stępień: Część z nas pracuje na uczelni, która jest mariażem kierunków technicznych i humanistycznych, z doświadczenia wiemy, że są problemy z kandydatami na studia inżynierskie, ministerstwo

wręcz dotuje te kierunki, funduje stypendia itd. Ale żeby młodzi ludzie mogli tam studiować, uczelnia musi organizować semestralne kursy doczucia matematyki.

Ryszard Koziołek: Ten chłodny powiew ekonomii przywrócił temat główny naszej rozmowy. Czy wobec tych bolączek nie sądzicie, że należałoby wyzwolić większą konkurencję na uniwersytecie? Czy nie uważacie, że uniwersytet powinien być przestrzenią wewnętrznej rywalizacji?

Tomasz Stępień: Ja też o Darwinie, ale jeszcze w odniesieniu do studentów. Ogólny poziom wiedzy jest bardzo niski, a moje wykłady często zamieniają się w ogólnohumanistyczne (historia, filozofia, religioznawstwo...) korepetycje. W związku z tym mam bardzo mieszane uczucia, co do lawinowo rosnącej liczby studentów. I pytanie – tu jak najbardziej Darwin się kłania – czy wszyscy powinni studiować, czy wszyscy nadają się na studia, czy wszyscy powinni kończyć liceum? Znamy takie przypadki: rodzice na siłę wysyłają dziecko do liceum, a potem na studia, kiedy ono byłoby może znacznie bardziej szczęśliwe, mając konkretny zawód i będąc np. kucharzem czy mechanikiem samochodowym. Z drugiej strony, młody człowiek po przejściu przez tok studiów trochę się zmienia. Z moich doświadczeń wiem, że po licencjacie absolwenci stawali się trochę innymi ludźmi, inaczej mówili, pisali, myśleli. Więc może jednak jakiegokolwiek studia, nawet na poziomie najniższym, ale dla wszystkich?

Ireneusz Gielata: Może warto w tym momencie postawić sobie pytanie: Kto z nas ostatnio wpisał dwóję do indeksu? Raczej tego nie robimy, odsyłamy studentów i nie wpisujemy im dwój. Czy nie działamy już pod wpływem „pedagogiki inkluzji” i nie chcemy, aby student „poczuł się źle”?

Tomasz Bielak: To jest też pytanie o status szkoły, które stawia Pierre Bourdieu – miejsca, gdzie od początku dokonuje się zbiorowe oszustwo: wszyscy mogą/mają być równi. Już szkoła podstawowa uczy dzieci i rodziców, że można poprawiać oceny, testy, klasy w nieskończoność, że istotą uczenia jest wyrównywanie szans. Tymczasem Spencer mówi: „Prawo przetrwania najlepiej przystosowanych zostało stworzone przez człowieka i może być przez niego wypowiedziane. Nie wolno odbierać zdobycy zwycięzcom”. „Bóg pomaga tylko tym, którzy sami sobie radzą” – dodaje Franklin. Jeśli uniwersytet (stosując darwinowskie zasady) zrezygnuje z rzeszy studentów, to oni znajdą miejsce w szko-

łach prywatnych i ceną będzie likwidacja uczelni publicznych. Także dlatego, że nie można odłączyć od etatu części dydaktycznej – nie ma przecież etatów naukowo-badawczych (poza PAN-em i IBL-em).

Tadeusz Sławek: Powraca kwestia kwantyfikacji i biurokratyzacji wszystkiego i od tego nie uciekniemy, ale ona właśnie wymagała by bardzo specyficznego opisu i jakiejś analizy, co właściwie daje, co wprowadza. Natomiast pytanie, czy to nie jest tak, że my nie musimy walczyć, to pytanie o konkurencję, rywalizację... Myślę, że dobrze jest mówić o rywalizacji, ale dużo zależy od tego, co pod tym pojęciem rozumiemy. Jeżeli mamy na myśli rywalizację w antycznym ujęciu „agonicznym”, to oczywiście. W tej chwili natomiast rywalizacja toczy się na całego w zasadzie na poletku gier biurokratycznych i ekonomicznych. Obecnie bardzo pożądana jest umiejętność wypełniania tych wszystkich grantów i formularzy. To jest bezcenna umiejętność – co mówię bez ironii – i tu się część walki toczy. Inna część w charakterystycznych konkurencjach klasycznej uczelni (doktorat, habilitacja) i tu efekty walki są bardzo różne. Podziwem darzę kogoś, kto porusza się sprawnie w przestrzeni grantowej, ale nie podzielam optymizmu pozytywnego myślenia Hellera, że wystarczy pójść za modelem amerykańskim i dać tylko trzy lata zatrudnienia, premiować umiejętność radzenia sobie, aby rozwiązać problem uniwersyteckiej przyszłości młodych ludzi. Może mało wierzę w rozwiązania czysto administracyjne. One mogą być pomocne jako dodatkowe narzędzie, ale nie wierzę, że uzdrowią sytuację kadry w uniwersytetach.

Ryszard Koziołek: Chciałbym zapytać was, bardziej doświadczonych, mających przez pewien czas większy lub mniejszy wpływ na kierunek przemian uniwersytetu: Kto dziś stanowi osobową wartość uczelni, kto jest jej dobrem szczególnym? Wybitny dydaktyk czy skuteczny zdobywca grantów?

Tadeusz Sławek: Myślę, że żadna szkoła wyższa nie może sobie pozwolić na lekceważenie ani dobrych dydaktyków, ani zdobywców grantów. Natomiast problem polega na tym, że nie ma sposobu wychwylenia trzeciej kategorii, którą nazwijmy kategorią mędrców, choć to nie jest dobre słowo. To kategoria ludzi, których słowo coś znaczy, chociaż może nie publikują w czasopismach z listy filadelfijskiej.

Tomasz Stępień: Mam tę świadomość, że potrafię napisać coś nadającego się do druku w formie artykułu czy książki, nie ma we mnie jednak wewnętrzznego przekonania, że jestem w stanie powiedzieć coś

szczególnie ważnego na jakimś temat; że to, co chciałbym napisać, jest w jakiś sposób niezbędne. Trochę przerażające są jednak dla mnie odwiedziny w taniej księżce w Bielsku, gdzie książki (np. wydawnictwa Universitas), mające duże znaczenie dla branży, po roku, góra dwóch są przecenione o połowę. Przekonanie o względnej pożyteczności tego, co robię zaczyna mi coraz częściej towarzyszyć. Być może jest to związane z wiekiem.

Sądzę, że naszym podstawowym zadaniem i tym, co w naszej pracy najistotniejsze, jest uczenie ludzi czytania tekstu, czy też szerzej, czytania świata. Podejmując kwestię tego, czym humaniści powinni się zajmować, przypomnę, że większość literaturoznawców czy kulturoznawców zajmuje się tym, co interesuje mniejszość obywateli tego kraju i wydaje mi się, że nie jest to sytuacja zdrowa. Nie chcę likwidować ani „wielkiej” literatury, ani „wielkiej” sztuki, ani tym bardziej tych, którzy się ustalaniem tej „wielkości” zajmują, ale ustalmy pewne proporcje. Na Zachodzie są osobne katedry zajmujące się kulturą popularną, są studia kulturowe itd. A u nas, właściwie poza Wrocławiem i Krakowem, nawet przedmiot „literatura popularna” pojawia się z trudem w siatkach zajęć. Galaktyka Internetu, w której dzieją się jakieś nieprawdopodobne rzeczy, to jest nasze drugie życie. Poloniści i filolodzy powinni się tym zajmować, ponieważ tam ciągle podstawową formą komunikacji jest tekst. Kiedy widzę habilitację na temat pisarzy, poetów drugorzędnych czy trzeciorzędnych, to zastanawiam się, dlaczego nie pisze się o tym, co oglądają, czytają ludzie. Te nasze książki niewiele mówią o naszym świecie i współczesnej kulturze.

Tomasz Bielak: Odniosę się do tego, o czym powiedział profesor Sławek. U nas pojęcie „rzetelny” jest rozumiane pejoratywnie. To swoisty syndrom mojego pokolenia. Niemal notoryczne zadawanie sobie i innym pytania: Czy jestem / jesteście wartościowi? Interesuje mnie problematyka mediów i założmy, że mam tekst w „Rolling Stone”, ale nie mam w „Tekstach Drugich” („Teksty drugie” – 600 egzemplarzy i wiele punktów, „Rolling Stone” – globalny nakład, zero punktów). Czy dla mojej Uczelni ma to znaczenie? Czy dla Państwowej Komisji Akredytacyjnej ma to znaczenie? Sądzę, że profesor Heller głosi nieco naiwne tezy. Wspomina, że pojawił się w legendarnym kanadyjskim instytucie, ale tylko na marginesie zaznacza, że jest on sponsorowany przez firmę *Blackberry*, a gromadzenie fizyków i matematyków (poza możliwościami wymiany intelektualnej) służy także polepszaniu produktów globalnego producenta *smartphone’ów*. Założenie, że miarą mojej wartości miałby

być trzykrotny pobyt w *Perimeter Institute* jest zwyczajnie pozbawione podstaw. Jestem przekonany, że na jakiejś uczelni w Polsce jest naukowiec, który nie pojawi się tam ani razu, ale jest równie wartościowym badaczem i znakomitym nauczycielem. Kiedy słyszę z ust zbliżającego się do emerytury profesora *publish or perish*, mam tylko jedno pytanie: Czy w czasach, kiedy rozpoczął karierę naukową obowiązywała ta zasada?

Tadeusz Sławek: Pan mówił o uniwersytetach amerykańskich, wcześniej Tomek o licencjatach, o tym, że studenci się zmieniają na plus, trochę inaczej piszą – i to jest też właściwie syndrom amerykański. Bo kiedy mówimy „syndrom amerykański”, mamy na myśli te dziesięć najlepszych szkół, ale w zasadzie dziewięćdziesiąt procent uczelni to te, które uczą właśnie tego, czego nasze dobre liceum uczyło dawniej. I być może my teraz jako uniwersytet weszliśmy w porę wykształcania polskiej Ivy League.

Tomasz Stępień: To, co na razie robimy, to raczej partyzantka.

Tadeusz Sławek: Bardzo blisko naszej generacji myślenia. Tylko wojna partyzancka daje efekt.

Ryszard Koziółek: Dokonujemy swoistej decentralizacji uniwersytetu. Szukamy pieniędzy z grantów, tworzymy kilkuletni zespół, opracowujemy zagadnienie i działamy. Tylko po co nam w tej sytuacji uniwersytet? Może wystarczą kursy edukacyjne plus pisanie wniosków o granty. To jest bardzo niebezpieczne, moim zdaniem.

Tadeusz Sławek: I tak, i nie. Zależy, jak o tym myśleć. My toczyliśmy osobiwą „partyzantkę miejską”, nie schodząc do faveli, tworzymy ją siedząc w wytwornych, jednak, salonach. Nikt nas nie zwolni z wykonywania zajęć siatkowych. Będziemy w tym systemie. Chodzi o to, że uniwersytet musi być ze świata, ale on nie może należeć całkowicie do tego świata i nie może całkowicie i bez reszty przez jego warunki definiować siebie. Ale jednocześnie nie może ze świata wyjść. Będziemy musieli uczyć według tych nudnych siatek, któreśmy sami stworzyli, żeby bronić pensa ludzi, powiedzmy sobie szczerze. Ale z drugiej strony, jeżeli damy się kompletnie przez nie pochłonać, zginiemy. Taka – jak to Ryszard powiedział – dekonstrukcja uniwersytetu może wydawać się niebezpieczna, ale mnie się ona osobiście podoba, ponieważ ja nie wierzę, że my już mamy uniwersytet, lub że uniwersytet kiedykolwiek się zamknie w gotowej formule. My jesteśmy ciągle na drodze do uni-

wersytetu. Gdybyśmy przyjęli, że istnieje jakiś zamknięty model idealny uniwersytetu, chyba położylibyśmy sprawę. Myślę, że go nie ma. Uniwersytet się nam przydarza od czasu do czasu. I trzeba zadbać, żeby były warunki, w których może się nam przydarzyć.

Tomasz Stępień: Ja myślę, że granty są dobrym rozwiązaniem. Wieloletnie granty. Skoro już pytasz nas o pewne rzeczy i pewne zaszczości. Tadeusza po raz pierwszy spotkałem jako poetę i jednocześnie lektora; to, co mnie u niego fascynowało, u mnie jest wyraźnie rozdzielone, bo kiedy przestałem udawać poetę, zacząłem uważać, że będę ścisłym naukowcem. Oni z kolei tworzyli grupę najpierw poetycką, a potem właściwie naukowo-badawczą, która wprowadziła dekonstrukcję do Polski. I ona była jak gdyby poza strukturami uczelni.

Tadeusz Sławek: Ale wszyscy oczywiście w uczelni byli, pracowali i wywiązywali się ze swoich pensum.

Tomasz Stępień: My z kolei mieliśmy to szczęście w zakładzie teorii literatury, że za komuny nie było projektów grantów, były tak zwane problemy węzłowe i Profesor Opacki stworzył taki problem związany ze Skamandrem. W tym kręgu wychowała się grupa ludzi, którzy są teraz w różnych miejscach.

Tomasz Bielak: To wszystko prawda, ale nie myśleliście Panowie o pensji. To jest ten specyficzny rodzaj troski o swoją generację. Ekskluzywny klub czytelniczy jest wspaniałym rozwiązaniem (nawet marzeniem), ale kiedy się już po takiej dyskusji rozstajecie z młodszymi kolegami, doktorantami, studentami, to co dalej? Czy ci ludzie, dostając zaproszenie do takiego klubu, mają możliwość otrzymania etatu, a nawet przyzwoitej ilości godzin zleconych (wyplacanych raz w semestrze!), po to, by publikować, opłacić wyjazdy konferencyjne, kupić książki? Proszę zauważyć, że w ogóle nie wspominam o kryterium „codzienności” – zakupy, chęć założenia rodziny, zdolność kredytowa...

Tadeusz Sławek: To jest bardzo bolesne pytanie. Rozumiem je, ponieważ od czasu do czasu dostaję maile, na jeden odpowiedziałem dosłownie przed przyjściem tutaj. Od młodego człowieka, który zrobił doktorat, jest lektorem, bardzo nad tym ubolewa, bo uważa (nie jestem przekonany zresztą, że całkiem słusznie), że to jest degradacja zawodu. On nie pyta wprost, oczywiście, ale na pewno jest to w podtekście listu – czy nie znalazłby się etat. Bo oczywiście słowo „etat” jest tutaj kluczem.

Tomasz Bielak: Bo to pojęcie wstydlive, wyrugowane z przestrzeni, wręcz niepożądane...

Tadeusz Sławek: Niepożądane, bo młodzi ludzie grają w taką grę, chcieliby mieć pewność, ale generacyjnie są już poza etatami. Oni należą do etapu kontraktu, więc nie wypada im mówić o etacie, ale myślą o nim, co tu dużo mówić. Niemniej, nie tylko na uniwersytetach powstają ciekawe i mądre rzeczy. Zaczęło się od Darwina, a zatem czy naukowiec lub filozof, czy humanista musi być zawodowcem? A może właśnie tu jest część problemu? Może nam jest potrzebny szewc typu Jakub Böhme, który będzie sobie klepał but, a potem będzie miał intelektualne olśnienia. Przesadzam teraz oczywiście. Czy humanista musi być zawodowcem? Czy my nie potrzebujemy amatorów? W najlepszym tego słowa znaczeniu – od: *amo, amare*.

Ryszard Koziołek: To jest piękny sen, ale nie do zrealizowania w tej strukturze. Odpowiedź jest w klasycznym tekście Maxa Webera: Nauka jako zawód i powołanie. Weber mówi, że życie akademickie jest hazardem. Wydajesz swoje życie działalności dziwacznej, z punktu widzenia większości praktycznych członków społeczeństwa właściwie niezrozumiałej, słabo opłacanej. Jesteśmy hybrydami, zawodowcami, bo uprawiamy tę profesję, ale Weber mówi o powołaniu, powołaniu, które jest jednocześnie pewnym zobowiązaniem, podjęciem pewnego wyzwania, które wyznacza los.

Tadeusz Sławek: To rzeczywiście jest utopia. Ale problem polega też na czym innym. To nie do końca prawda, to co on mówi. Jeżeli życie naukowe jest hazardem, to dramat naszej profesji polega na tym, że stało się nie-hazardem. Bo wiadomo, że magisterium, bo wiadomo, że... Twoje pytanie: Gdzie etat? Jaki hazard? Jacy my zawodowcy? Zawodowiec wchodzi, ma dwa kolty, albo przeżyje, albo nie przeżyje.

Ryszard Koziołek: Ale młodsze pokolenie już zaczyna doświadczać tego hazardu.

Tomasz Bielak: Proszę mi wybaczyć, jeśli zabrzmiało to wyjątkowo nawiśnie: W jaki sposób mogę zagrozić profesorowi? Kim jestem w strukturze uniwersytetu?

Tadeusz Sławek: Jesteś w stajni.

Tomasz Bielak: To prawda – mam etat, ale jeszcze mam status kierowcy testowego. Tak to widzę...

Tadeusz Sławek: Ale sam powiedziałeś: jeszcze. To jest kwestia czasu. My obumrzemy.

Ryszard Koziołek: To jest kryterium biologiczne. Żeby dostać etat, musi cię zabić.

Tomasz Bielak: Zabijanie jest niemożliwe, myślę, że nigdy nie było możliwe. To intrygujący symbol relacji emocjonalnych i intelektualnych między Młodymi i Starymi. Nie rozumiem, kto i kiedy przeniósł tę symbolikę na relacje administracyjne, niejako wmawiając młodym i naiwnym, że to jest możliwe. To jest tylko śmieszne i śmieszny jest człowiek, który o takich gestach w ogóle myśli. Mamy taki znakomity eliksir dający jednej ze stron nieśmiertelność w tej rozgrywce: nazywa się habilitacja.

Tadeusz Sławek: Ale tak rozumiane „zabijanie” powinno być możliwe. „Zabijanie” mistrza jest obowiązkiem. Nie ma nic gorszego niż mistrz, który siedzi i trzyma wszystko w garści cały czas.

Ryszard Koziołek: Nie ma pola dla takiej gry w strukturze naszego uniwersytetu.

Tomasz Stępień: Tak to jest, kiedy ktoś siądzie na jakimś stołku, dojdzie aż do rektora, to potem już bez przerwy na jakimś stołku siedzi albo dożywotnio jest dyrektorem instytutu. Oczywiście to też jest sensowne – zajmowanie się pracą dydaktyczną, wychowywaniem kolejnych doktorów. Ale kiedy się przestaje pisać, wchodzi w przestrzeń administracyjną, wtedy się właściwie do pracy *stricte* naukowej, czy do humanistyki, nie wraca. Natomiast nasz przyjaciel – chyba tak mogę powiedzieć – jest przykładem kogoś, kto był na najwyższym stołku na poziomie uniwersyteckim, bez specjalnego żalu – jak sądzę – go opuścił, funkcjonuje w tej chwili jako profesor i ciągle pisze. I ma status mędrca.

Jeszcze tylko krótko o doktoratach i etatach... Kiedyś było „po bożemu” – był kierownik seminarium magisterskiego, który na ogół kierował również katedrą lub zakładem i on proponował zatrudnienie utalentowanym (jego zdaniem) absolwentom. Oferował etat asystenta w swoim zakładzie, potem był okres siedmiu lat, kiedy pisało się doktorat, prowadząc jednocześnie zajęcia, mając obciążenia administracyjne. Nie było żadnych konkursów ani studiów doktoranckich. W nowych czasach jest inaczej i uważam to za niemoralne, że zatrudniamy doktorantów stypendystów jako asystentów, a potem, choć okazuje się, że doktorat jest bardzo dobry i jego pracę recenzenci zgodnie kwalifikują

do druku, to nie ma pieniędzy na druk, nie mówiąc o etacie. W momencie upowszechnienia studiów doktoranckich wiele osób robi doktoraty ze względów zawodowych; to jest forma nobilitacji, patentu szlacheckiego. Można założyć, że, analogicznie do studiów wyższych, doktorat ubogacza wewnętrznie. Natomiast nie przekłada się na zawód, na pieniądze. Istnieje problem dużej liczby bardzo zdolnych doktorów, aspirujących do pracy na uczelni. Każdy dziekan, kierownik katedry czy zakładu ma stos podań od tych, którzy właśnie zrobili doktorat i szukają pracy, szukają etatu. I ci ludzie pozostają „niezagospodarowani”. Ciągłe istniejemy w kręgu etatu, który daje jakąś tam gwarancję najpierw na rok, potem pięć lat, dziesięć, potem ewentualnie na całe życie. Być może rozwiązaniem byłyby właśnie granty, kontrakty umożliwiające zatrzymanie tych ludzi w obrębie branży, dyscypliny. I to adresuję już do was, jako do tych, którzy będą rządzić uczelniami w najbliższej przyszłości.

Ryszard Koziołek: Czego my oczekujemy od przyszłości? Bo jak jest, jak było, to wiemy. Wy mnie niczego nie uczycie o przyszłości. Dlatego, że wasza sytuacja obecna jest właściwie poruszaniem się gdzieś na marginesie uniwersytetu, a właściwie w waszych słowach pojawia się nieustanny dystans wobec uniwersytetu. To jest przygnębiające. Ponieważ Tadeusz, który przeszedł wszystkie szczeble kariery administracyjnej i wie o tym wszystko, w tej chwili znajduje się w miejscu, w którym ta wiedza właściwie na niewiele mu się przydaje.

Tadeusz Sławek: Zgadzam się. Tak to z grubsza wygląda.

Ryszard Koziołek: I to, co robisz istotnego dzieje się właściwie w przestrzeni poza uniwersytetem lub też wykorzystujesz przestrzeń uniwersytetu do tego, żeby robić coś, co jest poza siatką i poza twoimi zawodowymi zobowiązaniami. Funkcjonujesz w przestrzeni publicznej, pozauniwersyteckiej, tam jesteś częściej rozpoznawany, czytany czy oglądany, a uniwersytet nie stara się nawet tego zagospodarować, włączyć w swój obręb.

Tadeusz Sławek: Czy zmierzasz do tego, że instytucja nie wypracowała formuł, w których moglibyśmy ją zmienić?

Ryszard Koziołek: Bezład instytucji jest gigantyczny. Wzmocniony posunięciami prawnymi ministerstwa, które edukację humanistyczną przekształcają w kursy maturalne.

Tomasz Stępień: Instytucja jest zawsze nieruchawa i wykazuje się statystyką. Konieczna jest aktywność jednostki, która ewentualnie

tworzy wokół siebie grupę ludzi. Oczywiście musi się jakoś wpisać w instytucję. To tak, jak z kołem naukowym w punkcie wyjścia, kiedy zaczynamy. Same procedury niczego nie zapewnią, jeśli nie ma ludzi, którzy chcą robić coś nowego, coś innego. Tak samo jest ze „Światem i Słowem”, dla którego tutaj rozmawiamy, gdyby nie Anka Węgrzyniak, tego pisma by nie było. W gruncie rzeczy wszyscy pracują w nim za darmo.

Ryszard Koziołek: Jeśli tak, to oba modele są nieskuteczne, zarówno ten oparty na poczuciu misji, jak i ten „korporacyjny” – przejęty ze świata ekonomii. Zdając sobie z tego sprawę, postępujemy cynicznie w rozumieniu Sloterdijka, tzn. nie wierzymy, ale zachowujemy się tak, jakbyśmy wierzyli. Przychodzimy do roboty, czytamy książki, komentujemy je, ale straciliśmy wiarę, że nasza działalność ma jakieś znaczenie pozaekonomiczne.

Tadeusz Sławek: To prawda, tu tylko dopowiedź – nie sądzę, że straciliśmy wiarę. Nie wydaje mi się też, żeby utrata wiary była czymś złym i musiała prowadzić do takich zatrważających konsekwencji. To jest sytuacja kryzysu, a ja myślę, że humanistyka jest bardzo głęboko w poczuciu kryzysu osadzona. Poza tym, mówiłeś z pewnym patosem, że nie ma entuzjazmu, że nie kocha się instytucji, to prawda, a z drugiej strony – mnie zawsze przerażali ludzie, którzy kochają instytucję. Ja bym z tego braku miłości nie czynił zarzutu. Myślę, że dystans do instytucji, prowadzona z nią gra – ma swoją wartość, ma także wartość uczenia innych. Dzięki temu wytwarza się szczelina, w której młody człowiek zaczyna widzieć, że są różne światy, że to nie jest tylko instytucja. I teraz może patrzy krytycznie na instytucję, ale może spogląda bardziej krytycznie na świat poza nią. W sytuacjach kryzysu i rozpoznania kryzysu uniwersytetu widziałbym raczej zalety, bo uniwersytet zadowolony z siebie jest marnym uniwersytetem. I wreszcie na koniec, część naszego powołania to jest właśnie powolne odzyskiwanie wiary. Wiary w to, że przez książki, które czytamy, można sprawić, że ludzie złączą sobie zadawać pewne bardzo generalne pytania, których najczęściej sobie nie zadają. Myślę, że szkoła też ich nie zadaje, bo uczy bardzo pragmatycznych umiejętności, przynajmniej takie było założenie reformy. Takie podstawowe pytanie to właśnie: Po co tu jesteśmy? Zresztą nie tylko tu na uniwersytecie, ale w ogóle, po co jesteśmy. Ta wiara, a może raczej odzyskiwanie wiary, prowadzi nie do formułowania nowej ortodoksji, ale do nieustannego powoływania herezji. Uniwersytet powinien być od herezji, a nie od ortodoksji. Oczywiście używam tych słów poza ich

czysto teologicznym zasięgiem. Z jednej strony bliska jest mi ta idea, o której mówi Tomek, idea humanistyki, która dzieje się w klasie, w rozmowie. Książki są potrzebne nie po to, żeby ich było więcej, tylko po to, żeby zająć ludzi rozmową i żeby przestali pisać. I to jest paradoks. Ale powiedzmy sobie szczerze, jeżeli takie jest powołanie, to uniwersytet trafił na fatalny moment, bo dzisiaj wszyscy chcą mówić. Mało kto chce milczeć – patrz media. Mało kto chce być słuchającym i pewnie ci młodzi ludzie, którzy tu przychodzą, też po części przychodzą z takiego świata, który jest światem mówiącym, a nie słuchającym. I całkiem na koniec: tak sobie na nowo odczytałem Swifta. Myślę, że to jest wielki dekonstruktor, wciąż nieodczytany. Mam teraz na myśli świetne fragmenty o mędrcach w akademii. Od czego zaczynają – od tego, że są niedopłaceni. Pierwszy, który chce odzyskać światło słoneczne z ogórka, błaga o datek, bo nie ma środków na prowadzenie badań. Drugi, który chce odzyskać żywność z ekskrementów (to już jest cały Swift ze swoją analno-skatologiczną wizją świata) też prosi o dotacje, a jakże, bo miasto daje mu tylko dwie beczki nawozu ludzkiego, a nie daje mu środków. Trzeba czytać Swifta. To wielki mistrz, wielki złośliwiec.

Tomasz Bielak: Jeszcze raz pomogę sobie cytatem z książki Lodge'a: „próbuję skończyć książkę. Co to za książka? *Obraz kobiety w XIX-wiecznej prozie*. Czy sądzisz, że ludzie potrzebują jeszcze jednej książki na ten temat? – pytał Baldwin. Tego nie wiem, ale na pewno będą ją mieli. Na niej opieram swoją nadzieję na stałą pracę”. Porzuciłbym ten pogrzebowy ton Watersa i niby-darwinizm Hellera. Róbmy swoje – piszmy, walczy my o pieniądze na konferencje, książki, wyjazdy, uczmy się od lepszych i, co podkreślam z całą stanowczością, uczmy się również od studentów – przy obecnych tendencjach rozwojowych kultury to oni wiedzą coraz więcej, coraz szybciej. Są *always on-line*, mówi się o nich *Digital Natives*, nie trzeba tego tłumaczyć. Być może przemawia przede mną nadmierna łęklliwość, może jestem przedstawicielem „kultury bezradności”, w której ekonomia (nawet afektywna) zwyczajnie nas przytłacza. Uważam, że uzalanie się byłoby hipokryzją, przecież zawsze moglibyśmy być pracownikami korporacji i „zaznać słodyczy” zwolnienia grupowego. Trudno mówić za moich rówieśników, ale osobiście nie będę narzekał na instytucję, bo wiem, jak jest być „poza Alma Mater”.

Tadeusz Sławek: Teraz jeszcze na koniec prośba do Tomka i Ani: może warto by było jeden numer „Świata i Słowa” oddać na rozważania tego, co jest „użyteczne”. Nie ma sensu uciekać przed tym pojęciem, ono jest na swój sposób piękne. Nikt nie zamierza robić cnoty z nieuży-

teczności, nie chodzi o przeciwstawienie, ale o to, że „kupiliśmy” słowo „użyteczność” i teraz sami nie wiemy, co ono oznacza, a jest używane tak dla nas, jak i przeciwko nam. Jak nas lubią, to mówią: „tak, jesteście użyteczni”. A jak nas nie lubią – mimo, że robimy dokładnie to samo, mówią: „jesteście nieużyteczni”. Więc może warto byłoby się zastanowić, co to w ogóle jest użyteczność. I tutaj czekają nas rozważania ponaddiscyplinarne, bo przecież niektórym fizykom, takim klasycznym fizykom właśnie, stawia się ten sam zarzut.

Ryszard Koziołek: I to jest propozycja tematu do jednego z następných numerów „Świata i Słowa”, i właściwa puenta naszej dość długiej rozmowy.

Serdecznie dziękujemy za trud przeniesienia tej rozmowy z zapisu dźwiękowego na tekstowy studentom Koła Naukowego Polonistów ATH: Zuzannie Cygielskiej, Annie Jaworskiej, Joannie Kulce, Mateuszowi Płotkowiakowi, a także Beacie Stefaniak (UŚ) za pomoc w korekcie i redakcji tekstu.

STUDIA I SZKICE

Ewa Kosowska
Uniwersytet Śląski, Katowice

Dar i wina Darwina

Dziewiętnastowieczne interpretacje pierwszych nowoczesnych projektów historiozoficznych (Vaniniego, Vico, Monteskiusza, Woltera czy Hegla) zdawały się pomijać fakt, że zainicjowany na przełomie XVII i XVIII wieku sposób odtwarzania przeszłości wchodzi w niebezpieczne związki z ewolucjonizmem. Klasyczne podejście historystyczne zakładało, że zrozumienie minionego zależy od znalezienia praw rządzących powstawaniem, rozwojem i upadkiem szeroko rozumianych wytworów **kultury**, włączanych w ogólny proces dziejowy, podczas gdy podejście ewolucjonistyczne przedmiotem namysłu uczyniło przede wszystkim przekształcenia zachodzące w **naturze**. Ta dwutorowość rozważań, obecna w myśli europejskiej od starożytności i silnie podtrzymywana z jednej strony przez autorytety religijne, a z drugiej przez przedstawicieli nauki, stała się wkrótce przedmiotem autonomicznych sporów. Przeciwwstawienie historycyzmu (zorientowanego na cel i świadomość) i ewolucjonizmu (zorientowanego na przypadek), zaowocowało przyspieszonym rozwojem obu strategii myślenia, jednak na płaszczyźnie filozofii i antropologii (tak fizycznej, jak kulturowej) konieczność zatarcia zbyt ostrych podziałów szybko okazała się nieodzowna.

Filozoficzne powinowactwa z wyboru, początkowo najpełniej chyba dochodzące do głosu w poglądach Herberta Spencera, z czasem legły u podstaw holistycznej wizji świata, w której twarda opozycja między naturą i kulturą przestała mieć rację bytu. Spencer (1820–1903), pierw-

szy popularyzator bonnetowskiego terminu „ewolucja”¹, a zarazem autor programu „filozofii syntetycznej” był przeświadczony, że wszystko podlega przemianom. Poszczególne części świata przechodzą od stanu chaosu i żywiołowości do ładu, a postęp wiąże się ze zmierzaniem ku zorganizowanej jedności wszystkiego, co składa się na rzeczywistość. Spencerowskie założenie, że ewolucja kultury przebiega analogicznie do ewolucji biologicznej znalazło swoje odzwierciedlenie w poglądach E. B. Tylora i J. G. Frazera. On sam pozostawał pod wpływem odkryć Karola Darwina, a myśl Darwinowska z kolei wiele zawdzięczała Spencerowi. Dzisiaj może bezpieczniej byłoby powiedzieć, że współtworzony przez nich dyskurs wspierał się na pozytywistycznym z ducha przeświadczeniu o poznawalności świata zorganizowanego w sposób logiczny i uporządkowany, a zarazem podlegającego nieustannym transformacjom. Człowiek jako najwyżej zorganizowany efekt tych transformacji i twórcą kultury, nawet jeśli tylko w części swoich dzieł świadomie naśladował naturę (*mimesis*), a w innej ostentacyjnie się od niej dystansował, to w praktyce nieustannie akceptował jej prawa. Wynikające stąd przyznanie naturze funkcji ukrytego i nieredukowalnego wzorca ludzkich motywacji i wyborów miało swoje konsekwencje w postaci triumfu myślenia opartego na analogii oraz ekstrapolowania procedur badawczych wypracowanych w obszarze nauk ścisłych na nauki humanistyczne.

Dzisiejsze próby myślenia i mówienia o ówczesnym etapie naukowego dyskursu napotykają na poważne przeszkody natury epistemologicznej i językowej. Dostęp do dziewiętnastowiecznych koncepcji posiadamy za pośrednictwem skonwencjonalizowanych tekstów, często będących tylko przybliżonymi przekładami myśli zrodzonych w określonych warunkach kulturowych i spisanych w różnych od naszego językach. W konsekwencji próby odwołań do wspólnoty nieznanych a swoistych doświadczeń edukacyjnych i czytelniczych, nie wspominając o innych, lokalnych formach kulturowego imprintingu, nie zawsze są zrozumiałe. Jeżeli zatem, sięgając do tekstów sprzed stu i dwustu lat napotykamy na zbieżności, których niegdysiejsi autorzy nie zauważali, lub na nawiązania intertekstualne, do których nie czynili aluzji, to wydobywając na jaw te „braki” unieważniamy jakąś ważną część **ich** doświadczenia i zastępujemy je **własnym**. Tym samym paradoksalnie wpisujemy się w **dziewiętnastowieczną** koncepcję rozwoju (w tym

¹ Charles de Bonnet (1720–1793), przyrodnik i filozof szwajcarski, zastąpił teorię transformacji, głoszącą, że embriion jest miniaturowym osobnikiem całkowicie ukształtowanym w zapłodnionym jaju. Była to jednocześnie teoria ewolucji (łac. *evolvere* – wydobywać, rozwijać), rozumiana jako ciąg stopniowych przemian towarzyszących wzrostowi.

wypadku języka i dyskursu), bo przecież tworzymy formy bardziej od tamtych skomplikowane i poszukujemy syntezy na poziomie wyższym niż wyjściowa teza czy jej antyteza.

Próbując, chociażby wstępnie, porządkować stanowiska dotyczące zmiennych w czasie relacji natura–kultura, zwykle akceptujemy konwencję historyczno-chronologiczną, bowiem w przeciwnym razie przedmiot tamtych sporów pozostaje poza zasięgiem naszego poznania. Ale nawet wówczas, gdy zarzucamy modernistyczną z ducha manierę organizowania minionego dyskursu w ciąg przyczynowo-skutkowy, czy choćby tylko konsekwentny, i odwołujemy się jedynie do wybranych nazwisk, traktowanych jako ikony określonych poglądów (w tym sensie to Darwin jest ikoną ewolucjonizmu, nie Spencer, a tym bardziej Bonnet czy Lamarck) – nawet wówczas jedynie ujmujemy w nawias pewną część już odsłoniętej i skonwencjonalizowanej wiedzy, po to, by „zrobić miejsce” na interpretację tego fragmentu rzeczywistości, który z racji na ograniczoną pojemność każdej konwencji epistemologicznej uprzednio nie został uwzględniony. Do pewnego stopnia ogranicza nas sama idea procesualnego poznawania, określana mianem dyskursu. Zatem wypełniamy tylko zauważone w nim luki, rozbudowujemy go; możemy pomijać, ale nie jesteśmy w stanie unieważnić tych jego fragmentów, które dzisiaj uznajemy za słusznie minione. W dyskursie obowiązują twarde prawa narracji. Ta zaś rozwijać się musi w sposób linearny, przymus ten jednak nie implikuje imperatywu linearnego odbioru. O ile dialog – podstawowe narzędzie uzgadniania poglądów i stanowisk naukowych do modernizmu włącznie – jest wytworem potrzeby poznania, a zarazem arystokratycznej koncepcji czasu² (pośpiech uwłacza godności myślicielela i jest wrogiem prawdy), o tyle dyskurs toczy się w ramach określonej episteme i składa ze zbioru opublikowanych, indywidualnych przemyśleń i konstruktów intelektualnych, częściej pozorujących solilokwia niż dialogi. Patronuje mu w szczególnie sposób arystokratyczna z ducha wizja historii, nazywana niekiedy „historią monarchiczną”³.

² E. Kosowska, *Ekrany czasu. O arystokratycznych i arywistycznych doświadczeniach temporalnych*, [w:] *Wiek ekranów. Przestrzenie kultury widzenia*, red. A. Gwóźdź, P. Zawojski, Wyd. Rabid, Kraków 2002, s. 153–62.

³ Historia monarchiczna, zapoczątkowana przez plemienne tablice genealogiczne i historyków starożytnych, z czasem stała się oficjalnie zaakceptowanym wzorcem prezentowania dalszej i bliższej przeszłości. O ile proces wyłaniania się elit można uznać za mieszczący się w osiemnastowiecznym schemacie stopniowego rozwoju (według Jana Jakuba Rousseau przyczyną pojawienia się nierówności między ludźmi było powstanie narzędzi żelaznych), o tyle przyspieszoną demokratyzację życia społecznego należałoby uznać za pokłosie rewolucji i efekt upowszechnienia buntowniczych historiozofii. W tym

W historii monarchicznej przeszłość była przede wszystkim dziełem kluczowych postaci, odpowiedzialnych za sukcesy i zaniechania w każdej z najważniejszych dziedzin ludzkiej działalności. Znakomici i wybitni, cnotliwi i pobożni, silni i waleczni stali się niekoronowanymi władcami historycznej wyobraźni, wypierając z niej wszystko, co powszednie i mało spektakularne. Wzorzec ten stosunkowo szybko ekstrapolowano na dzieje filozofii, religii, sztuki i nauki. Od Kopernika praktycznie zaczęto dostrzegać także odkrywców i eksperymentatorów, którzy w dobie oświecenia uznani zostali za ludzi nauki. Nowoczesny dyskurs naukowy, zorganizowany według zasad historii monarchicznej, przekłada się na Wielką Narrację o Wielkich Ludziach odsłaniających prawa natury i kultury.

Jednym z takich wyselekcjonowanych historycznie autorytetów stał się Karol Darwin. Dołączył do plejady znakomitych poprzedników jako autor koncepcji, która nie tyle zrewolucjonizowała dotychczasowe myślenie na temat genezy świata ożywionego, ile stawiała kropkę nad „i” poprzez prezentację serii dowodów na naturę ciągłości i zmiany owego świata.

Jednocześnie teoria ta pojawiała się we właściwym momencie: w siedemdziesiąt lat po wybuchu Rewolucji Francuskiej, w blisko trzydziści po rewolucji lipcowej i w dziesięć po Wiośnie Ludów. Europejczycy, zmęczeni gwałtownymi przemianami, stosunkowo chętnie uznali powolne przekształcenia za bardziej naturalne. Ale byli także lepiej przygotowani na przyjęcie nowej wykładni przyczyn i skutków zmiany przyspieszonej.

Przedstawiony przez Darwina podstawowy mechanizm ewolucyjny – walka o byt – był jednocześnie wyjaśnieniem rewolucji – i to tylko francuskiej. Związana z nim koncepcja konkurencji biologicznej, zakładająca zmagania w obrębie tej samej populacji bądź starcia między różnymi gatunkami, z czasem stała się też podskórnym filozoficznym zapleczem dla idei konkurencyjności oraz alibi dla pragmatyzmu. Darwinizm w sposób nieintencjonalny stworzył podstawy etosu industrialnego, usankcjonował nowy typ hierarchii społecznej, ale przy okazji zachwiał podstawami indywidualizmu: idea Franklinowskiego self-made-mana czy Emersonowska максима: „wszystko zawdzięczaj sobie” słabły pod naporem silnych, zorganizowanych, coraz bardziej wpływowych konsorcjów i korporacji. Jednostka musiała szukać wsparcia w grupie i uruchamiać rozmaite mechanizmy adaptacyjne.

kontekście zjawisko naukowego dyskursu, z natury swojej hermetycznego i elitarnego, mieści się w ewolucjonistycznej koncepcji rozwoju, chociaż nie zawsze postępu.

Pooswieceniowa i poromantyczna Europa, poddana w krótkim czasie wielu społecznym eksperymentom, które zrelatywizowały dotychczasowe style życia, sposoby myślenia i hierarchie wartości, nie była w stanie dłużej akceptować paradygmatu, z którego wynikało, że wszystko ma swój czas i swoje stałe miejsce na ziemi. Elementarne doświadczenie wskazywało na możliwość radykalnych przemian, ale uprzytamniało także, że przemiany zbyt radykalne godzą w poczucie sprawiedliwości, godności ludzkiej i bezpieczeństwa. Teoria zakładająca, że zmiana jest nieuchronna, że dotyczy wszystkiego, ale zachodzi w długim czasie i różnym stopniu obejmuje kolejne generacje żywych organizmów, legła u podstaw stworzenia paradygmatu, który miał być antidotum na gwałtowność zmian rewolucyjnych, a łącząc racjonalizm z empirią przeciwstawiał ład zmiany ewolucyjnej żywiolowi rewolucji.

Przeciwstawienie to nie było jednak od razu oczywiste. Autorzy najbardziej rewolucyjnych interpretacji świata byli z ducha ewolucjonistami. Nie tylko znakomitym tego przykładem jest materializm historyczny, który całkowicie pozostawił na boku zięby i żółwie z Galapagos, koncentrując się na procesach rozwoju społecznego; także Nietscheańska idea nadczłowieka w sposób oczywisty nawiązywała do kolejnego, projektowanego etapu ewolucji. W koncepcji Adolfa Bastiana uniwersalność struktur ludzkiego umysłu (*Elementargedanken*) była gwarancją podobieństwa kultur. Do idei tej nawiązał po latach Claude Levi-Strauss, poszukując owego podobieństwa na poziomie struktury głębokiej wytworów i zachowań kulturowych. Trzeba też wspomnieć Zygmunta Freuda, jednego z ostatnich pozytywistów, wizjonera, który radykalnie zmienił myślenie o naturze człowieczej psychiki, a był w istocie niekwestionowanym ewolucjonistą, poszukującym w kulturze sposobu na odróżnienie „naszego życia od życia naszych zwierzęcych przodków”⁴. Dziewiętnastowieczni rewolucjoniści byli w istocie ewolucjonistami, a dziewiętnastowieczni ewolucjoniści zrewolucjonizowali podstawy obowiązującego sposobu myślenia o genezie podobieństw i różnic w otaczającym nas świecie.

Zamieszanie wokół kolejnej propozycji⁵ Darwina, sprowadzanej początkowo do uproszczonego stwierdzenia, że „człowiek pochodzi od

⁴ „«Kultura» oznacza całą sumę osiągnięć i struktur organizacyjnych, dzięki którym nasze życie stało się tak różne od życia naszych zwierzęcych przodków i służy dwóm następującym celom: obronie człowieka przed naturą i regulowaniu stosunków między ludźmi”. Z. Freud, *Kultura jako źródło cierpień*, [w:] tenże, *Kultura jako źródło cierpień* [1930], przekł. J. Prokopiuk, Warszawa 1967, s. 262.

⁵ K. Darwin, *O pochodzeniu człowieka i doborze płciowym* [1881], Warszawa 1959–1960.

małpy”, wynikało z powszechnego w Europie i Stanach Zjednoczonych przeświadczenia, że biały człowiek z pewnością miał innych protoplastów. Zwolennicy kracjonizmu uznali jego teorię za atak na podstawy chrześcijaństwa, natomiast jego przeciwnicy rozpoczęli ostrożne poszukiwania argumentów uzasadniających znaczenie ewolucji w powstaniu *homo sapiens*. Ówczesne odkrycia paleontologiczne, sugerujące, że kolebką świata ludzkiego mogła być Afryka, okazały się całkowicie nie do przyjęcia przez przeważającą część amerykańskiej opinii publicznej. Taka geneza godziła w podstawy segregacji rasowej. Rozpoczęto więc serię kosztownych badań, które miały udowodnić azjatyckie pochodzenie człowieka i kontynuowano je, chociaż w ich wyniku odkryto jedynie skamieniałe jaja dinozaurów na pustyni Gobi⁶. Poszukiwania paleontologów obrażały uczucia religijne kracjonistów, a trudności w rekonstrukcji pełnego ciągu biologicznego rozwoju człowieka utwierdzały ich w słuszności krytyki teorii ewolucji.

Spór w tej materii, w końcu ubiegłego wieku silnie podsycany w Stanach Zjednoczonych przez Phillipa E. Johnsona i jego zwolenników z Center for Science and Culture, w Europie przebiegał znacznie łagodniej. Ale i na starym kontynencie wokół koncepcji Darwina trwały wieloletnie spory. Nie sposób jednak ukrywać, że ewolucjonizm stał się pierwszą naukową metodologią, z sukcesem ekstrapolowaną z nauk przyrodniczych na humanistyczne. Nauki humanistyczne od połowy XIX wieku zafascynowane ewolucjonizmem, z czasem zaczęły poszukiwać prawidłowości nie tylko na poziomie genezy, ale także dynamiki, funkcji, struktury i znaczenia tak człowieka, jak i jego wytworów.

Początek zrobiły tu socjologia i antropologia, ale bardzo szybko dołączyło do nich literaturoznawstwo, które od drugiej połowie XIX wieku okazało się bardzo wrażliwe na metodologiczne inspiracje płynące z innych nauk. Ewolucjonizm znalazł swoje najpełniejsze odzwierciedlenie w sztandarowej koncepcji Ferdynanda Brunetière’a, dyfuzjonizm – w fińskiej szkole „wędrówki wątków” Arnee Thompsona, psychoanaliza Freuda w biografizmie, socjologia – w teorii recepcji, semiotyka – w badaniach nad znakiem i znaczeniem w tekście. Przesunięcie punktu ciężkości z poziomu artefaktu na poziom jego zwerbalizowanego opisu znacznie przyczyniło się do stopniowego zwiększania autonomii literaturoznawstwa, w tym zwłaszcza takich jego wyspecjalizowanych dziedzin jak narratologia i gramatologia. Pozorne wyzwolenie z objęć ewolucjonizmu i relatywizacja przydatności kolejnych metod uczyniły

⁶S. Gould, *Niewczesny pogrzeb Darwina*, przekł. N. Kancewicz-Hoffman, Warszawa 1991.

z literaturoznawstwem naukę niekumulatywną, chętniej podążającą za modnymi trendami interpretacji tekstu niż świadomie dobierającą jedną z istniejących metod do określonego materiału. Wyzwolenie to jednak okazało się, jak powiedziałam, pozorne, gdyż to właśnie ewolucjonizm przedkładał uniwersalny charakter zjawisk i procesów nad ich czasoprzestrzenne uwarunkowania. Podobną postawę przyjmuje współczesne literaturoznawstwo, które rzadko poszukuje specyfiki dzieł tworzonych w różnych czasach, miejscach i językach. Z coraz większą ochotą optuje natomiast za ponadczasową analizą tekstu, za traktowaniem go jako pretekstu do twórczej interpretacji, za ideą pantekstualizmu i intertekstualności. Procedury interpretacji wyraziście nakazują dystans wobec kontekstu nadawania („śmierć autora”) preferując kontekst odbiorcy – zgodnie z przeświadczeniem o ponadczasowej autonomii, by nie powiedzieć – alienacji – dzieła. Pozwala to na dowolne rozczłonkowanie badanego utworu, na rozrywanie jego wewnętrznej spójności, na atomizację dyskursu, bądź przeciwnie – na szukanie podobieństw z innymi tekstami, pisanymi w różnych czasach i miejscach. Można by sądzić, że literaturoznawstwo z upodobaniem zajmuje pozycje neoevolucjonistyczne i radośnie czerpie z doświadczeń wąsko rozumianej metody porównawczej. Po krótkim i burzliwym romansie ze strukturalizmem (filozoficznie spokrewnionym z ewolucjonizmem poprzez poszukiwanie praw uniwersalnych), romansie, w trakcie którego wyszło na jaw, że redukcja jest wrogiem narracji, nastąpił z jednej strony wyraźny zwrot w stronę fascynacji zmianą, transformacją treści i formy, specją gatunkową etc., ale z drugiej odwrót od autonomii tekstu literackiego na rzecz poszukiwania specyfiki narracji. Pojawiają się też koncepcje, w których człowiecza zdolność do tworzenia opowieści awansuje do rangi dystynkcji gatunkowej. Miał zatem rację Stephen Jay Gould, gdy twierdził, że czołowemu ewolucjoniście wyprawiono niewczesny pogrzeb. Koncepcja Darwina – czy też raczej postawa myślowa firmowana jego nazwiskiem – legła u podstaw współczesnego pragmatyzmu/utylitaryzmu. Na jej gruncie udaje się pogodzić okresowe spory o prymat między ciągłością i zmianą, inwariantami i wariantami, oryginalnością i wtórnością, dosłownością i metaforycznością, złożonością i prostotą. Filozoficzne podstawy ewolucjonizmu, wsparte na naturalizmie biologicznym, ułatwiają triumfalny powrót uniwersalizmu i stwarzają temu, co lokalne, nadzieję na zdobycie szlifów uniwersalnego. Jednocześnie ewolucjonizm daje filozoficzne podstawy nowoczesnej demokracji, wspierając ją na egalitaryzmie naturalnym. Jednak sednem sukcesu

ewolucjonizmu jest – jak się wydaje – otwarciem drogi do przezwyciężenia opozycji między hierarchią a równością. Równość to biologiczny punkt wyjścia; porządek hierarchiczny jest efektem długotrwałego procesu przemian. Akcentując podobieństwa bądź różnice można na tej samej podstawie optować za przeciwstawnymi ideologiami. Być może taka manipulacja to kolejny etap ewolucji.

Zasługą Darwina jest zatem nie tyle odwaga, z jaką zaprezentował swoje poglądy (prawdopodobnie aż takiej gwałtowności reakcji nie przeżywał), ile bogactwo dowodów, jakie zgromadził na potwierdzenie swojej teorii. Nie ma dzisiaj większego znaczenia fakt, iż niektóre z tych dowodów okazały się nieprawdziwe czy niewystarczające. Ważny stał się sam paradygmat rozwojowy, który na półtora wieku zagospodarował naukową wyobraźnię. Rozwój od form niższych do wyższych, od prostych do coraz bardziej złożonych, rozwój wzorowany na ewolucji biologicznej bardzo szybko stał się naukowym zapleczem industrializmu.

Współczesne trendy technologiczne zdają się powielać ten sam schemat, a co ważniejsze, ich coraz wyraźniejszym celem staje się stworzenie sztucznego człowieka. *Robo sapiens*, wykoncypowany przez *homo sapiens sapiens* jako dowód twórczej inteligencji tego ostatniego, jest w istocie triumfem ewolucjonistycznego rodem myślenia analogiami. Na ironię zakrawa, że zwolennicy kreacjonizmu, tępiący wpływ Darwina na amerykański model edukacji, idąc na pozorny kompromis proponują, by ideę Stwórcy zastąpić ideą „Inteligentnego Projektu”. W dobie intensywnego konstruowania sztucznej inteligencji ma to bardziej niż dwuznaczny wydźwięk. A właśnie sztuczna inteligencja, traktowana jako alternatywna droga rozwojowa cywilizacji, już dzisiaj domaga się wsparcia od wszelkiego rodzaju nauk, w tym także, a może nawet przede wszystkim, od humanistyki. Rozwijające się badania nad teorią i praktyką automatycznego przekładu, które stymulowały w ostatnim ćwierćwieczu kierunek poszukiwań językoznawczych w kierunku generatywizmu i kognitywizmu nie wiszą przecież w próżni i nie biorą się z niczego. Podobnie ma się sprawa z gwałtownym rozwojem analiz narratywistycznych oraz teorią literatury, rozumianą jako teoria narracji. Dogłębne rozpoznanie podstaw ludzkiej predyspozycji do tworzenia opowieści jest niezbędne w procesie tworzenia jej sztucznego odpowiednika.

Projekty daleko idącej współpracy między przedstawicielami nauk przyrodniczych i humanistycznych mogą mieć idealistyczne cele, ale z natury rzeczy będą się najsłabiej bronić przed potencjalną instrumentalizacją. Fakt, że tylko część proponowanych przez humanistów roz-

wiązań nadaje się do potencjalnej aplikacji za pośrednictwem wysoko rozwiniętej technologii⁷ nie zmienia sytuacji, w której tzw. mody metodologiczne są mniej niewinne, niż by to z pozoru wyglądało. Interesujące wyniki mogłaby dać analiza zasad sponsorowania projektów humanistycznych w krajach wysoko rozwiniętych. „Strzeżcie się Greków, nawet gdy przynoszą dary”... A może szczególnie wtedy.

Nie chodzi mi o wywołanie wrażenia, że humanistyka pada dzisiaj ofiarą technologicznego spisku – raczej o zwrócenie uwagi na konsekwencje daleko idącej specjalizacji i związanej z nią rozczłonkowania naszej stale rozbudowującej się wiedzy. Jej wielkość nie pozwala swobodnie śledzić kierunków poszukiwań w naukach ościennych, nie pozwala też zapobiegać niechcianym skutkom wykorzystywania zdobyczy naukowych. Instrumentalizacja odkryć nauk ścisłych nie jest przecież niczym nowym⁸. Obecnie, jak się wydaje, podobne niebezpieczeństwo zagraża językoznawstwu i literaturoznawstwu. Ale nie pojawiłoby się ono na horyzoncie filologicznym, gdyby nie intensywny rozwój nauk, w tym humanistycznych, stymulowany dziewiętnastowieczną koncepcją powszechnej transformacji. Tam, gdzie jest rozwój, trzeba się liczyć z konkurencyjnością i zawsze brać pod uwagę możliwość powstania mutacji. I to ostrzeżenie jest, jak się wydaje, jednym z darów Darwina dla naszej trudnej po-nowoczesności, aczkolwiek postrzegamy go przede wszystkim jako twórcę jednego z najważniejszych paradygmatów modernistycznych.

Współcześnie ewolucjonizm stał się paradygmatem transparentnym – nie zwracamy na niego uwagi, a nawet ostentacyjnie negujemy, akceptując jednocześnie wiele jego wyznaczników. Na przykład, gdy mamy do czynienia ze zjawiskami, które nie poddają się tradycyjnej klasyfikacji kulturowej, zaczynamy posługiwać się pojęciami z kręgu transmutacji (bardzo widoczne jest to w obszarze ludzkiego seksualizmu – mówimy o „zmierzchu determinizmu płciowego”, „transseksualizmie”, czy

⁷ Trwają prace nad technologiami „wbudowanymi w człowieka” oraz stanowiącymi sieć jego „rozumnych” ekstensji nowej generacji. Por. *Ambient Intelligence*, red. G. Riva, F. Atalaro, F. Davide, M. Alcaniz, IOS Press 2004. Krytyczny namysł nad tym projektem podjęła m.in. C. K. M. Crutzen, *Invisibility and the Meaning of Ambient Intelligence*, [w:] „International Review of Information Ethics”, vol. 6 (12/2006).

⁸ Także i antropologia od przeszło stu lat broni się przed wykorzystywaniem wiedzy o kulturach przeciwko kulturom. Jeżeli dzisiaj, zamiast badać Innego bada samą siebie oraz struktury konstytuowania swojskości i osławiania obcości, trudno orzec, czy wspiera bardzo określony nurt wiedzy o człowieku, czy też stara się ocalić ostatnie przyczółki Tadasajów. Por. J. Baudrillard, *Precesja symulaków*, przeł. T. Komendant, [w:] *Postmodernizm. Antologia przekładów*, red. R. Nycz, Kraków 1997.

„postpłciowości”). Kariera takich kategorii jak „pomiędzy” i „trangresja” stała się możliwa w sytuacji zanegowania tradycyjnych systematyk i podarwinowskiej, dynamicznej koncepcji gatunku. „Niedokończone projekty” w stylu Habermasowskiej moderny sugerują odstawanie od głównej linii ewolucji, chociaż równie silnie zdają się być zakotwiczone w idei celowego i personalnego kształtowania historii.

Perspektywa postmodernistyczna nakazuje postponowanie myślenia historycznego, uznawanego za konstrukcję intelektualną, za rodzaj epistemologicznej inscenizacji. W stosunku do przeszłości chętniej stosujemy dzisiaj kategorie „procesu” i „długiego trwania”, co zwalnia nas z obowiązku dokładnego lokowania zjawisk w czasie i przestrzeni. Gdy więc przedmiotem bądź aspektem naszych badań jest to, co minione – wykorzystujemy inspiracje płynące z teorii transformizmu: mówimy o wszechogarniającej zmianie, o przekształceniach, deformacjach, reorientacjach, przejściach, przełomach etc. Niezwykła kariera pojęcia „ślądu”, pozwalającego w terażniejszości tropić residuuu innej formacji myślowej (przeszłej bądź przyszłej) odsyła do Tylorowskiej koncepcji „przeżytków” (1889) i Diltayowskiej koncepcji „zarodków”.

Poszukiwanie w Oświeceniu zarodków postmodernizmu lub traktowanie paradygmatu kartezjańskiego w kategoriach przeżytku, podobnie jak ucieczka od konkretności na rzecz myślenia uniwersalistycznego odsyła przecież do intelektualnego spadku po Darwinie. Postmodernizm jest, jak dotąd, najwspanialszym wykwitem ewolucji wąsko rozumianej kultury, a globalizacja powoli zajmuje systemowe miejsce dziewiętnastowiecznej cywilizacji.

Można więc obwiniać Darwina o zgodę na nieograniczony zasięg ewolucji, przy jednoczesnym upatrywaniu w powolnej zmianie i przypadkowych mutacjach ostatecznej przyczyny zróżnicowania świata. Byłoby to jednak równoznaczne z obarczaniem go odpowiedzialnością za to, że ewolucjonizm otwiera i zamyka jednocześnie dostęp do tkwiącego w człowieku potencjału hermeneutycznego. Jeżeli zmiana wyjaśnia wszystko, to czym wyjaśniać zmianę? Ewolucją zmienności? Ewolucja jest dzisiaj, jak się wydaje, nie tylko udowodnionym procesem stopniowych przekształceń w świecie przyrodniczym i społecznym, ale i fundamentalną metaforą epistemologiczną, do której sensu mamy ograniczony dostęp, ale której moc heurystyczna nadal na nas oddziałuje. Dwuznaczność tego oddziaływania przeniosła się na ambiwalentny stosunek do Karola Darwina, który stał się nie tylko ikoną ewolucjonizmu, ale i w jakimś sensie ofiarą jego metodologicznej atrakcyjności.

Ewa Kosowska

Gift and Guilt of Darwin

Evolutionism unintentionally laid foundations of the industrial ethos, sanctioned the idea of competition and a new type of social hierarchy, gave pragmatism an alibi, and at the same time shook the foundations of individualism. At present it has become a transparent paradigm – we pay no attention to it, or even deny it, while accepting many of its distinctive determinants. Today, evolution is, as it may seem, not only a proven process of gradual transformations in the natural and social life, but also a fundamental epistemological metaphor, whose sense cannot be attained fully, but whose heuristic power still influences us. The ambiguity of this influence is reflected in the ambivalent attitude to Charles Darwin, who became, on the one hand, an icon of evolutionism, and on the other hand a victim of its methodological attractiveness.

Ireneusz Gielata

Akademia Techniczno-Humanistyczna, Bielsko-Biała

Piętno darwinizmu

Przełomowe odkrycia, które decydują o zmianach paradygmatów w nauce, zawierają w sobie coś z nagłości zaskoczenia a zarazem – jak sugeruje tytuł eseju Schlögl¹ – pojawiają się niejako „nareszcie” –

Przełomy, które stawiają w innym świetle wszystko to, co dotychczas było dobrze nam znane, nie podlegają dekretem. Następują w swoim czasie – nie wcześniej i nie później. Wynika to nie tyle z pewnego fatalizmu, ile ze specyfiki przełomów, nazwanych w logice naukowej i w wewnętrznym obiegu nauki również zmianą paradygmatu. O zmianie paradygmatu można powiedzieć tyle, że w momencie pojawienia się lub jego wejścia w obieg udaje ona poniekąd, że nowy paradygmat istniał od zawsze, lecz większość nie zwróciła na niego uwagi. Ze swej natury jest on przekonujący, oczywisty i logiczny. Wyparł wszystko, co sztuczne i wydumane. Minął czas prób. Po dokonaniu się przemiany wydaje się, że zawsze powinno tak być i nie mgło właściwie być inaczej².

Przełomowe odkrycia sprawiają, że to, co powszechnie uchodziło dotąd za znane, staje się nieznane i wymaga nowego wyjaśnienia. Wraz ze zmianą paradygmatu na ogół nie zmienia się obiekt, który został poddany naukowemu oglądowi. „Zmienił się kąt widzenia, obiekt pozostał być może ten sam – podkreśla Schlögel – ale ukazuje się z nowej

¹ Zob. K. Schlögel, *Spatial turn, nareszcie, [w:] tegoż, W przestrzeni czas czytamy. O historii cywilizacji i geopolityce*, przekł. I. Drozdowska, Ł. Musiał, posłowie H. Orłowski, Poznań 2009, s. 56–68.

² Tamże, s. 56.

perspektywy, w innym świetle, a przez to zupełnie inaczej, niemal tak, jakbyśmy ujrzeni go właściwie po raz pierwszy”. Toteż „w takich przełomowych momentach wiedza zrzuca niejako starą skórę, ma miejsce zmierzch i świt poznania. W momencie ich nastania wydaje się, jakby już zawsze tak było”³. I dlatego ta nowa wykładnia przychodzi „nareszcie”, a więc jako zdarzenie, które nastąpiło później niż powinno, a zarazem jako zdarzenie, które wreszcie nastąpiło. Przy czym przysłówek nareszcie zachowuje swą moc wyrażania zadowolenia z tego, że stało się to, na co czekano.

Odkrycie Darwina pojawia się nagle a zarazem nareszcie. I rzecz ta nie dotyczy tylko spraw związanych z publikacją pracy *O pochodzeniu gatunków*, która ukazała się dopiero (nareszcie!) w listopadzie 1859 roku, choć jej pierwszy szkic, liczący 35 stron powstał już w 1842 roku⁴. Wiadomo, że gdyby nie Wallace⁵, rozprawa Darwina o transmutacjach gatunków leżałaby nadal w sejfie – być może aż do śmierci jej autora. W tym wypadku „nareszcie” odnosi się do czegoś znacznie ważniejszego, czegoś, co bezpośrednio dotyczy kwestii badania rzeczywistości, której człowiek – jak dowiedzie tego Darwin w pracy *O pochodzeniu człowieka* – jest nieodłączną częścią. Głos owego „nareszcie” pobrzmiewa we wczesnych listach twórcy ewolucjonizmu, w których przyznaje się do tego, że w swoich badaniach dąży do przeniknięcia praw, wedle których „Stwórca zapragnął stworzyć istoty organiczne”⁶. Słysząc go w liście z 1844 roku, w którym Darwin po raz pierwszy wyznaje, że gatunki są zmienne:

...zajmuję się od mojego powrotu bardzo śmiałą pracą, którą wszyscy moi znajomi określają jako niemądrą. Tak bardzo uderzyło mnie rozmieszczenie organizmów na Galápagos ect. ect. i charakter amerykańskich kopalnych ssaków ect. ect., że postanowiłem zbierać na oślep wszystkie fakty, które mogłyby w jakiś sposób dopomóc w odpowiedzi na pytanie, czym są gatunki. (...) Wreszcie pojawił się promyk światła i jestem prawie pe-

³Tamże.

⁴W dwa lata później szkic ten zostaje rozwinięty do 231 stronicowego tekstu przygotowanego do publikacji w razie śmierci Darwina – zob. K. Darwin, *Listy*, przekł. T. Opalińska, Warszawa 1999, s. 139.

⁵Zob. Tamże, s. 282–283. Do sprawy Wallace’a Darwin powraca w swojej *Autobiografii*: „(...) z początkiem lata 1858 r. p. Wallace, który przebywał wówczas na Archipelagu Malajskim, przysłał mi rozprawę *On the Tendency of Varieties to depart indefinitely from the Original Type*. Rozprawa ta zawierała dokładnie taką samą teorię jak moja” – K. Darwin, *Autobiografia*, [w:] tegoż, *Dzieła wybrane*, T. VIII, przekł. A. Iwanowska, A. Krasicka, J. Połtowicz, S. Skowron, Warszawa 1960, s. 64.

⁶Zob. K. Darwin, *Listy*, dz. cyt., s. 132.

wien (w przeciwieństwie do przekonania, jakie miałem na początku), że gatunki nie są (brzmi to jak wyznanie zbrodni) niezmiennie. (...) Myślę, że odkryłem (i tu ujawnia się moje zarozumiałstwo) prosty sposób, w jaki gatunki doskonale przystosowują się do różnych ról⁷.

Rzeczywiście w tamtym czasie wypowiedź ta brzmiała „jak wyznanie zbrodni”. Wszak Darwin dokonał tu zamachu na obowiązujący w naukach przyrodniczych i w teologii naturalnej niezachwiany do tej pory dogmat o niezmienności gatunków. I chyba dlatego, w jednym z późniejszych listów, o efekcie swoich badań powie, że są to „heretyckie wnioski” a siebie samego nazwie – heretykiem⁸. W 1844 roku Darwin już wie, jak działają prawa świata organicznego. Aby je pojąć wystarczy odrzucić starą wykładnię o stałości w przyrodzie, wykładnię, która zaślaniała prawdę, o tym, co w niej rzeczywiste. Zatem zgodnie z logiką przełomów w nauce wraz odkryciem Darwina człowiek mógł nareszcie ujrzeć świat organiczny takim, jakim on jest od dawna. Przy czym od dawna nabiera tu zupełnie innego znaczenia. Zwroty „od dawna” czy „od zawsze” kojarzą się nam ze stałością, niezmiennością, rodzajem trwałości. Odkrycie Darwina nadaje tym formułom nowy, temporalny charakter. Toteż „od dawna” oznacza tu ciągły ruch przemian określony przez czas ewolucji.

Pora teraz zadać pytanie o to, w jaki sposób udało się Darwinowi dojść do odkrycia działania mechanizmu doboru naturalnego i walki o byt. Ale stawiając to pytanie, nie chodzi mi jedynie o znalezienie odpowiedzi dotyczącej kwestii genealogii takiego czy innego odkrycia, lecz bardziej o możliwość zaistnienia owego „nareszcie” określającego wszelkie przełomy.

„Podróż na Beagle – wyznaje w *Autobiografii* Darwin – była najdonioślejszym zdarzeniem mego życia i zdecydowała o całej mojej dalszej karierze”⁹. Ale poprzedza ją jeszcze inne zdarzenie, które w moim przekonaniu znacząco wpłynęło na młodego przyrodnika. Na kilka miesięcy przed dalekomorską wyprawą Darwin odbył krótką wycieczkę geologiczną po północnej Walii. Tam wraz z profesorem Sedgwickiem badał polodowcowe skały. Ale nieuważnie – wiele zjawisk (Darwin powie „cudownych zjawisk”) widocznych na powierzchni tychże skał wówczas umknęło uwadze badaczy: „Nie zauważyliśmy ani wyraźnie zarysowanych skał, ani nagromadzonych jedne na drugich głazów na-

⁷Tamże, s. 138.

⁸Zob. list do J. D. Dany’ a z 29 września 1856 r. (K. Darwin, *Listy*, dz. cyt., s. 246–248).

⁹K. Darwin, *Autobiografia*, dz. cyt., s. 37.

rzutowych, ani bocznych i końcowych moren¹⁰. Geolog i przyszły przyrodnik w 1831 roku nie dostrzegli tego, co stało się nareszcie widoczne jakiś czas później: „A jednak te zjawiska są tak widoczne, że jak podałem w pracy ogłoszonej wiele lat później w „Philosophical Magazine”, dom strawiony przez ogień nie świadczyłby o swej historii bardziej wyraziście, niż ta dolina o swojej¹¹. Na walijskich skałach zapisana została historia ziemi – dzieje oziębienia i ocieplania klimatu, nadciągania i cofania lodowców. A jednak ten geologiczny tekst wyryty na polodowcowych głazach był przez wieki nieczytelny. Pozostał ukryty, niewidoczny dla oka ludzkiego, pomimo tego, że o obecności lodowca w owej niecce świadczyły ślady bardziej widoczne od pogorzelska zaświadczonego o pożarze. Darwin w *Autobiografii* nie rozstrzyga sprawy dlaczego tak się dzieje. Powracając pamięcią po latach do tamtej wyprawy stwierdza jedynie, jakby mimochodem, że podczas niej doszedł do przekonania „jak łatwo umykają uwadze nawet rzucające się w oczy zjawiska, jeśli przedtem nikt inny nie zwrócił na nie uwagi¹². I z tym przekonaniem, jako naturalista zaokrętował się na „Beagle” i w ostatnich dniach grudnia 1831 roku wyruszył w swą dalekomorską wyprawę, która okaże się podróżą w głąb geologicznego czasu. I jeszcze jedno. W swą podróż zabierze ze sobą *Raj utracony* Milтона¹³.

Świadectwem tej trwającej prawie przez pięć lat podróży jest niezwykle pamiętnik *Podróż na okręcie „Beagle”*¹⁴, spisany w 1837 roku, a wydany w dwa lata później. Pamiętnik ten, choć wyrasta z ducha pozytywistycznej metodologii badania rzeczywistości, której istota zasadza się na obserwacji, zbieraniu faktów i porządkowaniu ich w postaci ogólnych praw, faktycznie zapowiada modernistyczne wizje. I dlatego – idąc drogą myślenia zaproponowaną przez Bermana¹⁵ – należy usytuować go obok *Manifestu komunistycznego* Marksa i Engelsa, i spojrzeć na niego „jako na archetyp nadchodzącego stulecia modernistycznych

¹⁰ Tamże, s. 33.

¹¹ Tamże.

¹² Tamże.

¹³ „Dawniej najbardziej lubilem *Raj utracony* Milтона i gdy w czasie podróży na Beagle wybierałem się na wycieczkę, a nie mogłem wziąć ze sobą więcej niż jeden mały tomik, wybór mój padał zawsze na Milтона”. (K. Darwin, *Autobiografia*, dz. cyt., s. 42).

¹⁴ Zob. K. Darwin, *Podróż na okręcie „Beagle”*, *Dzieła wybrane*, t. I, przekł. K. Szarski, Warszawa 1959. Wszystkie kolejne cytaty z pamiętnika Darwina podaję za tym wydaniem.

¹⁵ Zob. M. Berman, *Wszystko, co stałe, rozpywa się w powietrzu: Marks, modernizm i modernizacja*, [w:] tegoż, *Wszystko, co stałe rozpywa się w powietrzu*. *Rzecz o doświadczeniu nowoczesności*, przekł. M. Szuster, wstęp A. Bielik-Robson, Kraków 2006, s. 113–170.

ruchów i manifestów”¹⁶. A zważywszy na czas jego powstania, nawet jako na tekst antycypujący sam *Manifest komunistyczny*.

Pamiętnik Darwina to zanotowane przez „filozofującego przyrodnika” obserwacje. A przygląda on się w czasie podróży wszystkim: roślinności i zwierzętom, nagim skałom, głazom a nawet najmniejszym kamyczkom; śledzi przebieg rzek i masywów górskich, z uwagą przygląda się liniom brzegów morskich, bada rafy koralowe i laguny, a także bacznie przygląda się „dzikim ludom” i kolonizatorom. Obserwując nieustannie zbiera i gromadzi fakty, które stopniowo próbuje uporządkować w taki sposób, aby wynikały z nich ogólne prawa. Nieprzypadkowo w *Autobiografii* Darwin będzie ubolewał nad tym, że w jego umyśle doszło do zaniku „wyższego odczucia estetycznego”, gdyż stał się on „czymś w rodzaju maszyny, która przerabia wielkie zbiory faktów na ogólne prawa...”¹⁷. Przy czym Darwin nie spisuje w pamiętniku żadnych poglądów, bardziej w nim coś przypuszcza, coś zapowiada.

Tak dzieje się z przypadku teorii ewolucji. Listy Darwina świadczą o tym, że już w czasie dalekomorskiej wyprawy odkrył on mechanizm gatunkowych przemian. Tymczasem w pamiętniku z podróży prawie nie porusza tego zagadnienia. Kwestia ewolucji zostaje jedynie zasugerowana w tych partiach tekstu, w których Darwin zajmuje się problemem pokrewieństwa. Wówczas dzieli się z czytelnikiem swoim zdziwieniem, które wypływa z dostrzeżonych przez niego podobieństw, jakie zachodzą pomiędzy wymarłymi a współczesnymi gatunkami. Jedno z takich miejsc kończy słowami: „Ten cudowny związek zachodzący na jednym kontynencie pomiędzy wymarłymi a żyjącymi gatunkami rzuci w przeszłości – o czym nie wątpię – więcej światła na zagadnienie ukazywania się istot organicznych na naszej ziemi i ich wymierania niż jakkolwiek inny zespół faktów” (s. 179). Jednak takich miejsc w pamiętniku z podróży jest niewiele. Zresztą tego rodzaju uwagi dla większości ówczesnych czytelników były niezrozumiałe. W latach 40-tych XIX wieku jedynie Darwin – wyposażony w umysł-maszynę do przerabiania faktów w ogólne prawa – potrafił swe spostrzeżenia przetworzyć (nareszcie!) w teorię ewolucji.

Znacznie więcej miejsca młody przyrodnik poświęca obserwacjom o charakterze socjologicznym. Jednak te fragmenty pamiętnika wzajemnie sobie przeczą. Z jednej strony negatywnie ocenia on panujący w Brazylii system niewolnictwa i nie godzi się na cynizm kolonizatorów

¹⁶ M. Berman, *Wszystko, co stałe, rozphywa się w powietrzu: Marks, modernizm i modernizacja*, dz. cyt., s. 117.

¹⁷ K. Darwin, *Autobiografia*, dz. cyt., s. 75.

mordujących młode Indianki w myśl zasady „cóż innego można zrobić? Oni tak się mnożą!” (s. 109). A z drugiej strony nie widzi zła w działalności kolonizatorskiej generała Rosasa, o którym pisze, że „oczyścił” kraj z „dzikich Indian” a jednocześnie uznaje go za rzecznika dobra i postępu¹⁸. Zatem czasami jego myśl grzęźnie meandrach kolonialnej ideologii, a momentami nawet zdaje się ją wspierać. Dzieje się tak zwłaszcza w tych częściach pamiętnika, w których omawia kwestię różnic pomiędzy Europejczykami a rodowitymi mieszkańcami krajów, po których wędruje – „nigdy nie przypuszczałbym, że tak wielka jest różnica między człowiekiem dzikim a cywilizowanym. Jest ona większa niż między dzikim a udomowionym zwierzęciem, o tyle większa, o ile człowiek ma większą niż zwierzę możliwość doskonalenia się” (s. 215). Autor w tych partiach pamiętnika niepostrzeżenie konstruuje własną teorię ras ludzkich – teorię tłumaczącą niższość dzikiego człowieka, która niebezpiecznie dryfuje w stronę ideologii kolonialnej i polityki eksterminacji.

Natomiast staje się on niebywale przenikliwy w ocenie zachowania kolonizatorów. W ich działaniu dostrzega ogrom zaślepienia, do którego doprowadziły: powszechna pogoń za korzyściami materialnymi i egoizm. Przez co mieszkańcy wielu państw Ameryki Południowej zostali wciągnięci w wir ustawicznej rewolucji:

Żadne chyba krzywdy nie były przyczyną wybuchu rewolucji, jednak w państwie, w którym w ciągu dziewięciu miesięcy (od lutego do października 1820) było piętnaście zmian rządu – przy czym każdy gubernator, w myśl konstytucji, wybierany był na trzy lata – byłoby bardzo nierozsądną rzeczą poszukiwać jakichś pretekstów (s. 146).

Darwin nie jest w stanie dopatrzeć się w tych przewrotach żadnej idei czy dążności do naprawy świata. Rewolucje te napędzane są przez: chciwość, żądzę gwałtu, chęć dominacji i pychę, a instynkty te bujnie plenią się na podłożu interesów materialnych. Czyż obraz Ameryki Południowej, jaki wyłania się z zanotowanych przez Darwina obserwacji, nie wyprzedza o ponad pół wieku jej piekielnej wizji stworzonej przez Conrada w powieści *Nostramo* – wizji, która – jak w miniaturze – mieści się w krótkiej wypowiedzi Decouda:

Po tym Montero przyjedzie jakiś inny i trwać będzie bezprawie motłochu wszelkich kolorów skóry, wszelkich ras, barbarzyństwo i tyrania, na którą nie ma rady. Jak powiedział wielki wyzwoliciel Bolivar, dając wy-

¹⁸ Zob. K. Darwin, *Podróż na okręcie „Beagle”*, dz. cyt., s. 76 i 81.

raz goryczy swego serca: „Ameryką nie da się rządzić. Ci, którzy trudzili się dla jej niepodległości, orali morze”¹⁹.

Kraje amerykańskie cechuje więc ciągły rytm politycznych przemian i, co się z tym bezpośrednio wiąże, brak ustabilizowanych organizacji państwowych. Zatem obserwacje socjologiczne Darwina – podobnie jak przyrodnicze – prowadzą go do odkrycia ruchu, wszechobecnej zmienności w przyrodzie i w amerykańskich społeczeństwach. Trudno powiedzieć, czy z tej analogii zdawał on sobie w pełni sprawę. Nigdzie na kartach pamiętnika nie porówna – jak uczyni to później Spencer – świata organicznego do świata ludzkiego. Niemniej to ruch, który młody podróżnik wszędzie dostrzega w czasie swojej wędrówki, zaczyna wyznaczać horyzont jego obserwacji. Darwin odrzuca więc starą, ahistoryczną perspektywę oglądu rzeczywistości. Jego zmysł wzroku w czasie podróży – jakby to powiedział Nietzsche – zostaje wzmocniony o „zmysł historyczny”²⁰. I dlatego to, co wcześniej było zakryte, nareszcie zostaje dostrzeżone. Słowem historyzm wyostrza jego wzrok.

Najpełniej ujawniają to poczynione przez Darwina obserwacje geologiczne, zwłaszcza te, które prowadził w Patagonii. Myśli, które wówczas się w nim rodzą, doprowadzają go wręcz do „zawrotu głowy”. Przyglądając się ogromnym pokładom żwiru, które powstały na skutek procesów rozpadania i ścierania skorupy ziemskiej, Darwin odkrywa otchłań minionego czasu:

Gdy zastanowimy się nad tym, że wszystkie te kamienie, niezliczone jak ziarenka piasku na pustyni, pochodzą z powolnego rozpadania się mas skalnych na dawnych wybrzeżach morskich i brzegach rzek, że odłamki rozbiły się na mniejsze kawałeczki i że każdy z nich od owych czasów został stopniowo obtoczony, zaokrąglony i przeniesiony daleko – umysł ogrania zadziwienie na myśl o niezmiernym i koniecznie do tego potrzebnym upływie czasu (s. 176–177).

Do podobnych rozważań nad naturą czasu skłania go widok bazaltowych klifów, które rozpadły się na mniejsze kamienie, porozsypywane na ogromnych obszarach linii brzegowej państwa chilijskiego:

...można dostać zwrotu głowy, gdy pomyśli się o tej ilości lat, wiek po wieku, których prądy przepływowe potrzebowałyby na podmycie

¹⁹ J. Conrad, *Nostramo*, przekł. J. J. Szczepański, Warszawa 1981, s. 131.

²⁰ Nietzsche zarzucał filozofom brak „zmysłu historycznego”: „Brak zmysłu historycznego jest dziedziczną wadą wszystkich filozofów...” – F. Nietzsche, *Ludzkie, arcyłudzkie*, przekł. K. Drzewiecki, posłowie P. Pieniążek, Kraków 2006, s. 16.

i skruszenie obszaru bazaltowej skały, o takim rozmiarze i grubości, bez pomocy jakiejś potężnej kipieli. Mimo to musimy przyjąć, że warstwy podmyte przez wody owej dawnej cieśniny rozpadły się na ogromne zwaliska, a te, leżąc rozsiane na wybrzeżu, zostały rozbite na mniejsze bloki, wreszcie kamienie, a w końcu na ledwo dostrzegalny muł, który prądy przyływowe poniosły daleko w głąb wschodniego i zachodniego oceanu (s. 188–189).

To doświadczenie długiego upływu czasu, potrzebnego do zajścia geologicznych procesów, wprawia młodego badacza w zdumienie. Do tej pory, zjawisko przekształcania się twardych skał bazaltowych w maleńkie kamyki i muł rzeczny, geologowie wyjaśniali odwołując się do hipotezy o działaniu jakiejś wszechogarniającej katastrofy. Darwin odrzuca to przypuszczenie. Toteż miniony czas wydłuża się dla niego w niewyobrażalny sposób. Ale nie chodzi tu jedynie o wprawiające w „zawrót głowy” odczucie długiego upływu czasu. Pamiętnik z podróży dowodzi tego, że ten wstrząs wywołuje w Darwinie zmianę w postrzeganiu czasu w ogóle. W większości dawnych koncepcji miał on naturę cykliczną. Rozmyślenia Darwina nad przebiegiem geologicznych przemian prowadzą go do innych wniosków. Długotrwały proces rozpadania się twardych skał – od bazaltu do mułu rzecznego, odsłania przed nim nowy wymiar czasu, którego naturę określają nieodwracalność i rozpraszenie.

Darwin, w czasie swoich wędrówek, wciąż podziwiał różne kamienne i organiczne usypiska, które dla niego stają się pięknymi ruinami:

Ogarnia nas podziw, gdy podróżnicy opisują nam potężne rozmiary piramid czy innych wielkich ruin, ale jakżeż zupełnie bez znaczenia są nawet największe z nich w porównaniu z tymi górami z kamienia, usypanymi wskutek działania rozmaitych drobniotkich i delikatnych zwierząt. Jest to cud, który zrazu nie jest widoczny dla oka, ale po zastanowieniu odsłania się rozumowi (s. 493).

Dodajmy – rozumowi, którego wspomaga „zmysł historyczny”. Owe geologiczne ruiny świadczą o naturze czasu, którego istota zasadza się na nieodwracalności przemian, wskutek czego, potężna skała staje się stertą kamyków. Jest to dla Darwina rodzaj cudu, ale odartego z wszelkiej transcendencji. I nikt nie powinien – jak pisze o tym w innym miejscu pamiętnika z podróży – „obecnie odwracać sprawy” i wątpić w to, „czy czas wszechmocny zdoła zetrzeć góry – nawet gigantyczne Kordyliery – na żwir i muł” (s. 276). W pełni potęgę działania czasu wyraża metafora „kruszącego młyna”, która pojawia się w zapisie z dnia

13 września 1834 roku – „Gdy całe góry przejdą przez ten kruszący młyn...” (s. 284–285). Czas stał się więc dla młodego Darwina czasem rozpraszania – figurą tryumfującej śmierci.

Ostatecznie upewni go w tym przekonaniu trzęsienie ziemi, jakie miało miejsce w Chile 20 lutego 1835 roku:

Dzień ten jest pamiętny w dziejach Valdivii – notuje Darwin – z powodu najsilniejszego z trzęsień ziemi, jakie pamiętali najstarsi mieszkańcy. Byłem przypadkiem na łądzie i położyłem się w lesie, by wypocząć. Trzęsienie ziemi przyszło nagle i trwało dwie minuty, ale czas wydawał się znacznie dłuższy. Ruch ziemi odczuwało się bardzo wyraźnie. (...) Było to trochę podobne do kołysania się statku na małej poprzecznie biegnącej fali albo jeszcze bardziej do tego, co odczuwa osoba ślizgająca się po cienkim lodzie, który ugina się pod ciężarem ciała (s. 321).

To trzęsienie ziemi wywołało potężną falę tsunami, która zmiotła z powierzchni wiele przybrzeżnych miast i zamieniła je w potężne rurowiska. Darwin te miejsca nawiedza. Ich widoki wprawiają go w przerażenie a zarazem budzą w nim nieskrywaną ciekawość, a momentami nawet zachwyty. Stąd w pamiętniku z podróży roi się od określeń: interesujące, malownicze, groźne czy wzniosłe, które pojawiają się przy opisach zniszczonych miast:

W Concepcion każdy dom lub rząd domów zachował się osobno jako stos lub rząd ruin, jednakże w Talcahuano, które po wstrząsie zalała wielka fala, nie można było odróżnić wiele więcej niż warstwę cegieł, dachówek i belek, z których tu i ówdzie sterczał kawałek zachowanego muru. Dzięki tej okoliczności Concepcion, choć nie tak całkowicie zniszczone, przedstawiało widok bardziej przerażający i jeśli tak można się wyrazić, malowniczy (s. 324).

Zdziwienie zaczyna tu dominować nawet nad współczuciem. Chwila trzęsienia ziemi staje się dla Darwina rozstrzygającym zdarzeniem, czymś w rodzaju Nietzscheańskiego „wielkiego zerwania”²¹. To też pamiętnik z podróży – chociaż nie ma w nim śladu buntu przeciw nieuchronności zła ani tonu krzykliwej rozpaczycy²² – w pełni zasługuje na miano XIX-wiecznego *Poematu o zagładzie Lizbony*. Tak, jak trzęsienie ziemi w Lizbonie z 1 września 1755 roku pogrzebało wiarę w optymi-

²¹ Zob. F. Nietzsche, *Ludzkie, arcyłudzkie*, dz.cyt., s. 7.

²² Tak o poemacie Woltera o zagładzie Lizbony pisze Baczeko – zob. B. Baczeko, *Hiob mój przyjaciel. Obietnice szczęścia i nieuchronność zła*, przekł. J. Niecikowski i M. Kowalska, Warszawa 2001, s. 21.

styczną wizję świata, tak chilijska fala tsunami w 1835 roku podmyła wyobrażenie świata, jako czegoś stałego i niezmiennego.

Trzęsienie ziemi, którego doświadcza w czasie podróży Darwin, w jakiś sposób przypomina efekt działania nagłości, o którym pisze Nietzsche we wstępie do traktatu *Ludzkie, arcyłudzkie*: „Wielkie zerwanie na spętanych przychodzi nagle jak trzęsienie ziemi: młoda dusza w jednej chwili zostaje wstrząśnięta, oderwana, wyrwana – nie pojmuje sama, co się dzieje”²³. Nagły ruch skorupy ziemskiej sprawia, że Darwin staje w obliczu fenomenu wcześniej już odczutego, uznanego nareszcie za możliwy. Pod wpływem trzęsienia ziemi dochodzi do owego „wielkiego zerwania”, wskutek czego człowiek doświadcza poczucia „oderwania” czy „wyrwania”. Tylko, że na ten wstrząs przyszedł twórca teorii ewolucji jest już 1835 roku częściowo gotowy. I patrząc na obraz zniszczeń – na ruiny chilijskich miast, przypuszcza „co się dzieje”:

Gorycz napelnia serce i człowiek czuje się upokorzony, gdy widzi, jak dzieła, które kosztowały tyle czasu i pracy ludzkiej, zostają w jednej minucie zburzone; a jednak współczucie dla mieszkańców zniknęło prawie natychmiast, ustępując miejsca zdziwieniu wywołanemu widokiem stanu, który z przyzwyczajenia przypisujemy działaniu wielu wieków, a który powstał tutaj w ciągu jednej chwili (s. 330).

Ruiny Concepcion to widoczny znak interwencji natury w dzieło ludzkie, która w jednej chwili potrafi zamienić w gruzy to, co człowiek budował przez lata. Jednak Darwin nie buntuje się jak Wolter przeciwko jej ślepej mocy; czuje się przez moment jedynie upokorzony, ale i to uczucie ustępuje miejsca zdziwieniu, które jest tak wielkie, że uznaje ten widok za najciekawszy w całej jego dotychczasowej podróży – „Wedle mego zdania, od czasu opuszczenia Anglii nie widzieliśmy chyba równie interesującego widoku” (s. 330). Cóż więc Darwin dostrzega tak ważnego w obrazie zniszczonego Concepcion?

W zdumienie wprawia go „widok stanu, który – jak pisze – z przyzwyczajenia przypisujemy działaniu wieków”. Darwin doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że na ogół wzniesione przez człowieka budowle kruszeją przez wieki. Dlatego odwołuje się tu do kategorii przyzwyczajenia, która często zamyka ludzkie poznanie na nowe rozpoznania. Tymczasem zdarzenie trzęsienia ziemi niejako w jednej chwili przedstawia to, co na ogół wydarza się przez długi upływ czasu. A więc w jakiś spo-

²³F. Nietzsche, *Ludzkie, arcyłudzkie*, dz. cyt., s. 7 i zob. wykładnię tego fragmentu przeprowadzoną przez Bohrerę w *Nagłości* (K. H. Bohrer, *Nagłość. Chwila estetycznego pozoru*, przekł. K. Krzemieniowa, Warszawa 2005, s. 56–59).

sób ruiny Concepcion odsłaniają tę samą prawdę co ruiny z Patagonii czy z wybrzeża Ameryki Południowej. Wspominałem już o tym, że autor pamiętnika z podróży nie jest zwolennikiem wyjaśniania procesów geologicznych poprzez teorię katastrof. Ale w 1835 roku staje się świadkiem katastrofy, w której dostrzega nie nią samą i ludzką tragedię, lecz bardziej potwierdzenie własnych przypuszczeń. Toteż trzęsienie ziemi staje się dla niego widokiem, który w okamgnieniu ukazuje całą historię ziemskiej skorupy i – co się z tym wiąże – obrazem, który w jednej chwili odsłania naturę czasu. Innymi słowy, to nagle zdarzenie przybliża go do tajemnicy działania owego wielkiego i nieustannie „kruszącego młyna”, tj. czasu, który dla Darwina staje się czymś w rodzaju katastrofy rozciągniętej na tysiąclecia.

Nagłość drgającej przez chwilę skorupy ziemskiej w końcu sprawia, że Darwin nareszcie staje w obliczu najważniejszego podejrzenia:

Silne trzęsienie ziemi burzy za jednym zamachem nasze najstarsze skojarzenia; ziemia, ten symbol stałości, poruszyła się pod naszymi stopami jak cienka skorupka spoczywająca na płynnym podłożu. Jedno mgnienie oka stwarza w naszym umyśle jakieś dziwne pojęcie niepewności, którego nie zdołałyby wywołać godziny rozmyślań (s. 321).

Wraz z trzęsieniem ziemi wali się stara wiara w pojęcia stałości i niezmienności. Wszystko, dosłownie wszystko, a więc zarówno przyroda organiczna jak i nieorganiczna, znajduje się w ciągłym ruchu. I choć tego ruchu oko ludzkie nie jest w stanie dostrzec, gdyż jest to ruch rozciągnięty na tysiąclecia, to jednak on nieustannie trwa. Wciąż pracują wielkie „młyny czasu” i kruszą skały bazaltowe na muł rzeczny a górskie pasma Kordylierów na usypiska żwiru. Prawdę tę odsłania chwila trzęsienia ziemi – wówczas nagle, w mgnieniu oka Darwin widzi to, co dzieje się od tysiącleci i uświadamia sobie, że od tego momentu człowiek nie stoi już na twardym gruncie, lecz na płynnej i miękkiej skorupie, czymś na kształt cienkiego lodu lub lekko rozkołysanej tafli morskiej. Nagłe przerażenie wywołuje w jego umyśle powstanie „jakiegoś dziwnego pojęcia niepewności”, pojęcia, od którego nie uwolni się już nigdy. Źródłem tej niepewności jest nowy wygląd rzeczy, które są w ciągłym ruchu i przez to przeczą wszelkim dyskursom stałości. Dochodzi więc jakby do zerwania starych pęt, które wiązały człowieka z ziemią za pomocą pojęć stałości i niezmienności. Od tej pory spojrzenie wstecz staje się już niemożliwe – a to, co możliwe, wkrótce (nareszcie!) nadejdzie w postaci teorii ewolucji i człowiek – jak Alicja – zapadnie się w dziurę darwinowskiego świata.

Zniszczenie stałości przez chwilę trzęsienia ziemi, ten moment przyjścia tego, co nieoczekiwane, choć już przeczone, zawiera w sobie moc antycypacji, czyli – w myśl słów Maxa Schelera – „wcześniejszego posiadania nowego, nigdy nie przeżywanego stanu rzeczy”²⁴. Niestalość, ruch, wir nieustannego rozpadu i ponownych narodzin za sprawą diagnozy Marksa – jak przekonuje nas o tym Berman²⁵ – określają charakter nowoczesnego środowiska i doświadczenia, tego, które rodzi się w XIX stuleciu. Pamiętnik z podróży Darwina, a zwłaszcza ta jego część, która opowiada o chilijskim trzęsieniu ziemi, zapowiada marksowskie rozpoznanie, że „wszystko, co stanowe i zakrzepłe, ulatnia się”²⁶.

Po powrocie z podróży Darwin musi zmierzyć się jeszcze z jednym rodzajem stałości – reakcyjnymi poglądami naukowego środowiska, które masowo cierpi na chorobę – jeżeli dobrze rozumiem jego intencje – zatwardzenia mózgow. I dlatego w jednym ze swoich listów wymyśla nowy – nowoczesny środek leczniczy:

Nie możesz sobie wyobrazić, jak jestem rad z myśli, że koncepcja doboru naturalnego podziela na wasze poglądy na temat niezmienności jak środek przeczyszczający. Kiedy przyrodnicy będą mogli traktować zmienność gatunków jako rzecz pewną, jakże wspaniałe pole się otworzy w dziedzinie wszystkich praw zmienności, w dziedzinie genealogii wszystkich istot żywych, w dziedzinie ich dróg migracji ect. ect...²⁷.

Darwin aplikuje w postaci teorii ewolucji środek rozmiękczący, rozgadniający, który natychmiastowo i skutecznie ma uwolnić badaczy od starych wyobrażeń o stałości i niezmienności wszystkiego. Ale – jak to często bywa – po przewlekłych chorobach pozostają ślady, niezatarte ślady i w pełni jest on tego świadom.

Swoją pracę *O pochodzeniu człowieka*, w której dowodzi tezy, że „człowiek pochodzi od formy znacznie niżej od niego uorganizowanej”, kończy słowami: „człowiek nosi jeszcze w swojej postaci fizycznej niezatarte znamię niskiego pochodzenia”²⁸. Słusznie zauważa Berger, że „żadna naukowa rewolucja nie niosła ze sobą tak nikłej nadziei” i że,

²⁴Słowa Schelera przytaczam za: K. H. Bohrer, *Nagłość*, dz. cyt., s. 65.

²⁵Zob. M. Berman, *Wprowadzenie. Nowoczesność wczoraj, dziś i jutro*. [w:] tegoż, *„Wszystko, co stałe rozpyływa się w powietrzu”*, dz. cyt., s. 15–46.

²⁶K. Marks, F. Engels, *Manifest komunistyczny*, brak autora przekładu, Warszawa 1956, s. 51.

²⁷K. Darwin, *Listy wybrane*, dz. cyt., s. 288.

²⁸K. Darwin, *O pochodzeniu człowieka*, t. II: *Dobór płciowy*, przekł. K. Zaćwilichowska, Warszawa 1960, s. 422 i 436.

słowa o „niezatartym piętnie” są bardzo wymowne: „«Piętno» oznacza «znak, plamę», i jest «niezatarte» w tym sensie, że (niestety) nie można go zmasać. Zaś w słowie «niski» zarówno w XIX wieku, jak i w Wielkiej Brytanii doby Margaret Thatcher zawarty jest wstyd”²⁹. Ale piętno to również znak wykluczenia, w tym wypadku wyłączenia człowieka ze sfery transcendencji i zamknięcia go w obszarze immanencji. *Raj utracony* Milтона, który zabrał ze sobą Darwin w dalekomorską podróż, urasta więc do rangi złowieszczej zapowiedzi tego, co stało się w jej czasie.

I jeszcze jedno – jak podsuwa nam to podtytuł rozprawy Goffmana – piętno to rodzaj „zranionej tożsamości”³⁰, a więc poprzez cielesny znak, skazę człowiek uzyskuje tożsamość, ale jest to tożsamość zraniona – tożsamość, która boli. Skoro w pierwszym wydaniu *O pochodzeniu gatunków* znajdują się usunięte później słowa o tym, że życie organiczne pojawiało się „wskutek niewyjaśnionego jak dotąd procesu”³¹, a w dziele *O pochodzeniu człowieka* Darwin uznał go, za najwyższe ogniowo ewolucyjnego procesu, to dzięki temu stał się on (staliśmy się) bytem (bytami) bez źródła. Słowem niezatarte piętno niskiego pochodzenia nadało człowiekowi nową, negatywną tożsamość, która zmusiła go w XIX wieku ponownie do zadania pytania, z którym zмага się Alicja, gdy nagle, w ciągu w jednej chwili, zapadła się – jak ziemia w Chile w 1835 roku – w dziurę darwinowskiego świata: „Kim jestem? To przede wszystkim mi powiedzcie”³².

²⁹ J. Berger, *Małpi teatr*, przekł. M. Szuster, [w:] tegoż, *Spotkania*, Warszawa 2001, s. 162.

³⁰ Zob. E. Goffman, *Piętno. Rozważania o zranionej tożsamości*, przekł. A. Dzierżyński, J. Tokarska-Bakir, wstęp do wydania polskiego J. Tokarska-Bakir, Gdańsk 2007.

³¹ Słowa te pod wpływem środowiska duchowego zostały usunięte w drugim wydaniu i zastąpione na „wzniosły zaiste jest to pogląd, że Stwórca natchnął życiem kilka form lub jedną (...) i z tak prostego początku zdołał się rozwinąć i wciąż się jeszcze rozwija nieskończony szereg form najpiękniejszych i najbardziej godnych podziwu” – zob. *Karol Darwin*, [w:] *Wielkie eseje w nauce*, pod red. M. Gardnera, przekł. M. Appelt i P. Dickstein i J. Nusbaum, Warszawa 1998, s. 17–18 i 30.

³² L. Carroll, *Alicja w krainie czarów. O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra*, przekł. i wstęp M. Słomczyński, Wrocław 1990, s. 24.

Ireneusz Gielata

A Stigma of Darwinism

The author analyses the problem of circumstances in which Darwin discovered the mechanism of natural selection and struggle to survive – a discovery that marked human being with “an indelible stigma”. The stigma is a special kind of “a hurt identity”, an identity, which hurts. Darwin’s discovery marked human beings with the “indelible stigma” of low descent, which endowed men with negative identity – of a being without origin. As a result in the 19th century people had to face the question of their own identity.

Analysing the memoir *The Voyage of The Beagle* the author claims, that observations Darwin made during the journey (in particular the geological ones) changed his perception of time. Geological ruins revealed before young Darwin the nature of time, whose essence is dissemination – ie. irretrievable change. His views were confirmed by the earthquake in Chile in 1835 – where a sudden move of the earth’s crust became an image of time which perceived a catastrophe spread over thousands of years. Hence, as the author claims, Darwin’s memoir from the journey, and in particular its part which describes the earthquake in Chile foreshadows the Marxian statement that everything “vanishes”.

Ryszard Koziołek
Uniwersytet Śląski, Katowice

Biologia literatury

Darwin nie określił miejsca literatury w swoim systemie ewolucji, choć musiał o tym myśleć jako wyrobiony czytelnik. Wiemy, że dobrze znał Szekspira, Milтона, Wordswortha, których dzieła pochłaniał w młodości. A później, jako człowiek już dojrzały i żonaty, miał zwyczaj czytywać wraz z Emmą na głos powieści. Biografowie twierdzą, że szczególnie lubił szczęśliwe zakończenia powieściowych fabuł, zwłaszcza u uwielbianego przez siebie Dickensa. Jak pokazała Gillian Beer w książce *Darwin's Plot*¹, wiele fragmentów *O pochodzeniu gatunków* to parafrazy lub wyraźne ślady inspiracji lekturami uwielbianych przez Darwina pisarzy.

Podobnie jak wszystkie składniki życia na ziemi, także literaturę musiał uznawać za efekt biologicznej ewolucji, ale śledząc jego uwagi na ten temat odnosimy wrażenie, jakby bronił sztuki przed konsekwencjami własnej teorii. W pracy *O pochodzeniu człowieka* uznawał język za jedną z podstawowych różnic, jaka dzieli człowieka i „niższe gatunki”. Sztuka była dla niego dowodem, że natura doskonali się w człowieku.

Z ewolucyjnego punktu widzenia literatura jest dyskursywną dyspozycją gatunku ludzkiego, która zwiększa nasze szanse przetrwania. Rdzeń ewolucji to przekonanie, że późniejsze formy życia pochodzą od form wcześniejszych, dzięki podstawowym mechanizmom opisanym przez Darwina: mutacjom, selekcji naturalnej i dziedziczeniu. Jest

¹G. Beer, *Darwin's Plots: Evolutionary Narrative in Darwin, George Eliot, and Nineteenth-Century Fiction*, London 1983.

to dwustopniowy proces, w którym mutacje genetyczne prowadzą do zmiany fenotypu w organizmie, a selekcja zachowuje i kumuluje te zmiany w procesie dziedziczenia. W retoryce genetyczno-informatycznej można powiedzieć, że „programy genetyczne, które zapewniają najlepsze przeżycie i największą liczbę wydanego potomstwa, utrzymują się w przyszłych pokoleniach, eliminując programy alternatywne”².

Postrzegana w tej perspektywie funkcja literatury nie polega na doskonaleniu technik reprezentacji lub ekspresji, ale jej walor sprowadzałby się do wzmacniania zdolności adaptacyjnych człowieka. A skoro nie wiadomo, jaka odmiana i funkcja języka przyda nam się z perspektywy długiego trwania, to wszelkie odmiany dyskursu sztuki są hazardem, rozrzutnością, z jaką gatunek antycypuje nieznanne warunki swego przyszłego losu. W tym kontekście, być może najbardziej radykalną powieścią o darwinizmie kulturowym w naszej literaturze jest *Próchno* Berenta, opowieść o artystach, których jedyna wartość polega na zasilaniu kulturalnej gleby, na której wzrośnie być może geniusz.

Wróćmy jednak do opowieści Darwina, stworzył on bowiem coś więcej niż teorię biologiczną, napisał mit nadbudowany na teorii, który ogarnął swoim wpływem ogromne obszary kultury. Mit kosmicznej ewolucji pozbawił nas natury jako sceny wolności jednostki i suwerennych dziejów ludzkości. W zamian, natura odzyskała człowieka. Ewolucja, czyli opowieść o prawach i dziejach natury, wciągnęła nas w swoją narrację, uczyniła człowieka i jego twory częścią własnego przedstawienia. Jeśli pisarze i krytycy używają narracji biologicznej do opisu procesów zachodzących w literaturze i życiu artystycznym, tzn., że Darwin zbudował być może najwspanialszą narrację XIX wieku. Cóż ciekawszego może opowiedzieć literatura niż dwa jego dzieła: *O pochodzeniu gatunków* i *O pochodzeniu człowieka*, zwłaszcza w XIX wieku, kiedy języki nauki i literatury jeszcze nie różnią się od siebie zasadniczo.

Sugestywność obrazów walki i śmierci gatunków, bezkresny czas zdarzeń, absolutna uniwersalność fabuły i bez wyjątku zbiorowy bohater, uczyniły z teorii ewolucji największego konkurenta powieści. Co więcej, *O pochodzeniu gatunków* było w równym stopniu narracją o faktach, co dziełem wyobraźni i do wyobraźni się odwoływało, ponieważ ewolucji nie sposób obserwować ani eksperymentalnie zademonstrować – trzeba ją sobie przedstawić. Wielowątkowa narracja Darwina, pisana często stylem Dickensa, pełna jest szczegółowych opisów, które

² K. Jodkowski, *Metodologiczne aspekty kontrowersji ewolucjonizm – kreacjonizm*, Lublin 1998, s. 25.

– podobnie jak w realizmie – nie pełnią jedynie funkcji materiału dowodowego, ale tworzą iluzję uczestnictwa w rzeczywistych zdarzeniach ewolucji – swoisty efekt naukowej realności.

Dodatkowym wzmocnieniem ekscytującej lektury był fakt, że narracja o ewolucji, jaką opowiada Darwin, nie dostarcza wiedzy o stabilnym obiekcie ani o sile, energii czy pojęciu abstrakcyjnym. Stanowi efekt obserwacji zmieniającej się relacji organizmu z otoczeniem biologicznym – dziedzicznym i aktualnym, ale obserwacji spóźnionej, dziurawej i w części uzupełnionej spekulacją, a co najważniejsze, która nigdy nie może liczyć na uchwycenie stabilnego obrazu natury.

Choć współcześni zachwycali się odkryciem „prawa życia”, to równocześnie dzięki niemu stało się jasne, że świat natury jest światem igraszki, przypadku, hazardu, inaczej mówiąc, Darwin stał się prawodawcą świata jako przymusowej gry. Jeden z utajonych czytelników Darwina, Jacques Derrida, pisał dawno już w swoim klasycznym tekście, *Struktura, znak i gra w dyskursie nauk humanistycznych*:

Istnieją zatem dwie interpretacje interpretacji, struktury, znaku, wolnej gry. Jedna dąży do rozszyfrowania, marzy o rozszyfrowaniu prawdy czy źródła, które jest wolne od wolnej gry i od reguły znaku i żyje niczym wygnaniec potrzebą interpretacji. Ta druga, która nie jest już zwrócona w stronę źródła, pochwała wolną grę i próbuje wykroczyć poza człowieka i humanizm, a nazwa człowiek jest nazwą istoty, która w całej historii metafizyki czy ontoteologii – innymi słowy w historii całej swej historii – marzyła o pełnej obecności, uspokajającej podstawie, źródle i końcu gry³.

Terytorium tej gry jest także dyskurs Darwina, który doświadczając ograniczeń swego języka ni to naukowego, ni to literackiego, dekonstruuje mimowolnie dyskurs nauki. Pisanie językiem powszechnie dostępnym dla wyedukowanego Anglika przyczyniło się do popularności książki, ale nastęrczyło wielu problemów autorowi, którym był poważny naukowiec:

1. Język jest antropocentryczny, co fałszuje obraz zdarzeń w naturze, bo ich znaczenie staje się czysto ludzkie – np. ginięcie gatunków.

2. Narracja o zdarzeniach sugeruje działania i intencje, które je wywołują, a w przyrodzie działa ślepa siła, mechanizmy selekcji i adaptacji.

3. Wbrew uwadze autora, ciągle pojawia się postać stwórcy – spadek po kreacjonizmie, efekt teologicznego wykształcenia Darwina oraz specyfiki czasów.

³<http://hamlet.pro.e-mouse.pl/kont/?id=derridaj2>, dostęp: 4.03.2010.

4. Odbiorcą miał być równocześnie naukowiec i edukowany czytelnik, stąd ciągła potrzeba równowagi między komunikatywnością a specjalizacją języka.

Darwin nie potrafił dokonać wyboru między jednorodnymi odmianami dyskursu (gatunkami języka), jakby sam znalazł się w obszarze narracyjnej transmutacji; tworzył hybrydę języków – powiastkę naukową i horror naturalistyczno-metafizyczny, co sprawiło, że współcześni mu czytelnicy – mówiąc słowami Derridy –

odwracają wzrok na widok tego, co jak dotąd nie jest możliwe do nazwania, a co ogłasza swoje istnienie i co może tak czynić, ponieważ jest to konieczne zawsze, gdy narodziny są bliskie, tyle że w postaci bezgatunkowego gatunku, w bezkształtnej, niemej, raczkującej i przerażającej formie potworka⁴.

Powieść, jak pokazał to w bezprecedensowej ciągłej na polskim gruncie książce Krzysztof Kłosiński, jest rozpięta między literaturą i nauką⁵. Nie chcąc spaść do podrzędnej roli popularyzatorki wiedzy, gra z nią w złej wierze. Afirmuje i adaptuje jej twierdzenia, jednak chcąc uzasadnić swoją funkcję, musi zakwestionować wyłączną obiektywność prawd naukowych i uzasadnić użyteczność prawdy zmyślenia.

Problem, przed którym stanęła powieść realistyczna po Darwinie wyrastał m.in. z pytania: kto ma większe prawo opowiedzieć historię człowieka, narracje ewolucjonistyczne czy narracje literackie? Która modalność ma być ramą, co pomieści wszystko?

Pierwsze pokolenie dotknięte piętnem darwinizmu zareagowało rozmaicie i niejednoznacznie. Orzeszkowa, ulegając początkowo determinizmowi, ujmuje siebie i swoją twórczość w alegorię roślinną. „Talent wszelki wzrasta wśród społeczności jak kłos wśród ziemi kęsa. Ziemia mu matką; z jej wewnętrznych, żywotnych soków bierze istnienie”⁶. Mądrość pisarza lub inaczej jego adaptacyjny instynkt polega na rozpoznaniu zmiany i dostosowaniu się do niej. „Biada zaś piszącemu, który nie zrozumie swojej chwili (...) – dzieła zacofanego autora okryje anatema lub, co najmniej, zapomnienie”⁷.

Niech nas nie zwiedzie skromność tej alegorii. Trzynaście lat później, pisząc o powieściach Jeża, zmieni retorykę i inaczej określi czynniki

⁴Tamże.

⁵K. Kłosiński, „*Mimesis*” w *chłopskich powieściach Orzeszkowej*, Katowice 1990.

⁶E. Orzeszkowa, *Kilka uwag nad powieścią* (1866), [w:] *Programy i dyskusje literackie okresu pozytywizmu*, oprac. J. Kulczycka-Saloni, Wrocław 1985, s. 21.

⁷Tamże.

determinujące powstawanie literatury. Odrzuca pokorne trwanie powieści w cieniu nauki, w jej dziale „mającym za zadanie popularyzować wiedzę, przedstawiać i tłumaczyć ją ogółowi w najprzystępniejszy dla niego sposób”⁸. Domaga się większej autonomii i pisze o tym językiem podboju:

Posiadać i zdobyć. Na dwa te wyrazy położmy nacisk wyraźny. Posiadanie odnosi się tu do przyrodzonego talentu; zdobywanie – do wszystkiego, co człowiek sam ku pożytkowi talentu swego uczyni⁹.

Zdecydowanie inny ton – to już retoryka „czerwonych zębów i pazurów”. Zdobyć na kim? Na konkurencie pisarzu? Oczywiście też, choć w społeczeństwie zniewolonym zaborami pozytywści propagowali raczej kooperacyjny model ewolucjonizmu, czyli walkę o byt ogólnospołeczny, niż jednostkowy egoizm. Sama Orzeszkowa tłumiała objawy swej niechęci do Sienkiewicza doceniając integrujący walor jego powieści historycznych. Właściwym konkurentem pisarza są dyskursy nieliterackie, z nauką na czele. Nie waha się więc podkreślać przewagi, jaką ma literatura nad nauką, ta pierwsza bowiem odpowiada „istniejącym w człowieku wiecznie i jednocześnie: pragnieniu wrażeń i pożądaniu wiedzy”¹⁰. „Pragnienie” i „pożądanie” ożywiają dyskurs literacki, który tkwi w symbiotycznym związku z biologicznymi popędami jej czytelników. No, trochę przesadziłem rysując tak agresywny wizerunek jej konfliktu z nauką. Nie była „buldogiem Darwina” – odpowiadał jej raczej złagodzony ewolucjonizm Hipolita Taine’a. Pisarz winien być uważnym ogrodnikiem swego talentu, który jest przypadkowym i niezasłużonym owocem środowiska biologiczno-kulturowego.

Sienkiewicz, jej największy konkurent, wybrał – jak to miał w zwyczaju – ucieczkę w tył i Darwinowi przeciwstawił Cuviera. Tu potrzebna jest dygresja.

Gdy Darwin w październiku 1831 roku wsiadał w Plymouth na statek „Beagle” i przebywał w podróży ponad 5 lat, niepodzielnym władcą wyobraźni Europejczyków na temat prehistorii był Georges Cuvier. W 1796 roku podczas wykładu w Institute de France mówił o odnalezionych na Syberii szczątkach mamutów i twierdził, że to gatunek odmienny od jakiegokolwiek istniejącego i całkowicie wymarły. Cuvier był przekonujący, sugestywny i obrazowy. Jak pisze Sven Lindqvist:

⁸E. Orzeszkowa, *O powieściach T. T. Jeża (1879)*, [w:] *Programy i dyskusje literackie okresu pozytywizmu*, dz. cyt., s. 311–312.

⁹Tamże, s. 317.

¹⁰Tamże, s. 312.

Jego wymarłe gatunki nie zostały zgubione ani nie zaginęły. To były *êtres détruits*, istoty, które unicestwiono, które poniosły śmierć, zostały zamordowane, nie pojedynczo, lecz masowo, w potężnych, wiele razy powtarzanych kataklizmach¹¹.

W polskim przekładzie z 1853 roku odpowiada temu następujący fragment:

Kula ziemiska wszędzie przedstawia dowody mnogich przewrotów. Szczątki organiczne pogrzebione w jej warstwach, noszą na sobie widoczne cechy różnych epok. Podług większego lub mniejszego oddalenia formacji od powierzchni ziemi czyli podług ich wieku, znajduwane w nich szczątki organiczne, należą do rozmaitych gatunków i mniej lub więcej są uszkodzone. (...) Można by nawet wątpić czy istniał wtędy człowiek, nie znaleziono bowiem dotąd żadnych szczątków ludzkich w prawidłowych warstwach ziemi¹².

Cuvier nie poprzestawał na opisie przeszłości natury. Prawo katastrof rozciągał na współczesne i przyszłe pokolenia, a wiarygodności jego słowom dodawała świeża pamięć o Rewolucji Francuskiej. W rozprawie *Discours sur les révolutions de la surface du globe* przestrzegał:

Ale te krainy dziś zamieszkałe, które ostatnia rewolucja spustoszyła, miały już przedtem swoich mieszkańców, jeśli nie ludzi, to przynajmniej zwierzęta¹³.

Cuvier był kracjonistą przekonanym o niezmienności gatunków, ale jego wizja katastrof była dla wielu bardziej przekonująca niż twierdzenia pre-ewolucjonistów. Charles Lyell, autor najistotniejszego dla Darwina (obok *Prawa ludności* Malthusa) dzieła: *Zasady geologii* (1832), znał osobiście Cuviera i rozumiał doskonale jego analogie przyrody i cywilizacji. Dzielił z nim przekonanie, że przyczyną wymierania gatunków był brak elastyczności w dopasowywaniu się do zmian. „Lyell obserwował te zjawiska na rynku w czasie rewolucji industrialnej; teraz dostrzegał te same procesy w przyrodzie”¹⁴. Cuvier nie doczeka

¹¹S. Lindqvist, *Wytepić cale to bydło*, przekł. M. Haykowska, Warszawa 2009, s. 135–136.

¹²*Historia nauk przyrodniczych podług ustnego wykładu Jerzego Kiuwiera*, ułożona i uzupełniona przez Madelen de St.-Azy, t. I–V; na język polski [z fr.] przełożyli i dodatkami do piśmiennictwa polskiego odnoszącymi się wzbogacili Gustaw Belke i Aleksander Kremer, Wilno 1853–1855, t. I, s. 9.

¹³G. Cuvier, *Discours sur les révolutions de la surface du globe, et sur les changemens qu'elles ont produits dans le règne animal*, 3rd edn 1825, http://www.victorianweb.org/science/science_texts/cuvier/cuvier-f.htm, dostęp: 04.03.2010.

¹⁴S. Lindqvist, *Wytepić cale to bydło*, dz. cyt., s. 142.

powrotu Darwina, umrze rok później, w 1832 r., ale jego wpływ wcale nie zniknął po opublikowaniu *O pochodzeniu gatunków*.

W wygłoszonym 9 kwietnia 1889 roku w Krakowie odczycie *O powieści historycznej* Sienkiewicz porówna siebie właśnie do Cuviera, choć dla jego pokolenia lekturą zdecydowanie ważniejszą była praca Darwina.

Cuvier powiedział w swoim czasie: „Dajcie mi ząb zaginionego zwierzęcia, a ja potrafię odtworzyć jego całokształt”. Więc ze szczątków, z podobnych do cieniów odcisków w pokładach kredowych można odbudować ciało, a z zapisanych na pomnikach myśli i uczuć nie można odtworzyć duszy ludzkiej?¹⁵

Powieść inspirowana nauką wcale nie chce na niej poprzestać, ale deklaruje wprost potrzebę przekroczenia granic faktu.

Zwłaszcza – pisze Sienkiewicz – jeżeli jesteś przy tym poetą, jeśli wyobraźnia twoja stawia ci natychmiast przed oczy obrazy, a ty je widzisz tak dobrze, jakby nie w twojej duszy, ale na zewnątrz siebie powstały. Ta wyobraźnia poetycka, plastyczna, w połączeniu z Cuvierowskim darem analogicznego odtwarzania będzie cię wiodła ze względną pewnością nawet przez takie czasy, które nie zostały po sobie tyłu świadectw¹⁶.

Dlaczego Sienkiewicz wybrał Cuviera przeciw Darwinowi? Bo jego model, choć straszny, był jednak światopoglądowo łatwiej akceptowalny. Przeszłość jawiła się ciągiem katastrof, ale dzięki temu nie miała konsekwencji; nie jesteśmy jej skutkiem, ale nowym światem – autonomicznym, samodzielnym. Przeszłość jest naszym wyborem, lub przynajmniej nowym otwarciem, a nie koniecznością kontynuacji.

¹⁵ H. Sienkiewicz, *Szkieł literackie I*, [w:] *Dzieła. Wydanie zbiorowe*, pod red. J. Krzyżanowskiego, t. XLV, Warszawa 1951, s. 113.

¹⁶ Tamże, s. 114. Warto zauważyć, że Sienkiewicz kopiuje tu Taine'a, który twierdzi, że przy pisaniu historii „największym staraniem naszym powinno być zastąpienie, o ile podobna, przez wiedzę i wyobraźnię, spostrzegania naocznego, osobistego i bezpośredniego, które nie jest już nam dostępnym; bo tylko takie spostrzeganie jest drogą, na której możemy poznać człowieka. Ażeby wydać sąd o rzeczy, trzeba, aby ona była obecną; niepodobna czynić doświadczeń nad przedmiotami nieobecnymi: usiłujmy więc uobecnić sobie przeszłość. Zapewne, odbudowanie takie ani doskonałym być, ani sądów doskonałych dostarczać nie może; ale z tym trzeba się już pogodzić, w przekonaniu, że lepszą jest wiedza niezupełna niż żadna lub błędna, i że niepodobna zbadać mniej więcej czynów dawnych, nie *widząc* mniej więcej dawnych ludzi. Takim jest pierwszy krok w nauce historii. Europa dokonała go w porze odrodzenia wyobraźni, u końca zeszłego stulecia, przez Lessinga i Walter-Scotta; nieco później dokonali go we Francji Chateaubriand, August Thierry, Michelet i wielu innych” (H. A. Taine, *Historia literatury angielskiej*, przekład Elizy Orzeszkowej, cz. I, Warszawa 1900, s. 8-9).

Poza tym, tak pomyślana przeszłość daje się rekonstruować, jest skończona, jak napisany tekst, któremu brakuje fragmentów, ale można je odtworzyć. Szczątki przeszłości mają w sobie zakodowaną pamięć o nieobecnej całości. Wystarczy mieć *mathesis*, wielką infrastrukturalną narrację, aby w jej obrębie logicznie zrekonstruować narracje szczególne¹⁷. Powieść historyczna reprezentuje organiczny ład przeszłości lepiej niż historiografia, gdyż ta jest spętana przymusem ograniczenia się do faktów, podczas gdy tu potrzeba wyobraźni. Pisanie powieści jest w tym kontekście rewolucją na wspak, wskrzeszeniem wymarłego gatunku. I tu widać, dlaczego koncepcja Cuviera nadawała się lepiej na alegorię twórczości. Ewolucja na wspak prowadzi do coraz prostszych organizmów, tymczasem Cuvier mówił o katastrofie społeczności skończonych, już niezmiennych.

Sienkiewicz nie był pierwszym pisarzem olśnionym analogią sztuki z paleontologią Cuvierowską. Pierwsza powieść, która na serio podejmuje i zmagą się z dziewiętnastowieczną nauką o przyrodzie, to *Jaszczur* Balzaca, utwór o zużywaniu się życia. Niemal na początku powieści Rafael – niedoszły samobójca – odwiedza wspaniały magazyn starożytności, w którym przedmioty tworzą rupieciarnię synekdoch, płataninę historycznych artefaktów, które zdają się błagać o łaskę Cuvierowskiej rekonstrukcji. Nie dziwi więc, że narrator zostawia bohatera oczekującego na właściciela antykwariatu i zwraca się do czytelnika w obszernej dygresji:

Czy zanurzyliście się kiedy w bezmiar przestrzeni i czasu czytając geologię Cuviera? Porwani jego geniuszem, czy szybowaliście nad bezkresną otchłanią przeszłości, podtrzymywani ręką czarodzieja? Odkrywając, warstwa po warstwie, pokład po pokładzie, pod łomami Montmartre lub pod krzesanicami Uralu zwierzęta, których skamienieline należą do przedpotopowych cywilizacji, dusza wzdryga się dostrzegając miliardy lat, miliony narodów, których słaba pamięć ludzka, których niszczycielska tradycja boska zapomniały i których popioły na powierzchni naszego globu tworzą owe dwie stopy ziemi dające nam chleb i kwiaty. Czy Cuvier nie jest największym poetą naszego wieku? (...) Jest poetą w swoich cyfrach, jest wzniosły stawiając zero obok siódemki. Ożywia

¹⁷ „- Człowiek idealnie rozumujący – powiedział z jednego, zasadniczego dla sprawy faktu wysnuje nie tylko cały łańcuch przyczyn, ale i przepowie wszystkie skutki. Cuvier potrafił na podstawie jednej jedynej kości, drogą logicznego rozumowania, opisać całe zwierzę. Podobnie skrupulatny badacz, który uchwyci jedno ogniwo w splocie wypadków, powinien umieć ściśle określić wszystkie poprzednie i następne” (A. Conan Doyle, *Pięć pestek pomarańczy*, [w:] *Przygody detektywa Sherlocka Holmesa*, przekł. T. Evert, Wrocław 1991, s. 99).

nicość bez czarodziejskich zaklęć; bada kruszynę gipsu, dostrzega w niej odcisk i krzyczy: „Patrzcie!” naraz marmury animalizują się, śmierć się ożywia, świat roztacza się przed nami! Po niezliczonych dynastiach gigantycznych zwierząt, po pokoleniach ryb i klanach mięczaków przybywa wreszcie rodzaj ludzki, zwyrodniały produkt wspaniałego typu, zniszczonego może przez Stwórcę. Rozgrzani jego ogarniającym przeszłość spojrzeniem, ci wątli ludzie, zrodzeni ledwie wczoraj, mogą przebyć chaos, wznieść hymn bez końca i wyobrazić sobie przeszłość świata w jakiejś wstecznej Apokalipsie. W obliczu tego przeraźliwego zmartwychwstania od głosu jednego człowieka ta okruszyna użyczona nam w bezkresie bez nazwy (...), który nazywamy czasem, ta minuta życia budzi w nas politowanie. Przygnieceni ruinami tyłu światów, pytamy sami siebie, co są nasze sławy, nasze nienawiści, nasze miłości i czy warto znieść móżól życia, aby się stać w przyszłości niewymiernym punktem?¹⁸

Styl tego obszernego fragmentu zdaje się odgrywać jakiś mistyczny spazm i nagle, w jego kulminacji, Balzac wstawia morderczą pointę:

Oderwani od terażniejszości, popadamy w martwość aż do chwili, w której wejdzie nasz służący i oznajmi: „Pani hrabina powiedziała, że oczekuje pana”¹⁹.

Co znaczy ta szydercza degradacja? Wskazanie, że nauka, czyli opowieść o wiedzy, pozostaje bez konsekwencji dla życia? Nie spieszymy się z odpowiedzią, Balzac ma bowiem polskiego kontynuatora tej sztubackiej retoryki.

Wśród wielkiej trójki polskich XIX-wiecznych fabularyzatorów teorii ewolucji Prus jest najbardziej, irytująco wręcz, niejednoznaczny. Reprezentuje chytryść kryptoromantycznego realisty, który kompromituje przeciwnika, aby ukradkiem korzystać z jego argumentów. Tekst *Lalki* roi się od darwinowskich tropów wiodących nas do ironicznej utopii Paryża, urbanistycznego panoptikum napisanego według projektu socjodarwinisty.

Zatem wielkie miasto, jak roślina i zwierzę, ma właściwą sobie anatomię i fizjologię. Zatem – praca milionów ludzi, którzy tak głośno krzyczą o swojej wolnej woli, wydaje te same skutki, co praca pszczół budujących regularne plastry, mrówek wnoszących ostrokężne kopce albo związków chemicznych układających się w regularne kryształy. Nie ma więc w społeczeństwie przypadku, ale nieugięte prawo, które jakby na ironię z ludzkiej pychy, tak wyraźnie objawia się w życiu najkapryśniejszego

¹⁸ H. Balzac, *Jaszczur*, przekł. T. Żeleński-Boy, Warszawa 1964, s. 28–29.

¹⁹ Tamże, s. 29.

narodu, Francuzów! Rządzili nimi Merowingowie i Karlowingowie, Burboni i Bonapartowie, były trzy republiki i parę anarchii, była inkwizycja i ateizm, rządcy i ministrowie zmieniali się jak krój sukien albo obłoki na niebie... Lecz pomimo tylu zmian, tak na pozór głębokich, Paryż coraz dokładniej przybierał formę półmiska rozdartego przez Sekwanę; coraz wyraźniej rysowała się na nim oś krystalizacji, biegnąca z placu Bastylli do Łuku Gwiazdy, coraz jaśniej odgraniczały się dzielnice: uczona i przemysłowa, rodowa i handlowa, wojskowa i dorobkiewiczowska²⁰.

Podległy niewzruszonemu prawu naturalnego rozwoju Paryż wymusza podobnie konstruktywny fatalizm na współczesnych jego mieszkańcach. Wokulski podziwiał selektywną siłę, która eliminuje nieudolnych:

A cóż oni robią?... Przede wszystkim – nadzwyczajnie pracują, po szesnaście godzin na dobę, bez względu na niedzielę i święta. Dzięki czemu spełnia się tu prawo doboru, wedle którego tylko najsilniejsi mają prawo do życia. Chorowity zginie tu przed upływem roku, nieudolny w ciągu kilku lat, a zostają tylko najsilniejsi i najzdolniejsi. Ci zaś dzięki pracy całych pokoleń takich jak oni bojowników znajdują tu zaspokojenie wszelkich potrzeb²¹.

Fascynacja Wokulskiego kończy się rozczarowaniem, a ruina darwiniowskiej architektury dokonuje się ściśle wg balzakowskiego scenariusza. I choć przez pewien czas „jasno zarysował mu się projekt niewracania do kraju”²², wiemy, że wróci, a powodem będzie list od prezesowej, który kończy się słowami: „nie ociągaj się więc z przeprosinami i jak najrychlej przyjeżdżaj prosto do mnie. Bela zabawi tu jeszcze kilka dni i może uda mi się wyjednać ci przebaczenie...”²³.

Jak u Balzaca – mistyczne zawieszenie myśli odurzonej socjodarwiniowską narracją przerywa głos pani, która wzywa pana.

Wokulski zerwał się od stołu, otworzył okno i postawił w nim chwilę przeczytał drugi raz list prezesowej; oczy zaiskrzyły mu się, na twarz wystąpiły wypieki. Zadzwoił raz, drugi, trzeci... Wreszcie sam wybiegł na korytarz wołając:

- Garson!.. Hej, garson!..
- Do usług...
- Rachunek.

²⁰ B. Prus, *Lalka*, [w:] *Pisma wybrane*, t. IV, Warszawa 1990, s. 437.

²¹ Tamże, s. 440.

²² Tamże, s. 442.

²³ Tamże, s. 470.

- Jaki?..
- Cały rachunek za ostatnie pięć dni... Cały, nie rozumiesz?...
- Czy zaraz?... - zdziwił się garson.
- Natychmiast i... powóz na dworzec kolei północnej... Natychmiast!²⁴

Zakończenie obu epizodów jest ostentacyjnym zlekceważeniem nauki przez czystą literaturę, przez XVIII-wieczny synonim powieści, czyli romans. Trudno o większe upokorzenie nauki. W wojnie dyskursów o przetrwanie powieść rozpięta między literaturą a nauką udaje podziw i afirmację dla syntetycznej narracji biologiczno-kulturowej, ale tylko na pozór, bo w istocie lekceważy ją, nie siląc się nawet na uzasadnienie lub polemikę.

To jednak nie ignorancja. Lekceważenie nie jest też doktrynalne, ale egzystencjalne. Literatura jest po stronie życia przeciw nauce. Wyraził to genialnie Gombrowicz w *Dzienniku*:

Trudno i darmo. Nie da się. Jest niepodobieństwem podjąć wszystkie wymogi Dasein'u a zarazem pić kawę z rogalikami na podwieczorek. Łękać się nicości, ale bardziej bać się dentysty²⁵.

Kiedy mówicie mi egzystencjaliści, o świadomości, lęku i nicości, wybucham śmiechem nie dlatego abym się z wami nie zgadzał, lecz dlatego, że z wami muszę się zgodzić. Zgodziłem się i oto – nic się nie stało. Zgodziłem się, ale nic we mnie nie zmieniło się ani o jotę. Świadomość, którą zastrzyknęliście memu życiu weszła mi w krew, ona momentalnie stała się życiem i teraz trzęsie mną w podrygach chichotu prastary triumf żywiołu²⁶.

Literatura poważniej niż filozofia zmierzyła się z opowieścią Darwinowską. Wykryła w niej nie ład i niewzruszone prawo, ale bezcelowy ciąg zmian czy mówiąc słowami Goulda: „nieprzewidywalność, niepowtarzalność, chaotyczność i losowość procesu ewolucyjnego”²⁷. To mimo wszystko tylko teoria, naukowa opowieść o życiu naturalnym, a nie życie samo. Jest tekstem, a teksty nie mają natury; największą ich powagę można więc zlekceważyć w imię banalności zwykłego życia.

Realści XIX wieku, pełni atencji wobec wiedzy, nie zakwestionowali wiarygodności teorii Darwina, odmówili jej natomiast pozycji meganarracji i chytrze wprowadzili w obręb własnych utworów. Stała się

²⁴ Tamże.

²⁵ W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1956*, [w:] *Dzieła*, t. VII, Kraków 1986, s. 290.

²⁶ Tamże, s. 293.

²⁷ Cyt. za: K. Jodkowski, *Metodologiczne aspekty...*, dz. cyt., s. 29.

w ten sposób jedną z wielu opowieści o człowieku, bo obrazy „nas samych, jakich dostarczają nam *Naturwissenschaften* [można] postawić na równi z tymi, które są dziełem poetów, powieściopisarzy, psychologów głębi, rzeźbiarzy, antropologów i mistyków. Choć nauka odznacza się (w tej chwili) większą spójnością niż reszta kultury, nie znaczy to, iż owe naukowe przedstawienia są uprzywilejowane. Są one tylko częścią całej galerii autoportretów, która jest do naszej dyspozycji”²⁸.

Cóż, radykalny ewolucjonista powiedziałby, że sztuczki narracyjne realistów to tylko dowód na adekwatność ewolucjonistycznej reprezentacji, potwierdza bowiem walkę odmian dyskursu o przetrwanie w zmieniającym się środowisku kultury.

Da capo.

Ryszard Koziółek

Biology of Literature

The text discusses the infighting of literature and natural sciences in the 19th century, which came about as a result of the theory of evolution. Probably, Darwin created the greatest narrative of the 19th century. What can literature say that would be more interesting than two of Darwin's works: *On the Origins of Species* and *The Descent of Man*?

The images of fight and death of species, infinite time perspective of events, a total universality of the plot and a collective character, turned the theory of evolution into the biggest competitor of a novel. Darwin's multithreaded narrative, quite often written in Dickens's style, resembles a novel but exceeds it through the factuality of science. How did novel react to such an unexpected rival?

²⁸ R. Rorty, *Filozofia a zwierciadło natury*, przekł. M. Szczubińska, Warszawa 1994, s. 321–322.

Sylvia Karpowicz-Słowikowska
Uniwersytet Gdański

Mesjasz czy Antychryst? Bolesława Prusa czytanie Darwina

Po śmierci Darwina w roku 1882 Aleksander Świętochowski w poświęconym między innymi angielskiemu przyrodnikowi felietonie skonstratował: „Chociaż niezmordowanie sypano u nas groble dla zata-mowania potoków darwinizmu, przedostały się one do naszej literatury tak obficie, że nie umiałbym nawet w przybliżeniu powiedzieć, ile wień-ców umysłowość polska na mogiłę tego genialnego badacza ponieść winna”¹. Opinia publicysty jest bezsprzecznie słuszna. Pytania przez nas postawione brzmią: „ile” oraz „co” zawdzięcza „ojcu ewolucji” Bolesław Prus?

Początek zainteresowania przyszłego pisarza poglądami Karola Darwina datuje się prawdopodobnie na lata gimnazjalne oraz licealne. Był to w życiu Aleksandra Głowackiego okres edukacyjnie niezwykle intensywny. Obok prac z zakresu ekonomii, statystyki, psychologii, przyrodznawstwa, mechaniki, matematyki pochłaniały go: „kwestia jedności sił, pochodzenia naszych pojęć, istoty pamięci, pojęcie Bóstwa, reformy etyki, nieśmiertelności duszy, roli szlachty w naszej historii i teorii Malthusa, ścisłości prawideł logicznych, których (...) (w szóstej klasie) według Beneckiego nauczał prof. Anielewski”².

¹ A. Świętochowski, *Liberum veto*, „Prawda”, nr 17 z 29 (17) kwietnia 1882, [w:] tegoż, *Liberum veto*, t. 1, wyboru dokonał i wstępem opatrzył S. Sandler, komentarze oprac. M. Brykalska, Warszawa 1976, s. 275–276.

² J. Ochorowicz, *Przed trzydziestu laty*, [w:] *Wspomnienia o Bolesławie Prusie*, zebrał i oprac. S. Fita, Warszawa 1962, s. 26.

Pierwszy udokumentowany kontakt Prusa z teoriami angielskiego naukowca miał miejsce przy okazji recenzowania w roku 1873 na łamach „Opiekuna Domowego” (w numerze 20 z dnia 14 maja)³, wydanej w tym samym roku w Warszawie⁴, książki Bronisława Rejchmana [Reichmana] *Teoria Darwina i hipotezy Haeckla w treściwym zarysie. Rzut oka na kwestię pochodzenia gatunków*.

Dla Prusa i jego kolegów prace Darwina miały smak owocu zakazanego. W tamtym czasie lektury spod znaku Comte’a, Milla czy Darwina właśnie, działały – jak twierdzono – demoralizująco. Prus dostrzegał i komentował skrajności, jakie ujawniały się w opiniach uznających „Darwina, Comte’a, Spencera itd. (...) za mesjaszów, (...) [lub] za antychrystów” (1874)⁵. Atmosferę tego czasu odtwarzał po latach we wspomnieniach związanych z początkami pracy dziennikarskiej: „(...) nie było miesiąca, ażeby redakcja nie robiła mi dopisków i nie wykreślała ustępów, a nie było kwartału, ażeby nie wyrzucano mi całych *Kronik*. Lata walki upłynęły, zanim pozwolono mi swobodnie wymieniać nazwiska: Darwin, Comte albo wygłaszać zdania niezbyt licujące z konserwatywnym kierunkiem pisma” (1890)⁶. W roku 1894 pisał w kronice: „Oto jest nauka dla naszych konserwatystów, których oburza każda nowość: czy ona nazywa się pozytywizmem czy darwinizmem, symbo-

³ Inf. za: *Bolesław Prus 1847–1912. Kalendarz życia i twórczości*, oprac. K. Tokarzówna, S. Fita, pod red. Z. Szweykowskiego, Warszawa 1969, s. 113.

⁴ Rejchman był autorem następujących aprobatywnych dla Darwina publikacji (wykaz podaje za: *Filozofia i myśl społeczna w latach 1865–1895*, cz. 1, dz. cyt., s. 440, tu również fragmenty artykułu *Teoria Darwina w stosunku do nauki i życia*, s. 440–451); *Pangenezis Darwina*, „Przegląd Tygodniowy”, 1871; *Teoria Darwina rozwinięta przez Haeckla*, „Przyroda i Przemysł”, 1872, 1873; *Teoria Darwina w stosunku do nauki i życia. Szkic ogólny*, „Ateneum”, 1882; przelożył na j. polski broszurę Ludwika Büchnera *Teoria Darwina*, Warszawa 1869, art. *Teoria Darwina w literaturze polskiej*, „Ateneum”, 1882, t. 3).

Warto wspomnieć, iż Prus spotkał się z B. Rejchmanem w Warszawskiej Spółce Nakładowej, która została założona w lutym 1884 roku w celu „wydawania książek i broszur oryginalnych i tłumaczonych z poczytnych i popularnych dziedzin wiedzy”. Obok Prusa, Rejchmana w jej skład wchodził P. Chmielowski, J. W. Dawid, S. Dickstein, S. Kramsztyk, L. Méyet, W. Smoleński, F. Sulimierski, A. Świętochowski (zob.: *Bolesław Prus 1847–1912...*, s. 322).

⁵ B. Prus, *Sprawy bieżące*, „Niwa” t. 6, nr 5 z 1 września 1874, [w:] tegoż, *Kroniki*, t. 1, cz. 2, s. 51. Wszystkie cytaty z *Kronik* opieram na 20-tomowej edycji w oprac. Z. Szweykowskiego (Warszawa 1953–1970). Dla większej czytelności stosować będę zapis skrótowy, np.: (K 1,2; 51) – gdzie „K” oznacza słowo: *Kroniki*, cyfra (-y) przed średnikiem – numer tomu, cyfry po średniku – strony.

⁶ B. Prus, *Słowo o krytyce pozytywnej*, dz. cyt., s. 181. Podobnie: B. Prus, *Kronika tygodniowa*, „Kurier Codzienny”, nr 145 z 27 maja 1888 (K 11; 142).

lizmem czy spirytyzmem, a choćby – kwestią cukrową”⁷. W *Małym uzupełnieniu dużej „Książki Jubileuszowej”* (1896) znów przypominał: „Comte, Mill, Darwin, »Przegląd Tygodniowy« i jego współpracownicy – były to osoby i pisma, za które najwięcej zapłaciłem »Kurierowi...« kar pieniędzy!”⁸.

W swoim prywatnym księgozbiorniku posiadał Prus z pewnością dwie prace zawierające wykład poglądów „ojca ewolucji”, mianowicie: Karola Darwina *Wyraszenie uczuć u człowieka i zwierząt...*, przekład dokonany przez Konrada Dobrskiego (Warszawa 1873) oraz Adolfa de Armanda Quatrefagesa *Karol Darwin i jego poprzednicy. Studium nad teorią przeobrażeń...* w przekładzie Juliana Ochorowicza (Warszawa 1873)⁹. Czy miał więcej podobnych książek – dziś trudno już stwierdzić.

W publicystyce Prusa aż trzydzieści razy pojawia się nazwisko Darwina, ale nie zawsze w formie wzmianek o doniosłym znaczeniu, czasem są to tylko ironiczne uwagi, choć pisarz czuje się powołany – szczególnie wobec swoich gimnazjalnych kolegów – do rzetelnej oceny myśli Darwinowskiej¹⁰. Bywało nazwisko przyrodnika w publicystyce Prusa używane z intencją humorystyczną – dla ukazania dystansu, z jakim au-

⁷ *Kronika tygodniowa*, „Kurier Codzienny”, nr 124 z 6 maja 1894 (K 14; 100–101). Podobnie: *Kronika tygodniowa*, „Kurier Codzienny”, nr 177 z 29 czerwca 1889 (K 12; 51).

⁸ B. Prus, *Pisma*, t. 29, dz. cyt., s. 221.

⁹ Inf. za: H. Ilmurzyńska i A. Stepnowska, *Księgozbiór Bolesława Prusa*, pod red. Z. Szweykowskiego, Warszawa 1965, s. 67 i 123.

¹⁰ Liczba trzydziestu wzmianek na temat Darwina opiera się wyłącznie o *Kroniki*. Są to: „Kolce”, nr 82 z 21 lutego 1874 (K 1, 1; 27); „Kolce”, nr 17 z 25 kwietnia 1874 (K 1, 1; 69); „Niwa” t. 6, nr 5 z 1 września 1874 (K 1, 2; s. 51); „Niwa” t. 9, nr 27 z 1 lutego 1876 (K 1, 2; 285, 290); „Kurier Warszawski”, nr 70 i 71 z 31 marca i 1 kwietnia 1875 (K 2; 18, 25); „Kurier Warszawski”, nr 84 z 19 kwietnia 1875 (K 2; 30–31); „Kurier Warszawski”, nr 90 z 26 kwietnia 1875 (K 2; 34); „Kurier Warszawski”, nr 140 i 141 z 30 czerwca i 1 lipca 1875 (K 2; 102); „Kurier Warszawski”, nr 153 i 154 z 15 i 16 lipca 1875 (K 2; 128); „Kurier Warszawski”, nr 284 i 285 z 23 i 24 grudnia 1875 (K 2; 238); „Nowiny”, nr 15 z 13 marca 1878 (K 3; 300); „Kurier Warszawski”, nr 31 z 8 lutego 1879 (K 4; 27); „Kurier Warszawski”, nr 62 z 18 marca 1882 (K 5; 270); „Kurier Warszawski”, nr 317 b z 16 listopada 1885 (K 8; 211); „Kurier Warszawski”, nr 155 z 6 czerwca 1886 (K 9; 153); „Kurier Warszawski”, nr 280 z 10 października 1886 (K 9; 222); „Kurier Codzienny”, nr 145 z 27 maja 1888 (K 11; 142); „Kurier Codzienny”, nr 177 z 29 czerwca 1889 (K 12; 51); „Kurier Codzienny”, nr 311 z 10 listopada 1889 (K 12; 85); „Kurier Codzienny”, nr 358 z 29 grudnia 1889 (K 12; 111); „Kurier Codzienny”, nr 156 z 8 czerwca 1890 (K 12; 240); „Kurier Codzienny”, nr 15 z 15 stycznia 1891 (K 13; 13, 15); „Kurier Codzienny”, nr 125 z 7 maja 1893 (K 13; 318); „Kurier Codzienny”, nr 201 z 23 lipca 1893 (K 13; 372); „Kurier Codzienny”, nr 137 z 20 maja 1894 (K 14; 118); „Kurier Codzienny”, nr 29 z 29 stycznia 1899 (K 16, 42); „Tygodnik Ilustrowany”, nr 46 z 16 listopada 1907 (K 19; 188, 190); „Tygodnik Ilustrowany”, nr 49 z 7 grudnia 1907 (K 19; 206); „Tygodnik Ilustrowany”, nr 8 z 19 lutego 1910 (K 20; 223); „Tygodnik Ilustrowany”, nr 8 z 25 lutego 1911 (K 20; 356).

tor *Spraw bieżących, Na czasie, Kronik tygodniowych* traktował aktualną recepcję poglądów badacza¹¹. Pisał więc z kpiną o wędlinach jako o „zwłokach swych przodków w Darwinie [przerobionych] na tłuste kiełbasy”¹², o zwierzętach, jako „naszych starszych braciach w Darwinie”¹³.

Dla zdyskredytowania fanatycznych antagonistów Darwina, przypisujących mu wpływ na wszelkie dziedziny życia – w typowym dla siebie lekkim tonie, „obwiniał” go w roku 1875 o wpływ na damską garderobę, jednocześnie dyskontując aktualność jego poglądów. Pisał więc:

Długi ogon wprawdzie dla znających teorie komentatorów nieszczęśliwego Darwina może być symbolem postępu i radykalizmu, dziś jednak wydaje się anachronizmem, choćby dlatego, że cesarsko-niemieckie demokratki i komunistki nie za pomocą ogonów, ale za pomocą czerwonych krawatów wyróżniają się od niepostępowych kobiet¹⁴.

Można odnieść wrażenie, że w latach 70. młody publicysta mianował się adwokatem Darwina, walczącym nawet nie o uznanie słuszności poglądów „ojca ewolucji”, lecz – przeciwko ferowaniu pochopnych opinii nie popartych merytorycznym rozpoznaniem, przeciwko szerzeniu zabobonów, hamowaniu postępu. Takim go widzimy, gdy w 1875 roku z kart kronik wołał:

Dla Lublina stałość gatunków już jest dowiedzioną: lublinianie tylko od lublinian pochodzą, w Lublinie się chowają, w siebie tylko wierzą,

¹¹ Ironiczne rozliczenie z powstałymi często w efekcie kultuństwa i zacofania opiniami na temat teorii powstawania gatunków czynił w fikcyjnym liście bernardyna Kleofasa, odnosząc się prawdopodobnie w sposób aluzyjny do nieprzychylnych sądów formułowanych w kręgach duchowieństwa niższego i wyższego szczebla: „(...) powiem ci” – pisał ów zakonnik – „co trzymam o Darwinie, którego kacerstwo już i do moich uszu dobiegło. Otóż, Panie mój, człek ten (zapewne na wiek wieków zgubiony) nic nowego nie powiedział donosząc wam o nieustannej przemianie zwierząt i roślin, a nawet podobno i kamieni. Cała więc jego herezja mieści się nie w samej rzeczy, ale w opacnym i niechrześcijańskim jej tłumaczeniu. Bo zastanów się. Alboż to darwinowski wynalazek, że już od Adama i Ewy kapusta robi się kapuśniakiem, a burak barszczem? Albo to i ojcowie nasi już nie wiedzieli, że z cielęcica powstaje wół, a z wołu pieczer? Przypatrz się też ptakom. Oto jest jajo martwe, z którego wykluwa się piskle, z pisklęcia kurczę, z kurczęcia kogucik, z kogucika kogut, a z koguta pochodzi kapłon. Uczy podobno tenże Darwin, że ludzie z małp się rodzą. Albożeśmy to już i takich przykładów nie świadomi?... (...) Ileż to, o Chryste! Bydła! (...) z ludzką twarzą błąka się między ludźmi! Tu człek-małpa, tam papuga, owdzie lis, indziej niedźwiedz (...)” – B. Prus, *Kronika tygodniowa*, „Kurier Warszawski”, nr 70 i 71 z 31 marca i 1 kwietnia 1875 (K 2; 18–19).

¹² B. Prus, *Na czasie*, „Kolce”, nr 82 z 21 lutego 1874 (K 1, 1; 27). Podobnie: B. Prus, *Kronika tygodniowa*, „Kurier Warszawski”, nr 70 i 71 z 31 marca i 1 kwietnia 1875 (K 2; 25).

¹³ B. Prus, *Sprawy bieżące*, „Niwa”, t. 9, nr 27 z 1 lutego 1876 (K 1, 2; 285). Podobnie: B. Prus, *Kronika tygodniowa*, „Kurier Warszawski”, nr 153 i 154 z 15 i 16 lipca 1875 (K 2; 128).

¹⁴ B. Prus, *Kronika tygodniowa*, „Kurier Warszawski”, nr 90 z 26 kwietnia 1875 (K 2; 34).

a o żadnych teoriach nowych słyszeć nie chcą. Nowe teorie są wprawdzie warunkiem postępu, no! Ale co za związek może być między Lublinem a postępem? O, błogosławione miasto, któremu w głowie maci samo nawet nazwisko Darwina! O miasto, które sądzisz dzieła z okładek, a teorie z odczytów, o miasto! O miasto!...¹⁵.

W latach 80., dostrzegając zmianę nastrojów społecznych, ochłodzenie (znormalnienie) tonu ocen, Prus usytuuje siebie obok Darwina w gronie orędowników postępu. Z angielskim badaczem czuł się powinowatym z powodu podobnych recepcyjnych doświadczeń. Pisał:

Jeżeli się nie mylę, to Darwin powiedział, że każdy nowy pogląd przechodzi trzy fazy wobec opinii publicznej: najprzód zarzucają mu, że jest niedorzeczny, później, że jest niebezpieczny, a nareszcie, że – jest stary jak świat. Darwin mówił to o poglądach naukowych i doprawdy nigdy nie śmiałybym przypuszczać, że moje niesystematycznie pisane artykuły o kwestii żydowskiej doczekają się akurat takiego samego honoru, jaki spotkał teorię „pochodzenia gatunków”. I moim bowiem artykułom zarzucano w pierwszej chwili, że są okropnie niebezpieczne dla społeczeństwa i... dla mnie, potem zarzucano im nieuctwo i niedorzeczność, a dziś mówią mi, że o skierowaniu Żydów do rolnictwa myśłano jeszcze za panowania Aleksandra I¹⁶.

Praca popularyzatorska oraz dyskusje wokół poglądów Karola Darwina zmieniły nastawienie społeczeństwa polskiego do jego teorii, o czym zaświadcza następujący cytat z artykułu Głowackiego *Do niezadowolonych*, który opublikował w „Nowinach” (nr 306 z 5 listopada 1882): „Czasy!... czasy!... Niedawno w bardzo familijny sposób traktowano Chrystusa i świętych, a dziś – ludzie boją się cienia żartu nawet z teorii Darwina!..”¹⁷.

Ironia nie zawsze służyła Prusowi za oręż. W tonie poważnym używał wobec Darwina określeń: „wielki”¹⁸, „geniusz”¹⁹. Wysokie uznanie dla tego myśliciela potwierdza fakt zaliczenia go przez pisarza do sfery

¹⁵ B. Prus, *Kronika tygodniowa*, „Kurier Warszawski”, nr 84 z 19 kwietnia 1875 (K 2; 30). Podobnie: *Kronika tygodniowa*, „Kurier Warszawski”, nr 62 z 18 marca 1882 (K 5; 270).

¹⁶ B. Prus, *Kronika tygodniowa*, „Kurier Codzienny”, nr 358 z 29 grudnia 1889 (K 12; 111–112). Podobnie: *Kronika tygodniowa*, „Kurier Codzienny”, nr 201 z 23 lipca 1893 (K 13; 372). Również: *Kronika tygodniowa*, „Tygodnik Ilustrowany”, nr 8 z 19 lutego 1910 (K 20; 223).

¹⁷ Cytat oraz informacja za: *Bolesław Prus 1847–1912. Kalendarz życia i twórczości*, dz. cyt., s. 280–281.

¹⁸ B. Prus, *Kronika tygodniowa*, „Kurier Warszawski”, nr 284 i 285 z 23 i 24 grudnia 1875 (K 2; 238).

¹⁹ B. Prus, *Kronika tygodniowa*, „Tygodnik Ilustrowany”, nr 49 z 7 grudnia 1907 (K 19; 206).

dominacji ideału doskonałości. Takiej klasyfikacji filozofów i badaczy, podług teorii wyłożonej później w sposób kompletny w *Najogólniejszych ideałach życiowych*, dokona w *Słóuku o krytyce pozytywnej* (1890):

Dlatego są wielkimi Froebel, Lancaster, Pestalozzi, że pracowali nad udoskonaleniem wychowania, tj. nad udoskonaleniem człowieka. Dlatego – Descartes, Leibniz, Mill, że pracowali nad udoskonaleniem metod myślenia. Dlatego – Kopernik, Newton, Darwin, że usunęli błędy lub rozszerzyli wiedzę ludzką. Dlatego Hipokrates, Pasteur i Koch, że starali się usunąć cierpienia, a więc spotęgować szczęście. Dlatego są wielkimi wynalazcy machin parowych i elektromagnetycznych, że pomnożyli środki ludzkie, stworzyli nową użyteczność²⁰.

W podobnym szyku – przy Bichacie, Pasteurze, Newtonie, Kolumbie, Napoleonie I – postawił Darwina również rok wcześniej²¹.

*

Wśród poglądów angielskiego przyrodnika, obok których Prus nie mógł przejść obojętnie, najszerzej przez niego komentowanym – publicystycznie oraz beletrystycznie – było prawo walki o byt, czy szerzej – ewolucjonistyczna teoria dostosowania się organizmu do środowiska. Takie rozbudowane jej rozumienie pozwalało Prusowi, np. na stronach *Szkicu programu w warunkach obecnego rozwoju społeczeństwa* (1883) ogłosić, że moralność i religia są produktem ewolucji, swoistym „organem przystosowawczym” wytworzonym przez człowieka i społeczeństwa dla regulacji zachowań, podobnie jak czyni to prawo²².

Prus uznawał Darwinowską teorię walki o byt za niezaprzeczalną²³, stwierdzał jednak i mocno podkreślał fakt inny, bardziej jego zdaniem rozpowszechniony w przyrodzie oraz w życiu społecznym człowieka, a mianowicie fakt wzajemnej wymiany usług, dzięki któremu świat istnieje i zachowuje ciągłość bytu, podlegając prawom rozwoju. Zasada „wspierania się i wymiany usług” jest samodzielnym osiągnięciem Prusa. Stworzył ją na kanwie idei solidaryzmu społecznego Milla oraz na bazie teorii rozwoju Spencera, a więc ewolucji dokonywanej we wszystkich przejawach bytu, przede wszystkim w sferze ducha. W takim poj-

²⁰ B. Prus, *Słóuko o krytyce pozytywnej*, dz. cyt., s. 209.

²¹ B. Prus, *Kronika tygodniowa*, „Kurier Codzienny”, nr 311 z 10 listopada 1889 (K 12; 85).

²² Walce o byt poświęcone są rozliczne ustępy *Szkicu programu w warunkach obecnego rozwoju społeczeństwa*, Warszawa 1883, s. 4, 11, 16–17, 74–75 [prwdr.: „Nowiny” 1883 nr 82–87 z dn. 23–30 marca, osobne wydanie nakładem „Gazety Handlowej” 1883].

²³ Np.: B. Prus, *Sprawy bieżące*, „Niwa”, t. 9, nr 25 z dn. 1 stycznia 1876 (K 1, 2; 267–270).

nowaniu ewolucji był Prus bliski myśleniu genezyjskiemu Słowackiego. „Przyjmując zasadę rozwoju psychiki indywidualnej i przywiązując do tego procesu zasadnicze znaczenie, stał Prus na stanowisku ewolucjonizmu duchowego, analogicznie do stosowanego w naukach przyrodniczych przez Darwina, do stosowanego w socjologii przez Spencera”²⁴.

Prawo wymiany usług było wypadkową specyficznego rozumienia przez Prusa zagadnienia ewolucji, zapośredniczonego przez Spencera, który z Darwinowskiego gruntu przyrodniczego przeniósł je na teren socjologii. Otóż Prus akceptował wizję ciągłości rozwoju, co uwidoczniło się w jego teorii nieustannego doskonalenia się. Za Spencerem nie uznawał przeskoków gwałtownych ani w przyrodzie, ani w życiu duchowym człowieka. Inaczej jednak rozumiał pojęcie postępu, objawiające się dla Spencera w życiu społecznym występowaniem zjawiska walki o byt, a które on zastąpił zasadą wymiany usług. Dla Spencera walka ta była prosta i bezpośrednia, polski pisarz dostrzegał jej złożoność, rodzącą konieczność współubiegania się we współdziałaniu²⁵. Postęp znaczył dla niego rozwój ducha, bogacenie psychiki, a nie demokratyzację, niwelację indywidualności, stąd tak wielkie znaczenie jednostek wybitnych²⁶ – które swą genialną naturą, twórczością i niezmordowaną pracą przyczyniają się do postępu cywilizacyjnego i moralnego. Widzimy więc, że Prus uznawał, że ewolucja nie jest jedynie prawem biologicznym²⁷, lecz prawem powszechnym, kosmicznym, obejmującym całą

²⁴ Zob. F. Araszkievicz, *Bolesław Prus. Filozofia. Kultura. Zagadnienia społeczne*, Wrocław 1948, s. 76, 87, 153.

²⁵ Określenie F. Araszkievicza, tamże, s. 249.

²⁶ Z. Szweykowski pisze następująco o roli jednostki wybitnej u Spencera: „(...) jednostka jest sprzężona z ogółem i staje się tylko wykładnikiem społeczeństwa: nawet przez najwybitniejsze jednostki, choć na pozór niewidoczne, działa środowisko, one z niego czerpią swe soki odżywcze; (...). Jeśli zaś jednostka wszystko ogółowi zawdzięcza, to również wszystko jest mu obowiązane. Oczywiście każdy ma wolną drogę wyboru: może iść albo razem z ogółem, albo kroczyć luzem. W tym jednak drugim wypadku odrywa się zupełnie od zbiorowości, działa w próżni, a nawet jest bezużyteczny, bo traci poczucie najistotniejszej sprawy, to jest poziomu, na którym znajduje się ogół w swej pracy rozwojowej. Rozwój zaś społeczeństwa musi się odbywać kolejnymi etapami, których ani ominąć, ani przekroczyć nie można (...). Jednostka wybitna, świadoma drogi życia, może mu pomóc w tym pochodzie rozwojowym, ale o tyle tylko, o ile będzie wiedziała, jakie zadania przed społeczeństwem w danym momencie stoją, i jakie ono ma w danej chwili możliwości przed sobą” (Z. Szweykowski, *Twórczość Bolesława Prusa*, t. 1, Poznań 1947, s. 26). Podobnie widzi sprawę Jan Tomkowski, kiedy zauważa, że Spencer podkreślał rolę społeczności i nie widział jednostki poza jej obrębem (J. Tomkowski, *Mój pozytywizm*, Warszawa 1993, s. 62).

²⁷ Filozofia Spencera miała charakter monizmu naturalistycznego, gdyż twierdził on, że wszystkim rządzą takie same, przyrodnicze prawa. W podobny sposób traktował zja-

naturę widzialną i niewidzialną. Dzięki takiemu rozumieniu postępu możliwe jest niwelowanie skutków walki o byt, bo taka wewnętrzna walka, wyniszczająca jednostki szlachetniejsze, będzie łagodniejszą, im wyższy będzie ustrój społeczny, fundowany na zasadzie współdziałania, a nie rywalizacji. Dla Spencera postęp rodzi konieczność czynu, na skutek poprzedzających przyczyn, stąd blisko już do deterministycznej wizji ewolucji. Prus zakładał istnienie wolnej woli, która czyni człowieka zdolnym do zmian w sposobach działania, w tym sensie jest indeterministą. Dla filozofa angielskiego jest to bardziej mechaniczny układ: szczyt rozwoju osiąga się w momencie stanu równowagi między idealnym przystosowaniem się natury ludzkiej i ustroju społecznego do trwałych warunków bytu.

Pierwszy pełniejszy wykład prawa wspierania i wymiany usług dał Prus już w roku 1883 w *Szkicu programu...* Zasada ta powinna być według niego stosowana zarówno wewnątrz społeczeństwa, jak i na zewnątrz – musimy stać się aktywnym członkiem cywilizacji, który będzie umiał wnieść coś do wspólnego europejskiego dziedzictwa; wewnątrz – musimy wypełniać prawo „szczęścia i doskonałości”, na zewnątrz – prawo „użyteczności”. Musimy pracować nad ziemią, której obrabianiem powinni się zająć średniozamożni właściciele, dlatego trzeba popierać parcelację i podnosić stan rolnictwa, należy unarodowić gospodarkę, tak by mniej sprowadzać z zagranicy, a więcej wytwarzać samodzielnie. Dobrze byłoby w ogóle rozwinąć w społeczeństwie samodzielność, zarówno w sferze intelektualnej, jak i wytwórczej. Konieczne jest uregulowanie stosunku między kapitałem a pracą, zwiększenie handlu z Cesarstwem, ograniczenie przywozu z Niemiec, lepszy podział bogactw między posiadaczy i proletariat, spotęgowanie wzrostu ludności, podniesienie oświaty i wytwórczości klas pracujących, dążenie do łączenia różnych klas, asymilacja, odchodzenie od kastowości, zapobieganie wychodźctwu, kształcenie zwyczajów, popieranie celów ogólnoludzkich. Wszystkiemu powinna przyświecać zasada kompromisu, która zniesie walki wewnętrzne, a także harmonia między interesami ogółu i jednostki, które są wobec siebie jednakowo ważne. Ideę wymiany usług

wiska psychiczne, duchowe. W późniejszym okresie działalności teoretycznej próbował w swej „syntetycznej” filozofii połączyć potrzeby naukowe i religijne. Uznawał istnienie czegoś tajemniczego, „niepoznawalnego”, bo żadna koncepcja nie pozwalała objąć świata rozumem, tajemnica jest ostateczną tezą nauki, tak jak jest pierwszą tezą religii. I to je łączy. Stojąc na stanowisku agnostycyzmu, nie próbował rozwikłać metafizycznej zagadki, uznając, iż wymyka się ona prawom przyrodniczym, a skoro one jej nie wyjaśniają, to niepoznawalne sytuuje się poza systemem wszelkich nauk.

obrazują literaccy bohaterowie utworów Prusa: Solski, Madzia Brzeska z *Emancypantek*, Wokulski z *Lalki*²⁸. Brak zastosowania prawa wspierania się obrazuje historia starego Adlera z *Powracającej fali*²⁹.

Z czasem Prus zacznie krytykować powszechne stosowanie zasad darwinizmu, a zwłaszcza prawa walki o byt, dostrzegając pokrewieństwo jego doktryny z poglądami filozoficznymi bazującymi na zasadzie: „siła przed prawem”. Ujawni to np. w analogii między poglądami Darwina i Edwarda Hartmanna. W roku 1885 napisze bowiem:

Prócz małych prądów, ogarniających kilka tysięcy głów przez czas kilku tygodni, istnieją jeszcze prądy olbrzymie, ogarniające prawie wszystkich ludzi ucywilizowanych przez ciąg wielu lat. Po wyjściu książki Darwina *O pochodzeniu gatunków* wytworzyła się wiara w powszechność walki o byt, której bohaterami są zarówno wilki zjadające cielęta, jak i kasjerzy uciekający z cudzymi pieniędzmi za granicę. Pokrewny z nim jest prąd: „siły przed prawem”, którym równie łatwo można objaśniać polityczne teorie Hartmanna, jak i prywatne wylamywanie drzwi do cudzych mieszkań i kufrów³⁰.

Widzimy więc, że mimo wyrażonego przed laty w *Szkicu programu...* optymizmu i wiary w zdolność ludzi do współdziałania, to raczej Darwinowskie prawo walki o byt (wsparte socjologiczną interpretacją Ludwika Gumplowicza, czytanego także przez pisarza) doprowadzi Prusa z czasem, równoległe z przemianami jego światopoglądu, do pesymistycznej koncepcji społeczeństwa, wyrażonej w latach pisania *Lalki* zarówno na kartach powieści (wypowiedzi Wokulskiego, Szumana, Rzeckiego, Geista), jak i w publicystyce. W roku 1900 pisał kronikarz:

Mimo woli przychodzą na myśl poglądy doktora Gumplowicza w jego *Systemie socjologii*, w którym znakomity autor twierdzi, że – jeżeli w stosunkach między pojedynczymi ludźmi może panować prawo i sprawiedliwość, to jednak w stosunkach między społeczeństwami najsilniejszą sprężyną jest zawsze i wszędzie wyzysk. Silny obdziera wszystkich słabych³¹.

²⁸ Zwraca na to uwagę F. Araszkiewicz, *Bolesław Prus i jego ideały życiowe*, Lublin 1925, s. 50–51.

²⁹ Tamże, s. 51.

³⁰ Zob.: B. Prus, *Kronika tygodniowa*, „Kurier Warszawski”, nr 317 b z 16 listopada 1885 (K 8; 211). Podobnie: *Kronika tygodniowa*, „Kurier Codzienny”, nr 156 z 8 czerwca 1890 (K 12; 240).

³¹ B. Prus, *Kronika tygodniowa*, „Kurier Codzienny”, nr 277 z 7 października 1900 (K 16; 491). Nie zapominajmy o możliwym oddziaływaniu na światopogląd Prusa w owym czasie Schopenhauerowskiej koncepcji deterministycznej.

Warto również wspomnieć, że wpływ dzieła Darwina *Wyraz uczuć u człowieka i zwierząt* ujawnił się w twórczości beletrystycznej Prusa, a zwłaszcza w sposobie charakteryzowania postaci w *Lalce*, choć zapewne nie tylko tutaj. Wywody Darwina na temat reakcji fizjologicznych na wewnętrzne i zewnętrzne bodźce wsparły teoretycznie wysiłki pisarza zmierzające do ukazania natury człowieczej w jej psycho-fizycznej pełni³². To lekturze dzieł angielskiego przyrodnika zawdzięczamy fakt, że bohaterowie najsłynniejszego utworu Prusa mają ciała i zmysły, popędy, instynkty, namiętności³³. Bywają nawet niekiedy zrównani ze zwierzętami (Na *Lalkę* jako powieść „dla dorosłych” zwracał uwagę Boy w odczycie *Prus w perspektywie czasu* [1937])³⁴. Echa innych prac Darwin na pobrzmiwają w *Lalce* w sposób dosłowny oraz sugerowany. Teorię ewolucji znają i rozważają Wokulski, Szuman, Ochocki, książe. Darwin i jego praca *O powstawaniu gatunków* patronuje w ogóle poglądom przyrodników ukazanych na kartach tego utworu (Szuman, Ochocki, Geist). Wyznają oni monizm przyrodniczy i scjentystyczne przekonanie o możliwościach wykrycia praw rządzących postępowaniem cywilizacyjnym. Geist odkrył w gatunku ludzkim „kilkadziesiąt typów zwierzęcych, począwszy od ostrygi i glisty, skończywszy na sowie i tygrysie”, a także ich krzyżówki. Pragnie wynaleźć urządzenie, które umożliwi pozyskanie nowych informacji o prawach fizycznych determinujących świat przyrody. Tymczasem Szuman, sceptyczny wobec postępu cywilizacyjnego ludzkości, bada rasę ludzką. Wokulski zaś bezskutecznie próbuje poradzić sobie ze świadomością istnienia sprzecznych interesów jednostki i ogółu:

Trzej ludzie upatrywali w człowieczym gatunku cechy mocno zwierzęce: on sam, Geist i Szuman. Ale on sądził, że zwierzęta w ludzkiej postaci są wyjątkami, ogół zaś składa się z dobrych jednostek. Geist twierdził, przeciwnie, że: ogół ludzki jest bydłym, a jednostki dobre są wyjątkami; ale Geist wierzył, że z czasem rozmnożą się ci dobrzy ludzie, że opanują całą ziemię – i od kilkudziesięciu lat pracował nad wynalazkiem, który by mu umożliwił ten triumf. Szuman także twierdził, że ogromna większość ludzi są zwierzętami, lecz ani wierzył w lepszą przyszłość, ani w nikim nie budził otuchy. Dla niego ludzki rodzaj był już skazany na wiekuiste bydłość, wśród którego odróżniali się tylko Żydzi, jak szczupaki między karasiami³⁵.

³² Wspomina o tym J. Bachórz, *Wstęp*, [w:] B. Prus, *Lalka*, wstęp i oprac. J. Bachórz, t. 1, wyd. 2 przejrane, Wrocław 1998, BN I 262, s. LXIII-LXVI.

³³ Zob.: W. Forajter, *Rozpustny Wokulski. O aluzjach erotycznych w „Lalce” Bolesława Prusa*, „Pamiętnik Literacki” 2009, z. 4.

³⁴ Zob.: T. Żeleński (Boy), *Pisma*, t. 6: *Szkice literackie*, Warszawa 1956, s. 190-196.

³⁵ B. Prus, *Lalka*, t. 2, dz. cyt., s. 589-590.

Darwina czyta prezesowa Zasławska. To właśnie ona wprowadza ideę postępu społecznego w czyn. Jej ustami Prus zgłasza po raz kolejny zastrzeżenia wobec Darwinowskiej teorii doboru naturalnego (dlatego też Zasławska nie akceptuje „transformizmu” i odrzuca teorie, które uznają „walkę o byt za fundamentalne prawo natury”). Świat *Lalki*, mikrokosmos bohaterów tego utworu, przesycony jest poczuciem niepokoju. Za ten stan – wydaje się – można obwinić „Darwinowską rewolucję zmieniającą nasze dotychczasowe rozumienie czasu”³⁶. „W teorii Darwina” – o czym pisze Francis C. Haber – „nie istniał czas ostateczny, w którym człowiek miał osiągnąć doskonałość. Definicja doskonałości uległa przeformułowaniu i nabrała znaczenia zdolności do optymalnego przystosowania do warunków zewnętrznych”³⁷. Świadomość braku wyższego, dalszego celu egzystencji stanie się powodem pesymizmu bohaterów utworu, zwłaszcza Wokulskiego i Szumana. Dla Prusa i kreowanych przez niego postaci literackich wizja bezcelowości istnienia będzie na dłuższą metę nie do wytrzymania. Próba stworzenia paraleli dla świata i człowieka okaże się kolejny utwór Prusa – *Emancypantki*, w którym ustami profesora Dębickiego zauważy: „dusza nasza jest małym wszechświatem, małym zegarkiem wśród olbrzymiego zegaru”³⁸. Następnym etapem na drodze przewycięzania determinizmu przyrody i pesymistycznej koncepcji dziejów będzie *Faraon*, w którym – co prawda zgodnie z Darwinowską teorią walki o byt – zwyciężają najsilniejsi, ale faktycznym zwycięzcą jest idea postępu rozumianego jako stopniowe, powolne wprowadzanie zmian. Ewolucjonizm, pojmowany przez pisarza najpierw monistycznie, materialnie, przyrodniczo – za Darwinem, Spencerem, Bucklem, z czasem zostanie przez niego wzbogacony interpretacją spirytualną, idealistyczną, przejętą z francuskiej „filozofii życia” (wpływ Jeana-Marie Guyau, Alfreda Fouillègo), by w ostatnich latach pisarza przesiąknąć mistycyzmem, chiliazmem³⁹ (wpływ Waltera Lorenzo Sheldona) – dając tym samym wrażenie eklektyzmu, amalgamatowości poglądów. Tymczasem jest to sygnał zarówno dialektycznej natury samego Prusa, jak i czasów, w których przyszło mu żyć⁴⁰.

³⁶ K. Kościewicz, *Rytm, czas, światopogląd. O „Lalce” Bolesława Prusa*, [w:] *Świat „Lalki”. 15 studiów*, pod red. J. A. Malika, Lublin 2005, s. 36.

³⁷ F. C. Haber, *Darwinowska rewolucja w pojęciu czasu*, [w:] *Czas w kulturze*, wybór, wstęp i oprac. A. Zajączkowski, Warszawa 1988, s. 402.

³⁸ B. Prus, *Emancypantki*, t. 2, wyd. 12, Warszawa 1976, s. 467.

³⁹ „w którym plan Boski i plan ludzki wzajemnie się przenikają w dążeniu do osiągnięcia wiecznej harmonii, Królestwa Bożego, już tu na ziemi”, M. Gloger, *Bolesław Prus i dylematy pozytywistycznego światopoglądu*, Bydgoszcz 2007, s. 228.

⁴⁰ Zob.: tamże, s. 239–242.

Bolesław Prus nie wypierał się nigdy ideowego powinowactwa z Darwinem. W *Kronice* z 1907 r., odpierając zarzuty o koniunkturalną zmianę swego stosunku do Darwina pisał:

Nigdy, jak żyję, o Darwinie nie wyraziłbym się: „nikczemnik!”. Wątpię nawet, ażebym kiedy odezwał się o nim w sposób lekceważący. Przecież moje poglądy społeczne, wypowiedziane w *Najogólniejszych ideałach*, w pewnej części opierają się na darwinowskiej teorii rozwoju. (...) Przecież gdybym nawet ośmielił się napisać coś podobnego, moi przyjaciele albo koledzy: Ochorowicz, Doliński, Kamiński, Chmielowski, Bem, nie podaliby mi ręki!...⁴¹.

Jaki więc wpływ na ostateczny kształt poglądów Bolesława Prusa wywarł angielski przyrodnik? Antychrystem zdecydowanie nie był, nie sprowokował pisarza do aktów obrazoburstwa. Zapłodnił jednak wyobraźnię i myśl Prusa kontrowersyjnymi (jak na ówczesne normy obyczajowości mieszczańskiej) opiniami, metaforami, pomysłami literackimi. Czy był rewelatorem prawd na miarę Mesjasza? Chyba nie. Taką inspirującą rolę odegrał w życiu Prusa raczej Herbert Spencer. Ale bez Darwina (a wcześniej Malthusa) nie byłoby Spencera. Bez Spencera zaś – autora *Szkicu programu w warunkach obecnego rozwoju społeczeństwa*.

Sylvia Karpowicz-Słowikowska

The Messiah or the Antichrist? Bolesław Prus reading Darwin

Prus's reception of Darwin's ideas took many years to last. In the 70-ties the columnist was fighting for recognition of the naturalist's theses and against spreading superstitions. In the 80-ties he situated Darwin in the circle of progress promoters. In the 90-ties, in recognition of his services for expanding people's knowledge, he inserted him in his peculiar classification in the sphere of domination of perfectness ideal.

Prus regarded fight for living as an undeniable fact. However, he emphasized another and more common fact both in nature and in social life, i.e. the existence of mutual exchange of services. The writer owes Darwin, among other things, enriching his technique of describing a character on the basis of theories concerning physiological response to different stimuli.

⁴¹ B. Prus, *Kronika tygodniowa*, „Tygodnik Ilustrowany”, nr 46 z 16 listopada 1907 (K 19; 189).

Krzysztof Fiołek
Uniwersytet Jagielloński, Kraków

Darwinizm wyznaniem filozoficznym Aleksandra Świętochowskiego?

Recepcja odkryć Karola Darwina mocno wpisuje się w dzieje polskiego pozytywizmu. Zanim pojawił się wzorcowy przekład *O powstawaniu gatunków* autorstwa Szymona Dicksteina i Józefa Nusbauma, *opus magnum* Darwina zaczęło się partiami ukazywać od 1873 roku nakładem dwutygodnika „Niwa” w tłumaczeniu Wacława Mayzela. Projekt wydawniczy nie został ukończony, a sama „Niwa” rychło pod wodzą Mścisława Godlewskiego zmieniła orientację z pozytywistycznej na konserwatywną. Jest wielce znamienne, że wielokrotnie doskonałone i wznawiane tłumaczenie Dicksteina i Nusbauma wychodzi po raz pierwszy nakładem „Przeglądu Tygodniowego” w latach 1884–1885.

Zatem Darwina, w przeciwieństwie do patriarchy pozytywizmu Comte’a, rzeczywiście czytano. Natomiast hermetyzm pozytywizmu, przysposobianego na gruncie polskim do zadań wychodzących dość daleko poza źródłowe intencje francuskiego prawodawcy, wzmagany był przez fakt niedostępności dzieł Augusta Comte’a, którego nikt porządnie nie przetłumaczył, a mało kto czytał. Jeszcze w 1903 roku Ludwik Krzywicki w artykule *Nasze potrzeby naukowe* przypominał wstydlivy stan zaniedbań w recepcji autora *Kursu filozofii pozytywnej*: „Pozytywizm pokutował u nas dziesiątki lat i nie znalazł się ani jeden jego wielbiciel, któryby przyswoił Comte’a naszemu piśmiennictwu lub przynajmniej dał go w sumiennym opracowaniu”¹.

Punktem wyjścia tego referatu stała się deklaracja, jaką można odnaleźć we *Wspomnieniach* Świętochowskiego. Wracając myślą do roku 1878,

¹L. Krzywicki, *Nasze potrzeby naukowe*, Warszawa 1903.

kiedy po odejściu z redakcji „Przeglądu Tygodniowego” zabiera się do prowadzenia dziennika „Nowiny”, Świętochowski tak się spowiada:

Oczywiście dałem „Nowinom” te same przekonania, które ustaliłem i rozwijałem w „Przeglądzie Tygodniowym”. Nie był to pozytywizm Comte’a i Littrégo, ale ewolucjonizm Darwina, Milla, Spencera. Jest on do tej chwili moim wyznaniem filozoficznym. W dziedzinie spraw i zagadnień praktycznych doświadczenia życiowe prostowały, poprawiły i uzupełniły niejedno z moich poglądów i przekonań, ewolucjonistą pozostałem niezmiennie².

Można by zażartować, że wspomniana stałość ewolucjonistycznego światopoglądu nie najlepiej rymuje się z główną zasadą ewolucji, czyli zmiennością. Z wyraźną emfazą wyartykułowane ewolucjonistyczne *credo* uzmysławia ów patetyczny wydzźwięk teorii Darwina. Sam jej twórca pisał w liście do Alfreda Russela Wallace’a z dnia 6 kwietnia pamiętnego 1859 roku cieszył się z „nawrócenia” Josepha Daltona Hookera i zastanawiał się nad gotowością do przyjęcia nowej „wiary” przez Thomasa Henry’ego Huxleya (zwanego potem Buldogiem Darwina):

Hooker, który jest najlepszym botanikiem brytyjskim, a być może nawet najlepszym na świecie, jest *pełnym* neofitą i zamierza natychmiast opublikować swe wyznanie wiary. (...) Huxley zmienił poglądy i uwierzył w mutację gatunków. Nie jestem przekonany, czy jest neofitą. Poczekamy i przyjrzymy się wszystkim młodszym neofitom. Mój sąsiad, świetny przyrodnik J[ohn] Lubbock, jest neofitą entuzjastą³.

Co dla Świętochowskiego znaczył ów „niezmienny” ewolucjonizm i czy rzeczywiście pozostał wierny Darwinowi w kolejnych dziesięcioleciach? Jakie były „psychologiczne” konsekwencje i operacyjne korzyści z tak afirmatywnego przyjęcia Darwinowskiego ewolucjonizmu przez „papieża polskiego pozytywizmu”? Materiałem dowodowo-ilustracyjnym trzeba by uczynić wypowiedzi pochodzące z różnogatunkowych tekstów Świętochowskiego: publicystycznych (*Liberum veto*), filozoficznych (*Dumania pesymisty*), naukowych (*Źródła moralności*), wspomnieniowych (*Wspomnienia*).

Wyznawcze traktowanie wielu segmentów pozytywistycznego kodeksu prawd naukowych i filozoficznych było swoistym przeżyciem pokoleniowym dla grupy młodych harcówników skupionych wokół „Przeglądu Tygodniowego”, również dla przychodzących później ma-

² A. Świętochowski, *Wspomnienia*, oprac. S. Sandler, Wrocław 2006, s. 102–103.

³ K. Darwin, *Listy wybrane*, przedmowa S.J. Gould, Warszawa 1999, s. 300.

terialistów i naturalistów. „Katechizmy siły i materii” – jak nazwie książki zbójcekie pozytywizmu Antoni Potocki – uwodziły swym redukcjonistycznym impetem, odwagą w unieważnianiu wierzeń ojców i dziadów. Satysfakcja z burzycielskiej bezczelności mieszała się z rzeczywistym entuzjazmem epistemologicznym. Bo oto ludzkość wyzwolić się miała z wielowiekowego zac zadzenia bogobojną mitologią i metafizyczną ułudą. Pozytywistyczne „odczarowanie świata” miało być wyrównaniem gruntu pod przyszłą budowę gmachu nauki ku wzmożeniu postępu społecznego.

Pamiętna kampania Aleksandra Świętochowskiego z pierwszej połowy lat 70. XIX wieku często posiłkowała się quasi-religijną retoryką, objawiającą się najczęściej w wyobrażeniach stronnictwa postępu jako sprzysiężenia oświeconych, kościoła społeczników. W 1871 roku *nomen omen* „papież” polskich pozytywistów tak opisywał ducha czasów:

Nie widzimy jeszcze wprawdzie zwycięskiego sztandaru postępu, zatkniętego na ruinie rozpadających się w gruzy przesądów, ale wiemy już, że wkraść się nie poznany do nas, że idea postępu działa w naszym ogóle (...) wiara w postęp jest u nas pewnym tajemnym przekonaniem, przekonaniem, które co chwilę daje znaki życia, a rzadko kiedy jawnie dowodzi swego istnienia⁴.

Jedynie w eseju prowokacyjnie kwestionującym święte składniki doktryny, a mianowicie w usytuowanych na krawędzi nihilizmu i cynizmu *Dumaniach pesymisty*, Świętochowski relatywizuje doniosłość i prawdomówność nowożytnych kosmologii:

Bo wreszcie poprawmy Anaksagorasową powieść według wymagań nowszej wiedzy, według planu Kantów, Laplace'ów, Newtonów, Lamarcków, Darwinów... cóż nam wypadnie. Może rozumniejsza, prawdopodobniejsza, ale także... bajka⁵.

Bogato udokumentowana teoria Darwina, dotycząca rozwoju gatunków i pochodzenia człowieka, okazuje się bodaj najtrwalszym, a na pewno najpowszechniej przyswojonym osiągnięciem nauki w „epoce pozytywnej”. Nie unieważnił jej żaden z antypozytywistycznych przełomów. Dwa główne dzieła Darwina (*O pochodzeniu gatunków* i *Pochodzenie człowieka*) stały się przedmiotem zainteresowania dyletantów w dziedzinie botaniki, zoologii czy antropogenezy. W naukach przy-

⁴ A. Świętochowski, *Pleśń społeczna i literacka*, [w:] tegoż, *Wybór pism krytycznoliterackich*, oprac. S. Sandler, M. Brykalska, Warszawa 1973 s. 62–63.

⁵ A. Świętochowski, *Dumania pesymisty*, oprac. E. Paczoska, Warszawa 2002, s. 48–49.

rodniczych z pewną ostrożnością trzeba by mówić o „kopernikańskim” przewrocie Darwina. Teoria doboru naturalnego dojrzewała dość długo i podobne pomysły pączkowały niezależnie. Jednak nie do zakwestionowania wydaje się ranga światopoglądowa darwinizmu, czyli jego dalekosiężne konsekwencje dla ludzkiego samopoczucia we wszechświecie⁶. Uprawniają nas one do mówienia o rewolucjonizującym Darwinowskim przekazie kosmologiczno-filozoficznym, umiejętnie zaimplementowanym w wywodach angielskiego przyrodnika. Nie zmienia tego faktu wulgarne epatowanie bogobojnej publiczności rewelacjami o naszym szympansim rodowodzie, dodające teorii pikanterii, ujmujące powagi. Dla Świętochowskiego darwinizm nigdy powagi nie utracił, zaś jako godne pobłażania wskazywał nurty wpisujące się mniej lub bardziej precyzyjnie w pejzaż przełomu antypozytywistycznego. W 1894 roku z nieskrywaną irytacją naigrywał się z nowych prądów w sztuce i towarzyszących im nowinek duszoznawczych:

wszystkie naturalizmy, impresjonizmy, dekadentyzmy, spirytyzmy, mediumizmy wydawały mi się tylko niedołącznymi podrygami bezsilnych lub chorych mózgow. Po tych wielkich teoriach, które rozwinęli Comte i jego znakomici uczniowie, Darwin, Lyell, nowokantyści i moniści, wszystkie inne, jakie się przewinęły przed nami w ostatnich latach długim łańcuchem, nie dokonały epokowego zwrotu w naszych pojęciach i co najwyżej oświeciły je drobnymi promieniami⁷.

Świętochowskiemu obcy był mu ten rodzaj ekscytacji, który w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX wieku kazał spragnionym podniet naukowych entuzjazmować się naprzemiennie pozytywizmem i spirytyzmem. Gdy parapsychologia i mediumizm rozpały opinię publiczną Warszawy, niestrudzony orędownik wiedzy pozytywnej z ostentacją gromił apostołów i sympatyków nowej wiary⁸.

⁶ Nie miał co do tego wątpliwości sam Darwin, który w liście do Josepha Daltona Hookera: „Nie możesz nawet sobie wyobrazić, jak jestem rad z myśli, że koncepcja doboru naturalnego podziela na wasze poglądy na temat zmienności jak środek przeczyszczający. Kiedy przyrodnicy będą mogli traktować zmienność gatunków jako rzecz pewną, jakże wspaniałe pole się otworzy w dziedzinie wszystkich praw zmienności, w dziedzinie genealogii wszystkich istot żywych, w dziedzinie ich dróg migracji etc. etc.”. K. Darwin, *Listy wybrane*, dz. cyt., s. 288.

⁷ A. Świętochowski, *Liberum veto*, wybór i wstęp S. Sandler, komentarze M. Brykalska, t. 2, Warszawa 1976, s. 208.

⁸ W 1894 roku występował niejednokrotnie przeciw ekscytacji wokół seansów Eusapii Palladino (1854–1918), słynnego medium badanego m.in. przez Juliana Ochorowicza. Por. A. Świętochowski, *Liberum veto*, dz. cyt., s. 204.

Przyswoił sobie pojęcia mające istotne znaczenie w teorii Darwina: mimikra, adaptacja, dobór naturalny, walka o byt⁹. Zbiór nowel zatytułowany *O życie* (1879) przynosił wiele sugestywnych ilustracji, które można by odnieść do każdego z tych pojęć. Ale już w zapalczym *My i wy* (1971) „hetman obozu młodych” histerycznie walczył o suwerenny byt w kulturze dla swoich rówieśników i akolitów, prestiż w życiu publicznym, miejsce w instytucjach i redakcjach. Sięgał przy tym do argumentów, które mogą nasuwać skojarzenia z tzw. darwinizmem społecznym, czyli uznaniem pozaetycznych praw natury w stosunkach międzyludzkich. Starych konkurentów w zawodach, których nagrodą prymat w kulturze, przepędzał z tryumfalizmem jurnego drapieżnika:

Cóż powiedzieć, gdy starsi zamiast usunąć się z pola, na którym już nic zrobić nie mogą, stoją na nim upornie, opóźniając postęp przekonani i wlewając w społeczeństwo tę martwość, która im już tylko z całego życia pozostała? (...) W życiu społeczeństw są zawsze pewne chwile, w których pokolenia jak warta zmieniają się nawzajem. (...) Każdy organizm ma swoją chwilę, od której przestaje być czynnym¹⁰.

Dość szybko okazało się, że wnioski płynące z ustaleń Karola Darwina raczej nie są wiedzą radosną. Tego rodzaju wtajemniczenie w prawa natury łatwo skutkuje przygnębieniem umysłów wrażliwych, permisywizmem etycznym umysłów cynicznych. „Walka o byt dała ludzkości wielką siłę i wielką demoralizację” – konstatuje Poseł Prawdy w jednym z felietonów *Liberum veto*. Nie miał wszakże wątpliwości: korzyści z niełatwej wiedzy przeważają nad psychologicznymi skutkami ubocznymi. Takie przekonanie podkreślił mało powabnym konceptem: „gdyby przed wiekami zapytano ród człowieczy: co wolisz, czy być gromadą cnotliwych małp, czy ucywilizowanych szachrajów – wybrałby tę ostatnią postać istnienia”¹¹. Może jednak co wrażliwsze osobniki gatunku ludzkiego wybrałyby jakąś trzecią drogę, trzecią wizję...

Długą tradycję w kulturze ma zabieg poszukiwania w naturze doskonałości i statycznych sublimacji ludzkich wyobrażeń o pięknie, łagodności i trwałości. Zwrócenie się ku przyrodzie bywało często reakcją na doświadczaną w ekosystemie społecznym drapieżność i perfidię, o bardziej może diabelskiej niż darwinowskiej proveniencji. W zestawieniu z prawdziwie inteligentnym złem w stosunkach między ludźmi,

⁹ *Walka o byt* – tak właśnie zatytułował Świętochowski swój cykl artykułów z 1883 roku.

¹⁰ A. Świętochowski, *My i wy*, w: tegoż, *Wybór pism krytycznoliterackich*, dz. cyt., s. 69.

¹¹ A. Świętochowski, *Liberum veto*, dz. cyt., s. 209.

osławiona brutalność przyrody miała raczej posmak łagodnej melancholii przemijania aniżeli bezwzględnej walki o przetrwanie. Marylka Nałęczówna z późnej powieści Świętochowskiego, młoda dziewczyna, od której ojciec odsuwa zbyt lichego adoratora, popada w otępienie i zaczyna stronić od ludzi. Można by rzec, Nałęczówna dziczeje. A to z powodu nieszczęśliwej miłości do uroczego Szymona Jelca. Zaczyna więc rozmawiać z drzewami, skarżąc się na ludzką niemoralność:

Moje drogie lipy, podobno macie już sto lat i przez całe życie nie dopełniłyście najdrobniejszego grzechu, a ludzie nie mogą przeżyć jednego dnia, żeby nie zgrzeszyć. (...) Drzewa krzewy, zioła – wołała chodząc po polach – przemieńcie mnie w waszą postać i weźcie do siebie. Mnie niedobrze między ludźmi, a szczęśliwa będę między wami. Nie umiem nienawidzić i pragnę kochać, nie umiem kłamać i pragnę mówić prawdę, nie umiem krzywdzić i pragnę dobrze czynić. Wy macie podobne pragnienia – przyjmijcie mnie do siebie, będę konwalią w ogrodzie, jagodą w lesie, trawą na łące, czymkolwiek, aby z wami¹².

Nawiasem mówiąc, interesującą postawę wobec przyrody prezentuje w przywołanej powieści sędziwy Piotr Nałęcz, dobroduszny sprawca nieszczęść Marylki, tymczasowych na szczęście. Jest on zamożnym ziemianinem, mocno przywiązany do tradycjonalistycznie pojętego etosu szlacheckiego. Wierzy w doskonalenie się krwi szlacheckiej, wykazując zadziwiająco wiele wyrozumiałości wobec swego sąsiada Sochy, z którym różni go wszystko z wyjątkiem fantasmagorycznego braterstwa szlacheckiej krwi. Stary Nałęcz odczuwa dojmującą potrzebę uszlachetniania wszystkich form żywych jako wytrawny hodowca wyselekcjonowanych zwierząt gospodarskich, ogrodnik uszlachetniający odmiany drzew owocowych. W tym sensie teorię ewolucji praktykuje spontanicznie i z prawdziwą afirmacją. Mimo całej swojej sarmackiej anachroniczności, Piotr Nałęcz przedstawiony został z wyraźną sympatią, co dowodzić by mogło śmiałej żeglugi Świętochowskiego w stronę agrarno-nacjonalistycznego konserwatyzmu, jaka dokonywała się w dwudziestolecie międzywojennym ku zdziwieniu nowych pokoleń postępowców. Ale to temat na inne śledztwo.

Wróćmy do tego, co po Darwinie. Tak naprawdę w wielu sporach o Darwina nie chodziło przecież o zawiałości rozwoju osobniczego organizmów żywych na przestrzeni epok geologicznych, lecz o implikacje psychologiczno-etyczne teorii ewolucji. Bardzo niebezpiecznie jawiły się zdroworoządkowe konsekwencje Darwinowskiego obrazu świata

¹² A. Świętochowski, *Nałęcz*, Warszawa 1928, s. 128-129.

dla kodeksów moralnych, mających do tej pory swe umocowanie w religijnych imperatywach czy sankcjach. Przewartościowaniom na polu etyki sprzyjała ówczesna socjologia i psychologia eksperymentalna, czyli jedne z bardziej udanych dzieci naukowego pozytywizmu. Sam Świętochowski modnymi zagadnieniami genezy moralności zajął się stosunkowo wcześnie, bo już na studiach w Lipsku, zaś kontakt z przedmiotem utrzymywał przez dziesięciolecia, czego dowodem praca *Źródła moralności*, wieńcząca jego zainteresowania w tej dziedzinie. Książka z roku 1912 rozwija treści zawarte jeszcze w rozprawie doktorskiej Świętochowskiego z roku 1876, po polsku wydanej w roku następnym w rozszerzonej wersji jako *O powstawaniu praw moralnych*. Autor śmiało wchodzi w metodologiczne rozważania nad przedmiotem etyki, ale właściwie książka traktująca o źródłach moralności to imponujących rozmiarów rys historyczny pojęć moralnych: od sofistów do pozytywistów. Omawia wpływ instynktów na etykę, szczególne znaczenie przydając instynktowi płciowemu, który zyskuje zaszczytne miano „spójnia i źródło uczuć moralnych”. Pisze o wyłanianiu się zasad etycznych w związkach rodzinnych, plemiennych, społecznych. Pisze o traktowaniu obcych, czyli wyłączonych ze wspólnoty etycznej. Wyjątkowe miejsce w Świętochowskiego historii moralności przypadło Darwinowi. Zaslugą angielskiego uczonego jest chociażby to, że mimochodem wspomógł wyburzanie tradycyjnie rozumianej etyki, zakotwiczonej w wartościach ponadprzyrodzonych.

Wiadomo, że z Darwinem i ze Świętochowskim władza kościelna nie miała łatwo. W 1938 roku, czyli w roku śmierci Świętochowskiego, wychodzi w Łomży nakładem autora „za pozwoleniem Władzy Duchownej” książka *Etyczne poglądy Aleksandra Świętochowskiego*. Jej autorem jest dr Franciszek Zbroja. W tym dość dziwacznym studium aż nadto widać wiodącą tendencję, chęć wskazania symptomów nawracania się bezbożnika, dokonującego się po I wojnie światowej, nawracania nie na tradycyjną duchowość co prawda, ale przynajmniej odchodzenie od darwinistycznego indyferentyzmu ku tradycyjnej moralności. W wywodzie Franciszka Zbroi ewolucja etycznych poglądów Świętochowskiego po I wojnie światowej przedstawia się z grubsza tak:

Ze skrajnego ewolucjonisty w etyce, szukającego pierwocin moralności w przodkach zwierzęcych, w następstwie przekształca się na krytycznego obserwatora życia indywidualnego, a zwłaszcza zbiorowego, społecznego. Zło i cnotę nazywa po imieniu. Moralności nie traktuje jako wypadkowej ze współczesnych form i warunków życia. Nie powtarza

już więcej, że „wszelka moralność jest moralną”. Uznaje dobro i prawo natury powszechnie obowiązujące, nienaruszalne. Nawołuje całą pierwszą doświadczoną człowieka do poszanowania przykazań Bożych¹³.

Darwinistyczna geneza moralności to tylko jeden z wielu ważnych skutków teorii angielskiego przyrodnika. Dla Świętochowskiego ten jej aspekt był może nawet wiodący z uwagi na tak wczesne i *par excellence* naukowe zainteresowanie pochodzeniem świadomych imperatywów moralnych i bezwiednych odruchów etycznych. Ale nie mniej pociągający był dla autora *Źródeł moralności* kosmologiczny i antropologiczny sens nauk Darwina.

W swoim chyba najbardziej natchnionym utworze, czyli w cyklu dramatycznym *Duchy*, pojawiają się tajemnicze żywioły rywalizujące o duszę człowieka i ideę dominującą w świecie. W patetycznym tonie biblijnym przekazują one zgoła eleuzyjskie treści: pochwałę płodności, różnorodności stworzeń. Duchy wkładają na ludzkie głowy błogosławieństwa i klątwy. Rod mówi o witalności i płodności, Topan o entropii, zagładzie i nieruchomości materii, Elion o miłości zarówno w znaczeniu *amor*, jak i *caritas*, Toon o nauce i rozumie, Jam o wierze i religii, Tor o determinizmie, Iron o śmiechu i szyderstwie. Jest jeszcze Sob, którego głos najbardziej odpowiada temu, co można by nazwać darwinowskim wyznaniem wiary.

Cała natura oddychać będzie tylko pragnieniem zachowania swojego bytu. Wszelka myśl i uczucie, wszelka świadoma i bezwiedna wola nie przestanie nigdy dążyć w tym kierunku. Miłość będzie niszczącą a samolubstwo ochronną siłą wszechświata. Kto pokocha innych – zmaleje. Pierwszy dozna rozkoszy boga, drugi – meczarni ofiary. Nawet tępicie będzie dobroczyńcą, bo unicestwi twory słabe i nieudolne a zapewni byt mocnym i uzdolnionym. Życie musi być nieustanną walką i przemianą istnień niedołącznych na doskonalsze. Natura wykreśliła ze swych praw miłość i przebaczenie, a oddała panowanie sile i zwycięstwu. Miłosierni rozpląną się w oceanach ludzi, jak sole w oceanach wód. Tylko samoluby pozostaną trwałym żywiołem świata i nie ulotnią się z niego jak wonie z kwiecia. Więc z woli mojej ludzie kochajcie siebie!¹⁴

Można by widzieć w *Duchach* nieudaną próbę włączenia starych Darwinowskich prawd w nowy kontekst artystyczno-filozoficznych podniet

¹³ F. Zbroja, *Etyczne poglądy Aleksandra Świętochowskiego*, Łomża 1938, s. 156.

¹⁴ A. Świętochowski, *Duchy*, część I, II i III, [w:] tegoż, *Pisma*, t. VII, Kraków 1899, s. 5–6.

Młodej Polski¹⁵. Jednak zarówno w *Duchach*, jak i innych dramatach (*Ojciec Makary*, *Aureli Wiszar*, *Regina*) Poseł Prawdy próbuje rozjaśniać materialistyczny pesymizm egzystencjalny humanistycznym aksjomatem wierności wzniosłym acz pozareligijnym zaleceniom moralnym. Wyrażnie tęskni za jakimś rodzajem pozytywistycznego heroizmu, ideą ofiary, pozostawiającej niezatarte świadectwo niezgody na niesprawiedliwość. W tych szlachetnych tęsknotach Świętochowski przemieszcza się w pobliże idei społecznikowskich polskiego modernizmu, jakie zaczęły się wylaniać z mocą po rewolucji 1905 roku. Aktywizm Świętochowskiego i jego poszukiwania ducha dziejów oraz dusz nieśmiertelnych pochodziłyby raczej z ofiarniczej tradycji romantyzmu niż ze straceńczej ideologii rewolucyjnej. W tym sensie zdecydowanie bliżej mu do Żeromskiego niż do Struga, by posłużyć się czytelnym przykładem. Przemieszczanie się krzewiciela pozytywizmu w stronę paradygmatu romantycznego odbywało się niemal wyłącznie w twórczości literackiej, w tekstach dyskursywnych i wspomnieniowych Świętochowski wytrwale wyznawał pozytywistyczną ortodoksję, zaś jej niezmiernie ważnym składnikiem pozostało nauczanie Darwina.

Krzysztof Fiołek

Darwin's Evolutionism as a philosophical creed of Aleksander Świętochowski?

The paper explores an answer to the following question: what were the „psychological” consequences and operational benefits of affirmative acceptance of Darwin's theory of evolution by „the Pope of Warsaw positivism?” Świętochowski's methods of reference towards Darwin's teachings have been illustrated on the basis of the examples drawn from his journalistic (*Liberum veto*), scientific (*The Sources of Morality*), philosophical (*The Meditations of a Pessimist*), literary (*Spirits*, *Nałęczce*), and reminiscent (*Memoirs*) texts.

¹⁵ Mówił o tym Dariusz Trzeźniowski na sesji w 150 rocznicę urodzin Świętochowskiego. Zob. D. Trzeźniowski, *Głos w modernistycznej dyskusji. O „Duchach” Aleksandra Świętochowskiego*, [w:] *Świętochowski i rówieśnicy: Kotarbiński, Urbanowska, Zalewski. Sesja w 150. rocznicę ich urodzin*, red. B. Mazan, Z. Przybyła, Częstochowa-Łódź 2001.

Tomasz Mróz

Uniwersytet Jagielloński, Kraków

Czechow wobec Darwina i darwinizmu

Koncepcja Darwina została przyswojona przez Rosjan dość szybko. Już w 1861 roku, czyli dwa lata po ukazaniu się *O powstawaniu gatunków* pojawiły się w rosyjskich czasopismach pierwsze artykuły, dość skrupulatnie prezentujące założenia Darwinowskiej teorii. Z początkiem lat 60. Piotr Boborykin przekształcił „Bibliotekę dla czytelnika” w tubę propagandową przyrodoznawstwa. Jednym z pierwszych propagatorów hipotez angielskiego przyrodnika był młody profesor chemii Piotr Sokołow, który później na swój koszt zorganizował prywatne, powszechnie dostępne laboratorium. Fakt znamieny, bo pokazuje, że środowisko naukowe w Rosji początkowo nie odniosło się przychylnie do angielskich nowinek. Na największy opór natrafiły jednak nowe teorie wśród rosyjskiej elity politycznej. Car i jego ministrowie upatrywali w przenikających z Zachodu ideach zagrożenie dla panującego systemu. Reformy edukacji ministra Tołstoja świadomie kładły nacisk na wykształcenie klasyczne. Programy szkół średnich zostały nasycone greką i łaciną, w nadziei, że ograniczy to wpływ zgubnego przyrodoznawstwa. Poparcie lub odrzucenie nauk przyrodniczych było w tych okolicznościach przede wszystkim aktem politycznym, dopiero potem – intelektualnym.

XIX-wieczna inteligencja rosyjska z łatwością przyjmowała każdą ideę, niosącą w sobie obietnicę szybkiego przekształcenia świata. Każda z tych idei stawała w opozycji do ówczesnej rosyjskiej rzeczywistości. W latach 40. taką rolę pełnił socjalizm, w latach 60. – scjentyzm, a od połowy lat 70. – rewolucja. Osiągnięcia nauk ścisłych dawały nadzieję na stopniowe zbudowanie racjonalnego i sprawiedliwego ładu. Umysł

Rosjan, nieprzyzwyczajone do wytrwałej, wieloletniej pracy, wyrosłe z przesiąkniętej eschatologią kultury rosyjskiej chwyciły się każdej utopii – nawet naukowej. Warto odnotowania jest fakt, że w grupie najzarliwszych zwolenników nowych idei większość stanowili raznoczyńcy: synowie prawosławnych duchownych, chłopów albo kupców, którzy z całą pewnością wychowywani byli w duchu prawosławia.

Warto zaznaczyć, że myśl angielska już wcześniej oddziaływała na rosyjską inteligencję. Ten wpływ wzmógł się w drugiej połowie lat 50., kiedy w Londynie osiadł Aleksander Hercen i założył tam czasopismo „Kołokoł”. Znaczenie Hercena w intelektualnym życiu kraju znacząco zmalało dopiero w roku 1863, gdy poparł powstanie styczniowe. W ciągu tego dziesięciolecia Kołokoł, nielegalnie wwożony do Rosji, docierał z zadziwiającą szybkością na najgłębszą prowincję. Na jego łamach toczyły się najpoważniejsze dyskusje owych lat, koncentrujące się przede wszystkim wokół projektów wprowadzanych reform.

Czechow wstąpił do literatury rosyjskiej jako jeden z pierwszych pisarzy tak zwanego pokolenia lat osiemdziesiątych. Generacja ta formowała się w opozycji do pokolenia lat 60. Jeśli to pierwsze cechowała wielkość celów, szerokie ideały, wiara w możliwość natychmiastowego przekształcenia świata, to drugie programowo skupiało się na życiu codziennym, na małym człowieku. Pod koniec lat 60. rozczarowanie rezultatami wprowadzonych reform stało się w Rosji powszechne. Współpraca z rządem, którą wcześniej potępiali jedynie skrajni radykałowie, nie przyniosła oczekiwanych skutków. Nie spełniły się także nadzieje pokładane w ludzie. Latem 1874 roku tysiące młodych ludzi z obu stolic udało się w głąb Rosji, by nieść kaganek oświaty na rosyjską wieś. Chłopi masowo donosili o tym policji, dzięki czemu około pół tysiąca uczestników „wędrowki w lud” zostało aresztowanych. W tej sytuacji młode pokolenie inteligencji, dojrzewające na początku lat 80., wychowane na ideach pozytywizmu porzuciło wielkie ideały na rzecz pracy organicznej.

„Miły przyjacielu - pisał Czechow do Aleksego Suworina - jeśli by mi zaproponowali do wyboru jedno z dwojga: „ideały” znamienitych lat sześćdziesiątych albo najgorszy szpital współczesności, to nie zastanawiając się, wybrałbym drugie”¹

„Filozofia małych spraw” – rosyjski odpowiednik pracy organicznej także była swoistą manifestacją poglądów politycznych. Walka o popra-

¹ B. Olaszek, *Русский позитивизм. Идеи в зеркале литературы*, Łódź 2005, s. 192.

wę rzeczywistości ograniczała się do skali mikro. Z tego ducha narodziły się rosyjskie ziemstwa – rodzaj samorządu, zajmujący się przede wszystkim dobroczynnością oraz rozwiązywaniem lokalnych problemów. Zresztą, jak się później okazało, uznawanie tego typu działalności za akt polityczny nie było to bezpodstawne – Aleksander III po wstąpieniu na tron, ograniczył między innymi rolę ziemstw. Sam Czechow, choć niejednokrotnie wytykał „filozofii małych spraw” jej niewystarczalność, w praktyce był jej wiernym zwolennikiem. W ciągu życia założył trzy wiejskie szkoły, dwa szpitale, przez wiele lat, nie będąc już czynnym zawodowo lekarzem, leczył miejscowych chłopów we wsiach, w których mieszkał.

Linia łącząca Czechowa z Darwinem to przede wszystkim linia nauki. Literatura rosyjska drugiej połowy XIX wieku, szczególnie mocno związana była z życiem społecznym kraju. Ponieważ cenzura skrupulatnie kontrolowała łamy gazet i czasopism, teksty literackie były jedyną przestrzenią publicznej debaty. Ostracyzm, jaki spotykał tych, którzy odważyli się głosić poglądy otwarcie popierające politykę carską, był o wiele dotkliwszy od represji ze strony aparatu państwowego. Presja wywierana na literaturę przez postępową opinię publiczną, czyli chęć zaangażowania literatury do zadań społecznych przejawiała się w ówczesnej Rosji z niezwykłą siłą. Powszechne było także przekonanie o moralnej słuszności inteligencji, występującej przeciw caratowi. Fiodor Dostojewski – pisarz, którego poglądy plasowały się raczej po stronie monarchii niż po stronie rewolucjonistów, stwierdził, że nawet, gdyby posiadał wiedzę o planowanym podłożeniu bomby pod Pałac Zimowy, nie poinformowałby o tym policji ze strachu przed tym, by liberałowie nie obwołali go donosicielem².

W dziejach XIX-wiecznej kultury rosyjskiej walka z darwinizmem i ewolucjonizmem rysuje się nadzwyczaj mocno. Szczególnie narodnicy zdecydowanie występowali przeciw teorii ewolucji, dostrzegając w niej szczytowe osiągnięcie myśli zachodniej. Zachodniemu modelowi rozwoju przeciwstawiali model rosyjski, opierający się na zbiorowej solidarności. Wspólnot gminna – tradycyjna forma organizacji społecznej rosyjskiej wsi, opierająca się na zbiorowej odpowiedzialności i kolektywnej własności miała się stać w oczach narodników fundamentem i wzorem dla nowej, wspólnotowej struktury społecznej. Także Aleksander Hercen, który wyjechał na Zachód w 1848 roku, gdzie szybko rozczarował się kapitalizmem i triumfem burżuazji, na wspólnocie gmin-

² A. Suworin, *Dziennik*, Warszawa 1975, s. 22–23.

nej, zwanej po rosyjsku obszczina, oparł swój rosyjski model socjalizmu. Szczytowym osiągnięciem rosyjskiej myśli antyewolucjonistycznej było jednak dzieło znacznie późniejsze. *Pomoc wzajemna jako czynnik rozwoju* autorstwa księcia Piotra Kropotkina stanowiło bezpośrednią polemikę z jednostronnymi interpretacjami darwinizmu. Kropotkin cenił Darwina – przyrodnika bardzo wysoko, jednak nie zgadzał się z nadmiernym podkreśleniem znaczenia walki o byt. Uważał, że oprócz niej istotnym czynnikiem ewolucji jest wzajemna pomoc, jaką okazują sobie osobniki jednego gatunku. Sądził, że w ewolucji społeczności ludzkich czynnik wzajemnej pomocy odegrał decydującą rolę.

Przeciwko ewolucjonizmowi występowali też pisarze. Szczególnie głośnym i wpływowym krytykiem teorii Darwina był Lew Tołstoj. Widział w niej przejaw zgubnego racjonalizmu, organicznie obcego rosyjskiemu duchowi. Dostojewski, wyjątkowo niechętnie odnoszący się do idei pozytywizmu, właśnie w darwinizmie społecznym Spencera widział ich szczytowe osiągnięcie.³

Na tym tle Czechow jawi się jako czasami wątpiący, ale mimo wszystko przekonany zwolennik idei ewolucji. Z dziełami Darwina zetknął się podczas studiów medycznych. Teoria angielskiego uczonego szybko znalazła odbicie w utworach młodego Czechowa. Jedno z wczesnych opowiadań *List do uczonego sąsiada*, wydrukowane w humorystycznym piśmie „Budilnik” poświęcone jest rozumieniu teorii ewolucji przez prostego mieszkańca rosyjskiej prowincji. Przypadkiem złożyło się, że w jego sąsiedztwie zamieszkał uczonej. Dowiedziawszy się niezbyt dokładnie, jakie przekonania żywi jego sąsiad, prosty człowiek pisze do niego list. W każdym słowie swoją intelektualną niższość Wasilij Sami-Bułatow – bohater opowiadania, podaje w wątpliwość wiele odkryć XIX-wiecznej nauki. Znamienne jednak, że rzeczywiste odkrycia (np. plamy na słońcu, opisane przez Heinricha Schwabe w 1844 roku) mieszają się w jego umyśle z pseudonaukowymi nowinkami (ludzie mieszkający na księżycu).

W opowiadaniu z pewnością można dostrzec satyrę na fragmentaryczne przyjmowanie osiągnięć nauki. Sami-Bułatow rozumie i akceptuje te zdobycze nauki, które przynoszą korzyść, znajdują praktyczne zastosowanie w przemyśle i ludzkim życiu.

Teoria ewolucji Darwina jest tu potraktowana jako jedno z odkryć nauki, które przekracza wyobraźnię zwykłego człowieka. Młody Czechow nie rozpatruje jej pod względem etycznym, a jedynie w nieco satyrycznym świetle przedstawia opory, jakie wzbudzała w ludziach, mających tradycyjne wyobrażenie świata, opartego na porządku kosmicznym.

³ П. Долженков, *Чехов и позитивизм*, Москва 1998, s. 74.

Właściwym podjęciem problematyki darwinizmu społecznego jest dopiero opowiadanie *Pojedynek*, napisane w 1891 roku. Wyraźne są tu echa niedawnej podróży sachalińskiej. Piotr Dolżenkow, autor pracy *Czechow i pozytywizm* ma rację, pisząc, że „zainteresowanie Czechowa darwinizmem społecznym uzasadnione jest także tym, że jego bohaterowie nie mogą przystosować się do życia, często są słabi i niezdecydowani, – jednym słowem, jego bohaterowie – to ogólnie rzecz biorąc ludzie, którzy, zgodnie z teoriami darwinizmu społecznego, powinni zginąć w pierwszym rzędzie”⁴.

Jednym z bohaterów *Pojedyńku* jest młody zoolog o niemieckim nazwisku von Koren. Przyjechał nad Morze Czarne, by badać tamtejszą florę i faunę. Na miejscu spotyka Łajewskiego – młodego urzędnika, który niedawno przybył z Petersburga i objął posadę w miejscowym urzędzie. Łajewski żyje w nieformalnym związku z mężatką Nadieżdą Niokolajewną. W młodym zoologu wzbudza pogardę sposób życia tej pary, ich puste marzycielstwo i niezdolność do jakiejkolwiek pracy. W jego przekonaniu Łajewski wraz z Nadieżdą są pasożytami żerującymi na zdrowym organizmie społeczeństwa:

„Dobroczynność w stosunku do pana Łajewskiego uważam za rzecz równie niemądrą jak podlewanie chwastów albo karmienie szarańczy”⁵ – mówi von Koren do miejscowego lekarza Samojlenki, usiłującego pomagać Łajewskiemu.

Von Koren zarzuca Samojlence, że litość, jaką ten okazuje Łajewskiemu to niedźwiedzia przysługa nie tylko dla społeczeństwa, ale także i dla Łajewskiego. Człowiek nie powinien ulegać irracjonalnym impulsom, podszeptom nierozumnego serca. Pomoc niesiona drugiemu człowiekowi musi mieć podłoże racjonalne, opierać się na rozumowej kalkulacji zysków i strat:

„Co zbuduje rozum, to niszczą wasze ślamazarne, do niczego niezdolne serca! Kiedyś, jeszcze jako uczeń, chorowałem na tyfus brzuszny, a moja ciotunia z nadmiaru współczucia uraczyła mnie marynowanymi grzybami i o mały włos nie umarłem. Zrozumcie oboje z ciotunią, że miłość do człowieka powinna tkwić nie w sercu, nie w krzyżach i nie w żołądku, ale tu!

Von Koren stuknął się ręką w czoło”⁶.

⁴ Tamże, s. 86.

⁵ A. Czechow, *Pojedynek*, przeł. Natalia Galczyńska [w:] tegoż, *Święta noc i inne opowiadania*, Warszawa 1987, s. 320.

⁶ Tamże, s. 322.

System wyznawany przez von Korena jest w niektórych punktach zadziwiająco zbieżny z chrześcijańskim systemem wartości. Podobnie jak moralność chrześcijańska zoolog wysoko ocenia czystość i niewinność, choć oczywiście uzasadnia to zupełnie odmiennie:

„To, że wiejskie dziewczuchy duszą swoje nieślubne dzieci i idą na katorgę, to, że Anna Karenina rzuciła się pod pociąg, że na wsi smaruje się wrota dziegciem, że mnie i ciebie niewiadomo czemu pociąga w Kati jej niewinność i że każdy czuje nieświadomą potrzebę czystej miłości, chociaż wie, że takiej miłości nie ma – czyż to wszystko przesąd? To bracie jedyna rzecz, która ocalała z naturalnego doboru i gdyby nie było tej żywiołowej siły, regulującej stosunki płci, panowie Łajewscy pokazaliby, gdzie raki zimują, a ludzkość zdegenerowała się w ciągu dwóch lat”⁷

Uczucia więc istnieją, ale nie jako jakieś nieokreślone stany ludzkiej duszy, ale fizjologiczne procesy, mające na celu podtrzymanie kondycji gatunku. Są to iluzoryczne formy, które wypełnia nieuchronna i konieczna biologiczna treść.

Zoologowi przeciwstawiony jest inny z bohaterów opowiadania – bezimienny diakon, który został wysłany nad Morze Czarne przez swoich zwierzchników. To za jego sprawą w momencie pojedynku von Koren nie zabija Łajewskiego. Właśnie w konfrontacji z nim zoolog najpełniej obnaża darwinistyczne podłoże swojego systemu:

„A więc miłość polega na tym, że silny zwycięża słabego?
 – Bez wątpienia.
 – Ale przecież to silni ukrzyżowali Pana naszego Jezusa Chrystusa! – zawołał diakon żarliwie.
 – W tym właśnie sęk, że nie ukrzyżowali go silni, lecz słabi. Kultura ludzka osłabiła już i wciąż usiłuje sprowadzić do zera walkę o byt i dobór naturalny; stąd szybkie rozmnożenie słabych i ich przewaga nad silnymi”⁸.

Osobliwa jest zbieżność tych słów ze słabo znaną jeszcze wówczas w Rosji koncepcją Nietzschego.

Von Koren nie zostaje jednak skompromitowany w zakończeniu opowiadania. Nie okazuje się ślepym na rzeczywistość dogmatykiem, ale uważnym obserwatorem, zdolnym do wyrzeczenia się niesprawiedliwej opinii. Po pojedynku Łajewski przeżył wewnętrzną przemianę, poślubił Nadzieję, porzucił czcze marzenia i zaczął wytrwale pracować.

⁷Tamże, s. 323.

⁸Tamże, s. 339.

Von Koren, odjeżdżając, przychodzi się z nim pożegnać. Wyraża autentyczne zadowolenie z powodu jego metamorfozy.

Zoolog nie uważa, że przemiana Łajewskiego podważyła słusność jego wcześniejszych sądów. Dla von Korena wartość człowieka określają jego czyny. Gardzi słowami. Sama przynależność do rodzaju ludzkiego nie niesie z sobą żadnych praw.

Rzecz charakterystyczna: *Pojedynek* to jedno z niewielu opowiadań Czechowa, które nie kończą się klęską, haniebnym kompromisem lub paraliżem woli bohaterów. Wszyscy okazują się zwycięzcami: von Koren pokonuje własną pychę, Łajewski i Nadieżda odradzają się duchowo i rozpoczynają nowe, ewangeliczne w swojej skromności życie.

Nauka, nawet w postaci zwulgaryzowanej, jest więc czymś oczyszczającym, impulsem do wewnętrznej metamorfozy. Czechow bowiem jest konsekwentnym materialistą. Materia i rzeczywistość poznawana za pomocą zmysłów, kryje w swoim wnętrzu prawdę:

„Istoty wyższego rzędu, ludzie myślący, są materialistami też z konieczności. Szukają prawdy w materii, bo gdzież by mieli jej szukać, skoro widzą, słyszą i czują wyłącznie samą materię? Zabronić człowiekowi poglądu materialistycznego to tyle, co zabronić mu szukania prawdy. Poza materią nie ma ani doświadczenia, ani wiedzy, czyli że nie ma prawdy”⁹

– pisał do Aleksego Suworina.

Pojedynek, podobnie zresztą jak Nieciekawa historia zaprzeczają tezie Piotra Dołżenkowa, twierdzącego, że naukowy światopogląd jest u bohaterów Czechowa przyczyną ich człowieczej degradacji. Jako przykład rosyjski badacz przywodzi przede wszystkim jednego z bohaterów *Wujaszka Wani* – Astrowa, doktora owładniętego ideą ocalenia i regeneracji lasów. Zestawiając go z bohaterem Turgieniewowskich *Ojców i dzieci*, rosyjski badacz próbuje dowieść, że Astrow pozbawiony jest Bazarowowskiej wzniosłości. Podobnie w przypadku Nieciekawej historii: wysuwa tezę, że przyczyną klęski bohatera Nieciekawej historii – Nikołaja Stiepanowicza było uczynienie z nauki jądra swojego światopoglądu. Przedstawiając stan rozkładu świadomości starego profesora, Czechow, zdaniem rosyjskiego badacza, dokonuje demaskacji światopoglądu scjentyistycznego.

Z tezą Dołżenkowa trudno się zgodzić. W opowiadaniach i dramatach, a przede wszystkim w listach Czechow konsekwentnie podkreśla

⁹List z 7 maja 1889 roku do A. Suworina [w:] A. Czechow, *Listy*, t. 1, Kraków 1988, s. 236.

swój szacunek do nauki. Dezintegracja osobowości, którą przeżywa Nikołaj Stiepanowicz, wydaje się być raczej wynikiem utraty wiary w naukę, niż twardej i niewzruszonej wiary w nią.

Wiele wątpliwości, jeśli chodzi o osobiste podejście Czechowa, rozwiewa literacki plon jego podróży na Sachalin. Czechow odwiedził tę położoną na Oceanie Spokojnym wyspę w roku 1890. Wówczas była to zamknięta kolonia karna. Po powrocie napisał obszerną relację z wyprawy, w formie najbardziej zbliżonej do reportażu. Czechow, choć unika oceniania sachalińskiej rzeczywistości, dobitnie pokazuje, że osadzanie przestępców w odizolowanych od świata zewnętrznego koloniach może prowadzić jedynie do moralnej degeneracji takiej społeczności. Pisarz opisuje matki, które porzuciły swoje dzieci zaraz po narodzeniu, 12-letnie prostytutki się dziewczyny. Tylko normalne współistnienie świata więźniów i świata ludzi wolnych może przynieść jakiegokolwiek rezultaty. Czechow więc wyraźnie opowiada się przeciwko zmierzającym ku rasizmowi i upośledzeniu, a wyrastającym z nauki Darwina nurtom ówczesnej socjologii.

Czechow, podobnie jak wielu Rosjan XIX wieku, nigdy nie wątpił w naukowe osiągnięcia Darwina. Przeciwnie – jego teorię uważał za udowodnioną i zaliczał do największych osiągnięć ówczesnej nauki. Kpiny, jakimi obdarzały Darwina konserwatywne gazety, zawsze budziły w nim żarliwy opór. Dystansował się jednak wobec prób przenoszenia praw rządzących przyrodą na społeczeństwo. Autor *Wiśniowego sadu* wyraźnie oddzielał świat ludzki od tego, co pozaludzkie. W tym sensie był dzieckiem poprzednich epok.

Tomasz Mróz

Chekov vs. Darwin and Darwinism

Lev Shestov defined Anton Chekov's philosophy of life as materialist positivism. The writings of Chekov were visibly influenced by natural science. Being a representative of a 1880s generation, which believed in the "philosophy of little things" and a physician by education, he paid attention to the recent currents in natural history. Hence Darwin's theory also drew his attention, and he supported it as a scientific theory as well as fought against journalism which was mocking at it. However, he was definitely against applying the Darwin's discoveries to the social sciences, and expressed that attitude in his short story *Duel*.

Marek Pacukiewicz
Uniwersytet Śląski, Katowice

Kanibale w ogrodzie Ewolucjonizm i jego demitologizacja w *Jądrze ciemności* Josepha Conrada

Charakteryzując w liście do Roberta Bontine Cunnighame Grahama swój nowy utwór, *Jądro ciemności*, Joseph Conrad podkreśla, że „nie zaczyna od pojęcia abstrakcyjnego”, a „myśl jest (...) ukryta wśród podrzędnych pojęć”¹. W świetle tej wypowiedzi nieco innego sensu nabiera diagnoza Thomasa Stearnsa Eliota, który stwierdził swego czasu, że „Pan Conrad nie ma żadnych idei, ale ma swój punkt widzenia, »swój świat«; trudno go określić, ale przepaja on jego twórczość i nie można go przeoczyć”². Istotnie, pisarz dystansuje się do współczesnych sobie idei, raczej bierze je w cudzysłów i pokazuje proces konstruowania na ich kanwie potocznych mniemań i wyobrażeń o rzeczywistości. Ten sposób myślenia pisarza wyraża słynna metafora „machiny tkackiej”, zawarta w liście do Grahama napisanym na rok przed rozpoczęciem pracy nad *Jądrem ciemności*:

Istnieje – powiedzmy – pewna machina. Wytworzyła się samoistnie (wyrażam się ściśle naukowo) z chaosu żelaznych odpadków i baczność! – ona тка. (...) Wydaje mi się, że powinna haftować, ale – ona stale тка. (...) A najbardziej miazdząca jest myśl, że ta niesławna machina stworzyła sama siebie: bez myśli, bez sumienia, bez przezorności, bez oczu i serca. (...) Z racji owej prawdy jedynej i nieśmiertelnej, zawartej w sile, która powołała machinę do działania – jest ona taka, a nie inna – i jest

¹J. Conrad, *Listy*, wyb. i oprac. Z. Najder, przekł. H. Carroll-Najder, Warszawa 1968, s. 158; list z 8 lutego 1899 roku.

²T. S. Eliot, *Kipling Redivivus*, „Athenaeum”, 9 maja 1919 roku; cyt. za: I. Watt, *Conrad w wieku dziewiętnastym*, przekł. M. Boduszyńska-Borowikowa, Gdańsk 1984, s. 172.

niezniszczalna! Tka nas i pruje. Utkala czas, przestrzeń, ból, śmierć, zepsucie, rozpacz i wszystkie złudzenia – i wszystko jest bez znaczenia. Muszę jednak przyznać, że przyglądanie się temu bezlitosnemu procesowi może być czasami zabawne³.

Swoją ironię Conrad zwraca w tym fragmencie nie tyle bezpośrednio ku mechaniczycznej wizji świata, ale raczej ku specyficznemu modelowi wiedzy pozytywnej o człowieku i jego świecie, który budowany jest na fundamencie nauk przyrodniczych. Podkreślić warto w tym miejscu dwie kwestie: zdaniem Conrada maszyna tka nie tylko wielkie idee, ale również pewien dyskursywny – można by rzec – model rzeczywistości; natomiast sam pisarz woli przyglądać się temu procesowi z boku. To stanowisko częściowo określa strategię pisarską autora *Jądra ciemności*: puszcza on maszynę wiedzy w ruch i obserwuje efekty tego procesu. Pozwala to Allanowi Hunterowi na stwierdzenie, że Conrad bardzo często „przepisuje” (*re-writes*) naukowe teorie na poziom „prawdziwego” świata, konfrontuje wzajemnie ze sobą i testuje zderzając z kontekstem kulturowym⁴. Tym samym żadna machina tkacka nigdy nie stała się motorem napędowym prozy pisarza, ponieważ jej elementy zostają rozsiane w przestrzeni całej fabuły i przypisane do różnych wypowiedzi i kontekstów, zgodnie z tym, co sugeruje Maria Komornicka, twierdząc, że Conrad „(...) rozkłada rzeczy na pozór nierozkładalne, zawile nad nimi robi doświadczenia i odbudowuje je, stokrotnie, zdumiewająco, nieprzeczuwanie wzbogacając”⁵. Nie inaczej rzecz ma się z darwinizmem, w czasach Conrada utożsamianym z ewolucjonizmem, któremu charakter uniwersalnej i popularnej teorii nadał Herbert Spencer.

Szczególnie w *Jądrze ciemności* spotykamy sporo nawiązań do ewolucjonistów współczesnych Conradowi. Możemy wręcz zaryzykować wskazanie konkretnych tropów lekturowych leżących u podstaw eksperymentów pisarza z ideologią postępu, która zbudowana została na koncepcji doboru naturalnego⁶; niejednokrotnie obserwujemy niejako

³J. Conrad, *Listy*, dz. cyt., s. 122–123; list z 20 grudnia 1897 roku.

⁴Por. A. Hunter, *Joseph Conrad and the Ethics of Darwinism. The Challenges of Science*, London & Sydney 1985, s. 6.

⁵M. Komornicka, *Lord Jim*, [w:] *Conrad w oczach krytyki światowej*, wyb. Z. Najder, Warszawa 1974, s. 739.

⁶Bardzo często prace ewolucjonistów służyły Conradowi jako materiał źródłowy. Kilka przykładów podaje R. Tennant, *Joseph Conrad*, London 1981: ulubioną „książką do łóżka” (*favourite bedside book*) była praca A.R. Wallace’a *Mallay Archipelago*, prawdopodobnie badacz ten mógł być wzorem postaci Steina w *Lordzie Jimie* (s. 53), z kolei opis ataku Indian na fort w noweli *Gaspar Ruiz* wzorowany jest na relacji Darwina w *Podróży na okręcie „Beagle”* (s. 170).

„zaplecze” dyskursu i jego praktyczne stosowanie w zaskakujących kontekstach. Wydaje się, że pisarz szczególnie kładzie nacisk na mechaniczne przenoszenie tez przyrodoznawstwa na myślenie o człowieku, jego kulturze czy etyce. Conrad obnaża między innymi biologiczne fundamenty wzniosłej retoryki postępu kolonialnego: okazuje się bowiem, że tak naprawdę powodzenie „misji cywilizacyjnej” w Afryce opiera się nie na zapleczu ideologicznym czy duchowej przewadze białego jak wówczas sugerowano, ale sprowadza się do umiejętności przetrwania w obcym klimacie; wyraz temu przekonaniu dają sami urzędnicy kolonialni, na przykład bratanek dyrektora stacji w ten sposób określa jego przewagę nad Kurtzem: „(...) nikt tutaj (...) nie może zachwiać twojego stanowiska. A dlaczego? Bo wytrzymujesz ten klimat, przetrwasz ich wszystkich”⁷. A zatem, paradoksalnie, pomimo zapewnień samego Darwina, że w przypadku człowieka cywilizowanego proces przystosowania przebiega już na wyższym, intelektualnym i moralnym poziomie⁸, Conrad pokazuje, że potoczna reinterpretacja tezy o doborze naturalnym wypacza etykę i ideologię. Pozwala to stwierdzić Hunterowi, że w przypadku systemu myślowego dyrektora stacji mamy wręcz do czynienia z zastraszającą parodią poważnych tez naukowych, które – wypaczone przez ignorancję – stają się podstawą nieludzkiego kodeksu postępowania⁹.

Istotnie, w *Jądrze ciemności*, jak zauważa Sven Lindqvist, Conrad pokazuje, w jaki sposób naukowa teoria doboru naturalnego, leżąc u podstaw ewolucjonistycznej ideologii imperializmu kolonialnego, staje się uzasadnieniem ludobójstwa. Powszechnym hasłem głoszącym konieczność niesienia przez Europejczyków „pochodni postępu” w mroki dzikości i barbarzyństwa¹⁰, przeciwstawia pisarz przerażający obraz ilustrujący formę i prawdziwy charakter tej krucjaty. Marlow

⁷J. Conrad, *Jądro ciemności*, przekł. A. Zagórska, [w:] tegoż, *Dziela*, t. 6, Warszawa 1972, s. 107; numery stron kolejnych cytatów z tego wydania oznaczone będą w tekście.

⁸Por. K. Darwin, *O pochodzeniu człowieka*, [w:] *Dziela wybrane*, t. 4, przekł. S. Panek, red. E. Stołycho, Warszawa, s. 122: „(...) z chwilą, gdy człowiek osiągnął już pewien poziom rozwoju intelektualnego i moralnego, czym różni się od zwierząt niższych, stał się mało podatny na przekształcenia budowy swego ciała pod wpływem doboru naturalnego lub jakichkolwiek innych czynników”. Paradoksalnie jednak, chociaż cywilizacja hamuje działanie tego pierwotnego doboru naturalnego, to rozwój moralny i intelektualny sprawia, że ludzie cywilizowani są silniejsi i wytrzymalsi od „dzikich” (por. tamże, s. 132).

⁹Por. A. Hunter, *Joseph Conrad...*, dz. cyt., s. 17.

¹⁰Typowym przykładem tej retoryki mogą być przemówienia króla Leopolda II, władcy belgijskiego zarządzającego Wolnym Państwem Kongo: „Otworzyć cywilizacji jedyną część globu, do której jeszcze nie dotarła, przebić mroki otaczające całą tamtejszą ludność – oto, ośmielam się powiedzieć, krucjata godna wieku postępu” (cyt. za: Z. Najder, *Życie Josepha Conrada Korzeniowskiego*, t. 1, Lublin 2006, s. 218); obłuda Leopolda II polega

zresztą prezentuje w tym względzie jednoznaczne stanowisko: „Podbój ziemi, polegający przeważnie na tym, że się ją odbiera ludziom o odmiennej cerze lub trochę bardziej płaskich nosach, nie jest rzeczą piękną, jeśli się w niego wejrzy dokładnie. Odkupia go tylko idea” (s. 65); opowieść Marlowa dowodzi jednak, że tak naprawdę u podstaw idei mających usprawiedliwić podbój kolonialny leży twarde prawo walki o byt na nowo reinterpretowane w kontekście rozwoju cywilizacji. Lindqvist nie ma złudzeń co do tego, że „teoria Darwina pozwalała, by na ludobójstwo reagować wzruszeniem ramion”¹¹. Mamy tutaj do czynienia z przeniesieniem praw doboru naturalnego rządzących światem przyrody na świat kulturowy. Darwin w dziele *O powstawaniu gatunków* stwierdza, że „wymieranie gatunków lub całych grup gatunków, które w historii świata organicznego tak wielką odgrywało rolę, wynika prawie nieuchronnie z zasady doboru naturalnego, gdyż formy stare zostają wyparte przez nowe i doskonalsze”¹². W miarę rozwoju cywilizacyjnego człowieka prawo doboru naturalnego przenosi się na wyższy poziom: to już nie walka pomiędzy jednostkami, ale przede wszystkim plemionami (wysoki poziom moralności nie daje korzyści jednemu człowiekowi, ale całej grupie); oznacza to, że za sprawą tego „cywilizowanego” prawa doboru naturalnego „(...) od najdawniejszych czasów plemiona zwycięskie wypierały plemiona zwyciężone”, a „w obecnych czasach narody cywilizowane wszędzie wypierają narody barbarzyńskie”¹³. Jak stwierdza Darwin, nowe i doskonalsze grupy zastępują w ten sposób swoich „dominujących rodziców”¹⁴; przekłada się to na stosunek władz kolonialnych do tubylców, którzy dość powszechnie określani są wówczas przez antropologię ewolucjonistyczną mianem „naszych żyjących przodków”. Prawo następstwa gatunków determinuje zatem wizję kontaktów kulturowych. Dodajmy zresztą, że hierarchia ważności stron w ramach kontaktu kulturowego jest tutaj dookreślona jedynie przez stopień zaawansowania cywilizacyjnego (sprowadzanego na ogół do rozwoju nauki i techniki). Wprawdzie sam Darwin bardzo ostrożnie wypowiada się na temat postępu, jako zasady określającej rozwój społeczeństwa ludzkiego, odnosi się to jednak raczej do niemożności jedno-

przede wszystkim na tym, że w rzeczywistości Wolne Państwo Kongo było właściwie jego prywatną inicjatywą handlową.

¹¹ S. Lindqvist, *Wytępic całe to bydło*, przeł. M. Haykowska, Warszawa 2009, s. 177.

¹² K. Darwin, *O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego czyli o utrzymaniu się doskonalszych ras w walce o byt*, [w:] *Dzieła wybrane*, t. 2, przeł. S. Dickstein i J. Nusbaum, Warszawa 1959, s. 501.

¹³ Tenże, *O pochodzeniu...*, dz. cyt., s. 124.

¹⁴ Por. tenże, *O powstawaniu...*, dz. cyt., s. 362–363.

znacznego wskazania przyczyn takiego postępu¹⁵. Wydaje się zresztą, że o ile w rozważaniach nad dobrem naturalnym w obrębie gatunków przyrodniczych Darwinowi stosunkowo łatwo było ominąć problem teologii rozwoju, o tyle w rozważaniach nad człowiekiem jest on już pod dużym wpływem antropologów ewolucjonistycznych, takich jak Tylor, Lubbock czy MacLennan. Badacz podtrzymuje powszechne przekonanie o ogromnej różnicy poziomu moralnego i intelektualnego między „dzikim” a „cywilizowanym” człowiekiem¹⁶. W przypadku rozwoju gatunków przyrodniczych Darwin stwierdza jednoznacznie: „nie więcej jest celowości w zmienności istot żywych i w działaniu doboru naturalnego niż w kierunku, w którym wieje wiatr”¹⁷, jednak przeniesione w sferę ludzkiego świata kultur i skrzyżowane z oświeceniową i pozytywistyczną historiozofią, prawo doboru naturalnego wykorzystuje wiatr, by mógł napędzać wiatraki cywilizacji.

O ile Darwin przemycza zasadę postępu cywilizacyjnego pomiędzy wersami, jest ona już wyraźnie doprecyzowana przez Herberta Spencera, który idzie o krok dalej: zastępowanie „dzikości” przez cywilizację to już nie tylko efekt działania prawa doboru naturalnego, to również obowiązek moralny człowieka. W związku z tym wszystkie przeszkody stojące na drodze postępu mogą i powinny być usuwane. Stąd już tylko krok do retoryki conradowskiego Kurtza, jak również podsumowującego ją straszego *postscriptum*: „Wytępić całe to bydło” (*Exterminate all the brutes*)¹⁸. Lindqvist jako prawie pewne źródło słów Kurtza wskazuje fragment *Social Statics* Spencera, w którym autor dowodzi, że imperializm przysłuży się cywilizacji usunięciem z powierzchni ziemi ras niższych: „Siły realizujące wszechogarniającą koncepcję całkowitego szczyścia nie biorą pod uwagę cierpienia, jakie niesie ze sobą podporządkowanie i usuwają (*exterminate*) te sfery życia, które stoją na drodze do sukcesu. Czy to będzie istota ludzka, czy też zwierzę (*brute*) – przeszkoda musi zostać usunięta”¹⁹. Widzimy zatem, że wbrew diagnozie

¹⁵ Por. tenże, *O pochodzeniu...*, dz. cyt., s.128-129.

¹⁶ Por. tamże, s. 26.

¹⁷ K. Darwin, *Autobiografia*, [w:] tegoż, *Autobiografia i wybór listów*, [w:] *Dzieła wybrane*, t. 8, przekł. A. Iwanowicz, A. Krasicka, J. Połtowicz, S. Skowron, pod kierunkiem A. Makarewicz, W. Michajłowa, K. Petruszewicza, oprac. A. Staszewicz, Z. Wójcik, Warszawa 1960, s. 44.

¹⁸ W tłumaczeniu Zagórskiej czytamy: „Wytępić te wszystkie bestie!” (s. 135); zgadzam się jednak z Lindqvistem, że „przede wszystkim jednak pojęcie to [tj. *brute* - M.P.] oznacza zwierzę, ze szczególnym naciskiem na to, co w nim zwierzęce” (*Wytępić...*, dz. cyt., s. 19).

¹⁹ S. Lindqvist, *Wytępić...*, dz. cyt., s. 19.

Eliota Kurtza ukazany jest przez Conrada nie jako człowiek pusty, „wydrążony”, ale raczej przepelniony retoryką wiedzy wspartej na naukowych podstawach i doprowadzonej do ekstremum.

Warto podkreślić, że charakteryzując postać Kurtza i prezentując rzeczywistość kolonialną w Afryce, Conrad nie tylko chce przedstawić proces degradacji idei w zderzeniu z obcą rzeczywistością, ale pokazuje również przekształcenie teorii naukowej w ekstremalną ideologię. W przypadku ewolucjonizmu i idei postępu cywilizacyjnego obserwujemy proces irracjonalizacji jego zasad: siła rządząca naturą przekształca się w prawa rozwoju cywilizacji a w przypadku późnego ewolucjonizmu mamy już do czynienia z niejasnymi prawami metafizycznymi. Właśnie z takim zlepkim zasady dziedziczenia, psychologii i metafizyki spotykamy się w pracy Benjamina Kidda, *The Science of Power*, w której wskazuje on na źródło cywilizacji nie w procesach intelektualnych człowieka, ale w „emocjonalnym rozwoju idei” (*progress in the emotion of the ideal*), który jest naszym psychicznym dziedzictwem, tworzy człowieka na obraz Boga (*Man the God-like*) i oddziela od zwierząt (*brutes*)²⁰. Stąd przekonanie Kurtza, że dzięki prostemu wysiłkowi woli biały człowiek może wydawać się „dzikim” bóstwem (por. s. 135). I właśnie dlatego Marlow stwierdza, że o ile „umysł Kurtza był zupełnie jasny”, to „jego dusza była obłąkana” (s. 162): bezbronna wobec irracjonalnych sił woli.

Zwróćmy uwagę, że o ile wewnętrzne prawa ewolucji stają się coraz bardziej ogólne i mgliste, sztafaż społeczny i technologiczny zapewniający trwałość cywilizacji podlega coraz bardziej drobiazgowym wyliczeniom. Paradoksalnie, cywilizacja coraz bardziej odłącza się od procesu ewolucyjnego i staje się swoistym *status quo* postępu. W efekcie dzieli się ona na coraz większą ilość zintegrowanych elementów – zgodnie ze Spencerowską zasadą ewolucji stwierdzającą, że jest to przejście od niespójnego stanu homogenicznego do spójnego stanu heterogenicznego organizmu – jednakże potocznie określa się ją w sposób wybiórczy. Ponieważ każdy element ma stanowić synekdochę całości, określenie istoty cywilizacji zaczyna sprowadzać się do przypadkowych wyliczeń; efekt jest zazwyczaj groteskowy, czego nie ustrzegł się sam Spencer, kiedy w *Pierwszych zasadach* mimowolnie sprowadza wyższość cywilizacyjną społeczeństwa angielskiego do faktu posiadania przez nie policjantów stojących na ulicy i pilnujących porządku²¹. Porządek ule-

²⁰ Por. B. Kidd, *The Science of Power*, London 1920, s. 111 i 120.

²¹ Por. H. Spencer, *Pierwsze zasady*, [w:] *Dzieła. Systemat filozofii syntetycznej*, t. 1, przekł. J. K. Potocki, nakładem redakcji tygodnika „Głos”, Warszawa 1886, s. 350: „Postęp, ujawniający się tutaj tak wyraźnie, daje się wyśledzić we wszystkich zgola czynnościach spo-

ga nie tylko fragmentaryzacji, sprowadzany jest do pojedynczej figury strażnika wewnętrznej spójności systemu. Motyw policjanta strzegącego cywilizacji pojawia się oczywiście również w *Jądrze ciemności*:

Nie możecie tego zrozumieć! – powiada Marlow – I cóż dziwnego? Macie pod nogami solidny bruk, otaczają was życzliwi sąsiedzi, którzy gotowi są dodać wam ducha albo rzucić się na was, kroczycie sobie ostrożnie między rzeźnikiem a policjantem, przejęci zbawiennym strachem przed skandalem i szubienicą, i zakładem dla obłąkanych – więc jakżebyście mogli sobie wyobrazić owe szczególnie krainy pradawnych wieków, dokąd nieskrępowane kroki mogą człowieka zaprowadzić przez samotność – zupełną samotność, bez policjanta – przez milczenie – zupełne milczenie, w którym się nie rozlegnie żaden głos dobrotliwego sąsiada, szepczącego o opinii publicznej. Te wszystkie drobne rzeczy składają się na wielką różnicę (s. 133).

Conrada interesuje w pierwszej kolejności właśnie różnica – różnica pomiędzy systemem a rzeczywistością, również maskowana przez pojęcie rozwoju cywilizacyjnego różnica pomiędzy kulturami.

Powyższy cytat dowodzi, że bardzo często ironia pisarza wymierzona jest w próby ewolucjonistów zmierzające do uratowania trwałości i wzniosłości systemu cywilizacji przed zakusami bezwzględного prawa doboru naturalnego. Już Darwin próbował przeciwstawić instynkty społeczne instynktom zwierzęcym jako determinantom doboru naturalnego na szczeblu ewolucji; decydującą rolę miała tu pełnić „pochwała i nagana naszych bliźnich” oraz współodczuwanie²². Na podobnym stanowisku stoi Thomas Huxley, który w eseju *Ewolucja i etyka* z roku 1893 eksponuje konflikt między prawami natury a światem człowieka, stwierdzając: „Powinniśmy raz na zawsze zrozumieć, że postęp etyczny społeczeństwa nie polega na naśladowaniu procesów kosmicznych ani tym bardziej na ucieczce od nich – ale na walce z nimi”²³. Charakterystyczne jest, że Huxley próbuje w ten sposób przeciwstawić przyrodnictwu „składnik tragiczno-sceptyczny”²⁴, a więc humanistyczny, ale

lecznych. Porównywając rządy dzikiego wodza z działalnością cywilizowanego rządu, posilającego się podwładnymi sobie zarządami miejscowymi i ich sługami aż do policyantów, stojących na ulicy, widzimy, jak w miarę posuwania się człowieka od plemion dziesięciotysięcznych do wielomiljonowych narodowości proces kierowniczy szeroko rozrastał się pod względem natężenia, jak ujęty w prawa przeszedł on od niejasności i nieprawidłowości do względnej ścisłości i jak ponownie rozpadał się on na procesy coraz bardziej wielokształtne”.

²² Por. K. Darwin, *O pochodzeniu...*, dz. cyt., s. 126–127.

²³ Cyt. za: Z. Najder, *Życie...*, t. 1, dz. cyt., s. 420.

²⁴ Por. tamże, s. 421.

diagnoza jest zbliżona do propozycji zawartej w piątym rozdziale *O pochodzeniu człowieka*: chociaż zapowiada on ciągłą walkę między cywilizacją a „stanem natury”, a konflikt moralny człowieka cywilizowanego, który najchętniej „zrzuciłby kopnięciem drabinę, po której sam wspiał się na górę” określa mianem „nieszczęsnego produktu ewolucji” – to jako element różnicujący wskazuje sumienie, „najskuteczniejszy hamulec antyspołecznych skłonności w człowieku”, oparty jednak, podobnie jak u Darwina, tylko na „strachu (...) przed opinią innych ludzi”²⁵. Marlow też wielokrotnie zastanawia się nad hamulcem (używa zresztą tego samego, co Huxley, określenia: *restraint*) i dochodzi do smutnego wniosku, że w przypadku człowieka cywilizowanego hamulcem jest tylko „zachowanie pozorów” (s. 122): „Zasady nie wystarczą. To nabytki, stroje, piękne szmatki – szmatki, które opadną przy pierwszym porządnym wstrząsie” (s. 113). Zwróćmy uwagę, że słowa te, wypowiedziane w kontekście konfrontacji kulturowej, „przeciwstawienia ich prawdzie tego, co w człowieku istotne”, eksponują problem relatywizmu kulturowego oraz wskazują, że prawa rządzące światem człowieka nie mogą zostać sprowadzone do zasad uniwersalnych; okazuje się bowiem, że jak długo nie będziemy poważnie myśleć o różnicy kulturowej, tak długo po opadnięciu „szmatek cywilizacji” będziemy mieli do czynienia jedynie z walką o byt.

To właśnie dlatego kolonialna rzeczywistość jest porównywana przez Conrada do śmietnika, ale nie tylko: w kilku miejscach znajdujemy również metafory odwołujące się do procesów rządzących światem przyrody. Marlow stwierdza na przykład, że najchętniej złożyłby prawdę o Kurtzu na „śmietniku postępu, wśród wszelkich odpadków i (...) wszelkiej padliny cywilizacji” (s. 136)²⁶. Podobnie zwiedzając stację w dole rzeki, widząc wśród kupy złomu przewrócony do góry nogami wagonik, Marlow porównuje go do „trupa jakiegoś zwierzęcia” (s. 79). Conrad pokazuje zatem, że cywilizacja nie jest odcięta od procesów zachodzących w przyrodzie; cywilizacja i jej koniec okazują się jedynie elementem prawa natury i Conrad z żelazną konsekwencją stosuje te prawa. Gdzie indziej, porównując swój „umorusany sadzą parowiec” do „ociężałego chrząszcza łąącego po posadzce wysokiego portyku” (s. 111), Marlow dokonuje inwersji między światem cywilizacji i natury. Nagle owa maszyna tkacka wiedzy i postępu, podobnie jak maszyna

²⁵ Cyt. za: I. Watt, *Conrad...*, s. dz. cyt., 187–188.

²⁶ W oryginale, J. Conrad, *Heart of Darkness. An Authoritative Text, Back grounds and Sources, Criticism*, ed. by Robert Kimbrough, New York–London 1988, s. 51, odpowiednio: *the dustbin of progress i the dead cats of civilisation*.

parowa „blaszanki” Marlowa przestają być czymś wyjątkowym wobec ogromu natury. Płynąc ku „jądru ciemności” Marlow doświadcza złudności podziału pomiędzy naturą i cywilizacją według prawa doboru naturalnego; dokonując transgresji tej opozycji, Marlow uświadamia sobie ograniczenie retoryki i konieczność uwzględnienia w swojej opowieści doświadczenia różnicy kulturowej. Zobaczmy to wyraźnie odwołując się do przetworzonej przez Conrada metafory cywilizacji jako ogrodu autorstwa Huxleya.

W *Prolegomenie* do tomu *Ewolucja i etyka* Thomas Huxley przedstawia cywilizację człowieka jako wytwór „procesu ogrodniczego” (*the horticultural process*): cywilizacja to ogród pielęgnowany przez „ogrodnika” wykorzystującego dzięki swej inteligencji siły „procesu kosmicznego” natury; ponieważ ogrodnik robi wszystko, aby zbliżyć się do ideału w swej pracy, ogród jest efektem działania nie doboru naturalnego, lecz celowej selekcji (*direct selection*) wzorowanej na ideale²⁷. Stworzenie ogrodu oznacza przekształcenie „stanu natury” w „stan sztuki” (*the state of Art*); przez dzieło sztuki rozumie Huxley wszelkie cywilizacyjne udogodnienia wprowadzane przez człowieka, „od krzesiwa po katedrę i zegarek”. Aby jednoznacznie odróżnić „stan sztuki” od „stanu natury”, Huxley dołącza tutaj również „proces etyczny” (*the ethical process*), który dzięki świadomości, współodczuwaniu oraz sumieniu gwarantuje, że „celowa selekcja” zmieni się w prawa etyczne i ustroj polityczny regulujące trwałość i porządek w ogrodzie. Huxley, podobnie jak inni ewolucjoniści próbuje zatem niejako „uczłowieczyć” prawa natury, którym będąc konsekwentnym ewolucjonistą – nie można zaprzeczyć; w efekcie, ogłaszając walkę między „stanem natury” a „stanem sztuki”, przedstawia cywilizację jako twór stanowiący nadbudowę względem praw natury i jednocześnie całkowicie od niej odrębny, tak jakby stwierdzał, że cywilizowany człowiek równocześnie jest i nie jest podmiotem doboru naturalnego²⁸.

W tekście Huxleya pojawia się jednak dodatkowo kolejny, ważniejszy w kontekście *Jądra ciemności* paradoks, który związany jest z próbą przełożenia przez ewolucjonistę metafory ogrodu na proces formowania kolonii, jako tworu bliższego światu cywilizowanego człowieka. Załóżmy, pisze Huxley, że statek wypełniony kolonistami wysłanymi z Anglii w celu stworzenia osady, przybija do brzegu kraju takiego,

²⁷T. Huxley, *Prolegomena*, [w:] tegoż, *Evolution and Ethics*. Tekst oryginału za: Project Gutenberg, <http://www.gutenberg.org/dirs/etext01/thx2010.txt>; data dostępu: 29.10.2009 r.

²⁸Por. W. Irvine, *Apes, Angels and Victorians. Darwin, Huxley, and Evolution*, New York 1959, s. 351.

jak na przykład Tasmania. Po wylądowaniu znajdują się oni w samym środku stanu natury (*in the midst of state of nature*). Otaczający ich świat przyrody różni się od wszystkiego, co wcześniej widzieli. Aby założyć na tym terenie kolonię muszą oni usunąć miejscową roślinność, wytępić lub wygnać (*extirpate or drive out*) lokalne gatunki zwierząt, bronić się przed ich powrotem i chronić wprowadzone na ich miejsce angielskie zboże, angielskie drzewa owocowe, angielskie psy, owce, bydło, konie i ludzi. Koloniści mają postępować tak jak ogrodnik, który chroni i kulturuje swój ogród. Chciałbym zwrócić uwagę na szokujący fakt: w tekście Huxleya nie ma do tej pory ani słowa o jakichkolwiek tubylcach, którzy uprzednio by tam mieszkali²⁹. Ponieważ rozgrywka toczy się jedynie pomiędzy cywilizowanym człowiekiem a światem przyrody, „dziki” pojawia się jedynie jako zewnętrzne zagrożenie, zrównane z fauną i florą: jeżeli cywilizowani imigranci będą leniwi lub głupi, „dziki” ich zniszczy (*the native savage will destroy the immigrant civilized men*); kolonista mógłby zatem powstrzymać tę konkurencję z zewnątrz poprzez gruntowne tępienie i wykluczanie lokalnych rywali, niezależnie od tego, czy są to ludzie, zwierzęta czy rośliny („In the first place, he would, as far as possible, put a stop to the influence of external competition by thoroughly extirpating and excluding the native rivals, whether men, beasts, or plants”). Kiedy kolonia osiągnie granice ekspansji pojawia się problem selekcji przydatnych i silnych jednostek. Dopiero tutaj Huxley dostrzega konieczność zatrzymania tego „nadprzyrodzonego okrucieństwa” (*preternatural ruthlessness*) prawa selekcji, dopiero tutaj odwołuje się do etyki, współczucia i społeczeństwa. Pomimo to do problemu „Tasmańczyków” już nie powróci, a „proces etyczny” nigdy nie będzie stosowany do sąsiadów. Zresztą w roku 1893, kiedy Huxley pisał *Prolegomenę*, Tasmańczycy mogą być już co najwyżej figurą retoryczną: Truganini, ostatnia przedstawicielka ludu, do „usuwania” którego lokalna prasa kolonistów namawiała słowami „ścigać jak dzikie bestie i zgładzić”, zmarła w 1876 roku a jej szkielet stał się muzealnym eksponatem; los Tasmańczyków tłumaczono za pomocą koncepcji Cuviera i Darwina³⁰.

Podkreślam, że chcę zwrócić uwagę na wewnętrzne ograniczenia i aporie teorii, a nie sugerować rasizm ewolucjonistów. Darwin dookreślając pojęcie gatunku stworzył naukowe podstawy do walki z rasizmem; pierwsi antropolodzy kulturowi, tacy jak Tylor, angażowali się w działalność Aboriginal Protection Society; ewolucjonizm jako całość

²⁹ Zwraca na to uwagę A. Hunter, *Joseph Conrad...*, dz. cyt., s. 20.

³⁰ Por. S. Lindqvist, *Wytępić...*, dz. cyt., s. 161-164.

zakładał tożsamość natury ludzkiej. Jednakże perspektywa diachroniczna sprowadzała problem kontekstu kulturowego do etapu w rozwoju ludzkości, natomiast „odkrywane” w procesie dedukcji prawa rzeczywistości w sposób bezlitosny nakazywały eliminować i pomijać etapy przejściowe. Fakt relatywizmu kulturowego traktowany jest jako swoisty „poza-tekst”: obcy kontekst kulturowy dostarcza materiału i przykładów na potwierdzenie teorii rozwoju, ale jako całość wyrzucany jest w otchłań prehistorii. Paradoksalnie, antropolodzy ewolucjonistyczni są skłonni przyznać, że każdy lud posiada kulturę w sensie „stylu życia”, ale i tak nadrzędna jest perspektywa rozwojowa wyznaczana przez cywilizację europejską³¹; dobrze oddaje tę strategię stwierdzenie zawarte w rozprawie Johna Lubbocka *Początki cywilizacji*: „(...) charakter względny różnych ras, jako kwestya filozoficzna do zbadania, jest mniej interesującym przedmiotem, niż stan moralny niższych ras ludzkich uważanych jako jedna całość”³². W efekcie nowa nauka o człowieku i cywilizacji przekształca się w zakończeniu *Cywilizacji pierwotnej* Tylora w „naukę reformowania”, walczącą z „zabytkami dzikiej, starodawnej kultury” – dla dobra ludzkości³³. Między innymi dlatego właśnie, jak stwierdza Adam Kuper, „urzędnik kolonialny niezachwianie wierzył w teorię ewolucjonistyczną i związaną z nią skalę wartości. Czuł się zobowiązany do wypełniania swych obowiązków zgodnie z tą ideologią”³⁴.

Jak zauważa Stanley Renner, w swoich utworach Conrad bardzo często przedstawia „ogrodników”, którzy przegrywają z atakiem natu-

³¹ Na temat koncepcji kultury w antropologii ewolucjonistycznej zob. np. P. Chmielewski, *Kultura i ewolucja*, Warszawa 1988, P. Lutyński, *Ewolucjonizm w etnologii anglosaskiej a etnografia radziecka*, Łódź 1956.

³² J. Lubbock, *Początki cywilizacji. Stan pierwotny człowieka i obyczaje dzikich współczesnych*, t. 3, przekł. B. i Z., Nakładem Redakcyi „Przeglądu Tygodniowego”, Warszawa 1873, s. 77.

³³ Por. E.B. Tylor, *Cywilizacja pierwotna. Badania rozwoju mitologii, filozofii, wiary, mowy, sztuki i zwyczajów*, t. 2, przekł. Z. A. Kowerska, Wydawnictwo „Głosu”, Warszawa 1896, s. 377: „Etnografia, napelniając umysł ludzki wiarą w zasadę rozwoju, skłoni go do prowadzenia w dalszym ciągu dzieła postępu, rozpoczętego od wieków, a nie wpływając wcale na osłabienie czci dla przodków, pozwoli człowiekowi zabrać się do dzieła z większą siłą, bo zaprawdę światło wzmoгло się na świecie, a tam, gdzie hordy barbarzyńców błędziły w ciemności, ludzie ucywilizowani kroczą śmiało ku światłu. Trudniejszym i czasem nawet bolesnym zadaniem etnografii jest wykrywanie takich zabytków dzikiej, starodawnej kultury, które stały się szkodliwymi przesadami i skazywanie ich na zagładę; praca to mniej świetna, lecz koniecznie potrzebna dla dobra ludzkości. Tak więc przyczyniając się do postępu i usuwając grożące mu przeszkody, nauka dziejów cywilizacji jest w gruncie rzeczy nauką reformowania”.

³⁴ A. Kuper, *Między charyzma a rutyną. Antropologia brytyjska 1922–1982*, przekł. K. Kaniowska, Łódź 1987, s. 154–155.

ry a dżungla pochłania ich ogrody w sensie dosłownym i przenośnym. Szczególnie w *Jądrze ciemności* pisarz eksploatuje tę metaforę, prezentując losy kolonii zawiadywanej przez „idealnego administratora”; natura upomina się w tym przypadku o swoje terytorium poprzez brutalne instynkty, które dochodzą do głosu w samym ogrodniku – Kurtzu³⁵. Jednakże w „jądrze ciemności” człowiek nie mierzy się tylko i wyłącznie z naturą i własnymi instynktami – musi również podjąć się konfrontacji z odmienną kulturą i uznać jej inność.

Ten sam problem ilustruje różnica w sposobie przywołania rzymskich podbojów Brytanii, który to obraz otwiera zarówno *Prolegomenę* Huxleya, jak i utwór Conrada³⁶; zresztą porównywanie Brytanii z okresu Cesarstwa Rzymskiego do współczesnej Anglii to bardzo częsta figura retoryczna w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, wykorzystywana w celu ukazywania w szerszej perspektywie rozwoju cywilizacyjnego. Huxley rozpoczyna swój tekst następująco: „Z całą pewnością można stwierdzić, że dwa tysiące lat temu, zanim Cezar postawił stopę w południowej Brytanii, cała okolica widoczna z okien pokoju, w którym piszę, pozostawała w »stanie natury«”. Zwróćmy uwagę na fakt, że historia podboju Brytanii postrzegana jest tutaj, po pierwsze, poprzez pryzmat wielkiej, bardzo ogólnie potraktowanej postaci historycznej, po drugie, sprowadza się do podboju natury przez cywilizację – autor bowiem nie wspomina o Brytach. Z kolei Conrad redukuje figurę Cezara do postaci legionisty, „młodego obywatela” rzymskiego, który musi zmierzyć się nie tylko z „dziczą”, ale też „dzikimi ludźmi” (s. 63–64). Właśnie ta konfrontacja interesuje Conrada w pierwszej kolejności.

Jak stwierdza Aleksander Fiut, *Jądro ciemności* to „przypowieść o spotkaniach z Innym – niepojętym, zagadkowym, umykającym rozumieniu i ułomnemu słowu”³⁷. Zwróćmy uwagę, że Marlow próbuje posługiwać się znaną sobie retoryką ewolucjonistyczną; odrzuca co prawda hasła postępu, ale podróż w górę rzeki okazuje się podróżą w głąb czasu, „do najwcześniejszych początków świata” (s. 109), w celu odnalezienia „prawdy bez maski czasu” (s. 113), tam, gdzie treść przelewa się przez formy, gdzie ogląda się „potworny stwór na swobodzie” (s. 112). Zderzenie z tą „naturalną” ciemnością człowieka akurat w głębi

³⁵ Por. S. Renner, *The Garden of Civilization: Conrad, Huxley, and the Ethics of Evolution*, „Conradiana” 1975, nr 2, s. 114–116.

³⁶ Por. A. Hunter, *Joseph Conrad...*, dz. cyt., s. 18–19.

^{37A} Fiut, *Wariacje o „Jądrze ciemności”*. Tekst na stronie internetowej: http://www.culture.pl/pl/culture/artykuly/es_conrad_wariacje_o_jadrze_ciemnosci; data dostępu: 12.05.2008 r.

Afryki bywało powodem oskarżania pisarza o rasizm³⁸. Zgodzić należy się jednak z Aleksandrem Fiutem, że „przed pojawiającym się niekiedy zarzutem hołdowania dyskursowi imperialnemu Conrada chroni skutecznie zobiektywizowanie tego dyskursu w formie przytoczonej opowieści, a zarazem – przeniecanie go i demaskujące podważenie poprzez skonfrontowanie zaprezentowanych tam ogólnych ocen z przytoczonymi obok faktami”, co sprawia, że doświadczenie – konieczność uznania i zaakceptowania obecności kanibali w ogrodzie cywilizacji, na brzegach rzeki, na pokładzie własnego statku – prowadzi Marlowa tam, gdzie systemy pojęć wypracowane w jego epoce już nie wystarczają³⁹. A zatem Conrad pokazuje nam zmagania Marlowa z samym sobą; doświadczenie każe mu stwierdzić: „zrozumienie tego, co nas otaczało, było dla nas niemożliwe”, chociaż on sam próbuje porównywać to uczucie do reakcji człowieka normalnego na wizytę w zakładzie dla obłąkanych (s. 112); mówi o pokrewieństwie człowieczeństwa – chociaż „odległym” (s. 112–113). Synchroniczne doświadczenie na każdym kroku rozsadza bezpieczny schemat diachroniczny. Najważniejszym odkryciem Marlowa jest chyba to, że obok „jądra ciemności” natury i metafizyki, obok nas, są inni ludzie. Każe mu to powiedzieć o swojej załodze złożonej z tubylców, tak po prostu: „bycze chłopy – ludożercy” (s. 110). Marlow używa określenia *fellow* („Fine fellows – cannibals”⁴⁰), które oznacza przede wszystkim towarzysza i podobną istotę, podczas gdy z tym sposobem określenia dzikiego nie mógł pogodzić się w czasie podróży na okręcie „Beagle” Darwin, który tak pisał wtedy o mieszkańcach Ziemi Ognistej: „Gdy patrzy się na takich ludzi, trzeba się zmusić, by uwierzyć, że to nasi bliźni (*fellow creatures*) i mieszkańcy tej samej ziemi”⁴¹. Trudne to było dla Darwina – pomimo całego jego współczucia dla mordowanych w Ameryce Południowej Indian – ponieważ już wtedy wpisał on obcy kontekst kultury w całość procesów rządzących przyrodą: „Spośród poszczególnych obiektów przyrody [podkr. – M.P.] największe zdumienie budzi widok barbarzyńcy w jego rodzi-

³⁸ Por. Ch. Achebe, *An Image of Africa: Racism in Conrad's "Heart of Darkness"*, [w:] J. Conrad, *Heart...*, dz. cyt., s. 251–262.

³⁹ Por. A. Fiut, *Wariacje...*, dz. cyt.

⁴⁰ J. Conrad, *Heart...*, dz. cyt., s. 36.

⁴¹ K. Darwin, *Podróż na okręcie „Beagle”*, [w:] *Dzieła wybrane*, t. 1, przekł. K. Szarski, Warszawa 1959, s. 224. W oryginale słowa te cytuje w kontekście problemu „niepoznawalności” Obcego John W. Griffith, *Joseph Conrad and the Anthropological Dilemma: "Bewildered Traveller"*, Clarendon Press, Oxford 1995, s. 34–35: „(...) the naked barbarian (...) whose very gestures, whether they may be peaceable or hostile, are unintelligible, with difficulty we see a fellow creature”.

mym kraju – widok człowieka na jego najniższym i najdzikszy szczeblu⁴². Naiwnym byłoby stwierdzenie, że wyjątkowość Marlowa polega na umiejętności dostrzeżenia człowieczeństwa w kanibalach; widzimy tutaj jednak „odkrycie samej niemożności wtajemniczenia”⁴³: w obliczu nieznanego pryska metafizyka i retoryka, Marlow, w przeciwieństwie do Kurtza wkręconego przez mechanizm maszyny tkackiej, tkającego dyskurs, musi uczciwie przyznać, że nie potrafi podsumować swojego doświadczenia.

Allan Hunter wspaniale wykazuje w swojej pracy, że w przypadku *Jądra ciemności* mamy do czynienia z procesem demitologizacji darwinizmu (choć dotyczy to raczej całego ewolucjonizmu) w szczególnym znaczeniu, jakie nadał temu pojęciu Roland Barthes⁴⁴. Mamy zatem do czynienia z konstruowaniem przez pisarza trzeciego łańcucha semiologicznego ilustrującego proces budowania mitu – mitu, który łączy w sobie retorykę przyrodoznawstwa, ewolucjonizmu i kolonializmu. Jak sugeruje Hunter, mamy tu do czynienia właśnie z demitologizacją, a nie z symbolizmem, jak często klasyfikuje się *Jądro ciemności*: istotnie, Conrad uruchamiając maszynę wiedzy intensywnie wykorzystuje znaki i figury typowe dla owej retoryki, dokonuje jednak, jak już wskazałem, przemieszczeń pomiędzy ich znaczeniami oraz przenosi je w zaskakujące konteksty. Conrad nie podejmuje zatem frontalnego ataku na współczesny sobie dyskurs, ale przede wszystkim ilustruje jego działanie, tworzy słownik jego pojęć: kradnie mit i eksperymentuje na nim⁴⁵. Jednocześnie pisarz eksponuje wysiłek podejmowany przez Marlowa, jego uwikłanie w mityczną maszynę i próby wyrwania się z mitu: krzyżuje z sobą retorykę i transgresję. Tym samym można zastosować do *Jądra ciemności* stwierdzenie Jacquesa Derridy: „Dzieło obciążone oczywistymi, kanonicznymi tezami »metafizycznymi« może dzięki zawartemu w nim procesowi pisania, wywoływać o wiele bardziej »dekonstrukcyjne« skutki niż tekst uznający się za tekst skrajnie rewolucyjny, a nie naruszający w istocie norm lub trybów tradycyjnego pisarstwa”⁴⁶. Za sprawą podjętego przez Conrada wysiłku – procesu niedokończonego i nierozstrzygniętego – widzimy zapowiedź nadchodzącego z początkiem XX wieku,

⁴² K. Darwin, *Podróż...*, dz. cyt., s. 538.

⁴³ Por. A. Fiut, *Wariacje...*, dz. cyt.

⁴⁴ Por. A. Hunter, *Joseph Conrad...*, dz. cyt., s. 55–57.

⁴⁵ Por. R. Barthes, *Mit dzisiaj*, przekł. W. Błońska, [w:] tegoż, *Mit i znak. Eseje*, wybór i słowo wstępne J. Błoński, Warszawa 1970, s. 55–56.

⁴⁶ *Ta dziwna instytucja zwana literaturą. Z Jacquesem Derridą rozmawia Derrek Attridge*, przekł. M.P. Markowski, „Literatura na świecie” 1998, nr 11–12, s. 197.

w opozycji do przyrodoznawstwa, przełomu „wyobraźni antropologicznej”, za sprawą której „byt nie jest jednorodny, lecz różnorodny, a miejsce schematu linearnego następstwa jego form przyrodniczych zajmuje wizja wielobarwnej polimorfii jego form kulturowych”⁴⁷. Conrad sugeruje, że machina tkacka pracuje i będzie pracować, ale tylko od nas zależy, jak ustosunkujemy się do tego faktu; myślę że Conrad podpisałby się pod stwierdzeniem Svena Lindqvista, stanowiącym kłamrę jego książki o *Jądrze ciemności*: „To nie wiedzy nam brakuje. Brak nam odwagi, by zrozumieć to, co wiemy, i wyciągnąć z tego wnioski”⁴⁸.

Marek Pacukiewicz

**Cannibals in the garden.
Evolutionism and its demythologization
in Joseph Conrad's *Heart of Darkness***

Joseph Conrad in his works frequently tests contemporary scientific theories and ideologies by re-applying them to the 'real' world of the common thought (Allan Hunter's notice) and confronting with a different cultural context. In the same way the writer deals with evolutionism: we find a lot of references to Darwinian "survival of the fittest" theory, Spencer's social evolutionism and Huxley's ethical considerations in Conrad's works. In *Heart of Darkness* the writer travesties the metaphor of civilization as a garden which should be cultivated according to the universal rules of the "horticultural process", the metaphor used by Huxley in *Prolegomena to the Evolution and Ethics*. Doing this, Conrad tends towards examining the ethical limitations of evolutionary theory applied as a justification for colonial genocide. Simultaneously, pointing to the necessity of synchronous and contextual approach to the problem of cultural relativism the writer tries to transcend the linear scheme of evolution based on the simplified opposition between nature and civilization.

⁴⁷ A. Mencwel, *Wstęp: wyobrażenia antropologiczne*, [w:] *Antropologia kultury. Zagadnienia i wybór tekstów*, oprac. G. Godlewski, L. Kolankiewicz, A. Mencwel, P. Rodak, wstęp i red. A. Mencwel, Warszawa 2005, s. 14.

⁴⁸ S. Lindqvist, *Wytępić...*, dz. cyt., s. 11 i 232.

Marek Mikołajec
Uniwersytet Śląski, Katowice

Arcyludzkie i zwierzęce na przykładzie *Pamiętnika Stefana Czarnieckiego* Witolda Gombrowicza

Biologia jest w podobnej mierze ekscytująca, co powieść detektywistyczna. Jednak, co trzeba przyznać, zawęża możliwości opisu. Przyjmuje perspektywę nakreśloną przez kryteria nauki. Zostawiając wszystko, co się w nich nie mieści. Nowe spojrzenie na człowieka, zmiana jaka zaszła za sprawą odkryć XIX wieku, przyniosła wiele zalet i wad. Przyrodoznawstwo okazało się miejscem zetknięcia podmiotowości ludzkiej i zwierzęcia, człowieka w aspekcie kulturowym i zwierzęcym. W spojrzeniu spoza perspektyw przyrodoznawstwa ujawnił się paradoks natury jako wewnętrznie sprzecznego miejsca, konstruktu kulturowego i nieredukowalnego życia biologicznego (*dzoē* – cechy wspólnej wszystkim ożywionym istnieniom). Gombrowicz wykorzystuje potencjał tego paradoksu, tworząc fascynujące obrazy, ukazujące złożoną naturę, sprzeczną i ciemną. Świat natury w jego twórczości jest niepewny, rozchwiany, wariacki, nie udaje się go objaśnić racjonalnie. Najlepiej powiedzieć, że ma skłonność do przekroczenia, nienormalności. Jest konsekwencją myślenia podarwinowskiego, z nieustannym nawiązaniem do jego niepełnej formuły opisu człowieka¹. Gombrowicza

¹ Świadomość walki, także tej toczonej o własną wybitność, z całą pewnością mieści w sobie inspiracje Darwinowskie. Selekcja naturalna osadza się na byciu fit: oznaczającym bycie zdrowym, a także dostosowanym do miejsca. Rzuca to nowe światło na centra fitness i siłownie, które są ucieleśnieniem praktyki doskonalącej atrakcyjność gatunkową. Somatoestetyka opisywana inspirująco przez Richarda Shustermana, może być wspomagana przez refleksje o charakterze ewolucjonistycznym. Ale to zupełnie inny temat. Gombrowiczowskie podmioty stale są fit, choć mogłoby się wydawać, że posiadają niezby-

interesują konsekwencje przyrodoznawczego opisu tylko wtedy, gdy można wykazać, że działają wadliwie, niedostatecznie i domagają się ponownego rozpatrzenia, krytyki, którą najznakomiciej oddaje parodia. I mam tu na myśli nie tylko znaczenie słownikowe. Parodia, czyli „pieśń obok”, jest przede wszystkim odwróconą rapsodią, zerwaniem mowy ze śpiewem, otwarciem przestrzeni *parā* – wynaturzającej to, co podlega przedstawieniu.

Chcę w tych rozważaniach przyrzeć się kilku fragmentom *Pamiętnika Stefana Czarnieckiego*. Istnieją na polu nauki rozbieżne koncepcje istnienia ludzkiego². Jedna z nich wyraża się za pomocą sugestywnej, choć nieco mylącej metafory Richarda Dawkinsa, przedstawia on organizm jako wehikul wykorzystywany przez konsorcjum samolubnych genów do przetwarzania zasobów środowiska na swoje kopie³. Giorgio Agamben proponuje odmienny sposób interpretacji podmiotu. Rzuca się w oczy podstawowa różnica w ujęciu człowieka, którą można wyrazić pytaniem organizm, czy podmiot? Człowiek, zdaniem autora *Otwartej*, w obrębie myśli humanizmu prezentowany jest jako machina antropologiczna. Ta perspektywa zasadza się na stale podnoszonej różnicy pomiędzy tym, co w nim ludzkie i co zwierzęce. Optyka przyjęta przez Dawkinsa, przy powyższych założeniach jest niepraktyczna, przynajmniej z dwóch powodów.

Po pierwsze dlatego, że wynika z odmiennego spojrzenia i przyjmuje zasadniczo różne definicje niż propozycja włoskiego filozofa. Dlatego trudno o wypracowanie wspólnych stanowisk w obrębie tych dziedzin. Przyrodoznawstwo i filozofia różnią się od siebie, choćby dlatego, że filozofia nie znosi całkiem swojego powołania metafizycznego. Przyznać trzeba, że rzadko w kręgu humanistyki myśli się o człowieku w kate-

walne cechy, mogące w danym kontekście uzgodnić się do jednej osoby, pisarza Witolda Gombrowicza. Z jednej strony dopasowują się, a z drugiej pozostają niezmiennie, zbliżając się w tych „ruchach” do ewolucji genologicznej gatunków literackich.

² Przyjrzyjmy się temu, co na temat selekcji naturalnej mówi noblista profesor biologii, George Wald. Zaproponował on wytłumaczenie pojęcia selekcji naturalnej za pomocą metafory, analogii do edycji tekstu. Podobnie jak w pierwszej, niepoprawionej wersji tekstu do wygładzonej, poprawionej, początkowy szkic organizmu może być słabym przybliżeniem formy ostatecznej. Szkic jest zakodowany w genomie, który powiela się w rozmaitych formach. Gorsze wersje zostają odrzucone, bo większość organizmów umiera, a lepsze wersje zostają zatrzymane, by wyprodukować następną generację próbek. Wald zapomina jednak o roli redakcji w tym tworzeniu. Właśnie jedna z takich marginalnych uwag z wersji gorszej, wydającej się stwierdzeniem mylnym i wątpliwym stała się przyczyną napisania niniejszych rozważań.

³ http://www miesiecznik.znak.com.pl/weiner_551.html. Por. J. S. Hodge, *Before and After Darwin. Origins, Species, Cosmogonics, and Ontologies*, Hampshire 2008.

goriach wehikułu materiału biologicznego, zawierającego miliony samolubnych genów. Autor *Wspólnoty, która nadchodzi* zmierza w stronę krytyki podmiotu jako tworu, tylko kulturowego, czy wyłącznie biologicznego. Nie zadowala go także nazywanie istnienia ludzkiego *homo animalis* – ludzkie zwierzę, ani *animal rationale* – racjonalne zwierzę. Filozof projektuje taką sytuację pojednania, która zawiesza rozziw, różnicę dzielącą człowieka i zwierzę. Agamben proponuje przesunięcie tej granicy w pole niewiedzy. Jest to pewnego rodzaju marzenie o pojednaniu człowieka z jego zwierzęcą naturą. Jego warunkiem jest konieczność zawieszenia relacji pomiędzy człowiekiem i zwierzęciem. Różnicy, która nie może zostać sprowadzona w obręb wiedzy, która wyłącza działanie antropologicznej maszyny humanizmu (antropocentryzmu). Zgoda na własną biologiczną skończoność, zwierzęcość wymaga przemiany nastawienia do świata⁴.

Konfesje sprowadzone do niewiedzy są zasadniczym problemem niniejszych rozważań o *Pamiętniku Stefana Czarnieckiego*, tyle że przyjmujemy kilka różnych perspektyw interpretacyjnych:

I dziś nie pojmuję dobrze, nie znając teorii, nie wiem jakiej maści jest szczur, zrodzony z czarnego samca i białej samicy, przypuszczam tylko, iż u mnie zaszedł wyjątkowy casus, niespotykany wypadek, ten mianowicie, że wrogie rasy rodziców, będąc ściśle jednakowej siły, zneutralizowały się we mnie tak doskonale, iż jestem szczurem bez maści, bez koloru⁵.

W tekście znajduje się informacja, że w wersji z 1933 roku mowa była o teorii Mendla. Ten fragment *Pamiętnika z okresu dojrzewania* w za-

⁴ *Bestiarium* Gombrowicza wybrane przez Włodzimierza Boleckiego ukazuje zwierzęta znosząc mit postępu od niższych do wyższych form życia. „Postęp jest pojęciem dotyczącym współczesnej cywilizacji. Możemy dostosować ten termin do ludzkich spraw i ludzkiej historii (choć ten punkt widzenia także jest dyskusyjny), ale jest błędem stosowanie go ogólnie do świata biologicznego. Starą tradycją biologii jest używanie terminu »niższe zwierzęta« jako określenia robaków, małży i tym podobnych, natomiast nazywanie ptaków i ssaków terminem »zwierzęta wyższe«. Współcześni biolodzy jednakże powinni starać się unikać takich terminów. Stare terminy »niższy«, czy »wyższy« wyrastają z ludzkiego rozumienia słowa postęp, ale są błędnie stosowane do świata organizmów, w którym coś takiego nie istnieje. Opierają się na archaicznym pojęciu Drabiny Bytów obejmującym stworzenia od najniżej zorganizowanych najprostszyc aż do najbardziej złożonych (oczywiście ludzi), a także pozaludzkie istoty do aniołów i Boga. Prawdą jest, że cała historia życia na Ziemi była świadkiem ewolucji większych, bardziej złożonych istot, lecz nawet jeśli się przyjmie taką wizję »postępu« w przyrodzie, to stwierdzone jest, że ewolucja zawiera mnóstwo zmian w kierunkach, których nikt nie mógł nazwać postępem”. B. S. Guttman, *Ewolucjonizm. Co warto wiedzieć*, przekł. J. Klag, Gliwice 2008, s. 11.

⁵ W. Gombrowicz, *Opowiadania*, Paryż 1972, s. 26.

sygnalizowanej wykładni wydawał się nadinterpretacją. Jednak po bliższym przyjrzeniu się propozycji Grzegorza Mendla, okazało się, że ślady koncepcji dziedziczenia są ważnym tropem do odczytania fragmentów *Pamiętnika Stefana Czarnieckiego*. W tekście oraz w kilku innych z pierwszego tomu opowiadań, szczególnie w *Zdarzeniach na brygu Bunbury* wyraźnie widać poważne i zabawne parodie języka przyrodznawstwa.

Wpierw jednak należy rozważyć jeszcze inną odsłonę parabiologii Gombrowicza. Stefan Czarniecki tak do swojej historii wprowadza postaci ojca i matki:

Widzę ojca mego, pięknego mężczyznę, wyniosłej postawy, o twarzy, w której wszystko spojrzenie, rysy i szpakowaty włos, składało się na wyraz doskonałej, szlachetnej rasy. Widzę i ciebie, matko, w nieposzlakowanej czerni, jedynie z parą starożytnych butonów w uszach. (...) – Jedyłą, być może, skazą rodzinnego naszego życia było, iż ojciec nienawidził matki. Nienawidził – źle powiedziałem: nie znosił raczej, a dlaczego nie umiałem odpowiedzieć i tu już zaczyna się tajemnica, której opary w latach dojrzałych doprowadziły mnie do moralnej katastrofy⁶.

Nienawiść i wstręt żywiony do żony miał, jak się okaże, źródło w niepożądanym aparycji oraz chyba przede wszystkim w pochodzeniu:

I dodał spokojniej cichym głosem nabrzmiałym męczarnią: – Ach jaka ty jesteś okropna. Ty nie możesz wiedzieć, jaka jesteś okropna. Łysina zresztą to szczegół, nos również, ten lub ów szczegół może być okropny, to się zdarza nawet i w rasie aryjskiej. Ale ty jesteś okropna w całości, przepojona ohydą od stóp do głowy, ty jesteś samą ohydą⁷.

Odraza o charakterze rasistowskim nie pojawiła się, ot tak, była obecna od początku tego dziwnego małżeństwa, zdawałoby z rozsądku. Stefan snuje domysły, co do swego poczęcia:

Sądzę, że stworzony zostałem niejako – przemocą, z zaciśniętymi zębami, wbrew naturalnym odruchom, słowem, przypuszczam, że ojciec mój czas jakiś w imię małżeńskiego obowiązku heroicznie zmagał się ze wstrętem (honor bowiem swojej męskości stawiał ponad wszystko) i że owocem tego heroizmu byłem ja – małe dziecko⁸.

Jednorazowy heroizm ojca, który wbrew naturalnym odruchom zmusza się do współżycia z małżonką jest w oczach Stefana najlepszym

⁶Tamże, s. 19.

⁷Tamże, s. 20.

⁸Tamże.

świadectwem męskiego honoru. Z determinant wartościujących ojca i matki ułożyć można równanie, czy tabelkę płci, w skrócie: po stronie ojca występują takie cechy: zubożały szlachcic + honor + piękno + heroizm = po stronie matki: córka bogatego bankiera + czerni + butony (kolczyki, które nie wiszą) + ohyda. Wcale nie tak, bardzo ewidentne jest uprzywilejowanie postaci ojca. Stefan „nie czuł do matki żadnej awersji”, ojciec zaś czuł ohydę. Jest to znaczący przykład odrzucenia, który by rosnąć w siłę wcale nie potrzebuje przeciwności, czerpie siłę ze wszystkiego, co spotyka na swej drodze.

Dyskurs rasistowski ojca jest skryty pod stylem, pod inaczej pojętym honorem i męskim obowiązkiem. Jerzy Ziomek uważa, że naczelną cechą stylu Gombrowicza jest posługiwanie się solecyzmami. Solecyzm to według zasad antycznej retoryki błąd w zestawieniu słów (gr. *soloikos* = mówiący nieprawidłowo, nieokrzesanie, niezwykle). Honor i heroizm w pożyciu małżeńskim jest więc solecyzmem *per immutationem* i zastępuje on kluczowe: rasizm i obłudę, które nie należały do całości. Warto przyrzec się jeszcze, jak wygląda ojcowska troska o syna.

Czasami ojciec brał mnie na kolana i z niepokojem, długo badał moje oblicze. – Nos jak dotąd – mój – słyszałem, jak szeptał. – Chwała Bogu! Ale tu w oczach... i w uszach... biedne dziecię! – i szlachetne jego rysy ściągały się bólem. – Okropnie cierpieć będzie, gdy dojdzie do świadomości, nie zdziwiłbym się, gdyby dokonało się w nim coś w rodzaju wewnętrznego pogromu.

O jakiej mówił świadomości i jakim pogromie?⁹ – w czasie powstania owego opowiadania słowo pogrom niosło oczywiste konotacje. Ojciec Stefana Czarnieckiego, śledzący rysy potomka, oprócz „ojcowskiej troski” daje przykład snobistycznej, szlacheckiej rasowej czystości określonej jako eugenika pozytywna. Myślenie eugeniczne jest represyjne – dzieli ludzi na kategorie: pożądaných, tych, którzy dysponują odpowiednimi cechami oraz niepożądanych, których trzeba wyeliminować. Fryderyk Nietzsche w książce *Z genealogii moralności* w ramach dość kontrowersyjnych rozważań filologicznych, zajmuje się dowodzeniem, czy słowo „dobry” znaczyło tyle co dostojny, szlachetny. Są to rozważania przydatne do rekonstrukcji myślenia ojca Czarnieckiego. Nietzsche przypomina jednak o tym, że słowo „dobry” stosowane jest w wielu kontekstach i nie da się zbudować interpretacji jednoznacznej, utwierdzającej proponowaną etymologię. Nietzsche przywołuje kategorię resentyment-

⁹Tamże, s. 22.

tu, zdaje się, że znajduje ona zastosowanie w *Pamiętniku*. Można bowiem powiedzieć, że ojcem Stefana Czarnieckiego wstrząsa odruch wrogości, za każdym razem, gdy tylko widzi swoją żonę, a cenzura zewnętrzna (ludzie, towarzystwo) nie hamuje jego uczucia. Resentyment polega więc na odwróceniu porządku wartości. W miejsce miłości małżeńskiej, podziału obowiązków, wkracza uczucie odrazy wywołane przez nos, łysinę i pochodzenie. Wartości wyższe zostają zdegradowane do wartości niższych. Taką postawę rodzi poczucie wyższości i bezsilności. Dla tego ojciec, stale marzy o potomku z jego cechami. Eugenika pozytywna ma za zadanie powołać do życia pożądaną replikę (wówczas dostojnego szlachcica nieświadomego swojej nieprzystawalności do czasów). Takie radykalizowanie dziedziczenia nosi znamiona myśli upadku arystokratycznej oceny wartości, o której pisał Nietzsche, której efektem są konieczności dziejowe, będące przyczynami kresu szlachty polskiej w XX wieku. Matka w podobny sposób wydaje się nie być wolna od wrogości i nienawiści, zagrzewała syna do boju, takimi słowami:

Rznij, pał, morduj – wołała matka w natchnieniu. Nikomu nie przepuszczaj! Jesteś narzędziem gniewu Jehowy, a raczej chciałam powiedzieć, Pana Boga. Jesteś narzędziem, gniewu, wstrętu, obrzydzenia i nienawiści. Wytrać wszystkich rozpustników, którzy się brzydzą, choć przed ołtarzem przysięgali się nie brzydzić!¹⁰

Autor *Wiedzy radosnej*, pisze o greckim wyrazie *esthlos* – dobry, odważny, który

(...) oznacza wedle źródłosłowa tego, który jest, który posiada rzeczywistość, który jest naprawdę, który jest prawdziwy i potem przez zwrot subiektywny, prawdziwego jako prawdomównego. W tej fazie przemiany pojęcia staje się to słowo hasłem i odzewem szlachty i przybiera całkowicie znaczenie „szlachecki”, dla odgraniczenia od kłamliwego, pospolitego człowieka (...). W łacinie *malus* (...) mogło określać człowieka pospolitego, jako ciemnonarwnego, przede wszystkim jako ciemnowłosego [*hic niger est, hunc tu, Romane, caveto* oto jest ciemny typ, strzeż się go Rzymianinie Horacy *Satyry*, 1, 4, 85 przyp. M.M.] (...), który barwą odcinał się od doszłych do władzy zdobywców płowej, aryjskiej rasy¹¹.

Nietzsche uderza tonem wywyższenia szlacheckiej rasy, sięgający antyku, głos jest głosem allosemity, praktykującego oddzielanie innych

¹⁰ Tamże.

¹¹ F. Nietzsche, *Z genealogii moralności*, przekł. L. Staff, Kraków 2003, s. 19.

od swoich¹². Najdobitniejszy przykład to urocza, z rozkoszą deklamowana przez Stefanka dzieci wyliczanka: „Raz dwa trzy, wszystkie Żydy psy, a Polacy, złote ptacy, a wychodzisz ty”¹³.

Stefan nazwany przez ukochaną maminsynkiem, obawia się, że ta rozpoznała w nim defekt, jak mówi *abschmak*. Ojciec rasowy do szpiku kości i matka, ale w innym sensie, rasowa w sensie semickim. Syn nie wie, dlaczego ojciec nie znosi matki, ale rozumie postawę ojca, pragnącego przekazać swą rasę „innym, godniejszym lędzwiom”¹⁴.

Główny bohater opowiadania swą wiedzę na temat świata zawiera w zdaniu mówiącym, że wie, ale wie teoretycznie. To rozumienie teoretyczne, pozwala mu napisać wypracowanie pt. *Polak a inne narody*, w którym pisał: „Oczywiście nie warto nawet mówić o wyższości Polaków nad Murzynami i Azjatami, którzy mają odpychającą skórę”¹⁵. Mały Czarniecki odbiera obywatelskie i szkolne wychowanie, które wyostrza takie właśnie sądy. Poczucie wyższości i przewagi gatunkowej pozwala znęcać się chłopcom na przerwach nad żabami, chłostać je pręcikami, gdy mały Stefan zamierza się na jaskółkę, spotyka się z ostrym sprzeciwem i dostaje, od kolegi Pawelskiego „w mordę”. Bohater nie rozumie później, w czym jaskółka jest lepsza od żaby. A po latach, czemuż to żołnierz z rozplątanym brzuchem, liszajami, „gdy kiszki brzydko wylażą na wierzch” jaskółką jest, a nie żabą. Szkolna nauka pozwalała na jasne podziały, serie wyliczeń oryginalnych stereotypów rasowych porządkowały doświadczenie, oto:

Niemiec – ciężki, brutalny z platfusem, a Francuz – mały, drobny, zdeprawowany – Jakaż ulga – być Polakiem i nic dziwnego, że wszyscy za-

¹²Z. Bauman, *Wytyłmaczyć niewytyłmaczalne*, on-line: <http://monde-diplomatique.pl/LMD27/index.php?id=7>.

¹³W. Gombrowicz, *Opowiadania*, dz. cyt., s. 23.

¹⁴Oczywiście relacja rodzinna nakreślona w tym opowiadaniu poddaje się odczytaniu psychoanalitycznemu. Nakreślę ją w przybliżeniu, nie unikając uproszczeń. Ojciec pełni rolę mediacyjną pomiędzy synem a matką, gdy kocha dziecko, wówczas chroni je przed psychozą. W przeciwnym razie, gdy jest tyranem, dziecko nie wchodzi w porządek mowy, w którym brak związków z matką prowadzi je do twórczości, zaprzeczonej, nieobecnej figury matki. Podobnie ową ohydę, wstręt ojca Czarnieckiego do pani Czarnieckiej odczytać można przez kategorię abjektu, abjekcji, czyli odrzucenia, zanegowania koniecznego do ustanowienia dystansu między sobą a przedmiotem. Matka utożsamiona jest z brudną materią, nie może być pożądana, bo zerwanie z nią jest potrzebne do indywidualacji, mimo że trwa ono w nieświadomości i odrzucone przez Ja, zmienia się w swoje przeciwieństwo – ohydę, wstręt właśnie.

¹⁵W. Gombrowicz, *Opowiadania*, dz. cyt., s. 27.

zdroszczą nam i chcieliby zmieść nas z powierzchni ziemi. Jedyne Polak nie budzi w nas wstrętu¹⁶.

Dość wybiórcze i intuicyjne rozumienie teorii selekcji naturalnej, wzmocnione przez siłę stereotypu – pcha go w stronę języka i rozwiązań, które, by wyjaśnić kim jest, nakazują mu układać równanie alleli dominujących i recesywnych.

Wróćmy właśnie do aluzyjnego nawiązania do praw Mendla:

I w ogóle – jakiej maści winien być szczur, zrodzony z czarnego samca i białej samicy? Czy plamisty? Czy też może, gdy przeciwne sobie barwy są ściśle jednakowej siły – wynika z tego skojarzenia szczur bez barwy, bez koloru...ale znów widzę, że niecierpliwymi dygresjami wyprzedzam wypadki¹⁷.

I dalej,

I dziś nie pojmuję nie znając dobrze teorii, nie wiem, jakiej maści jest szczur, zrodzony z czarnego samca i białej samicy, przypuszczam tylko, iż u mnie zaszedł wyjątkowy *casus*, niespotykany wypadek, ten mianowicie, że wrogie rasy rodziców, będąc ściśle jednakowej siły, zneutralizowały się we mnie tak doskonale, iż jestem szczurem bez maści bez koloru¹⁸.

Wobec powyższych ustaleń i pytań należy zadać inne dla problemu wiążące. Czy pojawienie się tematyki z zakresu dziedziczenia w tym tekście, da się przyłożyć, zgodnie z redakcyjną sugestią, do praw Mendla? Więcej nawet, czy możliwe, by taki szczur był do pomyślenia? Co to za gatunek? Wiemy, że Karol Darwin w dziele *On the Origin of Species* używał tego określenia. Jest on rozpoznawany wpierw morfologicznie, na podstawie cech zewnętrznych (*morph* – to forma). Każdy gatunek składa się z osobników mogących „potencjalnie i faktycznie” się ze sobą rozmnażać. Istnieją jednak takie zwierzęta, różnych gatunków, występujące na granicy zasięgów tychże, które łączą się w pary i tworzą mieszańce o cechach pośrednich. Dokładna definicja gatunku mówi o zwierzętach rozmnażających się jedynie między sobą, nie wspomina zaś wcale o produkowaniu mieszańców.

Mendel wykazał, że geny (ten termin został wprowadzony dopiero w roku 1900) określają elementarne cechy takie jak kolor groszku, gładka albo pomarszczona powierzchnia nasion, barwa kwiatów i tak dalej.

¹⁶ Tamże.

¹⁷ Tamże, s. 22.

¹⁸ Tamże, s. 26.

Każda roślina (albo nasienie) ma dwoje rodziców, od których otrzymuje po jednym zestawie genów, dzięki czemu posiada po dwie kopie każdego genu. Jednak wiele genów występuje w dwu, a nawet w większej liczbie odmian, zwanych *allelami*. Na przykład gen określający kolor grochu występuje w postaci allelu determinującego kolor żółty oraz allelu determinującego kolor zielony. Groch posiadający dwa identyczne allele – nazywamy go *homozygotycznym* – będzie miał kolor określany przez te geny. Jednakże, jeśli groch posiada dwa różne allele (nazywamy go *heterozygotycznym* – Stefan Czarniecki), to zazwyczaj widoczny jest tylko kolor determinowany przez jeden z tych alleli (nazywamy go *dominującym*, ciemne włosy, oczy, uszy), podczas gdy cechy determinowane przez ten drugi gen (nazywamy *ustępującym* lub *recesywnym* – po części ojciec) pozostają ukryte. Dlatego groszek, noszący jeden allel dla koloru zielonego i jeden dla koloru żółtego, będzie żółty, ponieważ allel koloru żółtego jest dominujący, a koloru zielonego ustępujący¹⁹.

Trudno tu rozstrzygać, po której stronie allele są dominujące, czy ojca czy matki. Dlatego Gombrowicz uciekając od rozstrzygnięcia ściśle biologicznego, skłania się ku uznaniu neutralności swojego istnienia, jako szcztura właśnie. *Pamiętnik Stefana Czarnieckiego* pokazuje, jak trudno oddzielić sprawy kulturowe, społeczne od biologii, geny i wychowanie mogą przyczynić się do moralnego bankructwa, które jest udziałem Stefana Czarnieckiego. Jest przepracowaniem wydrążonej skorupy, obnażeniem języka Tajemnicy²⁰, będącego niczym innym jak ujarzmieniem podmiotowości. Gombrowicz wskazuje zawilość relacji człowiek–zwierzę w obrębie świata ludzi. Można powiedzieć, że sygnalizuje potrzebę przemyślenia jej na nowo, jak pisze modny włoski filozof, poza „antropologiczną maszyną humanizmu”. Trzeba stale podważać pozornie niezachwianą różnicę pomiędzy zwierzęcym i ludzkim. Stefan Czarniecki,

¹⁹ B. S. Guttman: *Ewolucjonizm...*, dz. cyt., s. 37–38.

²⁰ Ciągłe przywoływana Tajemnica, język tajemnicy, demaskacja, profanacja mowy magiczno-uroczystej, świętej a świeckiej. Począwszy od profan-matki, która była ohydą ucieleśnioną. „Duch nie ma nosa, ani łysiny, a gorąca wiara otwiera wrota przyszłych rajskich rozkoszy. Nadejdzie czas, że ojciec twój, wijąc się w mękach, błagać będzie mnie, siedzącą po prawicy Jehowy, a raczej, chciałam powiedzieć, Pana Boga, bym zwilżony palec dała mu do polizania. Zobaczymy, czy będzie się brzydził! W. Gombrowicz, *Opowiadania*, dz. cyt., s. 22. Duch jest rzekomo poza ciałem, poza ohydą, a w fantazji Matki Czarnieckiego dostęp do świętości otrzymuje się przez pośliniony palec, który należy polizać. Śmiała wizja i jak mówi ojciec nos, uszy sprawiają w jego głębokim przekonaniu, że „i Chrystus czuje się nieswojo”. „Być może to porównanie, jak również dowcip z żabą – są niesmaczne, lecz proszę pamiętać, iż ja, szcztur bezbarwny, szcztur neutralny, ani biały, ani czarny, także niesmaczny jestem dla większości ludzi. I czyż dla wszystkich jedno i to samo ma być smaczne i kraśne?” – tamże, s. 33.

dojrzały, po powrocie z wojny, zmieniony jej traumą znosi tę różnicę, każe swojej ukochanej przy pierwszym spotkaniu wymówić „zupełnie poważnie i patrząc oko w oko” następujące słowa: – ciam – bam – biu, minu – mniu, ba – bi, ba – be – no – zar. Są to słowa, czy słowa? Wyklinające narzucany nam, rzekomo w dobrej wierze, porządek kultury, komunikacji i norm. Wymagających stałego utrzymania w mocy określonych zachowań, które po doświadczeniu absurdu wojny, znoszącej wszelkie prawa – skłaniają do wyciągnięcia niedogmatycznych i anty-fundamentalistycznych wniosków z istnienia. Trzeba zawiesić, każdy język opisu w obliczu granicznych doznań stanu wyjątkowego.

Darwin, nieco zepchnięty na bok i jakby widmowy w tych rozważaniach, z ogromną pilnością badał mieszaniec. Upraszał jednego ze swoich przyjaciół:

Pamiętaj, że gdyby odszedł Twój kot półkrwi afrykańskiej, byłbym Ci bardzo wdzięczny za przesłanie mi w małym koszyku z wieczkiem jego martwego ciała, abym mógł wypreparować z niego szkielet. Twój kot, a także każdy pochodzący z krzyżowania mieszaniec, gołąb, kura, kaczka, etc., etc. będą miłszym prezentem niż najwspanialszy udziec z dziczyzny, czy doskonały żółw morski²¹.

Niewątpliwie przyrodoznawstwo uczy innego, niż humanistyczne patrzenia na świat. Jednostkowość rozplywa się w gatunkowości. Wyjątkowość jednostkowego istnienia rozmywa się w powszechność dostępnych egzemplarzy. Martwy mieszaniec, był dla Darwina zagadką, której istnienie chciał skrupulatnie opisać, tworząc teorie dziedziczenia. Czarniecki poucza na koniec pamiętnika: „(...) lecz proszę pamiętać, iż ja szczur bezbarwny, szczur neutralny, ani biały, ani czarny, także niesmaczny jestem dla większości ludzi”²².

Jednak, co zrobić ze szczurem? Dlaczego na kartach *Pamiętnika z okresu dojrzwiania i Bakakaju* (najwidoczniej w *Zdarzeniach na brygu Banbury*, *Szczurze* i w omawianym opowiadaniu) tak często przywoływany jest szczur? Należy dodać, szczur, czyli współczesna ofiara albo męczennik nauki, zwykle dodający odrazę, z uporem zwalczany szkodnik. Jak zauważa Jonathan Burt, autor monografii pt. *Szczur*: „Tak naprawdę szczur przedstawiany był jako upodlenie ewolucji. Jeśli ktoś patrzy na człowieka i spogląda wstecz, nie widzi małpy, lecz szczura”²³. Szczur

²¹ K. Darwin, *Listy wybrane*, red. F. Burkhardta, przekł. T. Opalińska, Warszawa 1999, s. 128.

²² W. Gombrowicz, *Opowiadania*, dz. cyt., s. 33.

²³ J. Burt, *Szczur*, przekł. A. Leśniak, Kraków 2006, s. 7.

zyskał niski status przez to, że wydaje się ucieleśniać samo zło, to, co skalane, brudne ściśle wiąże się z symboliką czystości i nieczystości, która jest podstawowym porządkiem organizującym kulturę. Szczur żyje na granicy światów ludzkiego i zwierzęcego, cielesnego (reprodukcja) i symbolicznego (symbolika), jest ucieleśnieniem ślepej woli życia, przekracza wszystkie granice. Hans Zinsser w książce *Rats, Lice and history* opisuje szczura, jako cięć człowieka, który podąża za nim krok w krok od początku rozwoju cywilizacyjnego, przez podboje i wojny. Kategoria szczura i człowieka nieustannie się krzyżuje. Autor zauważa: „To przepelnione złem bliźnięta pozbawione zbawczych cech; ich zachłanność, apetyty, zdolności rozrodcze i adaptacyjne sprawiają, że pożerają świat”²⁴. Ludzie i szczury są w podobny sposób *fit*, żywotne i zdolne do przystosowania się do nowych warunków. Jednak szczur okazuje się szybszą wersją człowieka. O czym zaświadcza mit, wieczystości szczurów, które po końcu ludzkości wciąż będą zasiedlały ziemię.

Okazuje się, że na początku XX wieku przeprowadzano liczne eksperymenty eugeniczne i krzyżowano szczury, prowadziło to do uzyskania określonego koloru sierści. Wyjaśnia to zagadkę metafory, która jest osią *Pamiętnika Stefana Czarnieckiego*. W USA w 1910 r. William Castle prowadził badania na tysiącach szczurów, polegały one na uzyskiwaniu różnych kolorów umaszczenia przez krzyżowanie określonych osobników. Jego esej z 1914 roku o szczurach łaciatych był analizą wzorów 25 tysięcy osobników. Szczur zdaje się wówczas urósł do rangi fantazmatu kultury współczesnej.

W *Zdarzeniach na brygu Banbury* czytamy takie słowa, zdradzające paraprzyrodnicze obserwacje:

Nadmiar szczurów mię nie zachwylił – te gryzonie mają niemiłe obyczaje, tłusty ogon ich jest tak długi, spiczasty koniec tak daleko, że tracą poczucie łączności jego z resztą ciała, skutkiem czego wciąż podlegają nienośnemu złudzeniu, że wloką za sobą smakowity kawał mięsa zupełnie obcy i w sam raz do pożarcia. To czyni je bardzo nerwowymi. Czasem wpijają zęby w ogon, skręcając się z piskiem, jak oszalałe z żądz i z okropnego bólu²⁵.

Powracający na kartach dzieła Gombrowicza szczur, to po prostu zwierzę totemiczne nowoczesności. Szczur to też modernistyczna figura nienasyceń, pożądań niemożliwych do realizacji.

²⁴ Tamże, s. 13.

²⁵ W. Gombrowicz, *Opowiadania*, dz. cyt., s. 126.

Istnieją dwa najpowszechniejsze gatunki szczurów: szczur śniady (*Rattus rattus*) i szczur wędrowny (*Rattus norvegicus*), i jest jeszcze Gombrowiczowski fantazmat, szczur neutralny (może od łac. rodzaju nijakiego *neutrum*?). Zatem w tym kontekście, by lepiej zrozumieć ową nijakość, warto przypomnieć słowa Boga z *Apokalipsy św. Jana* 3, 14–22: „Tak, skoro letni jesteś i ani gorący ani zimny, zamierzam cię wyrzucić z ust mych”²⁶. Ten przekład wzmacnia jeszcze sens słów Czarnieckiego: „także niesmaczny jestem dla większości ludzi”. Neutralny, letni, nijaki ten ciąg przymiotników przysparza najwięcej problemów miłośnikom szeregowania i porządkowania, bowiem nijaki jest poza kategorią. Nie jest formą wiedzy, ani ignorancji. Zawieszenie gatunkowości, na rzecz nijakości, nawet w tak wiele negatywnych uczuć budzącym zwierzęciu, przynosi jeszcze więcej problemów interpretacyjnych. Stefan Czarniecki utożsamiający się ze szczurem, czuje się pogwałcony, podejrzany i etycznie sytuuje siebie w rządzie odrażających zwierząt. Inaczej mówiąc przenosi neutralną ludzką-szczurzość poza pole oddziaływania „antropologicznej maszyny humanizmu”. Nie może podporządkować swojego istnienia naukowemu badaniu, jest ono niewystarczające, więc przeżywa je etycznie jako inność.

Możliwe są też inne interpretacje. Być może szczur neutralny (nijaki) to szczur zawieszony w aktywności seksualnej. A przecież zwierzęta te, są pogardzane właśnie ze względu na ich liczebność, okrutną dzikość i stałą gotowość rozplodową. Chyba, że szczur neutralny jest zbliżony do opisywanego we wspomnieniach J. D. Millaisa, łysego szczura, którego odnalazł w szopie; miał on przejrzystą żółtą skórę, „przez którą widać było pracujące organy (...) pozbawione brwi oczy zdawały się wypadać z dziwacznie wyglądającej głowy”²⁷. Szczur łysy, bezbarwny to istnienie nieuformowane tożsamościowo, niedorozwinięte, niepełne i budzące wstręt.

Szczury sytuują się na granicy, to fundamentalnie dwuznaczne stworzenia: „zajmują strategiczną pozycję wobec takich pojęć jak *sacrum*, *profanum* i tego co apokaliptyczne”²⁸ – pisze Burt. U Gombrowicza szczur staje się narzędziem działania profanacji, w znaczeniu proponowanym przez Agambena. Metafora szczura ma za zadanie wyłączyć potencjał użytku wszelkim mechanizmom reprezentującym ujarzmienie, wszystkim językom nauki chcącym ująć złożoność egzystencji, która znajduje

²⁶ Przekład ks. Popowskiego zdaje się być najbliższy greckiemu odpowiednikowi ἐμέσαι <http://www.psnt.pl/Ap3w16.html>.

²⁷ J. G. Millais, *The Mammals of Great Britain and Ireland*, London 1904–1906, s. 232.

²⁸ J. Burt, *Szczur*, dz. cyt., s. 52.

się w stanie wrzenia, pomiędzy ludzkim i zwierzęcym, a poza komunikacją werbalną. Jednak to „Niewiedza staje się alternatywną ramą dla relacji człowiek-zwierzę, taką, w której przestaje ona być problemem, a z pewnością problemem wiedzy i dla wiedzy” – pisze Krzysztof Ziarek²⁹. Stefan Czarniecki, szczer neutralny przedstawia krytycznie dostępne języki opisu istnienia, wykazując ich niewystarczalność. Parodiuje język przyrodoznawstwa, przywołuje prawa Mendla, żeby je zawiesić w działaniu, ukazuje problematykę polityczną i rasową, obnażając jej zawłaszczające podmiot ambicje. Gombrowicz w tym opowiadaniu kreśli widmo człowieka-zwierzęcia, którego natura i kultura wyzwały z godności. Gestem sprzeciwu jest obrazoburczość, profanacja, rozumiana jako deklaracja aktywności:

Wąleśm się po świecie, żegluję po tej otchłani niezrozumiałych idiosynkrazji i gdziekolwiek zobaczę jakieś tajemnicze uczucie, czy to będzie cnota, czy rodzina, czy wiara czy ojczyzna, tam zawsze popełnić muszę jakieś łajdactwo. Oto moja tajemnica, którą ze swej strony narzucam zagadce bytu

– pisze Stefan Czarniecki w prawie ostatnich słowach pamiętnika. Warto powtórzyć za przywoływanym już filozofem: „Wyhodować sobie zwierzę, które przyrzeka – czyż nie to jest właśnie tym paradoksalnym zadaniem, które postawiła sobie natura w stosunku do człowieka?”³⁰.

²⁹ http://www.agamben.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=57&Itemid=51.

³⁰ F. Nietzsche, *Z genealogii...*, dz. cyt., s. 41.

Marek Mikołajec

**Super-Human and Animalistic in Witold Gombrowicz's
*Stefan Czarniecki's Mmoires***

In the first paragraphs of his essay Marek Mikołajec presents the relation between human and animal elements of human being, making references to Giorgio Agamben's deliberations. Then he summarizes Witold Gombrowicz's views on science and he leads it to the parody as a force which abolishes simplifying and oppressive treatment of a human being. Further he follows the revisionist gestures of a character from Gombrowicz's *Pamiętnik Stefana Czarnieckiego* and he reads them in the context of finding out ideology hidden in family, religious and patriotic education. Rat takes an important place in Gombrowicz's story, and the author shows the cultural and critical importance of this animal.

Joanna Zach
Uniwersytet Jagielloński, Kraków

Darwin w *Ziemi Ulro*

1.

Karol Darwin nie jest bohaterem *Ziemi Ulro*. Jego nazwisko pojawia się w eseju Miłosza zaledwie trzy razy: dwukrotnie w związku z Schopenhauerem i raz w rozważaniach na temat naukowych pomysłów Goethego. Te wzmianki są wszakże znaczące.

Pierwsza służy uwydatnieniu tezy, że „prawdziwy kryzys Moderny”, czyli dogłębne przeżycie pozytywizmu i biologicznego ewolucjonizmu, ujawnił się z pewnym opóźnieniem, tj. w twórczości autorów, którzy oficjalnie do Moderny nie należeli: Leśmiana, Schulza, Witkacego i Gombrowicza. Schopenhauer ze swoją wizją ślepej Woli, która napędza mechanizm narodzin – ku pożeraniu i śmierci, ukazuje się w tym kontekście jako prekursor Darwina (sic!)¹. Miłosz proponuje rewizję dziejów literatury dwudziestowiecznej, której główny nurt, jego zdaniem, przebiega głębiej niż sugerują arbitralne podziały. Ów główny nurt jest eksploracją nowej sytuacji człowieka, zawieszzonego pomiędzy XIX-wiecznym naturalizmem, a tradycyjnym obrazem świata zakorzenionym w religii. Tezy o znaczeniu ewolucjonizmu dla kultury XX wieku nikt właściwie nie podjął, z wyjątkiem samego Miłosza, który do niej konsekwentnie powracał w całej swojej twórczości.

¹ Analogia pomiędzy Schopenhauerem i Darwinem stale powraca w pismach Miłosza i jest świadectwem pewnego trybu lektury pism filozofa. Miłosz czytał Schopenhauera przez pryzmat teorii Darwina na długo przedtem, zanim dowiedział się o tym, że Darwin znał i cytował Schopenhauera.

Druga wzmianka wyraźnie wskazuje na to, że myśl autora *O powstawaniu gatunków* znajduje się u źródeł katastrofizmu Miłosza, zarówno w porządku biografii jak i w porządku idei:

jeżeli jestem tak wrażliwy na „schopenhauerowską” motywację u Gombrowicza i u Moderny – pisze poeta – to dlatego, że sam jako pachole w tajemniczałem się w bezwzględność i obojętność przyrody, studiując książkę Nusbauma-Hilarowicza o Darwinie i doborze gatunków².

Po raz trzeci nazwisko Darwina pojawia się w przytoczeniu z książki Ericha Hellera *The Disinherited Mind*, której tematem jest rozdwojenie na świat praw naukowych i świat wewnętrzny człowieka. Goethe chciał za wszelką cenę rozdwojenia uniknąć, w obawie że nauka eksperymentalna, sprzymierzona z mechanistyczną filozofią natury, tak biegła w badaniu stosunków ilościowych, mechanizmów i przyczyn sprawczych, może wreszcie – przez swoją metodologiczną jednostronność – zniszczyć twórcze poszukiwanie sensu. Jego alternatywna wizja przyrody została odrzucona, a sukces teorii Darwina przypieczętował zwycięstwo „zimnych prawd naukowych” i umocnił ich władzę nad umysłami³.

Te trzy wzmianki wpisują się w trzy główne wątki *Ziemi Ulro*:

1. „Prawdziwy kryzys Moderny”, czyli podróż do źródeł nowoczesności.
2. Duchowa autobiografia („Źródła katastrofizmu? W moim wypadku można się o nich z tej książki dowiedzieć”; *ZU*, 295).
3. Dzieje konfliktu pomiędzy „żywą prawdą ludzką” a „zimnymi obiektywnymi prawdami nauk ścisłych”, ukazane przez pryzmat twórczości Swedenborga, Blake’a, Mickiewicza i Oskara Miłosza. To oczywiście główny wątek opowieści, którą Konstanty Jeleński nazwał uniwersalnym traktatem o wyobraźni⁴.

² Cz. Miłosz, *Ziemia Ulro*, Kraków 2000, s. 63. W dalszym ciągu zastosowano następujące skróty: *Ziemia Ulro* = *ZU*; *Widzenia nad Zatoką San Francisco*, Kraków 2000 = *WNZ*; *Rodzinną Europą*, Kraków 2001 = *RE*; *Inne abecadło*, Kraków 1998 = *IA*; T. Merton, Cz. Miłosz, *Listy*, przekł. M. Tarnowska, Kraków 2003 = *MM*; *Druga przestrzeń*, Kraków 2002 = *DP*.

³ Z tego punktu widzenia darwinizm jest przedłużeniem mechanistycznej filozofii natury, a zarazem oznacza zwrot w pojmowaniu czasu, skoro według ustaleń badacza przeszłość ziemi rozciąga się na miliony lat, a nie jak określa Biblia, na kilka tysięcy. Darwin, jeśli wolno posłużyć się sformulowaniem Frye’a, symbolizuje zastąpienie przez hipotezy naukowe mitologicznych koncepcji czasu, tak jak Kopernik – przestrzeni (zob. N. Frye, *Wielki Kod. Biblia i literatura*, tłum. A. Fulińska, Bydgoszcz 1998, s. 68).

⁴ Zob. K. Jeleński, *O „Ziemii Ulro” po dwóch latach*, [w:] *Chwile oderwane*, Gdańsk 2007, s. 19.

Można by zatem początkowe stwierdzenie odwrócić: Darwin jest przemilczanym bohaterem *Ziemi Ulro*, brakującym ogniwem pomiędzy opowieścią o romantycznym przesileniu i sytuacją człowieka nowoczesnego:

Wyjawię tutaj moją ukrytą intencję przy pisaniu tej książki – powiada Miłosz w *Przypisie po latach* – Otóż miała być ona dalszym ciągiem *Zniewolonego umysłu*. Dwa zjawiska nierozdzielnie związane z wiekiem dwudziestym, komunizm i narodowy socjalizm, poczęły się z ducha dziewiętnastowiecznej nauki, zwulgaryzowanej i zmienionej w pseudoewangelię dla mas... Jeżeli w *Zniewolonym umyśle* zajmowałem się skutkami, to moim zamierzeniem w *Ziemi Ulro* było cofnąć się do źródeł (*ZU*, 10-11).

Co tutaj wydaje się pominięte, to faza bezpośrednio poprzedzająca stulecie Miłosza, czyli okres największej ekspansji ewolucjonizmu. Tę „lukę” wypełnia moim zdaniem *Człowiek wśród skorpionów*. To, co interesuje autora w filozofii Brzozowskiego, to przede wszystkim jego bunt przeciwko rozdwójnieniu na świat wartości, tj. świat kultury, i świat prawd naukowych, czy – jak powiada Brzozowski – „naukowego mistycyzmu”. Ciągłość problematyki, poruszanej w kolejnych książkach Miłosza, sprowadza się zatem do badania procesów, w wyniku których człowiek staje się bezbronny wobec praw natury usadowionej w nim samym, co ostatecznie prowadzi do poddania się temu, co nie-ludzkie: ideologii, przemocy, historycznej konieczności. Tak oto młodzieńcza fascynacja teorią Darwina stała się impulsem do gruntownych przemyśleń na temat źródeł europejskiego nihilizmu.

2.

Ulro, słowo pożyczone od Blake’a, symbolicznie oznacza krainę duchowych cierpień, w której umysł jest nękany przez nierozwiązywalne sprzeczności. W słowniku Miłosza odnosi się ono również do pewnej fazy w dziejach zachodniej cywilizacji. Jej początki sięgają wieku oświecenia, apogeum przypada na drugą połowę XIX stulecia, przesilenie na wiek XX⁵. W tym sensie metafora *Ulro* funkcjonuje na większym obszarze twórczości Miłosza, jest jedną z jego najważniejszych metafor, klu-

⁵ Już w 1961 roku Miłosz pisał do Tomasza Mertona: „Dzieje się coś takiego, że naturalizm albo widzenie świata jako zbioru «żelaznych praw» istniejących na zewnątrz człowieka zostaje przekroczone, że wszechświat staje się antropocentryczny... Wiem z pewnością, że wzrasta coś nowego, wyzwolenie człowieka z niewoli naturalistycznego *Weltanschauung* wieku XIX” (*MM*, 114-115).

czem do refleksji na temat cywilizacji. W niniejszych rozważaniach opieram się zasadniczo na eseistyce poety, nie tylko na *Ziemi Ulro*, w której Miłosz bynajmniej nie zamierzał zajmować się teorią ewolucji. Próbowałam przed chwilą pokazać, że ten wątek mimo wszystko istnieje, niejako *implicite*, przede wszystkim jako komponent pewnej wizji świata, tyleż ukryta, co oczywista przesłanka rozumowania poety. Darwinizm stanowi bowiem wyrazisty punkt odniesienia dla całej myśli antropologicznej Miłosza.

Poeta nigdy nie cytuje Darwina, nie próbuje – co zrozumiałe – dyskutować z jego ustaleniami. „Jeżeli nie wzniesiono świątyń na cześć teorii ewolucji – pisze w *Widzeniach nad Zatoką San Francisco* – to zapewne z tego samego powodu, dla jakiego w średniowieczu nie wznoszono świątyń na cześć nieśmiertelności duszy: nie wielbi się prawd oczywistych” (WNZ, 28). Ironia powyższego stwierdzenia nie wyklucza uznania prawomocności biologicznej teorii. Ale znaczenie darwinizmu nie ogranicza się, rzecz jasna, do dziedziny badań naukowych. Przynajmniej od końca XIX wieku darwinizm funkcjonuje równolegle jako (1) naukowa teoria, (2) jako metanarracja i (3) jako światopogląd⁶. Młodzieńcza fascynacja teorią ewolucji, jak również nieco późniejsze przejęcie się marksizmem odsłaniają pewną stronę umysłowości Miłosza, a mianowicie jego podatność na metanarrację, na „uwiedzenie” przy pomocy naukowej i filozoficznej argumentacji. Byłaby to skłonność właściwa epoce, w której „świat ujmowany podwójnie, w kategoriach naukowych i humanistycznych, robił się za trudny do objęcia” (RE, 131); stąd atrakcyjność intelektualnych propozycji, sprowadzających rozproszoną wiedzę do wspólnego mianownika. Spośród trzech „wielkich opowieści” epoki (marksizm, darwinizm, freudyzm) jedynie freudyzm nigdy go nie pociągał. Przewyciężenie (a przynajmniej: ujęcie w nawias) owej skłonności zawdzięcza Miłosz swemu poetyckiemu temperamentowi („gdyż poezja jest bezustannym samozaprzeczeniem, naśladuje herakliteską płynność rzeczy”, RE 313). W rezultacie, począwszy od lat 50. ubiegłego wieku, jego twórczość różnymi drogami zmierza do wyzwolenia umysłu spod wpływu „wielkich opowieści”⁷, odsłaniając ich społeczne konsekwencje, przede wszystkim zaś ich destrukcyjny wpływ na tkankę zbiorowej wyobraźni. W tej właśnie perspektywie sytuuje się jego refleksja na temat darwinizmu.

⁶ Por. A. McGrath, *Bóg Dawkinsa. Geny, memy i sens życia*, tłum. J. Gilewicz, Kraków 2008, s. 45.

⁷ W pismach autobiograficznych Miłosz niejako egzorcyzmuje własną przeszłość.

3.

Odkrycie Kopernika – czytamy w *Lekcji biologii* – pozbawiło Ziemię jej centralnego miejsca we wszechświecie, ale dowiadywanie się o zwierzęcych początkach człowieka było nie mniejszym wstrząsem. Nie tylko dlatego, że zakwestionowana została sama odrębność istoty człowieczeństwa, także dlatego, że przedmiotem ataku stał się sens ludzkiej śmierci. Natura z jej nieprawdopodobnym marnotrawstwem bilionów istot potrzebnych do utrzymania gatunku jest zupełnie obojętna na los indywidualum. Włączony w nią człowiek również zmienia się w statystyczną cyfrę, jest do zbycia. Erozji ulega wiara w szczególne powołanie każdego ujmowane w kategoriach zbawienia i potępienia (*ŚP*, 46).

Przytoczony fragment zawiera splot argumentów powracających w różnych konfiguracjach w pismach Noblisty. Obracają się one wokół dwóch najpoważniejszych rewelacji, z którymi musi się zmierzyć człowiek epoki post-darwinowskiej: zniesienia przegrody pomiędzy światem ludzkim i zwierzęcym oraz teorii przypadkowych mutacji, która odsłania pewną grę sił idealnie wobec człowieka obojętnych. Każda z tych rewelacji ma nieobliczalne konsekwencje dla sposobu ujmowania sytuacji człowieka w kosmosie. Jeśli w porządku ewolucji – „nieuchwytny staje się moment, kiedy świadomość wyłania się z nieświadomości” (*IA*, 26), to zasada biologicznej determinacji niebezpiecznie rozszerza się na dziedzinę aktywności umysłu, co z kolei prowadzi do zakwestionowania nie tylko jego nadprzyrodzonej natury, ale nawet twórczej autonomii. W rezultacie zaś, do zakwestionowania aksjologicznego statusu kultury. Wartości tworzone przez kulturę nie mogą odtań stanowić przeciwwagi dla sił i popędów ujawniających się w masowych ruchach społecznych (takich jak np. faszyzm) i przegrywają w konfrontacji z ideologią opartą na podstawach naukowych (to jest główny temat wojennej eseistyki Miłosza i jego korespondencji z Jerzym Andrzejewskim).

Pytanie, czy i w jakim stopniu odpowiada za ten stan rzeczy myśl Darwina, pozostaje otwarte. Wskazywane przez Miłosza konsekwencje darwinizmu pojawiają się na gruncie materializmu i ateizmu, a zarówno jeden jak i drugi mają znacznie starsze źródła i własną dynamikę rozwoju. Można jedynie powiedzieć, że darwinizm z łatwością poddaje się materialistycznej i ateistycznej interpretacji.

Na pytanie postawione przez Locke’a, czy myśl może mieć podłoże wyłącznie materialne, Darwin ostatecznie odpowiedział twierdząco. Umieszczając umysł w porządku ewolucji materii, zniósł jakościową różnicę pomiędzy inteligencją i zwierzęcymi narzędziami przystosowa-

nia. Przypieczętował tym samym datujący się od oświecenia rozdział między umysłem a boskością. Wśród neodarwinistów nierzadko spotyka się dziś radykalnie materialistyczny pogląd, zgodnie z którym nie ma podstaw do przyznania szczególnego statusu gatunkowi *Homo sapiens*, przy czym główny argument na rzecz tej tezy brzmi, że w świetle ewolucji komórki ludzkie nie różnią się wystarczająco od komórek innych organizmów⁸.

4.

W *Roku myśliwego* powiada Miłosz: „Metoda nauki, nie ma co się ludzi, niesie ze sobą ateizm i ona to wyznacza środowisko filozofii tudzież literatury i sztuki” (RM, 79). Ta opinia znajduje potwierdzenie np. w pracach znanego ewolucjonisty Douglasa Futuyamy:

Łącząc niekierunkową, bezcelową zmienność ze ślepym, obojętnym procesem doboru naturalnego, Darwin usunął podstawy teologicznego, czy duchowego, wyjaśnienia życia. (...) Teoria ewolucji Darwina (...) stworzyła zasadnicze przesłanki mechanistycznego pojmowania świata i materializmu⁹.

Stanowisku takiemu coraz częściej zaprzeczają inni uczeni, podkreślając że nauka, która jest naturalistyczna pod względem metodologicznym, nie zakłada materializmu jako metafizycznej koncepcji świata.

Jest rzeczą oczywistą, że wszelkie próby pogodzenia przyrodniczej wiedzy o człowieku z wiarą religijną wymagają, jako wstępnego warunku, oddzielenia naturalistycznej metody od filozoficznej materializmu. Takie próby były podejmowane już za życia Darwina i nigdy ich nie zaprzestano. Trudno posądzić Miłosza o nieznamość tego wątku. W młodości zajmował się pragmatyzmem (bardzo wcześnie, w listach do Iwaszkiewicza, przedstawiał się wręcz jako zwolennik pragmatyzmu),

⁸ W takiej argumentacji dokonuje się zazwyczaj nieuzasadniony przeskok z dziedziny „naukowych faktów” do dziedziny wartości (zabieg ten, notabene, jest skutecznym środkiem retorycznej perswazji). „Ewolucyjny punkt widzenia jest dość prosty – w żadnym wypadku człowieczeństwo komórek embrionu nie może być wywodzone z jego absolutnie wyjątkowego moralnego statusu” (Dawkins, 405). Taką opinię można przyjąć lub odrzucić wyłącznie na podstawie światopoglądowych przesłanek i przeświadczeń, a nie na podstawie jej logicznej spójności.

⁹ D. J. Futuyama, *Evolutionary Biology*, wyd. 3, Sinauer, Sunderland 1998, s. 5. Cyt. wg: F. J. Ayala, *Dar Karola Darwina dla nauki i religii*, przekł. P. Dawidowicz, Warszawa 2009, s. 161. Ayala wyjaśnia w przypisie, że Futuyama w pewnym stopniu zmienił swoje stanowisko, uznając, że biologia ewolucyjna nie może podważyć istnienia duszy lub istot nadprzyrodzonych, ponieważ po prostu nie wypowiada się na takie tematy.

znał sposób myślenia Teilharda de Chardin i jego następców. Uważał go za „zwariowanie optymistyczny”, ponieważ usuwając sprzeczności, pomniejsza on, a nawet lekceważy skandal cierpienia.

Pojawia się pytanie, czy postawa Miłosza nie jest anachroniczna w świetle poglądów takich uczonych jak np. Michał Heller czy Francisco J. Ayala, którzy dobrze godzą myślenie naukowe z wiarą religijną? Można by tak sądzić, sprowadzając problem do jednego tylko wymiaru, mianowicie do wymiany filozoficznych argumentów. Nie wydaje się jednak, aby jakiegokolwiek intelektualne rozwiązanie tej kwestii mogło zadowolić autora *Ziemi Ulro*. Całościowego sposobu myślenia Miłosza nie można tak po prostu zestawić z argumentami filozofów i uczonych. Jego perspektywa jest inna: jest to perspektywa myśliciela i poety głęboko dotkniętego przez praktyczne konsekwencje intelektualnych i filozoficznych sporów epoki. Prawdziwy dramat, sugeruje poeta, rozgrywa się gdzieś głębiej, na poziomie elementarnych struktur wyobraźni, do których utraciły dostęp nowoczesne dyskursy. Miłosz powiada mniej więcej tak: ten świat stał się od pewnego momentu za trudny dla przeciętnego umysłu, który musiał się uodpornić na argumenty zbyt subtelne i nazbyt abstrakcyjne, przyjmując głównie to, co da się przedstawić w formie pojęć i obrazów powszechnie zrozumiałych. A te, nie bez wpływu literatury i sztuki, wchłaniającej atmosferę epoki, narzucają się jako obrazy wydziedziczenia, „ziemi jałowej”, kosmicznej pustki:

Teraz – pisał Miłosz u schyłku lat 70. – w skali masowej nastąpiło uświadomienie sobie nowej sytuacji metafizycznej człowieka, którą określa, dużymi literami wypisane: NIE MA. Żadnego głosu przemawiającego ze wszechświata, żadnego zła i dobra, żadnego spełnienia oczekiwań i żadnego Królestwa. Osoba ludzka dumnie pokazująca na siebie palcem: „ja”, też okazała się ułudą, bo to tylko wiązki refleksów okryte jedną epidermą (*ZU*, 264).

Przeciwwagi dla takiego obrazu świata można by szukać w wierze, ale wiara nie wytrzymuje tej próby jako postawa uczuciowa, a tym mniej jako wspólnotowa więź, coraz bardziej – w miarę postępów sekularyzacji – podatna na manipulacje polityczne. Umysł czepia się wyobrażeń, które mają moc trwania i zapewniają jakąś ochronę przeciwko dotkliwoci egzystencji i straszności świata. I właśnie niedostatek czy wręcz brak takich wyobrażeń konstatuje poeta w kolejnych swoich książkach. Obrazom pustki zawartym we współczesnej literaturze i sztuce próbuje przeciwstawić wielką tradycję sztuki chrześcijańskiej, po to tylko, by

stwierdzić, że nie ma się ona współczesnego umysłu, zdolnego już tylko podziwiać jej walory estetyczne.

Miłosz nie wierzy w systemy religijne oderwane od podłoża kultury oraz realiów życia społecznego i światopogląd laicki wydaje mu się pod wieloma względami bliższy współczesnej cywilizacji. Ale świadomość laicka, która z powodzeniem rozwiązuje problemy etyczne, nie stwarza alternatywnych możliwości umocnienia ontologicznego statusu człowieczeństwa.

Czy winna jest nauka? Proces sekularyzacji – skoro o nim mowa – jest czymś niezmiernie złożonym i Miłosz świetnie zdaje sobie z tego sprawę¹⁰. Człowiek Miłosza, mieszkaniec *Ulro*, jest rozpięty pomiędzy tradycyjnym obrazem życia, w którym jego miejsce określa wiara w indywidualne powołanie i ład opatrnościowy, a obrazem naukowym, w którym staje się on „formą przejściową”, określonym etapem w ewolucji materii organicznej. Jeden i drugi obraz jest – w perspektywie rozwoju cywilizacji – hipostazą ludzkiego umysłu; problemem człowieka współczesnego jest sytuacja, która uniemożliwia szczęśliwy wybór. Z jednej strony bowiem rozwój nauki spowodował usunięcie się racjonalnego gruntu, na którym niegdyś wznosił się gmach teologii, z drugiej zaś – w naukowym obrazie świata nie ma miejsca na ludzkie wartości, ponieważ jest on aksjologicznie obojętny. Sztuka, uwikłana w tę sytuację, znalazła się w pewnym momencie w potrzasku i – nie mając lepszego wyjścia – zajęła sama sobą (na tym, między innymi, polega „kryzys Moderny”). Mimo to jednak, to właśnie sztuka, a w szczególności poezja, powołana jest do tego, by nas wyprowadzić z pułapki bezsensu. Bo „właśnie poezja / swoim zachowaniem przerażonego ptaka / tłukącego o przezroczystą szybę, poświadcza, / że nie umiemy żyć w fantasmagorii” (*DP*, 63).

5.

Człowiek Miłosza żyje na okrojonym terytorium, postulując ład na przekór naporowi chaosu:

Tryb życia staje się więc dla niego podstawowym zadaniem filozoficznym, wyborem przesłanki do wszelkich rozumowań. Gdyż myślenie nie może być oddzielone od środków motorycznych, a one to wchodzi w grę przy podziale dnia. Co z kolei przypomina nam, że człowiek jest przede wszystkim organizatorem przestrzeni, zarówno wewnętrznej, jak

¹⁰ Por. Ch. Taylor, *A Secular Age*, Cambridge, Massachusetts and London 2007.

zewnątrznej, i że to właśnie nazywamy wyobraźnią. Jesteśmy pulsowaniem krwi, rytmem, organizmem przetwarzającym układy przestrzeni zewnętrznej w przestrzeń wewnętrzną (...) Z chwilą kiedy powstaje konflikt pomiędzy naszym wewnętrznym kruchym i bez ustanku odnawianym ładem a nakazami Ulro, nie należy się wahać i to Blake miał na myśli, kiedy pisał, że ziemia jest płaska, a globy obracające się w pustce są złudą Ulro (*ZU*, 268).

Joanna Zach

Darwin in the *Land of Ulro*

The Czesław Miłosz's involvement in the natural sciences, and his long-lasting argument with the theory of evolution has deeply penetrated his poetry and prose; hence the references to Darwin and Darwinism in many of his literary works. In my article, however, I focus on "a hidden presence" of Darwin in Miłosz's writings, a continuous debate which underlines various attempts of the Nobel Prize winner to capture the situation of man in the modern world. Thus the Darwinism with its many social and philosophical consequences becomes one of the central points of the Miłosz's anthropological project. Each of his books gives us a different perspective on the roots of what he calls "the European nihilism", and a different analysis of the modern conflict between religious imagination and the image of man created by natural science.

Paweł Tomczok
Uniwersytet Śląski, Katowice

Opowiadanie bez teleologii. Darwin(-izm) – Parnicki – Sebald

W klasycznych określeniach narracji zwykle występuje opozycja między dyskursem a historią – opowiadanie ma być ukształtowaną pośredniością (jak chce choćby Stanzel¹), lub też odpowiednio uporządkowanym układem zdarzeń. Zauważmy, że w obu przypadkach będziemy mieli do czynienia z elementami należącymi do wyobrażeń teleologicznych, do słownika przyczyn celowych.

Narrator – czyli strona narracyjnej pośredniości – pełnić będzie funkcję „pierwszego poruszyciela”, instancji, która rozpoczyna „ruch” opowiadania, zaś historia/fabula, już przez to, że składa się z początku, środka i zakończenia, musi zakładać pewien cel, dążyć do niego, gdyż inaczej narracja odebrana zostanie jako niespójna, dziwaczna i daleka od rzeczywistości.

Obecność teleologii w opowiadaniu nie może dziwić. Jeżeli teleologia jest jednym z podstawowych sposobów ludzkiego wyjaśnienia rzeczywistości i konstruowania obrazu świata², to musi znaleźć odbicie szczególnie w podstawowych opowieściach, wyobrażeniach i metaforach. Dominacja przyczyn celowych będzie zatem czymś zwyczajnym dla codziennych modeli świata, jakie znajdujemy w mitach czy litera-

¹ Franz K. Stanzel, *Theorie des Erzählens*, Göttingen 2008.

² Posługuję się opozycją obrazu świata i modelu świata za Hansem Blumenbergiem: H. Blumenberg, *Weltbilder und Weltmodelle*, „Nachrichten der Giessener Hochschulgesellschaft”, BD. 30 (1961), s. 67–75.

turze, ale które też przez długi czas całkowicie określały aktywność poznawczą człowieka.

Odejście od teleologii charakteryzuje właściwie dopiero nowożytność – konsekwentne porzucenie przyczyn celowych zaczyna się w szesnastowiecznej i siedemnastowiecznej filozofii natury, gdy zamiast celów, szuka się przyczyn sprawczych (w terminologii Arystotelesa *causae efficiens*). Na miejsce antropomorficznego obrazu świata, w którym kluczową rolę odgrywał stwórca, pojawia się model natury działającej wyłącznie mechanicznie, w oparciu o stałe, bezwyjątkowe prawa, zaś stwórca może zostać ograniczony na przykład do zegarmistrza z oświeceniowej metafory.

Mechanicystyczny model opisu rzeczywistości zyskuje dominującą pozycję w fizyce, nie brak także prób zastosowania go w innych dziedzinach – jak biologia (Kartezjusz) czy filozofia (Hobbes), ale tam nie zdobywa zbyt silnej pozycji. Przeciwnie, przyroda ożywiona opisywana jest raczej jako coś działającego celowo. Przełomem będą tu dopiero prace Darwina.

Jak opozycja między teleologicznym obrazem rzeczywistości a mechanicystycznym modelem świata może zostać przełożona na opowiadanie? Wydaje się, że istnieje tu kilka możliwości – narracja jako struktura złożona może zostać zmieniona w wielu miejscach, bez naruszania innych określeń całości.

Pierwszą możliwość wskazuje nam Hayden White³ ze swoim rozróżnieniem rocznika, kroniki⁴ i narracji – teleologii pozbawione zatem będą te przedstawienia, które oddają zdarzenia bez żadnych oczekiwań, tylko je rejestrują, zapisują. Mówienie w tym przypadku o narracyjności może jednak być problematyczne. Ciekawsze perspektywy otwierają się, gdy wejdziemy w fazę fabularyzacji – czyli już teleologiczną. White w swoim znanym schemacie przydzielił odpowiednio różne modusy wyjaśniania rzeczywistości, ideologie, tropy oraz konwencje literackie. White mocno przeciwstawia tu dwa modele rzeczywistości – organicystyczny i mechanicystyczny, których relacja odpowiada właśnie opozycji między opowiadaniem teleologicznym, a modelowaniem rzeczywistości w oparciu o prawa przyczynowo-skutkowe, bez celowości.

³O teleologii White pisze także w artykule *Zdarzenie historyczne*, [w:] H. White, *Proza historyczna*, red. E. Domańska, Kraków 2009, s. 270.

⁴W *Metahistorii* określane jako prymitywne elementy. Zob. H. White, *Metahistory. The Historical Imagination In Nineteenth-Century Europe*, Baltimore, London, 1975, s. 5.

Inną drogę narratologicznego odejścia od teleologii przedstawia Monika Fludernik. W swoim projekcie naturalnej narratologii⁵ sprzeciwia się definiowaniu narracyjności poprzez opozycję historii i dyskursu – odrzuca zarówno fabularność opowiadania, jak też sztuczną instancję narracyjnej pośredniości. Zamiast tego proponuje ujęcia narracji poprzez kategorię doświadczeniowości – w narracji chodzić będzie o zakomunikowanie jakiegoś doświadczenia, tego, jak się odbiera, przeżywa dane zdarzenie czy sytuację. Możliwe zatem będą narracje bez fabuły, zaś teksty czysto streszczające zdarzenia, pozbawione wymiaru osobistego zdarzenia uznane zostaną za narracje nietypowe, o zerowym stopniu narracyjności.

Konsekwencją takiej decyzji będzie skierowanie uwagi na utwory, które nie posiadają fabuły dążącej do przewidywalnego zakończenia, ale też problematyczna jest w nich pozycja autora i narratora, a często także czytelnika. Przykładami takich tekstów będzie proza Teodora Parnickiego i Sebalda, ale najpierw omówimy status teleologii w biologii po Darwinie.

Darwin i teleologia

Darwinowska myśl o ewolucji pojawia się w momencie, gdy skończyła się już historia naturalna (jak chce Wolf Lepenies⁶) i w naukach o przyrodzie dostrzec można otwarte miejsce, tak opisane przez Leszka Kuźnickiego:

W istocie na długo przed wystąpieniem Darwina obraz przyrody żywej przestał być zrozumiały, a jednak podstawowe założenia o stałości i stworzeniu gatunków nadal się utrzymywały, przede wszystkim na skutek braku teorii zdolnej wyjaśnić, w jaki sposób gatunki mogą się przekształcać i nabywać nowe własności przystosowawcze⁷.

Przed Darwinem dominują zatem dwa poglądy – po pierwsze myślenie teologiczne ujmujące przyrodę jako stworzoną przez Boga. W drugiej połowie XIX w. ta teoria została przeformułowana i dostosowana do ówczesnej wiedzy anatomicznej i geologicznej przez Geogesa Cuviera. Francuski przyrodnik stworzył wizję wielkich katastrof, w czasie których miało dochodzić do zagłady ziemskiego życia, a potem

⁵M. Fludernik, *Towards a „Natural” Narratology*, London 1996, s. 20 oraz s. 320.

⁶W. Lepenies, *Ende der Naturgeschichte. Wandel kultureller Selbstverständlichkeiten in den Wissenschaften des 18. und 19. Jahrhunderts*, München 1976.

⁷*Historia nauki polskiej*, red. B. Suchodolski, t. IV, cz. 3, s. 304.

proces stworzenia zaczynał się od nowa. Głównym problemem tej teorii było wytłumaczenie istnienia skamielin – pojmowanych jako igraszki natury, a także kwestia zbędnych narządów: w porządku stworzenia każda część musiała pełnić jakąś funkcję. Te słabości teorii stworzenia i katastrof stały się przedmiotem żartów w drugiej połowie stulecia⁸.

Drugi sposób myślenia o przyrodzie opierał się na rezygnacji z myślenia o przyrodzie w kategoriach czasu – lęk przed spekulacją nadal silnej naturalnej teologii był tak duży, że wielu autorów gotowych było ograniczyć się do opisu świata. Świetnym przykładem takiego podejścia do przyrody mogą być dzieła Aleksandra Humboldta, który w swoim *Kosmosie* odróżnia opis fizyczny świata, który „wystawia obraz tego wszystkiego, co ma swój byt w przestrzeni” od historii fizycznej świata czyli badania „przemiany świata w ciągu wieków”⁹, a cel swoich badań widzi w poznaniu „świata zjawisk w ich związku i wpływie wzajemnym”¹⁰.

Teoria ewolucji przez dobór naturalny uderza zatem we wspólne założenie obu modeli nauk o przyrodzie – w przekonanie o stałości gatunków, ale zmusza też do zmiany zakresu nauk biologicznych: bądź do likwidacji teologii naturalnej, bądź do porzucenia ateistycznego deskryptywizmu. Mamy tu zatem przejście od biologii jako wiedzy opisującej i klasyfikującej do teoretycznej¹¹. Ta teoria zaś to jednocząca wizja świata przyrody jak rządzonego stałymi prawami nadprodukcji, zmienności i selekcji poprzez dobór naturalny.

Liczni autorzy podkreślają, że mamy tu do czynienia z przejściem od myślenia teologicznego opartego na arystotelesowskim modelu rze-

⁸ Oto jak przedstawiał ten problem z charakterystyczną retoryką Ernst Haeckel: „żaden jeszcze objaw biologiczny nie przyczynił przyrodnikom tak wielkiego kłopotu, nie zadał im tyle pracy, jak te szczątkowe albo poronione narządy. Są to narzędzia do niczego nie użyteczne, części ciała, które chociaż istnieją nic jednak nie wykonywują i pomimo tego że celowe przedstawiają pozory, nie mogą jednak urzeczywistnić swego celu. Zaledwie można powstrzymać się od śmiechu, skoro się przypomni daremne usiłowania, jakie robili poprzedni przyrodnicy w chęci wytłumaczenia tej zagadki. Nie będąc w stanie wynaleźć coś lepszego twierdzili oni np., że stwórca pozostawił te narządy jedynie by zachować symetrię; inni znowu dowodzili, że dzięki wysokiemu poczuciu sprawiedliwości, wydawało się stwórcy niewłaściwym odbierać całkowicie niezgodne do żadnego użytku narządy jednym ustrojom, pozostawiając je u najbliższych ich pokrewnych; by więc je pocieszyć zostawił im w nagrodę brakującej funkcji zewnętrzną oprawę pustej formy, na kształt tego zupełnie jak na dworach umundurowani urzędnicy cywilni obdarzeni są niewinną szpadą, której nie wydobywają jednak nigdy z pochwy” (E. Haeckel, *Dzieje utworzenie przyrody*, przeł. J. Czarnecki i L. Masłowski, s. 11).

⁹ A. von Humboldt, *Kosmos. Rys fizycznego opisu świata*, t. I, przeł. H. Skrzyński, Warszawa 1849, s. 59.

¹⁰ Tamże, s. 2.

¹¹ *Historia nauki polskiej*, wyd. cyt., s. 11.

czywistości do mechanicznego myślenia według przyczyn, co jest charakterystyczne dla nowożytnej nauki. Ta pierwsza bliższa była ludzkim oczekiwaniom sensownego świata, pełnego symetrii i harmonii oraz wyrastała z przekonania, że „w naturze nie może istnieć żaden organ bezużyteczny”, a „każda istota ożywiona jest wcieleniem pewnej idei, urzeczywistnieniem pewnego pomysłu, pewnego planu”¹². Teleologia miała więc zapewnić sensowność, „oczłowieczenie” świata jako całości, a także każdej z jego części – co gwarantował dobrotliwy stwórca¹³. Mechanistyczne myślenie o przyrodzie wykluczało zaś patrzenie na rzeczywistość jako na racjonalny układ celów, a przeciwnie widziało tylko „ślepą” siłę, która działa w przyrodzie poprzez nadprodukcję osobników i ich bezcelową zmienność.

Jednym z ciekawych dla filologa problemów, jakie muszą się pojawić przy przejściu od organicyzmu do mechanicyzmu jest pytanie o język. To w języku właśnie znajduje się wiele teleologicznych założeń naszego obrazu świata – opisując rzeczywistość intuicyjnie przypisujemy jej celowość i intencjonalność, nakierowanie na coś, zmierzanie do czegoś, pragnienie.

Sytuacja nauk przyrodniczych w drugiej połowie XIX wieku wyglądałaby zatem tak, że obok mechanicystycznej teorii doboru naturalnego mamy język, który dalej podsuwa nam np. pytania o cel danego narządu czy jakiegoś działania, co skutkuje przypisywaniem naturze intencjonalności, psychologizowaniem zwierząt (np. jaskółka leci do Afryki, by przezimować). Konsekwencją tego zagrożenia teorii ewolucji przez teologiczny język będą różne próby przededefiniowania słownika, tak by nie sugerował żadnych celów. Z używaniem kodu teologicznego wiązać się bowiem może sugestia prawomocności takich popularnych w pierwszych dekadach XX w. kierunków filozoficznych jak neowitalizm Hansa Driescha¹⁴ czy twórcza ewolucja Bergsona. W tym czasie „Teleologia jest dla biologa jak metresa: nie może on bez niej żyć, ale nie chce bywać z nią widziany publicznie”¹⁵. Dopiero po „ostatecznym zwycięstwie” teorii

¹² A. Wrześniowski, *Karol Darwin. Wspomnienie pośmiertne*, „Wszechświat” t. 1, 1882, nr 6, s. 88

¹³ E. Haeckel, *Dzieje...*, dz. cyt., s. 14.

¹⁴ Zauważmy, że teorie neowitalistyczne odegrały bardzo ważną rolę w rozwoju antropologii filozoficznej poszukującej takiego obrazu człowieka, który będzie zarazem zgodny z wiedzą biologiczną (z czego czerpał antropologiczną legitymizację), jak i uwzględni wyjątkowość i autonomię człowieka (to miał być komponent antropologiczny).

¹⁵ Zdanie Johna Haldane’a przytoczone przez Ernsta Mayra. Cyt. za. R. Spaemann, R. Löw, *Cele naturalne. Dzieje i ponowne odkrycie myślenia teleologicznego*, przeł. A. Póltawski, Warszawa 2008, s. 259.

ewolucji, gdy staje się w pełni akceptowaną teoretyczną podstawą nauk biologicznych otwiera się możliwość przywrócenia języka teleologicznego, którego nikt nie będzie już podejrzewał o wprowadzanie do nauki metafizyki czy teologii. Zamiast o teleologii mówi się teraz o teleonomii, czyli wyjaśnieniu zjawisk ewolucyjnych w terminach celowościowych, ale bez odwołania do celu – będzie to zatem tzw. „celowość bez celu”, pełniąca tylko funkcję heurystyczną.

Rola teleologii pokazuje punkt przecięcia naukowego modelu świata z obrazem świata, który tkwi w języku, ale też znajduje wyraz w różnych mitologiach, systemach religijnych, filozoficznych, a także w sztuce. Ten obraz świata nie ma być adekwatny, ale raczej dawać spójny pogląd konieczny do działania – zarówno wobec rzeczywistości przyrodniczej, jak i w społeczeństwie. Trudność oddzielenia biologii podarwinowskiej od języka teleologicznego wskazuje, jak niejednoznaczny jest proces przechodzenia od mitu do logosu – zamiast prostego przejścia będziemy tu mieli do czynienia raczej ze skomplikowanymi procesami neutralizacji emfaticznego znaczenia wybranych słów czy struktur gramatycznych, które muszą zostać pozbawione sugestii metafizycznych. Raczej chodzić będzie o wymianę tropów albo terminologizację metafor¹⁶, niż o pozbycie się retoryki i przejście do czystej logiki.

W następnej części pracy chciałbym przyjrzeć się temu, jak teorię ewolucji pojmowali dwaj pisarze – Teodor Parnicki i W.G. Sebald. Każdy z nich wychodzi od pewnego pojmowania natury, które odbija się także w preferowanej formie opowiadania.

2. Parnicki i darwinizm

Dla Parnickiego natura to przede wszystkim natura w człowieku – to, jak człowiek przeżywa swoją cielesność, skończoność, bycie ciałem, które Parnicki utożsamia z osobą. Fragment ewolucyjny¹⁷ pojawia się już w czwartej, napisanej w latach pięćdziesiątych, często uważanej za najważniejszą powieści – *Słowo i ciało. Powieści z lat 201–203*. W liście Chozroesa pojawia się taki dialog między nim a jego żydowską żoną Rachelą Eratoną:

Ja: Jak ryba Anaksymandra Milezyczyka, co w mule była ugrzęzła.

Ona: I co się z nią stało?

¹⁶ H. Blumenberg, *Paradigmen zu einer Metaphorologie*, Frankfurt am Main 1998, s. 118.

¹⁷ Sam Karol Darwin pojawia się w powieści *Staliśmy jak dwa sny* – jako przyrodznawca-detektyw – T. Parnicki, *Staliśmy jak dwa sny*, Warszawa 1973, s. 479–480.

Ja: Wyrosła.

Ona: W co?

Ja: W węża. A ten – po wielu, wielu tysiącletniach – w jaszczura. Z kolei zaś znowu po wielu, wielu wiekach wieków wyrasta...

Ona: Szczur z jaszczura.

Ja: Lepiej odwróć.

Ona: Jaszczur w szczura. A szczur?

Ja: W kota.

Ona: Kot?

Ja: W lemura.

Ona: Lemur – w małpę?

Ja: Rzekłś.

Ona: Małpa? Wiem i – mój miły – małpa w ciebie.

Ja: We mnie, w ciebie.

Ona: W Sokratesa.

Ja: W mędrców wszystkich Izraela.

Ona: I tu kres już? Koniec drogi?

Ja: O nie. Tu tylko wielki postój. Najważniejszy chyba.¹⁸

Zauważmy, że Parnicki pisze tu o osobnikach kolejnych gatunków, a nie o gatunkach – kieruje to naszą uwagę na sformułowany wtedy (w latach pięćdziesiątych) konsekwentny nominalizm w teorii ewolucji, gdy np. Ernst Mayr¹⁹ wyprowadził nie do końca wyeksplikowaną intuicję Darwina o wyłącznie heurystycznym znaczeniu pojęcia gatunków. Właściwie w naturze mamy do czynienia z pojedynczymi, niepowtarzalnymi osobnikami, a gatunkiem możemy określić tylko statystyczną normę. U Parnickiego konsekwencją tej wiedzy będzie unieważnienie różnicy między ideą a abstrakcją – na rzecz relacji między tekstem a rzeczywistością, osobowością a naturą (ciałem).

Dla samej teleologii wiele ważnych fragmentów pojawia się w powieści z 1970 roku, *Muzie dalekich podróży*. Teleologia jest jednak elementem wiedzy przeszłej, słowem słabo zrozumiałym dla intelektualisty z przełomu XIX i XX stulecia:

pytałem nie o teologię, ale o teoteologię, albo – gdyby wolala wasza ekscelencja – o teleoteologię. Wiedza to tak niezbędna w wieku siódmym – szczególnie dla ekscelencji waszej – jak w siedzibie namiestnikowskiej we Lwowie na przełomie wieków dziewiętnastego i dwudziestego niezbędna byłaby waszej ekscelencji znajomość geopolityki i etnologii. Zresztą

¹⁸ T. Parnicki, *Słowo i ciało. Powieść z lat 201–203*, Warszawa 1959, s. 59.

¹⁹ E. Mayr, *Populacje, gatunki i ewolucja*, przeł. W. Byczkowska-Smyk, A. Czapiak, Warszawa 1974.

była przecież mowa tu już, że materia wyraża się poprzez zamanifestowanie właściwości takich czy innych natury, a energia – osobowości.²⁰

Przypomnijmy, że Parnicki w wielu wywiadach²¹ porównywał rolę powieściopisarza historycznego do platońskiego demiurga, który w przeciwieństwie do biblijnego Boga nie tworzy z niczego, ale jest ograniczony przez charakter materiału, którym dysponuje. Przekształcenie powieści historycznej, którego dokonuje Parnicki oznacza jednak rezygnację także z tego celowego tworzenia – o ile stwórca, czy wskrzesiciel zna cel swojej działalności, to celowość działania pisarza zostaje ograniczona, gdyż deleguje on swoje narratorskie uprawnienie na dziwne literackie instancje zwane Metales Casados, które reprezentują różne konwencje powieściopisarskie. Te konwencje o charakterze podlub nadludzkim sprzeciwiają się teleologii (s. 125), a potem dokonują jej rewizji:

Zwolennikami szkoły teleologicznej jesteśmy, to prawda, ale nie jest to ani statyczna teleologia, ani metafizyczna, tylko dynamiczna i dialektyczna. A skoro tak, mowy być przecież stanowczo nie może o wyposażeniu eksperymentu w cel dający się apriorycznie ustalić czy choćby nawet tylko odgadywać na chybił trafił. Cel musi eksperyment mieć, to jest pewnik, lecz właśnie jaki cel, to dopiero eksperymentu powodzenie ujawnioby²².

Tym eksperymentem staje się sama powieść – utwór o nieustalonej kwalifikacji (powieść jest tylko jedną z metafor – obok wazy, świątyni i okrętu), temacie (miała być o Samonie), a nawet liczbie rozdziałów. Autotematyzm wyklucza tu teleologię zarówno z narracji – poprzez stworzenie społeczności narracyjnej, która walczy o kształt literackiego świata, po fabułę, która nie dąży do jakiegoś konkretnego zakończenia, ma charakter całkowicie otwarty (jak fabuła ramowa), albo też od razu ujawnia zakończenie alternatywnej historii Polski po wygranym powstaniu listopadowym.

Parnicki w swoich powieściach próbuje zatem zastosować wiedzę ówczesnej biologii, wyciągnąć z niej konsekwencje dla literackiego opowiadania – dla sytuacji narracyjnej i fabuły, a także natury przedstawionego świata. Po pierwsze nominalizm teorii ewolucji, przekłada na myśl o indywidualności człowieka, po drugie rezygnuje z pozycji autora jako

²⁰T. Parnicki, *Muza dalekich podróży*, Warszawa 1970, s. 111.

²¹Np. „Nurt” 1971, nr 1.

²²Tamże, s. 202.

gwaranta sensu, którego pozycja zbliżała się do Boga, oddając tę pozycję powieściowym czynnikom walczącym o literacki byt, po trzecie wykorzystuje pojęcie teleologii dynamicznej i dialektycznej bliskie kategorii teleonomii – czyli celowości bez celu. W pełni widoczne stanie się to w koncepcji historii bez logosu, sformułowanej przez Stefana Szymutkę w *Zrozumieć Parnickiego* – dodajmy z pomocą cytatu z Foucaulta²³, który według ostatniej książki Philippa Sarasina²⁴ – „pochodzi od Darwina”.

3. Sebald

W prozie Sebald²⁵ – postrzeganej przez pryzmat postpamięci i Holokaustu – znajdujemy zaskakująco wiele fragmentów dotyczących natury. Od razu jednak zastrzec trzeba, że jest to natura w pobliżu człowieka: ogrody, parki i zwierzyńce. Zwierzęta nie znajdują się w stanie natury, ale – jak konie Selwyna – znajdują się zarówno poza naturą, jak i poza przemysłem (angielski lekarz wykupił je z drogi do rzeźni). Proza Sebald często przedstawia też zwierzęta dyskretnie egzystujące w zabudowanej przestrzeni: przede wszystkim owady: cmy zbierane przez Austerlitz, ale też sowy, lisy czy wiewiórki z wewnętrznego dziedzińca paryskiej Biblioteki Narodowej. W *Austerlitz* pojawia się nawet sama postać Karola Darwina, pod wpływem którego kolejni członkowie zaprzyjaźnionej z Austerlitzem rodziny zostają przyrodnikami, hodowcami (np. gołębi). Zastrzec trzeba, że Sebaldowskim przyrodnikiem znacznie bliżej do dyskretnych obserwatorów przyrody i pełnych pasji hodowców niż współczesnych badaczy procesów przyrodniczych – zwierzęta czy rośliny są tu raczej pielęgnowane, a nie poddane badawczemu spojrzeniu, które chce je zmierzyć i rozciąć.

Rola natury nie ogranicza się jednak w tej prozie do wymieniania nazw roślin i zwierząt. Sebald odnawia i reinterpretuje pojęcie historii naturalnej. Przypomnijmy, że jej koniec – według np. Wolfa Lepeniesa – wiąże się wpisaniem natury w inny bieg czasu, czasu znacznie bardziej rozciągniętego niż historia człowieka, a także przejście od badania istot żywych do nauki o samym życiu, czyli pojawiającej się od początku XIX wieku biologii. Koniec historii naturalnej oznacza zatem ugruntowanie

²³S. Szymutko, *Zrozumieć Parnickiego*, Katowice 1991, s. 24. M. Foucault, *Archeologia wiedzy*, przeł. A. Siemek, Warszawa 1977, s. 249.

²⁴Ph. Sarasin, *Darwin und Foucault. Genealogie und Geschichte im Zeitalter der Biologie*, Frankfurt am Main 2009

²⁵Odnoszę się tu następujących utworów, wszystkie w przekładzie Małgorzaty Łukasiewicz: *Wyjechali*, *Pierścienie Saturna*, *Austerlitz*.

podziału na rzeczywistość natury, którą wyjaśniamy oraz historyczną rzeczywistość człowieka, którą rozumiemy²⁶. Koniec historii naturalnej nie oznacza wcale jej całkowitego zaniknięcia, a raczej przesunięcie do niekanonicznych dyskursów nowoczesności – pojawiać się będzie zatem u powieściopisarzy i socjologów, a także u istotnych dla Sebald filozofów jak Adorno i Benjamin. U tego ostatniego historia naturalna łączy się z przemieszaniem ustabilizowanych modeli patrzenia na przyrodę i na człowieka – postrzegania artefaktów, jakby były przedmiotami natury, szczególnie, gdy wracają do natury. To ostatnie znaczenie konceptu historii naturalnej chyba najbardziej odpowiada narracyjnej technice Sebald – na początku powieści *Austerlitz* pojawia się zestawienie oczu ludzkich oraz spojrzeń zwierząt z noktoramy, a w innym miejscu osoby na dworcu widziane są jako ginąca populacja.

O ile Sebald nie przedstawia natury w stanie walki o przetrwanie, to fascynuje go nieustannie zagrażająca tej naturze katastrofa. Zbliża się tu do popularnego w ostatnich latach wśród ewolucjonistów katastrofizmu, zbliżonego do odrzuconego przez Lyella i Darwina Cuvierowskiego obrazu wielkich katastrof, po których od nowa rozpoczynać się miało stwarzanie gatunków. Dziś tacy ewolucjoniści jak Gould twierdzą, że aktualistyczna wizja lepiej odpowiadała wyobrażeniom ówczesnego społeczeństwa, a także wprowadzała pewien element spokoju, gdyż przemijanie gatunków mogło zostać rozciągnięte w trudno wyobrażalnym czasie.

Katastrofizm u Sebald dotyczy tak samo natury, jak człowieka – zagłada dotykać może zarówno przydomowych drzew, jak też całych miast (jak bombardowane niemieckie miasta w czasie wojny), regionów (wschodnia Anglia, po której narrator wędruje w *Pierścieniach Saturna*), jak też Żydów. Choć może to brzmieć skandalizująco – wszystkie te katastrofy wpisane są w jeden szereg naturalnych katastrof. To, że część z nich wywołuje człowiek, pokazuje tylko, jak bardzo wpisany jest w naturę, nawet tam, gdy chce się od niej odciąć.

Czy możemy teorii natury Sebald wysnuć jakieś wnioski dla narracji, połączyć obraz przyrody z opowiadaniem? Omawiana proza komplikuje proces opowiadania w całkiem inny sposób niż czyni to Parnicki – mamy tu na pierwszy rzut oko do czynienia z pierwszoobowym narratorem wyposażonym w biografię i wygląd (zdjęcia!) autora. Ale oprócz niego w narrację wkraczają kolejne postaci – co z jednej strony

²⁶ Jak głosi ugruntowana ostatecznie przez Wilhelma Diltheya opinia.

tworzy szkatułkową narrację o wielu poziomach (do czterech²⁷), ale zarazem zrównuje wszystkie te głosy w jednym zapisie. Ten język jakby odosobniał się, tracił przypisanie do konkretnej postaci.

Ale najpełniej opowiadanie bez teleologii realizuje się w układzie fabularnych tych utworów – nie zmierzają one do żadnego fabularnego zakończenia, nie są nastawione na wynik, intrygę. Czytelnik dysponuje tylko pewnym zbiorem relacji, które zdobył autor, ale nie może być pewien ani ich pełni, ani skończoności. W *Austerlitzu* po prostu rozstajemy się z tytułowym bohaterem, mimo, że moglibyśmy jeszcze wiele dowiedzieć się o dalszej biografii (czy spotkał się z Marie, znalazł ślady ojca, popełnił samobójstwo), zamiast tego otrzymujemy relację z kolejnej wizyty narratora w Belgii – kompozycję organizują zatem przypadkowe zdarzenia, a nie ich sensowny układ. W *Pierścieniach Saturna* zaś rytm opowiadania wyznaczają tylko miejsca i skojarzenia, dygresje, które autor może przypisać danej przestrzeni – tu rzeczywistości nie może porządkować żadna teleologia, a wyłącznie przypadkowy ciąg skojarzeń podróznika.

Proza Sebald została ukształtowana poprzez doświadczenie naturalnohistorycznych katastrof – opowiadanie bez teleologii jest tu skutkiem niemożności wyznaczenia celu w naturze i historii, która nie poddaje się żadnym racjonalizacjom, a przedstawia się jako ciąg nagłych, niespodziewanych zniszczeń.

Zakończenie

W artykule podejmuję się omówienia procesu z historii idei, który przejawia się zarówno w nauce, jak i literaturze, procesu, który określić można jako zmianę naszych podstawowych, intuicyjnych kategorii opisywania czy konstruowania obrazu rzeczywistości. W przypadku biologicznych modeli rzeczywistości mamy do czynienia z trzema kategoryzacjami rzeczywistości – na początku teleologia wywodząca się z teorii kreacji, potem pozytywistyczny deskryptywizm, ograniczenie się do opisu i klasyfikacji, a w końcu teoria ewolucja, która w końcu przyjmuje teleonomię. Literatura zaś odchodzi od narracji auktorialnej i fabuł romantycznych, by coraz bardziej ograniczać swoje uprawnienia, przez co ma dokładniej przedstawiać rzeczywistość, ale w końcu powraca do „bogatych” form narracyjnych, choć łączą się one z ironią, autotematyzmem i ujawnieniem literackości.

²⁷ Kolejni narratorzy: Sebald – Austerlitz – Vera – Aychenwald. Opowiadanie dotyczy zdarzeń w Norymberdze.

Paweł Tomczok

Non-Teleological Narratives. Darwin - Parnicki - Sebald

In this paper I discuss the possibility of creating non-teleological narratives – it seems that teleology is a constitutive element of a narrative, yet the mechanical representations of the Word – with Darwinism among others – exclude teleology itself. In the present paper I attempt to describe the Darwinian struggle with teleology – in particular, how biology tried to establish a language without clearly defined aims. Separate parts of the paper are dedicated to two authors who suggested a departure from the teleology of a story – W G Sebald and Teodor Parnicki, whose works present models of a non-teleological novel.

Michał Kłosiński
Uniwersytet Śląski, Katowice

Problem hybrydy

Znaczenie hybrydy sięga do tradycji greckiego *hybris*, które obok pychy i upadku oznacza również gwałt. Hybryda to połączenie, krzyżówka, mieszanka dwóch różnych gatunków. W słownikach zaznaczona zostaje sięgająca do etymologii łacińskiej definicja, która mówi o potomstwie zwierzęcia domowego i dzikiego oraz pana i niewolnika. Hybryda rodzi się w miejscu transgresji gatunku, rasy, klasy. Ponieważ jest owocem gwałtu, jej egzystencja zostaje zawieszona, jej status jest niewiadomy.

Pisanie o hybrydzie ociera się o niemożliwość wyrażenia jej struktury w piśmie, niemożliwość, która tkwi w istocie hybrydycznego de-strukturuwania, de-konstruowania, de-gradacji. Jej istota polega na wystarczaniu samej siebie, na buncie przeciwko klasyfikowaniu, strukturuwaniu, ekonomizowaniu i innym formom przemocy symbolicznej. Hybryda nie jest, nie była i nie będzie ani panem ani niewolnikiem, nie stoi ona przed wyborem albo/albo, jej egzystencja nie jest efektem wyboru, lecz symbolicznego gwałtu, który stawia ją w pozycji ani/ani. W tekście *Monster Culture (Seven Theses)* Jeffrey Jerome Cohen pisze:

Ta niezgoda na współludział w klasyfikacyjnym »porządku rzeczy« jest ogólnie prawdziwa dla potworów: są one niepokojącymi hybrydami, których zewnętrznie niespójne ciała opierają się próbom włączenia ich w jakiegokolwiek systematyczne strukturuwanie. A zatem potwór jest

niebezpieczny, to forma zawieszona wśród form, która zagraża zniszczeniem podziałów¹.

Hybrydyczność definiuje potworność potwora, kulturę potworów, kulturę współczesną². To ona powoduje, że zawala się „porządek rzeczy” oparty na kategoryzacji, klasyfikacji i strukturze. Hybryda jawi się jako potwór, de-monstrujące się monstrum, apoteoza inności, której archiwum, oznaczone przesądnie literą X, służy raczej za leże, niż aparat klasyfikacyjno-analityczny.

Hybryda nie poddaje się klasyfikacji i strukturuwaniu, bo jej istnienie polega na różnicowaniu i, podobnie jak *différance* Derridy, działa ona na zwłokę, odwleka i rozsuwa znaczenia. Hybryda wprowadza grę, w której stawką nie może być prawda, grę w wieczne stawanie się, grę wiecznego błędzenia pomiędzy bytem a byciem. Tu, gdzie żywej i gnijącej tkanki nie sposób oddzielić od nierdzewnych złączy, Tam, gdzie bycie ku śmierci coraz bardziej uzupełniane jest sztucznym bytem. Tu i Tam hybrydy wskazuje na jej fantazmatyczny status, jak pisze Donna Haraway:

Cyborg jest organizmem cybernetycznym, hybrydą maszyny i organizmu, wytworem rzeczywistości społecznej i fikcji. Rzeczywistość społeczna stanowi całość przeżywanego stosunków społecznych, jest naszym najważniejszym wytworem politycznym, fikcją zmieniającą świat³.

Hybryda splata rzeczywistość społeczną z fikcją, ale nie wytwarza utopii, jaką chciałaby widzieć w niej Haraway:

Z innej perspektywy świat cyborgów może oznaczać także przeżywanie rzeczywistości społecznej i cielesnej, w których ludzie nie lękają się pokrewieństwa ze zwierzętami czy maszynami, nie obawiają się trwale cząstkowych tożsamości i sprzecznych punktów widzenia⁴.

¹J. J. Cohen, *Monster Culture (Seven Theses)*, tłum. własne, [w:] *Monster Theory*, red. J. J. Cohen, Minneapolis 1996, s. 6.

²Proliferację nowych definicji kultury, jako zjawiska hybrydycznego można zaobserwować w podejściu Marwina M. Kraidy'ego, który pisze: „Hybrydyczność jest jednym z emblematycznych pojęć naszej ery. Ujmuje ducha tych czasów z jego obowiązkowym celebrowaniem kulturowej różnicy i fuzji, i rozbrzmiewa globalizacyjną mantrą nieokielzanych wymian ekonomicznych i przypuszczalnie nieuniknioną transformacją wszystkich kultur”. Tegoż, *Hybridity, or the Cultural Logic of Globalization*, tłum. własne, Temple University Press 2005, s. 1.

³D. Haraway, *Manifest cyborgów: nauka, technologia i feminizm socjalistyczny lat osiemdziesiątych*, tłum. S. Królak i E. Majewska, [w:] „Przegląd Filozoficzno-Literacki” 2003, nr 1, s. 49.

⁴Tamże, s. 56.

Haraway zapomina, że hybryda to wytwór symbolicznej przemocy, gwałtu na żywej tkance i gwałtu na maszynie, których zespolenie alarmuje swoją obecnością psy gończe i wykrywacze metalu. Hybryda nie wchodzi w relacje pokrewieństwa, ona pokrewieństwo dekonstruuje, zdradza maszynę z ciałem, zdradza ciało z maszyną. Czyny z narzędzia, z bytu, część bycia ku śmierci, obiecując mu wspólną mogiłę, ale nigdy tożsamość. W jej sercu tkwi sprzeczność obcej tkanki, zszytej grubymi nićmi, zgwałconej materii. Nie, hybryda nie godzi w siebie sprzeczności, bo zawsze pozostawia ranę, ślad ich zespolenia.

Ślad, blizna, znamię – wszystkie te kategorie opisują hybrydę, która staje się cielesną i mechaniczną mapą podziałów, operacji plastycznych. „Korpus”⁵ hybrydy, jej tekstowe ciało przepelnione erotyzmem budzi sadomasochistyczną podniecie czytelnika, który wodzi palcem po miejscach krzyku i bólu, miejscach narodzin nowego znaczenia. Seksualność hybrydy jest przedmiotem represji, odmawia się jej prawa do potomstwa, jej zabliznione ciało nosi ślady proliferacji znaczeń, to ciało zaszyte po porodzie matki. Problem pojawia się, kiedy ciało przestaje być ciałem tekstowym, przedmiotem fantazmowania, dyskursu humanistycznego, a rozumiane jest literalnie jako ciało biologiczne. Monstrum Frankenstein, *Obcy* czy Terminator to hybrydy tekstualno-medialne, natomiast inaczej funkcjonują byty zaprojektowane w komputerach naukowców, które mają wkroczyć do rzeczywistości w sterylnej przestrzeni laboratorium. Dla przypomnienia, hybrydyczne (transgeniczne) króliki i myszy już od lat 90. wykorzystywane są do produkcji hormonów wzrostu, czy laktoferryiny, natomiast w 2007 roku w Wielkiej Brytanii weszło w życie prawo dotyczące możliwości laboratoryjnego tworzenia ludzko-zwierzęcych embrionów hybrydycznych.

Haraway uważa, że:

Cyborg [jako przykład hybrydy] nie jest przedmiotem biopolityki Foucaulta, cyborg symuluje politykę, co stanowi bardziej skuteczne pole operacji⁶.

Hybryda nie jest „przedmiotem biopolityki”, ona jest jej ostatecznym produktem, a także jej początkiem, powodem jej wprowadzenia. W *Trzeba bronić społeczeństwa* Foucault pisze:

⁵ Tak jak rozumie ten termin Roland Barthes: „To chyba arabscy mędracy, mówiąc o tełście, używają cudownego słowa: *korpus*. Ale jaki to korpus, jakie ciało?”, [w:] tegoż, *Przyjemność tekstu*, tłum. A. Lewańska, Warszawa 1997, s. 21.

⁶ D. Haraway, *Manifest cyborgów...*, dz. cyt., s. 66.

Tak więc po pierwszym zawładnięciu ciała, które dokonało się według modelu indywidualizacji, mamy drugie zawładnięcie, które nie jest już indywidualizujące, ale umasawiające, które zwraca się nie do człowieka-ciała, ale do człowieka-gatunku. Po anatomo-polityce ludzkiego ciała, stworzonej w ciągu XVIII wieku, pojawia się, pod koniec tego samego stulecia, coś, co nie jest już anatomo-polityką ludzkiego ciała, ale co nazwałbym »biopolityką« ludzkiego gatunku. (...) chodzi o pewien zespół procesów, takich jak proporcja narodzin i zgonów, wskaźnik reprodukcji, płodności danej populacji itp.⁷

Zanim pojawiła się *biopolityka* w sensie prawnym, to hybryda zabraniała krzyżówek intergatunkowych, to jej funkcją było różnicowanie połączeń zdrowych i monstrotwórczych. Współcześnie mechanizmy kontroli i nadzoru gatunkowego przybrały postać instytucji wydających zezwolenia na tworzenie hybryd w znaczeniu biologiczno-prawnym. Jedną z takich instytucji jest HFEA, Human Fertilization and Embryology Authority, która sprawuje w Wielkiej Brytanii pieczę nad badaniami z dziedziny inżynierii genetycznej. W dostępnej on-line publikacji *Hybrids and Chimeras* można odnaleźć bardzo ciekawy fragment:

W wyniku legalnej decyzji HFEA wierzy, że prawdopodobnie ma władzę, aby dawać licencję na tworzenie cytoplazmatycznych hybryd embrionalnych, jednakże jurysdykcja HFEA nad takimi embrionami mogłaby być testowana w sądach. Przystępstwem jest tworzenie jakiegokolwiek embrionu, który podpadałby pod jurysdykcję HFEA, chyba że osoba tworząca go ma na to licencję HFEA⁸.

Biopolityka nie tylko wykorzystwała hybrydę do zagwarantowania swojej „jurysdykcji” w przestrzeni miksowania gatunków, wyraźnie w tekście angielskim określonej mianem *creation*. Owo *creation*, w moim tłumaczeniu – tworzenie, czyni z hybrydy więźnia polityki *sensu stricto*. Hybryda nie jest niczym innym jak produktem, na który potrzebna jest licencja, produktem na tyle niejasnych machinacji, że jego twórcy zaznaczają „prawdopodobieństwo” własnej władzy. Hybryda jako licencjonowana kreacja podpada zatem pod kategorię prawne/bezprawne, przestaje tym samym funkcjonować jako pewna kategoria operacyjno-poznawcza w dyskursie humanistycznym (postkolonializmie, literaturoznawstwie, kulturoznawstwie czy medioznawstwie). W kleszczach *biopolityki* hybryda nabiera statusu prawnego jako byt biologiczny, cho-

⁷ M. Foucault, *Trzeba bronić społeczeństwa*, tłum. M. Kowalska, Warszawa 1998, s. 240.

⁸ Źródło dostępne on-line pod adresem: http://www.hfea.gov.uk/docs/Hybrids_Chimera_review.pdf, tłum. własne, s. 11.

ciaż ten zabieg jest z góry skazany na niepowodzenie, tak jak na niepowodzenie skazana jest próba zalegalizowania gwałtu. Jednym słowem jakkolwiek legalizacja tworzenia biologicznych hybryd byłaby wedle mnie legalizacją gwałtu.

HFEA rozporządza zatem licencją na kreowanie hybryd, licencją na gwałt, licencją na łączenie pana i niewolnika, człowieka i zwierzęcia. W świetle posiadanej jurysdykcji bardzo ciekawe staje się etyczne podłoże kontroli nad hybrydycznymi embrionami; HFEA twierdzi, że:

Żaden naukowiec czy klinicysta nigdy nie wyraził pragnienia [desire] by stworzyć hybrydyczne lub chimeryczne dziecko. Jednakże, nawet gdyby ktokolwiek rzeczywiście życzył sobie tak zrobić, popełniałby przestępstwo, jeśli wszczepiłby jakiś hybrydyczny embrion (...) lub jakiś cytoplazmatyczny hybrydyczny embrion kobiecie⁹.

Hybryda nie narodzi się, nie wolno pożądać [*desire*] takich narodzin, jej właściwym miejscem nie jest przestrzeń kobiecego łona, narodziny hybrydy byłyby przestępstwem. Biopolityka musi nadzorować i karać tych, którzy nie potrafią powściągnąć swoich kreacjonistycznych pożądań. To pożądaniami są przedmiotem stłumienia samej *biopolityki*, to ich najbardziej lękają się takie instytucje jak HFEA. Hybryda może być wynikiem eksperymentów, przeszczepów, cięć, gwałtu, ale nie wolno pożądać uwolnienia jej z próbówki.

Magdalena Radkowska-Walkowicz pisze:

Jak dzieci nie są tylko własnością rodziców, ale całej kultury i wszechświata, tak androidy [to także rodzaj hybryd] nie są własnością kreatorów. Kiedy więc wzniesą bunt lub swoim nieszczęściem wskazują na jakiś brak i niedoskonałość, to werbalizują naszą niezgodę na ograniczoność. Mówią, że w szóstym dniu stworzenia i w dniu wypędzenia z raju Bóg musiał popełnić błąd¹⁰.

Bóg popełnił błąd, więc odebrano mu licencję, a Bóg bez licencji na tworzenie, Kreator bez pozwolenia na kreację, jest tylko fantazmatem. Hybryda wyznacza nowy horyzont, odwleka, rozsuwa relacje między Stwórcą a stworzeniem, grozi śmiercią z ręki tworu. Hybryda nosi w sobie ryzyko własnej wolności, albo jeszcze inaczej – grę z wolnością w ogóle, grę z jurysdykcją. Można powiedzieć, że nosi ona w sobie ryzy-

⁹Tamże, s. 12.

¹⁰M. Radkowska-Walkowicz, *Od Golema do Terminatora. Wizerunki sztucznego człowieka w kulturze*, Warszawa 2008, s. 116.

ko *wypadku* wolności, *wypadku*¹¹, który już raz przydarzył się człowiekowi, radosnego *wypadku* śmierci Boga:

Rzeczywiście, my filozofowie i »duchy wolne« czujemy się na wieść, że »Bóg umarł«, jakby opromienieni nową jutrzenką; serce nasze przelewa się wdzięcznością, zdumieniem, przecuciem, oczekiwaniem, – w końcu ukazuje się nam widnokrąg znów wolnym, chociażby nawet nie był jasny, wreszcie znów mogą wybiegać okręty nasze, naprzeciw niebezpieczeństwu każdemu wybiegać, każdy hazard poznającego jest znów dozwolony, morze, nasze morze znów stoi otworem, nigdy nie było jeszcze tak »otwartego morza«¹².

Ostatecznie, horyzont możliwości sprowadza się do hazardu, gry o fantazmatyczną stawkę, gry o boską licencję. Ten wybieg ku niebezpieczeństwu, ku niejasnemu horyzontowi intuicyjnie przeczuwa Fryderyk Nietzsche, gdy w usta szaleńca wkłada ironiczne w tym kontekście słowa: „Nie jesteście wielkość tego czynu za wielka dla nas? Czyż nie musimy sami stać się bogami, by tylko zdawać się jego godnymi?”¹³. *Wypadek* wolności, który nosi w sobie hybryda grozi ironiczną powtórką, narodzinami nowego Boga, niepewnego transcendentalnego bytu, wszczepionego kobiecie imieniem Maria przez szalonego naukowca. W ten sposób powstanie niepokalanie poczęty doskonały embrion, wieszczący powtórne przyjście zbawiciela.

Pożądanie narodzin hybrydy budzi lęk przed apokalipsą, bo tylko taką formę przybrać może *wypadek* genetyczny. Powtórne przyjście mesjasza oznacza dzień sądu, dzień utraty licencji przez niegodnych bycia bogami. Żaden Armageddon nie jest straszniejszy od spojrzenia w oczy swojej kreacji i dostrzeżenia w nich własnego nieboskiego wizerunku. Musimy zdać sobie sprawę z tego, że ten sam radosny *wypadek* śmierci Boga może powtórzyć się w chwili, kiedy uznamy się za godnych licencji na tworzenie, że kolejnym radosnym *wypadkiem* będzie uśmiercenie człowieka – stwórcy przez jego własny twór.

¹¹ Mówiąc o wypadku w kontekście hybryd embrionalnych odwołuję się do koncepcji Paula Virilio: „Aby uniknąć w przyszłości WYPADKU INTEGRALNEGO na skalę planetarną, mogącego pociągnąć za sobą szereg reakcji łańcuchowych i wiele incydentów oraz klęsk, należałoby już teraz budować, wyposażać i doskonalić laboratorium kataklizmu, muzeum *wypadku postępu technicznego*, dzięki któremu może zdołamy uniknąć wystąpienia wypadku *wiedzy*, katastrofy filozoficznej na dużą skalę, której nośnikiem jest geniusz genetyczny, następcą geniuszu atomowego”, [w:] tegoż, *Wypadek pierwotny*, przekł. K. Szezyńska-Mačkowiak, Warszawa 2007, s. 37.

¹² F. Nietzsche, *Wiedza radosna*, przekł. W. Berent, Warszawa 1906, s. 168.

¹³ L. Manovich, *Język nowych mediów*, przekł. P. Cypryański, Warszawa 2006, s. 14.

Anty(?)-ewolucja medialna

W problem anty(?)-ewolucji medialnej musi zostać wpisany znak zapytania, jako zwiastun niepewności. W tej zawieszony nie-możliwości uczestniczyć będzie hybryda. Zawsze rozsuwać i odwlekać będzie ona ewolucję – rozumianą jako proces naturalny, oraz kreację – czyli proces kulturowy. Hybryda jako produkt *biopolityki* należy do porządku kreacji, natomiast tkwiący w niej potencjał *wypadku wolności* jest jednocześnie jej potencjałem ewolucyjnym.

Ponieważ ciało hybrydy przestaje być jedynie ciałem tekstowym, ciałem kulturowym, a nabiera znaczenia biologiczno-prawnego, podstawowym problemem jego zawieszony anty-ewolucyjności jest jego medialność. W *Języku nowych mediów* Lev Manovich pisze:

Podsumowując, chciałbym zaproponować inną metaforę przydatną w badaniach nad kulturowym fragmentem, który nazwałbym »nowymi mediami«. Jest to metafora »remiksu«¹⁴.

Manovich wymienia trzy rodzaje remiksowania: postmodernizm, który polega na remiksie form i treści kulturowych w obrębie jakiegoś medium, globalizację, wytwarzającą remiks kultury lokalnej i stylu globalnego, oraz nowe media:

Trzecim typem, istniejącym równoległe do dwu wcześniej wymienionych, są nowe media. Są one remiksem między interfejsami różnych form kulturowych i nowych technik oprogramowania, w skrócie remiksem między kulturą i komputerami¹⁵.

Hybryda – tekst kultury na ekranie komputera w laboratorium genetycznym, należy jeszcze do przestrzeni przedstawienia. Dopiero, kiedy zdamy sobie sprawę z tego, że wirtualna reprezentacja i wszystkie operacje, które na niej przeprowadzi biolog-programista, zostaną przy pomocy maszyn: igieł, probówek, wykonane na żywej tkance, na nie-tekstualnym ciele, dopiero wtedy dostrzeżemy potworność przejścia hybrydy z porządku dyskursu (humanistycznego, komputerowego) do rzeczywistości gwałconego ciała.

¹⁴ Tamże, s. 15. Cytowany fragment z wprowadzenia do wydania polskiego kończy się znaczącą dla mnie eksklamacją „Witajcie w hybrydycznych czasach!”. Remiksowanie rodzi hybrydy, a Manovich doskonale zdaje sobie sprawę z panhybrydyczności nowych mediów.

¹⁵ Tamże, s. 114.

Hybryda jest w istocie nowym medium, komputerowym remiksem genetycznego kodu wykonanym w OS (Systemie Operacyjnym) *biopolityki*. Haraway pisząc o hybrydzie jako wytworze „rzeczywistości społecznej i fikcji” określa przestrzeń remiksowania hybrydy. Jest ona produktem procesów kulturowych, połączeniem tego, co rzeczywiste z tym, co fantazmatyczne. Podobnie funkcjonują embrionalne hybrydy na licencji HFEA, w których sercu kryje się fantazmat ćwiartowanego ciała, złączony ze społeczną potrzebą eksperymentu dla większego dobra gatunku.

Hybryda – nowe medium funkcjonuje jak nośnik danych – kodów genetycznych poddanych komputerowej obróbce. Tego typu operacje można za Manovichem nazwać *transkodowaniem*:

Jak już sugerowałem, komputeryzacja zmienia media w dane komputerowe. (...) Najlepszym przykładem będzie struktura obrazu komputerowego. W warstwie wizualnej jest on częścią ludzkiej kultury, wchodząc w dialog z innymi obrazami, innymi kulturowymi semami i mitemami. Ale na innym poziomie jest to plik komputerowy, składający się z czytelnego przez program nagłówka i liczb przedstawiających kolory poszczególnych pikseli¹⁶.

W akcie *transkodowania* tkwi anty(?)-ewolucja medialna hybrydy. W istocie *transkodowanie* uniemożliwia ewolucję, jest ostatecznym narzędziem *biopolityki*, które ma służyć strukturuwaniu, konstruowaniu, gradacji tego, co opiera się podobnym praktykom gwałtu symbolicznego. Hybrydyczne medium zawsze pozostawi swój ślad w kodzie, anty(?)-ewolucyjny ślad niepewności, tego co cielesne i nieprzekładalne, nieredukowalne do żadnego kodu. Zawsze pozostanie ten znak zapytania, który niweczy jednoznaczność *transkodowania*, znak zapytania, który zepsuje nawet najdoskonalszą kreację, znak, który różnicuje, wprowadza wieczne niedookreślenie, ślad niepowtarzalności hybrydycznego *différance*, możliwość *wypadku wolności*.

Hybryda wprowadza bliźnę tam, gdzie nie ma dla niej miejsca. Bliźnę, która zniszczy każdy jednoznaczny kod, zdekonstruuje każdy system, spowoduje jego awarię, zaburzy i zdegraduje narzucane jej znaczenia, po to by wyrwać się na „otwarte morze”, by w nieskończoność różnicować naturę i kulturę w imię niepojętej przypadkowości, w imię nieprzekładalnej na żaden system woli *wolności* – ewolucji.

¹⁶ Tamże, s. 114.

Michał Klościński

The problem of a hybrid

In the present paper I discuss the problem of a hybrid as a concept, which started functioning on the borderlines between various discourses – in particular legal, media and post-colonial studies. Hence the term itself was appropriated as a textual concept – from the borderline with philosophy – by the institutional discourse that Michel Foucault would include into the sphere of bio-politics. Here I can see the danger of transferring the textual creation into the domain of biological sciences (hence the term that was transplanted from biology returns to it, changing its status from a fictitious one into the real one), and what follows – a hybrid becomes a problem of civilization and societies within which various institutions of bio-politics operate.

Mikołaj Marcela
Uniwersytet Śląski, Katowice

Michael Jackson i inni metysi Pop a ewolucja

Co jest tym, co czyni człowieka z człowieka? Jego pochodzenie – sposób w jaki sposób wszystko się zaczyna? To podstawowe, w epoce po Darwinie, pytanie dla człowieka stawia przed widzem na początku ekranizacji komiksu *Hellboy* jedna z głównych postaci, ojciec tytułowego ucłowieczonego demona. W zakończeniu filmu John Myers, najbliższy przyjaciel „Czerwonego”, odpowiadając na tak postawione pytanie definitywnie zaprzecza tezie, że istota człowieka mogłaby się wiązać z jego początkami, a więc pochodzeniem. Człowieka czyni oczywiście coś innego, zupełnie niezależnego i niezwiązanego z jego historią: jego wybory i czyny, których dokonuje. Nie to, jak zaczyna, lecz to, jak kończy.

Jeśli coś przeraża w wizji rozpościeranej przed nami przez teorię ewolucji, to jest tym właśnie problem końca, a właściwie jego braku. Autor *O pochodzeniu gatunków* odwracając tradycyjny model wyjaśniania chce wytłumaczyć różnorodność życia poprzez jego historię, pochodzenie, a nie cel, jaki ma ono zrealizować. Wyjaśnienie Darwina jest w związku z tym wytłumaczeniem nieteleologicznym, a więc abstrahującym od kwestii końca, przeznaczenia czy celu i skupiającym się przede wszystkim na przyczynach. Jak zauważa George Levine w *Darwin and the Novelists*, „w jego świecie wszystko jest zawsze lub potencjalnie zmienne i nic tak naprawdę nie może zostać zrozumiane bez swojej historii”¹. Płynność i czasowość życia prowadzi Darwina do zakwestiono-

¹G. Levine, *Darwin and the Novelists. Patterns of Science in Victorian Fiction*. Cambridge 1988, s. 16 (tłumaczenie własne).

wania stałości gatunków, ponieważ na skutek działania mechanizmów doboru naturalnego, napędzających proces zmienności w stanie natury, następuje ciągle rozmywanie granic między poszczególnymi grupami organizmów. W wizji autora *O powstawaniu gatunków* cała różnorodność życia zostaje także ze sobą połączona, a właściwie spokrewniona, nierozzerwalnie warunkując się nawzajem. Co zatem w tej perspektywie czyniłoby człowieka i gdzie lokowałoby się jego miejsce?

Jedną z odpowiedzi kultury na grozę wizji rozpościeranej przed człowiekiem w teorii ewolucji było wyznaczenie jego miejsca w sztuce jako przestrzeni sztuczności niezależnej od natury. Jak zauważa Levine, z racji wspomnianej powyżej zmienności i wzajemnego powiązania wszelkiego życia „odizolowana doskonałość jest niemożliwa”². W teorii ewolucji najistotniejsza jest historia, unaoczniająca proces ciągłego udoskonalania, który nigdy nie osiąga swojego celu. Czyż zatem można pomyśleć o czymś bardziej nienaturalnym i swoiście ludzkim niż ideał doskonałego piękna, który zdoła się oprzeć czasowi? W tej perspektywie niezwykle ciekawym wydaje się fenomen zmarłego niemal pół roku temu Michaela Jacksona. W jednym z artykułów, mierzących się z legendą króla popu tuż po jego śmierci, Łukasz Musiał wpisuje Jacksona w ramy pewnego niedokończonego projektu biologicznego, którego zakładanym rezultatem miało być osiągnięcie owego ideału piękna niezależnego od czasu. Musiał uznaje jednak ten „monstrualny work in progress, upiorny projekt biologiczny”³ za przejaw wpisanego w myśl humanistyczną programu eugenicznego, głoszącego niemal od początku naszej kultury możliwość doskonalenia człowieka przez rozwijanie cech dodatnich i uniemożliwienie dziedziczenia cech ujemnych. Łącząc humanizm z eugeniką, Musiał powołuje się na esej *Reguły dla ludzkiego zwierzyńca* Petera Sloterdijka, w którym holenderski myśliciel sugeruje, że oba te projekty (humanizm i eugenika) wyrastają z jednego korzenia, którym jest odwieczne marzenie o nowym, lepszym człowieku.

Sloterdijk widzi w humanizmie próbę zdefiniowania człowieka w obliczu jego biologicznej otwartości i moralnej ambiwalencji. W tym wymiarze pisze o pewnym projekcie „poskramiająco-tresująco-wychowawczym”. Autor *Reguł dla ludzkiego zwierzyńca* zaczyna od „konfliktu medialnego” w starożytnym Rzymie, w którym zostały sobie przeciwstawione książka i amfiteatr. Książka w tym ujęciu postrzegana była

² Tamże, s. 17.

³ Ł. Musiał: *Niedokończony projekt*. „Tygodnik Powszechny” 2009, nr 27. Wersja elektroniczna: http://tygodnik.onet.pl/33,0,29280,niedokonczoney_projekt,artykul.html [dostęp: 2010-02-09].

jako medium uczące cierpliwości i skłaniającej do namysłu lektury, skontrastowane z odczłowieczającym wirem sensacji i upojenia w amfiteatrach i na stadionach. Humanista zatem był tym, który trzymał się z dala od rozwrzeszczanego tłumu, obawiając się zainfekowania wirusem bestializacji, która jawiła się jako pozbawienie wszelkich hamulców. Jednakże analizując fragment *Tako rzecze Zaratustra*, Sloterdijk wskazuje również na inny wymiar wyżej wspomnianego projektu. Według niego Friedrich Nietzsche jest tym, który jako pierwszy ujawnił teoretyczny dyskurs o człowieku jako poskramiającej i hodującej sile: „Wskazanie na człowieka jako hodowcę ludzi rozsadza humanistyczny horyzont, o ile humanizm nie może nigdy myśleć wychodząc poza kwestię poskramiania i wychowania: humanista każe określić sobie człowieka, a następnie stosuje wobec niego swoje poskramiające, przyuczające, kształtujące środki – przekonany, jakim jest, o koniecznym związku między czytaniem, siedzeniem i łagodzeniem”⁴. Według Sloterdijka Nietzsche zdołał dostrzec drugi, ciemniejszy horyzont szkolnego formowania człowieka, bowiem, jak zauważa, „domestykacja człowieka jest wielką nie pomyślaną myślą, przed którą humanizm od antyku aż do współczesności odwracał oczy”⁵. Autor *Reguł dla ludzkiego zwierzyńca* zwraca uwagę na bliskość czytania (*das Lesen*) i przesiewu (*das Auslesen*), a przez to na wzajemne powiązanie lekcji i selekcji, które według niego mają o wiele więcej wspólnego niż moglibyśmy się tego spodziewać.

Tym sposobem humanizm i eugenika zmierzają z jednej strony do wychowania jako odebrania nam pierwotnej „dzikości”, z drugiej do, postulowanego już w *Polityku* Platona wy(c)ho(do)wania nowego, lepszego człowieka, a więc do utkania „tkaniny”, w której, jak chciał autor *Państwa*, przeplatać się będą charaktery męzne i rozważne. Musiał w swoim artykule łączyć oba te wymiary, wskazując na ich wymierzenie przeciw naturze jako temu, co sprowadza śmierć. Najlepszym tego zobrazowaniem jest według niego postać Michaela Jacksona, którą można postrzegać jako pewien projekt zakładający skonstruowanie nieprzemijalnej, nieśmiertelnej doskonałości – ideału piękna. Przejawem tak rozumianej eugeniki jako ukrytej części humanizmu są zjawiska takie, jak ustawiczne kształcenie, ekologiczne żywienie i suplementy diety, operacje plastyczne i towarzyszące im zabiegi upiększające (botoks, depilacja), czy w końcu kształtowanie ciała w siłowniach i na zajęciach fitnessu. W podsumowaniu swojego artykułu Musiał zauważa, że „pa-

⁴ P. Sloterdijk: *Reguły dla ludzkiego zwierzyńca*. „Przegląd Kulturoznawczy” 2008, nr 1, s. 53.

⁵ Tamże, s. 55.

trząc na wielokrotne cielesne przemiany Michaela Jacksona, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że ów smutny człowiek bez reszty oddał się realizacji utopijnego projektu, który miał go zaprowadzić dalej niż kogokolwiek przedtem. Że zaordynował sobie bezlitosny program eugeniczny, pragnąc stać się przykładem zadziwiającej ewolucji w skali mikro, której zakres nie obejmowałby już całych tysiącleci i setek pokoleń, ale ograniczałby się do jednego życia i jednego człowieka⁶.

Wydaje się jednak, że można popatrzeć na niemal posągową postać Michaela Jacksona także z innej perspektywy, a więc jako na finalny projekt modernistyczny, który swoją realizację mógł znaleźć dopiero w epoce postmodernizmu. Chodziłoby zatem o to, o czym pisze Jean Baudrillard w *Ameryce*, gdy notuje, że „dla nas, ludzi nowoczesnych i ultranowoczesnych, tak jak dla Baudelaire’a, który potrafił uchwycić w sztuczności tajemnicę prawdziwej nowoczesności, poruszające jest jedynie takie zjawisko naturalne, które zawiera w sobie najsilniej poruszającą głębię i jednocześnie *całkowite* simulacrum tej *głęb*”⁷. Kiedy w *Przekleństwie fantazji* Slavoj Žižek zauważa, że niczym w motcie serialu Archiwum X, „prawda jest tam, na zewnątrz”, ilustruje ten przykład właśnie kontrowersjami, jakie narosły wokół króla popu, wykazując, że „tak zwana ciemna strona Michaela Jacksona (...) była od zawsze widoczna w wideoklipach towarzyszących jego płytom, w przesyconych zrytualizowaną przemocą i obscenicznymi, pełnymi seksualności gestach”⁸. Ale wobec tego na zewnątrz kryła się także inna prawda: prawda o tym, że był on rezultatem projektu pewnej sztucznej hybrydyzacji czy metyzacji, a więc bardziej widocznego niż kiedykolwiek wcześniej procesu denaturalizacji ciała, wchłonięcia żywego organizmu przez sztuczną protezę, natury przez sztukę, a więc tego procesu, o którym pisał Baudrillard w powyższym fragmencie *Ameryki*.

Projekt modernistycznej sztuki, zaproponowany przez Baudelaire’a w *Malarzu życia nowoczesnego*, w swoim centrum stawia piękno jako sztuczność przeciwstawioną naturze. Natura reprezentuje dla niego wszystko, co najgorsze:

nie uczy [ona] niczego lub niemal niczego, to znaczy zmusza człowieka do snu, do picia, zmusza go by jadł (...); to ona popycha człowieka, by zabijał swego bliźniego, pożerał go, więził i torturował (...). Wszystko, co piękne i szlachetne, płynie z rozumu i rachunku. Zbrodnia, której

⁶ Ł. Musiał, *Niedokończony projekt...*

⁷ J. Baudrillard, *Ameryka*, przeł. R. Lis, Warszawa 1998, s. 93.

⁸ S. Žižek, *Przekleństwo fantazji*, przeł. A. Chmielewski, Wrocław 2001, s. 17.

smak zwierzę ludzkie poznało w łonie matki, jest naturalna od samego początku⁹.

W tej perspektywie sztuka, w tym szczególnie poezja, jawi się jako wyłącznie ludzkie dążenie do wyższego Piękna i jego ideału. Wobec tego, że natura uczy nas tylko zabijać to, co wielkie musi być nienaturalne i w swojej sztuczności zaprzeczać naturze. Dlatego modernistyczny projekt sztuki cechuje paradygmatyczna obsesja na punkcie modelu, która, jak się wydaje, z pełną mocą objawiła się wraz z popkulturową rewolucją, w której to już nie rzeczywistość stanowi podstawę reprezentacji, ale to reprezentacja tworzy rzeczywistość. Właśnie w związku z tym Baudrillard w *Wymianie symbolicznej i śmierci* pozwolić sobie może na stwierdzenie, że dziś sztuka jest wszędzie, bo właśnie „modelowa” sztuczność tkwi w centrum rzeczywistości.

Któż lepiej może unaocznic tę zmianę jaka zachodzi w kulturze najnowszej niż sam król tej kultury, Michael Jackson, z lansowanym w jego twórczości pacyfistycznym projektem globalnej wioski, w której rasa, płeć czy pochodzenie nie dzielą już ludzi, projektem, który w miejsce zwierzęcej agresji wobec obcego proponuje wizję harmonicznej różnorodności w jedności? Kiedy Platon w *Polityku* pisze o roli królów, przeznaczona dla nich zadanie najważniejsze: stanie na straży pochodzenia, a więc czystości gatunkowej. Królowie muszą czuwać nad endogamią i zapobiegać bastardyzacji. Król jest królem z racji swojej rzadkiej eksperckiej wiedzy na temat hodowli trzody ludzkiej – umiejętności jej sortowania i łączenia, które zapewniają ludzkiemu zwierzyńcowi optymalną homeostazę. Michael Jackson odwrotnie: był królem, bo sam stał się ucieleśnieniem mieszańca najwyższego stopnia, hybrydy czy metysa, w którym zaciera się całkowicie jego historia i pochodzenie. Nie będąc ani czarnym – ani białym, ani mężczyzną – ani kobietą, ani człowiekiem – ani cyborgiem, ani dorosłym – ani dzieckiem, staje się królem homogenicznej kultury postmodernistycznej. Michael Jackson to nowy, uniwersalny projekt nastawiony na zatarcie wszelkich śladów nieakceptowalnej różnicy – sztuczny projekt transkulturowy, transseksualny i transpolityczny, tak charakterystyczny dla okresu ponowoczesności.

Baudrillard określa ponowoczesność jako okres po orgii nowoczesności. Według niego owa „orgia stanowi eksplozywny moment nowoczesności, moment wyzwolenia dokonującego się we wszystkich

⁹ Ch. Baudelaire, *Malarz życia nowoczesnego*, [w:] tenże, *O sztuce. Szkice krytyczne*, wybór i tłum. J. Guze, Warszawa 1961, s. 223.

możliwych sferach”¹⁰, natomiast dzisiejszy ponowoczesny świat to rzeczywistość, w której po wyzwoleniu wszystkiego staje przed nami zasadnicze pytanie: Co zrobić po orgii? Odpowiedź na to pytanie może być według Baudrillarda tylko jedna: „pozostaje nam jedynie ponowne odgrywanie dawnych scenariuszy, czy to w sferze rzeczywistości, czy wirtualności. Oto stan utopii zniszczonej, ziszczenia wszelkich utopii, w którym, co zakrawa na paradoks, żyć musimy w taki sposób, jak gdyby w istocie nigdy się nie ziściły”¹¹. Za Nietzschem można powiedzieć, że wraz z orgią nowoczesności obalony został zarówno świat rzeczywisty, jak i świat pozorny. To zatem, co zanika i ulega zatarciu to różnica – możliwe jest już tylko klonowanie jako (pozorne) przejście od Tego Samego do Tego Samego z pominięciem członu pośredniego, a więc Inności. Dla Baudrillarda jednym z najważniejszych zjawisk we współczesnej kulturze jest właśnie zanik polemicznego charakteru różnicy – różnice już nie „ścierają” się. Zamiast tego tylko się plenią.

Podstawowym problemem, wiążącym się z wyzwoleniem po orgii nowoczesności, jest, jak zauważa, postawienie całej rzeczywistości w stan nieokreślenia, wyzwolenie bowiem zmusza nas zawsze do postawienia na nowo problemu tożsamości. W świecie zainfekowanym wirusem nierozstrzygalności na znaczeniu zyskują wszelkiego rodzaju hybrydy. Ponieważ kwestia nieokreśloności ze szczególną mocą ujawnia się na gruncie tak przecież niedawno oswobodzonej seksualności, Baudrillard podkreśla wagę istnienia zjawiska *gender benders*. Jest ono widoczną oznaką ponowoczesnych, zmienionych okoliczności, rodzących „nowe bożyszcza, które podejmują wyzwanie nieokreślenia i grają w pomieszanie rodzajów. *Gender benders*. Ani męskie, ani kobiece, ale także nie homoseksualne. Boy George, Michael Jackson, David Bowie... W przeciwieństwie do bohaterów poprzedniego pokolenia, którzy ucieleśniali eksplozję seksu i rozkoszy, oni stawiają wszystkich przed problemem różnicy i własnego nieokreślenia. Idole ci są wyjątkami”¹². Właśnie *gender benders*, płciowi dysydenci, jawią się jako być może jeden z najistotniejszych projektów współczesnej kultury, o czym świadczyć może dzisiejszy sukces medialny Madonny, Lady GaGi czy Tokio Hotel z jego androgynicznym wokalistą Billem Kaulitzem.

¹⁰J. Baudrillard, *Przejrzystość zła: esej o zjawiskach skrajnych*, przeł. S. Królak, Warszawa 2009, s. 5.

¹¹Tamże, s. 6.

¹²Tenże, *Ameryka...*, s. 64.

Według Baudrillarda

naznaczone płcią ciało nie jest już dziś w stanie uchylić się przed swym przeznaczeniem, jakim jest sztuczność, której inne miano brzmi – transseksualność. Jednakże nie w znaczeniu anatomicznym, lecz o wiele bardziej ogólnym, transseksualność rozumiana jako przywdziewanie kostiumów, gra w wymianę oznak płciowych, w przeciwieństwie do dawnej gry różnicy płciowej, jako *gra w płciowe niezróżnicowanie*, innymi słowy jako nieodróżnialność biegunów płciowych oraz obojętność na płciowość pojmowaną jako rozkosz. W odróżnieniu od seksualności, która skupiała się na rozkoszy (motywie przewodnim seksualnego wyzwolenia), transseksualność ogniskuje się wokół sztuczności¹³.

W transseksualizmie chodzi zatem o stosowanie sztucznych protez, które umożliwiają ową grę, ale w jej wyniku samo ciało skazane zostaje na los protezy. Dlatego Baudrillard konstatuje, że dzisiaj „wszyscy jesteśmy transseksualni. Jesteśmy w równym stopniu – *potencjalnie* – transseksualistami, co biologicznymi mutantami. I nie idzie tutaj bynajmniej o biologię. Transseksualni jesteśmy w porządku *symbolicznym*”¹⁴.

Za najbardziej znaczące przykłady transseksualnej sztuczności dzisiejszej kultury Baudrillard uznaje sztuczną nitroglicerynową postać Madonny oraz Cicciolinę z jej długimi tlenionymi włosami, piersiami jak spod sztancy i idealnymi kształtami nadmuchiwanego lalki, a więc erotyzmem rodem z komiksów bądź powieści *science fiction*. Są one według niego mutantami, przebierańcami, pod względem genetycznym istotami barokowymi, których erotyczny *image* skrywa genetyczne niezdeternowanie. Jednak w tej perspektywie najbardziej znaczącym przykładem jest przypadek Michaela Jacksona. Baudrillard pisał o nim w 1991 roku, że jest „to żyjący w osamotnieniu mutant, prototypowy wytwór procesu doskonałej metyzacji, doskonałej, bo uniwersalnej, przedstawiciel nowej rasy nad rasami”¹⁵.

Michael Jackson jawi się jako realizacja ideału Baudelaire’a, tak sobie przecież chwalonego makijaż i wszelkiego rodzaju inne sztuczności przykrywające naturę. Jego postać to całkowite zakrycie, a nawet wyrugowanie naturalności, wszystkiego tego, co przychodzi od przyrody. Baudrillard zauważa, że „Michael zrobił sobie nową twarz, wyprostował włosy, rozjaśnił cerę, jednym słowem zrekonstruował siebie aż po najdrobniejsze szczegóły swego ciała”¹⁶. Autor *Ameryki* nie bez powo-

¹³Tenże, *Przejrzystość zła...*, s. 24.

¹⁴Tamże, s. 25.

¹⁵Tamże, s. 26.

¹⁶Tamże.

du zaczyna od przebudowy twarzy, która dopiero długo po słowach Baudrillarda nabrała wręcz symbolicznego znaczenia w wizerunku króla popu. W rzeczywistości w tym przypadku trudno już było mówić o twarzy – owa rekonstrukcja całego ciała spowodowała, że powinniśmy raczej myśleć o niej jako o masce i to o masce realnej, w rozróżnieniu wprowadzonym przez Gastona Bachelarda. Twarz Jacksona czy maska, którą z niej stworzono, pozwoliła na jego całkowite zamaskowanie, które uwalniało go od angażowania w proces udawania. Dzięki jej realności Jackson nie musiał grać: nic lepiej nie oddawało jego nieokreśloności niż owa sztuczna maska, którą nosił zamiast twarzy. Georges Buraud pisze, że „maski są zatrzymanymi marzeniami” i chyba tym właśnie była ona dla króla popu. Przemiany jakim była ona poddawana zdają się oddawać owo marzenie o doskonałości, która, z natury rzeczy, zakłada zerwanie ze swoją historią. „Maska, dla Rolanda Kuhna, zrywa z przeszłością”. Z kolei dla Bachelarda jest ona decyzją rozpoczęcia nowego życia, w którym przemilczana zostaje nasza historia. Maska przede wszystkim zatem pozwala stawiać czoła nadchodzącej przyszłości. W przypadku Jacksona wydaje się zapowiedzią zbawienia, o którym mówią teksty jego piosenek i które symbolizuje jego zmienione ciało.

Baudrillard pisze, że rekonstrukcja aż po najdrobniejsze szczegóły ciała króla popu „czyni go niewinnym i czystym dzieckiem, sztuczną androgyniczną postacią rodem z baśni”¹⁷. Jest niewinny i czysty, bo w swojej sztuczności zrywa z całym bagażem zła, jaki niesie ze sobą to, co naturalne. Owa przebudowa Jacksona oparta jest na procesie zatarcia tego wszystkiego, co niejako określa nas z natury. Zamazując historię i odcinając wszelkie korzenie próbuje pokazać, że wieczna doskonałość sama w sobie jest naprawdę możliwa. Niezwykła sztuczność jego osoby wydaje się wręcz czymś boskim, kiedy Baudrillard pisze, że może on „panować nad światem i doprowadzić do jego zjednoczenia o wiele skuteczniej niż sam Chrystus, przerasta bowiem swą doskonałością boże dziecię; jest bowiem dzieckiem-protezą, embrionem, zarodkową formą wszystkich wymarzonych zmutowanych przyszłych istot, które uwolnią nas od zmory ras i płci”¹⁸. Jackson jest zatem prekursorem czy wręcz prorokiem metyzacji czy hybrydyzacji jako dążenia do perfekcji w uniwersalności sztuczności. Staje się on, jak chce to widzieć także w swoim artykule Musiał, ucieleśnieniem, pewnym etapem realizacji wspaniałej wizji przyszłości z *Cząstek elementarnych* Michela Houellebecqua – świa-

¹⁷ J. Baudrillard, *Przejrzystość zła...*, s. 26.

¹⁸ Tamże.

ta bez tej pierwszej i fundamentalnej dla człowieka traumy związanej z odkryciem różnicy płciowej, ale także bez konieczności rozmnażania płciowego. Ba, to zapowiedź świata, który już tu jest: „Dzieci w dzisiejszych czasach nie obawiają się już takiego społeczeństwa metysów, to ich własny świat, Michael Jackson zaś zwiastuje nadejście wymarzonej przez nich idealnej przyszłości”, pisze Baudrillard.

Grzegorz Jankowicz w swoim artykule poświęconym królowi popu przyrównuje jego życie do życia Flamen Diale, którego Agamben podał jako „wzorcowy przykład figury znoszącej różnicę między sferą prywatną i społeczną”, albowiem spełniał on akt nieprzerwanej celebracji, będąc powiernikiem świętości i jednocześnie obiektem kultu, rodzajem „ożywionego świętego posągu”. Wydaje się jednak, że w przypadku Jacksona można także przywołać mit o innym posągu. W micie o Pigmalionie dzieło sztuki rodzi pragnienie nieskazitelności. Nadmierna biegłość wykonania posągu powoduje, że sztuka skrywa sztuczność, tym samym stopniowo przenosząc Pigmaliona w domenę symulakrów. Dopiero cud w postaci ożywienia Galatei pozwala na przywrócenie Pigmaliona rzeczywistości. Dopiero złamanie praw natury sprawia, że nienaturalnie ukierunkowany popęd zostaje zwrócony na naturalny obiekt. W micie sztuka staje się ciałem, sztuczna proteza wrasta w żywy organizm, a więc ostatecznie to rzeczywistość tryumfuje nad sztuką, demistyfikując ją przy tym. Jackson byłby przykładem odwrócenia tego mitu, najlepszym unaocznieniem procesów, które w swoich książkach tropi autor *Ameryki*. Przekształcając klasyczny mit, Marta Bucholc w recenzji *Przejrzystości zła* Baudrillarda, pisze, że we współczesnym świecie to protezy przerastają nasze żywe ciała. To Galatea zamienia Pigmaliona w posąg, odbierając mu życie, a zamiast tego dostarczając nieśmiertelności w postaci wiecznej protezy. Rzeczywistość już nie może zatryumfować nad sztuką, bo nie ma już rzeczywistości, ani nawet sztuki, ponieważ wbrew utopijnym estetycznym mrzonkom nowoczesności, sztuka nie przekracza siebie samej jako idealnej formy życia, lecz znosi siebie w powszechnej estetyzacji życia codziennego. Nie ma już sztuki, bo wszystko jest estetyczne, a więc sztuczne.

To zapewne nie przypadek, że na okładce wydanego w 1995 roku podwójnego albumu króla popu, zbierającego jego największe przeboje i niejako podsumowującego okres największej sławy Jacksona, widnieje jego posąg – taki, jakich dziesiątki pojawiły się w trakcie akcji promocyjnej płyty w wielu miejscach na świecie. W tej perspektywie tytuł wydawnictwa (*History*) brzmi jak ironia. Zresztą w tekście tytułowej piosenki szybko dostrzegamy, że nie o historię tu idzie, lecz właśnie

o jej zakończenie przez zrealizowanie ostatecznego celu. W końcowych słowach utworu słyszymy: „The promised child shines in a baby’s eyes / All nations sing / Let’s harmonize all around the world”. Pytanie, czy Jackson nie śpiewa tu o sobie, jako o opisanym przez Baudrillarda dziecku-protezie, zwiastującym w swej nieokreśloności (a więc wolności od płci, rasy i bagażu pochodzenia) nowy, zharmonizowany (i sztuczny) świat człowieka, będący nadzieją, wieszczoną przez Francisa Fukuyamę, rzeczywistości, w której nastanie koniec historii...

Mikołaj Marcela

Michael Jackson and other Metis. Pop and Evolution

Today the end, not the beginning defines a human being. George Levine writes that in the new vision of the world which emerges from Charles Darwin’s *The Origin of Species* nothing can be understood without understanding its history. Darwin asks about the beginning, not the end. In this perspective Michael Jackson seems to be the most important figure, since he, with his life and countless „operations”, embodies this impossible goal, becoming, as Łukasz Musiał called it, “a monstrous work in progress” and “a ghastly biological project”.

Jackson means: diet supplements, surgical interventions and cosmetic procedures (botox, depilation), and fitness which help to hide natural body and create new, „holistic” (in its artificiality) project of a human being. It’s also a transcultural, transsexual and transpolitical project. Because of that maybe one of the most important myths of the present day is the myth of Pygmalion but à rebours: it is not the reality’s triumph over the art – the enlivening of Galatea by Pygmalion – but the time of Pygmalion’s transformation into a statue. It is the triumph of art over reality. The triumph of universal hybrids created in the process of hybridization (Jean Baudrillard), and Michael Jackson was one of the precursors of that process.

Tamara Brzostowska-Tereszkiewicz
Instytut Badań Literackich, Warszawa

Prestrukturalizm i antydarwinizm¹

„Ewolucji, rzecz jasna, nie było!”² – przesądzała Olga Freudenberg, negując jak wielu jej współczesnych Darwinowską ideę stadialnego rozwoju. Zachwycona nomogenetyczną hipotezą Lwa Berga pisała w *Poetyce fabuły i gatunku*:

Ze wszystkich stron nadciąga antyewolucjonizm, choć nie ośmiela się jeszcze wyartykułować swojego imienia i zerwać z pojęciem „evolucji” martwym od dnia, w którym utraciło znaczenie przebiegu prostoliniowego i sukcesywnie postępowego³.

Diagnozowana tu nawałnica to, jak wiadomo, wszechwładna w kulturze niemiecko-rosyjskiego modernizmu neoromantyczna *Lebensphilosophie*, która w biologii teoretycznej i eksperymentalnej stymulowała rozwój neolamarkizmu i neowitalizmu. Z drugiej strony, to właśnie nasilające się na antypodach pozytywistycznego mechanicyzmu tendencje antydarwinistyczne sankcjonowały dominację filozofii życia nad własną

¹ Jest to zmieniona wersja referatu wygłoszonego na ogólnopolskiej konferencji naukowej *Literatura i literaturoznawstwo po Darwinie. W 200-lecie urodzin Karola Darwina* zorganizowanej przez Zakład Historii Literatury Poromantycznej Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej im. Ireneusza Opackiego na Uniwersytecie Śląskim (Katowice, grudzień 2009).

² Cyt. wg N. Braginska, *Posłestowije k wtoromu izdaniju*, [w:] O. Frejdenberg [Freudenberg], *Mif i literatura diewnosti*, Moskwa 1998, s. 750.

³ O. Frejdenberg [Freudenberg], *Poetika sjużeta i žanra*, podgot. teksta i obszczaja ried. N. Braginskoj, Moskwa 1997, s. 26 (w j. polskim ukazały się jedynie fragmenty tej monografii, [w:] O. Freudenberg, *Semantyka kultury*, pod red. D. Ulickiej i ze wstępem W. Grajewskiego, Kraków 2005).

epoką⁴. W dobie przełomu antypozytywistycznego (antynaturalistycznego) to „biologizyczna modna filozofia” (jak przezwał ją badeński neokantysta) niwelowała przepaść między naturą i kulturą. Sprzyjała próbom scalenia literaturoznawstwa i biologii na jednej epistemologicznej i metodologicznej płaszczyźnie „nauk o życiu”. Przecież „literaturoznawstwo – wyjaśniał moskiewski formalista Boris Jarcho – jest taką samą „nauką o życiu” jak najbliższa mu biologia i nie ma powodu, by pozostawało za biologią w tyle, chociaż nie dotrzymuje jej kroku w wielu zasadniczych punktach”⁵. Ta silnie uświadomiona potrzeba rewizji dotychczasowych metod i słowników pojęciowych nauki o literaturze w korelacji z aktualnymi kierunkami rozwoju biologii antydarwinistycznej jest jednym z najistotniejszych wyróżników rosyjskiego prestrukturalizmu, a zarazem symptomem biologizycznego stylu myślowego, który zespolił nieomal wszystkie obszary wczesnomodernistycznej humanistyki wschodnioeuropejskiej.

Wzorem badaczy z tartuskiej szkoły semiotycznej i moskiewskiej szkoły antropologicznej mianem „prestrukturalizmu” określam tu nie tylko „metodę formalną” Opojazu i Moskiewskiego Koła Lingwistycznego, którą Roman Jakobson nazywał wprost „dziecięcą chorobą strukturalizmu”⁶, ale także realizacje „semantyki paleontologicznej”, która wykrystalizowała się na przeciwnym biegunie metodologicznym porolucyjnego literaturoznawstwa rosyjskiego w nurcie „jafetydologii” Nikołaja Marra⁷. Studia „formalistów” i „semantyków-paleontologów”, uznawane za prefiguracje najważniejszych nurtów strukturalizmu literaturoznawczego (od szkoły praskiej do szkoły moskiewsko-tartuskiej i zachodnioeuropejskich wariantów semiotyki strukturalnej, z generytywizmem na czele), unaoczniają, że ta wielka formacja teoretyczna nie była w swoim punkcie wyjścia określona wyłącznie przez wpływy lingwistyki. W znaczącym zakresie to nowoczesne nauki biologiczne dostarczały prestrukturalistom silnych inspiracji metodologicznych,

⁴ Zob. H. Schnädelbach, *Filozofia w Niemczech 1831–1933*, przeł. K. Krzemieniowa, Warszawa 1992, s. 227.

⁵ B. Jarcho, *Mietodologija tocznogo literaturowiedienija. Izbrannyje trudy po teorii literatury*, izd. podgot. M. Akimowa, I. Pil’szczikow, M. Szapir, pod obszcz. ried. M. Szapira, Moskwa, s. 31.

⁶ R. Jakobson, *Rieplika*, [w:] *Słowo a Slovesnost*, 1935, I, s. 139.

⁷ Zob. m.in. W. Iwanow, *Pierwaja triet’ dwadcatogo wieka w russkoj kul’turie: mudrost’, razum, iskusstwo*, [w:] *Izbrannyje trudy po semiotike i istorii kul’tury*, t. VI: *Istorija nauki: Niedawnieje prosztoje (XX wiek)*, Moskwa 2009, s. 51; J. Łotman, *O. M. Frejdenberg kak issliedowatel’ kul’tury*, [w:] „Trudy po znakovym sistiemam”, Tartu 1973 / VI; E. Mielecinski, *Poetyka mitu*, przeł. J. Dancygier, przedmową opatrzyła M. R. Mayenowa, Warszawa 1981.

określały terytorium przedmiotowe ich dziedziny, podsuwały wzory konceptualizacji zjawisk literackich i kształtowały wyobraźnię teoretyczną badaczy.

Obok potężnych inspiracji lebensfilozoficznych i rozmaitych monistycznych natchnień niemiecko-rosyjskiego modernizmu pierwszych dekad XX wieku rosyjski prestrukturalizm zasilają aktualne polemiki w biologii ewolucyjnej rozdartej między darwinizmem a nurtami antydarwinistycznymi⁸. Można nawet powiedzieć, że „pojedynek dwóch epok”, jak wczesnodwudziestowieczne starcie darwinizmu z neolamarckizmem nazwał Boris Gasparow⁹, rozgrywał się równocześnie w naukach przyrodniczych oraz w tej części nauki o literaturze, która w centrum swoich rozpoznań umieściła zagadnienie relacji między ewolucją a morfologią gatunków literackich. Historia wewnętrznych kontrowersji w rosyjskiej biologii ewolucyjnej uzmysławia tło, na którym (nieraz pozornie autokomunikatywne i wprost pozarozumowe) wypowiedzi rosyjskich literaturoznawców nabierają czytelności i, by tak rzec, ciężkiej dosłowności.

W porewolucyjnej Rosji zjadły spór darwinistów i neolamarckistów zyskał, jak wiadomo, despotycznego arbitra – marksistowskiego, który poglądy teoretyczne biologów mierzył nie tylko zgodnością z materializmem dialektycznym, ale także możliwościami ich praktycznego zastosowania w „inżynierii społecznej”¹⁰. Spośród nauk przyrodniczych – potwierdza Eduard Kołczyński – to właśnie biologia okazała się najbardziej podatna na wpływy aparatu partyjno-administracyjnego i najczęściej wykorzystywana w celach propagandowych¹¹. W jakiej mierze antydarwinistyczne zorientowanie rosyjskich teoretyków literatury było wyrazem ich zaangażowania w porewolucyjne spory ideologiczne i dzieło całościowego przeobrażenia życia społecznego – nie sposób pospiesznie i jednoznacznie rozstrzygnąć. Jakkolwiek by było, antydarwinistyczny porządek myślenia i mowy prestrukturalistów nie mógł pozostać obojętny dla „ortodoksyjnych” marksistów, którzy podstaw

⁸ A. Vucinich, *Darwin in Russian Thought*, Berkeley–Los Angeles–London 1988, s. 151.

⁹ B. Gasparow, *Łamark, Szelling, Marr (stichotworienije „Łamark” w kontiektstie „prielomnoj epochi”)*, [w:] tegoż, *Literaturnyje lejtmotivy. Oczerki russkoj literatury XX wieka*, Moskwa 1994, s. 188–189.

¹⁰ Neolamarckistowskie tendencje socjobiologii stalinowskiej przedstawia A. Pomorski, *Duchowy proletariusz. Przyczynek do dziejów lamarkizmu społecznego i rosyjskiego kosmizmu XIX–XX wieku (na marginesie antyutopii Andrieja Platonowa)*, Warszawa 1996. Dzieje refleksologii społecznej i pawłowizmu omawia T. Nasierowski, *Z czarta kuźni rodem... Psychiatria, psychologia i fizjologia sowiecka w pierwszych latach po rewolucji*, Warszawa 2003.

¹¹ E. Kołczyński, *Dialektizacyje biologii (diskussii i riepressii w 20-je – naczale 30-ch godow)*, [w:] „Woprosy istorii jestiestwoznanija i tiechniki” 1997, № 1, s. 39.

dialektycznego materializmu upatrywali w darwinizmie¹². Od połowy lat dwudziestych podejmowano wprawdzie liczne próby uzgodnienia marksizmu z de Vriesowskim mutacjonizmem i odmianami neolamarizmu, jednak ortodoksyjna krytyka marksistowska położyła im kres już w końcu lat trzydziestych¹³. Darwinizm znalazł odwzorowanie głównie w kauzalno-socjologicznych, formalno-socjologicznych i niektórych paleontologiczno-semantycznych studiach literaturoznawczych – choć w zależności od aktualnego stanowiska marksistów w kontrowersji filozoficzno-biologicznej lat dwudziestych i trzydziestych – dopuszczał także innorodne przymieszki biologiczno-światopoglądowe: „zdialektyzowane” elementy neolamarkistowskie, saltacjonistyczne lub mutacjonistyczne. Przypadek wewnątrznie ewoluującej Marrowskiej paleontologii semantycznej dramatycznie rozpiętej między biegunami Darwina i Lamarcka¹⁴ potwierdza to aż nadto dobitnie.

Niezależnie jednak od „dialektyzacji” i „proletaryzacji” konkurencyjnych teorii ewolucji oraz drastycznego upolitycznienia wszelkich praktyk kulturowych w Rosji lat dwudziestych i trzydziestych, nie sposób przecież uogólniać i wyolbrzymiać pośrednictwa ideologii marksistowskiej w dialogu nowoczesnej biologii i wczesnomodernistycznego literaturoznawstwa teoretycznego, które – chłonąc idee zachodnioeuropejskiego antypozytywizmu – przekraczało terytorialne zamknięcie, międzydyscyplinarne granice i ideologiczną jednojęzyczność. Powtórzę: to nie sprzeciw wobec marksistowskiej ortodoksji i nie przymus nadszereżowania za aktualnym stanem sojuszu biologii ewolucyjnej i dialektycznego materializmu, ale modernistyczny witalizm tłumaczy antydarwinistyczne nastawienie znakomitej większości nowatorów rosyjskiego literaturoznawstwa teoretycznego.

Presja antydarwinizmu na gruncie posłowianofilskiego (poschellingańskiego) neoromantyzmu rosyjskiego sprzyjała wprowadzeniu na teren prestrukturalnego literaturoznawstwa „formalistycznego” i „paleontologicznego” idei nomogenezy Lwa Berga, filogenetycznego preformizmu Aleksandra Lubiszczewa, neolamarkistowskiej teorii środowiska i dziedziczenia cech nabytych, koncepcji neokatastroficznego, saltacjonizmu, devriesowskiego mutacjonizmu, a nawet – uznawanej wówczas za sprzeczną z darwinizmem – chromosomowej teorii dziedziczości.

¹² Zob. A. Vucinich, *Darwin in Russian Thought*, Berkeley-Los Angeles-London 1988 (rozdziały: *Orthodoxy; Marxism and Darwinism*).

¹³ Zob. E. Kolczyński, *Niesostojawszijjsja „sojuz” filozofii i biologii (20-30-je gg.)*, [w:] *Riepriessirowannaja nauka*, otw. ried. M. Jaroszewskij, Sankt-Pietierburg 1991.

¹⁴ Zob. L. L. Thomas, *The Linguistic Theories of N. Ja Marr*, Berkeley & Los Angeles 1957.

Koncepcje te, obok hybrydogenezy i historycznej biogenetyki Dmitrija Sobolewa, tworzyły, jak wiadomo, trzon antyewolucjonistycznej reakcji w Rosji pierwszych dekad XX stulecia¹⁵.

Tę niewiarygodną wielo- i różnogłosowość biologii ewolucyjnej i literaturoznawstwa teoretycznego lat dziesiątych, dwudziestych i pierwszej połowy lat trzydziestych, którą następnie starły z powierzchni ziemi kolejne fale wymierzonych w inteligencję stalinowskich prześladowań i represji, utrwaliła *Metodologia ścisłego literaturoznawstwa* (1935–1938) napisana w omskich łagrach przez najradykalniejszego biologię wśród rosyjskich formalistów – Borisa Jarcho. Ten skrajny, ale nie odosobniony w epoce manifest teoretycznoliterackiego biologizmu wyrastał ze wspólnego rosyjskim modernistom przekonania, które najdobitniej sformułował futurysta-Hylejczyk Nikołaj Burluk: „Życie słowne jest tożsame z biologicznym, w nim także królują twierdzenia w rodzaju darwinowskich i devriesowskich”¹⁶. Moskiewski formalista systematyzował działy i prognozował kierunki ekspansji nowoczesnej teorii literatury, zderzając neolamarkistowską teorię środowiska i koncepcję dziedziczenia cech nabytych z eugeniką Galtona. Darwinowskie idee doboru naturalnego i przetrwania gatunków najlepiej przystosowanych konkurowały tu z Siewiercowowską „aromorfozą” i devriesowską teorią zmienności mutacyjnej, zakładającej skokowe pojawianie się nowych cech. Mutacjonizm splatał się z ustaleniami genetyków (m.in. Weissmanowską teorią „plazmy zarodkowej”, **prawem niezależnego** dziedziczenia **cech Mendla** oraz Johannsenowskim **rozdzieleniem** genotypu (zespołu czynników dziedzicznych) i fenotypu (efektu współdziałania genotypu i warunków środowiska zewnętrznego). Literaturoznawczy eksperyment Jarcho antycypował koncyliacyjne rewizje neolamarkizmu, genetyki, mutacjonizmu i darwinizmu we współczesnym przyrodoznawstwie.

Także jedna z najsłynniejszych OPOJAZowych rozpraw, *O ewolucji literackiej*, pod darwinistycznym tytułem skrywa nieewolucjonistyczne treści. „Nie stopniowa ewolucja, lecz skok, nie rozwój, lecz przesunięcie”¹⁷ – pisał Jurij Tynianow, któremu sekundował Wiktor Szklowski:

¹⁵ Zob. K. Zawadskij, *Razwitiye ewolucionnoj teorii posle Darwina (1859–1920-je gody)*, Leningrad 1973; *Razwitiye ewolucionnoj teorii w SSSR (1917–1970-e gody)*, ried. S. Mikulinskij, J. Polianskij, Leningrad 1983; P. Bowler, *The Eclipse of Darwinism: Anti-Darwinian Evolution Theories in the Decades Around 1900*, Baltimore 1992.

¹⁶ N. Burluk, *Supplementum k poeticeskomu kontrapunktu* [1914]; cyt. za: *Litieraturnyje manifesty ot simwoliczma do naszych dnjej*, sost. i predisł. S. Dżymbinow, Moskwa 2000, s. 153.

¹⁷ J. Tynianow, *Fakt literacki*, przekł. M. Płachecki; *O ewolucji literackiej*, przekł. A. Pomorski, [w:] tegoż, *Fakt literacki*, wyb. E. Korpała-Kirszak, Warszawa 1978, s. 17.

Procesy przebiegają skokowo, prowadząc do przekształcenia anomalii we własność nowego gatunku. Ewolucja literacka powinna być postrzegana nie jako nieprzerwany potok, nie jako dziedziczenie określonego mienia, ale jako proces zasadzający się na zmianie współzawodniczących form i ich przetworzeniu, na skokach, wyrwach¹⁸.

Odpowiednikiem tego literaturoznawczego saltacionizmu była w szkole formalnej hipoteza mutacyjnych skoków w ewolucji fonologicznego systemu języka Jewgienija Poliwanowa:

Ogólnej linii ewolucji nie można rozpatrywać jako nieprzerwanego procesu stopniowych zmian pozbawionych przypieszeń i zwolnień, nagłych skoków, a nieraz także nagłych zatrzymań. Przeciwnie, wiele spośród sukcesywnych zmian gatunkowych w tym łańcuchu należy do procesów lub „przemieszczeń” o charakterze mutacyjnym lub rewolucyjnym¹⁹.

W diagnozach petersburskich formalistów z jednej strony wybrzmiewał mutacjonizm, a z drugiej – odbijał się w nich echem ortolamarkizm, który bezbłędnie wychwyciła ortodoksyjna krytyka marksistowska. W kontekście aktualnej kontrowersji w biologii teoretycznej konflikt marksistowskiego socjologizmu i formalizmu w Rosji lat dwudziestych przybrał bowiem postać opozycji „kausalno-genetycznego determinizmu i ewolucyjnego immanentyzmu” lub „formalistycznej autogenezy i materialistycznej ektogenezy”²⁰. W biologii ewolucyjnej pierwszych dekad XX wieku pojęcia autogenezy i ektogenezy odnosiły się do dwu przeciwstawnych rozwidleń neolamarkizmu: orto- i mechanolamarkizmu. Teorie autogenetyczne głosiły, że ewolucja zachodzi niezależnie od warunków środowiska zewnętrznego na skutek immanentnych, wewnętrznych przyczyn i zdolności organizmów do docelowego rozwoju. Dowodów na autogeniczny charakter ewolucji rzecznicy tego poglądu upatrywali w zjawiskach ewolucyjnego paralelizmu i konwergencji. Natomiast zręby mechanolamarkizmu tworzyły koncepcje ewolucji jako „czystej ektogenezy” przyznające środowisku absolutną siłę sprawczą

¹⁸ W. Szklowski, *Pamiętnik naukowej oszybki* [1930], [w:] „Nowoje Litieraturnoje Obzrienije” 2000, №44, s. 158. Saltacionistyczne i mutacionistyczne inspiracje formalistów sygnalizowała N. Braginskaja, *O rabotie O.M. Frejdenberg, „Sistiena litieraturnogo szuzeta”*, [w:] „Tynnianowski sbornik. Wtoryje tynjanowskije cztienija”, Riga 1986, s. 276.

¹⁹ J. Poliwanow, *Gdzie leżą przyczyny jazykowej ewolucii?*, [w:] tegoż, *Stat'i po obszczemu jazykoznaniju*, sost. A. Leont'jew, Moskwa 1968, s. 79. Por. J. Poliwanow, *Mutacionnyje izmienienija w zwukowej istorii jazyka*, [w:] tegoż, *Stat'i po obszczemu jazykoznaniju*, Moskwa 1968.

²⁰ Zob. A.A. Hansen-Love, *Russkij formalizm. Metodologičeskaja rekonstrukcija razwitiija na osnovie principa ostranienija*, pieriewod S. Romaszko, Moskwa 2001, s. 453, 457.

ewolucyjnych przemian. W tym ideologicznym sporze rosyjscy formalści sytuowali się niejako po stronie neolamarkistów-ortogenetyków, podczas gdy socjologię głosili radykalną teorię środowiska, opowiadając się po stronie mechaolamarkizmu. Dopiero w kontekście tego sporu zrozumiałe są słowa Wiktora Szklowskiego o metodzie socjologicznej, która „nie jest prawdą jak stary darwinizm”²¹, wypowiedzi Lwa Trockiego o „głębokim związku formalistycznej krytyki marksizmu z teologiczną negacją darwinizmu”²² lub krytyka Pawła Miedwiediewa, który kwestionował zasadność OPOJAZowego użycia terminu „ewolucja”: „Wedle formalistycznej koncepcji między zmieniającymi się w historii literatury formami brak jakichkolwiek relacji o charakterze ewolucyjnym, jakbyśmy szeroko nie rozumieli słowa »ewolucja« i »rozwój«. Walka i zmiana nie stanowią żadnych prawideł ewolucji”²³. Istotnie, w koncepcji formalistów jedna forma raczej wyłamuje się z drugiej niż ewoluuje w Darwinowskim rozumieniu tego pojęcia, a siłą sprawczą owej zmiany jest przesunięcie, mutacja, skok i zarysowanie się przeciwstawnej zasady konstrukcyjnej, a nie – jak w podbudowanych darwinizmem ujęciach marksistowskich – zmiana zewnętrznych warunków środowiskowych (społeczno-ekonomicznych). Nie trzeba dodawać, że w warunkach batalii o legitymizację ustroju komunistycznej Rosji i uzasadnienie historycznej prawomocności rewolucji bolszewickiej konflikt formalistów-autogenetyków i marksistów-ektogenetyków nabierał szczególnego dramatyizmu.

Ortogenetyczne tendencje biologii ewolucyjnej najpełniejsze odzworowanie znalazły w pismach Olgi Freudenberg, która – podejmując Darwinowski problem „pochodzenia gatunków”, łączyła teorie uznawane wówczas za alternatywne wobec ewolucjonizmu. Pisała wprost, że „uzasadnienie dla całego tak drogiego jej antydarwinizmu odnajduje w książce o nomogenezie Lwa Berga”²⁴. Ichtiolog-neolamarkista uznawał m.in., że organizmy rozwijają się skokowo, konwergencyjnie (palelnie) z niezliczonych form pierwotnych (polifiletycznie), a nie, jak zakładał, Darwin – mono- lub oligofiletycznie i dywergencyjnie, na dro-

²¹ Cyt. za: S. Powarcow, *Sjużet o Szklowskom*, [w:] „Woprosy literatury” 2001, №5.

²² L. Trockij, *Formal'naja szkoła poezii i marksizm*, [w:] *Sowriemiennaja russkaja kritika (1918–1924). Sbornik (obrazcy i charakteristiki)*, przedsił. W. Liebwiediewa-Polanskogo, Leningrad 1925, s. 31.

²³ P. Miedwiediew, *Formal'nyj metod w literaturowiedienii. Kriticzeskoje wwidienije w sociologiczeskiju poetiku*, Leningrad 1928, s. 220–221.

²⁴ Cyt. wg N. W. Braginska, *Poslesłowije k wtoromu izdaniju*, s. 750.

dze stopniowych, trudno zauważalnych zmian²⁵. Bergowska teoria konwergencji posłużyła Freudenberg za metodę analizy fabuły i gatunku:

Pojęcie *dywergencji* oznaczające wspólne pochodzenie i sukcesywne odstępstwa od pierwotnej identity, właściwe poglądom ewolucjonistycznej szkoły Darwina – pisała uczona – ustępuje miejsca pojęciu *konwergencji*, które oznacza różne pochodzenie i osiąganie form podobnych na drodze asymilacji i ujednoczenia. (...) Teoria konwergencji, która z biologii przechodzi do badań nad kulturą, mówi, że różnice są pierwotne, a zbieżności wtórne, a zatem że zbieżnych zjawisk nie wyjaśnia ich wspólne pochodzenie, przeciwnie – za zbieżnościami kryją się diametralnie różne twory²⁶.

Freudenberg rozpisała zasady nomogenezy tropów, to znaczy ich autogenicznej, kierunkowej, teleologicznej, nielinearnej, predeterminowanej, konwergencyjnej i poddanej immanentnym prawidłowościom ewolucji od obrazu do pojęciowej figuralności. Formułując „prawo wielkiej semantyzacji” głoszące pierwszeństwo semantyki wobec rzeczywistości empirycznej, odwzorowała Bergowską koncepcję przyspieszenia filogenetycznego („fazy proroczej”), zgodnie z którą pojawienie się organu wyprzedza jego funkcję i zapotrzebowanie nań organizmu²⁷. Nomogeneza miała jeszcze zachwycić „rosyjskich prażan”: Romana Jakobsona i Piotra Bogatyriewa, którzy pisali wprost: „Zmiany językowe (odpowiednio: folklorystyczne) pojawiają się jako nieuchronne, predeterminowane następstwo uprzednich zmian w języku (folklorze) i bezpośrednio wcielają się do »langue« (nomogeneza w biologii)”²⁸. Dodam, że nomogeneza stała się także modelem ewolucji języków eurazyjskich, którą prasy strukturaliści ujmowali jako rozwój kierunkowy,

²⁵ Zob. K. Zawadskij, A. Gieorgijewskij, *K ocenke ewolucionnych wzgladów L. Berga. Wwiedienije*, [w:] L. Berg, *Trudy po teorii ewolucii 1922–1930*, Leningrad 1977.

²⁶ O. Frejdenberg [Freudenberg], *Poetika sjużeta i zanra*, s. 25–26.

²⁷ Pisałam o tym obszernie w rozprawie *Obraz-pojęcie-narracja: „noologia” Olgi Michajłowny Frejdenberg*, [w:] *Narracja i tożsamość (II). Antropologiczne problemy literatury*, pod red. W. Boleckiego i R. Nycza, Warszawa 2004. Zob. też N. Braginska, *O rabotie O. Freudenberg, „Sistiem literaturnogo sjużeta”*, [w:] „Tynjanowskij sbornik. Wtoryje Tynjanowskije cztienija”, Riga 1986 i W. Iwanow, *Wwodnyje zamieczanija k stat’je O. Freudenberg, „Sistiem literaturnogo sjużeta”*, [w:] „Montaż: Literatura. Iskusstwo. Tieatr. Kino”, Moskwa 1988.

²⁸ P. Bogatyriew, R. Jakobson, *Folklor kak osobaja forma tworcztwa*, pieriewod B. Ogi-bienina, [w:] P. Bogatyriew, *Woprosy teorii narodnogo iskusstwa*, Moskwa 1971, s. 370. Por.: P. Bogatyriew, R. Jakobson, *Folklor jako swoista forma twórczości*, przekł. F. Wayda, [w:] P. Bogatyriew, *Semiotyka kultury ludowej*, wstęp, wyb. i oprac. M. R. Mayenowa, Warszawa 1979.

teleologiczny, nieliniowy i podporządkowany immanentnym prawidłowościom językowego organizmu²⁹.

Najsilniejszy wydzźwięk antydarwinistyczny miały jednak literaturoznawcze aktualizacje genetyki Mendlowsko-Morganowskiej, która w Rosji sowieckiej została dosłownie unicestwiona przez biologię miczurinowską i „twórczy darwinizm” (a faktycznie ektogeniczny lamarkizm) Trofima Łysenki³⁰. W Moskiewskim Kole Lingwistycznym chromosomową teorię dziedziczności najwierniej odwzorowały koncepcje Borisa Jarcho: idea dziedziczenia cech w ewolucyjnej teorii dramatu i „wersologiczny morganizm”, unaoczniający prawa rekombinacji homologicznej, prowadzącej do powstania nowych genotypów mowy poetyckiej. Jeżeli w Morganowskiej genetyce zjawisko *crossing-over* oznaczało wymianę odpowiadających sobie odcinków chromatyd między chromosomami homologicznymi i prowadziło do powstania rekombinantów, to w poetyce Jarcho porównywalna rekombinacja jednostek miary wierszowej dolnika i trymetru sylabotonicznego dawała hybrydy w postaci sylabotonicznych logaedów i trymetrów o zmiennej anakruzii³¹. Wersologiczne *crossing-over* było szczególną postacią „krzyżowania źródeł”, które uczony uznawał za podstawowe źródło zmienności genetycznej w literaturze. Formułując jak najpoważniej to nadrzędne prawo literaturoznawczej hybrydyzacji, Jarcho odwoływał się wprost do Mendlowskiej teorii dziedziczenia cech. Przeprowadzając badania nad dramatem Pierre’a Corneille’a, „powtarzał” doświadczenia czeskiego zakonnika z grochem.

Jeżeli, przykładowo, ustalając rozkład genów w potomstwie roślin zauważamy, że kwiaty białe występują na przemian z żółto-fioletowymi, to „biały” i „żółto-fioletowy” są równoważącymi cechami. Jeżeli w trakcie dalszego krzyżowania – wyjaśniał literaturoznawca, a nie biolog – pojawiają się kwiaty żółte i kwiaty fioletowe (żółto-fioletowe okazały się heterozygotami i rozszczepiły się), to „żółto-fioletowy” stanowi już dwie cechy³².

²⁹ Zob. P. Seriot, *Struktura i celostnost': Ob inteliectualnych istokach strukturalizma w central'noj i wostocznoj Jewropie 1920–30-je gg.* Awtorizowanyj pieriewod s francuskiego N. Awtonomowoj, Moskwa 2001; *The Impact of Czech and Russian Biology on the Linguistic Thoughts of the Prague Linguistic Circle*, [w:] *Prague Linguistic Circle Papers/Travaux du cercle linguistique de Prague nouvelle série*, vol. 3, Ed. by E. Hajičová, T. Hoskovec, O. Leška, Z. Skoumalová, Prague 1999.

³⁰ Zob. D. Joravsky, *The Lysenko Affair*, Cambridge, Massachusetts 1970.

³¹ B. Jarcho, dz. cyt., s. 263–264.

³² Tamże, s. 68–69.

Przypomnę, że Mendlowskie prawo czystości gamet (lub rozszczepiania się cech) głosi, że każdy z pary czynników dziedzicznych (dziś nazywanych genami) warunkujących daną cechę organizmu występuje w gametach pojedynczo. W wyniku połączenia się gamet organizmy potomne zawierają obydwie czynniki, ale ujawnia się tylko jeden z nich (dominujący). Z kolei prawo niezależnego dziedziczenia się cech orzeka, że przy krzyżowaniu dwóch organizmów różniących się więcej niż jedną cechą – każda z cech dziedziczona jest niezależnie³³. W poetologicznych etiudach Jarcho badał rozszczepianie się cech w dramacie. Dysktywny cechy komedii i tragedii („dziedziczne” i „nabyte”) uczony *explicite* identyfikował z cechami płciowymi w biologii³⁴. W oparciu o „prawo niezależności cech”, które – jak przesądzał Jarcho – w nauce o literaturze można sformułować dokładnie tak samo, jak w naukach przyrodniczych, wyodrębnił cechy: stałe, zmienne i ewoluujące (dominujące i recesywne). Do tych koncepcji odwoływała się także Olga Freudenberg, dowodząc, że „w kulturze i w organizmie mamy do czynienia z całokształtem cech, które ewoluują niezależnie od siebie”³⁵.

Z kolei w Opojazie mendelizm odbił się echem w teorii recesywności Wiktora Szklowskiego: „Dziedziczenie w procesie zmian szkół literackich to dziedziczenie nie z ojca na syna, ale z wuja na bratanka”³⁶. Borys Jarcho rozwiewał wątpliwości: „podobieństwo z wujkiem poprzez ojca jest w pełni naturalne i w przyrodzie spotykane na każdym kroku – mendelizm i Galtonowskie prawo regresji”³⁷. W innym miejscu Szklowski pokazywał, że utajone cechy dziedziczne ujawniają się dzięki nieoczekiwanym zmianom środowiska:

Gatunki istnieją w pisarzu jak cechy czarnego królika w białym, który jest potomkiem czarnego i białego. Ogólcie go na mrozie. Wyróżnie mu czarna sierść. W zoologii robi to Zawadowski. Zmiany klimatyczne to fakt pozaliteracki³⁸.

Rozpoznanie przywódcy OPOJAZU potwierdził autorytet embriologa, którego rozślawiły eksperymentalne badania nad prawami rozwoju i rozmnażania się zwierząt, a zwłaszcza nad zależnością rozwoju

³³ Tamże, s. 648.

³⁴ Zob. B. Jarcho, *Komedii i tragedii Kornela (Etiud po teorii žanra)*, [w:] tegoż, *Mietodologija tocznogo literaturowiedienija*.

³⁵ O. Freudenberg [Freudenberg], *Poetika sjužeta i žanra*, dz. cyt., s. 25–26.

³⁶ W. Szklowski, *Rozanow*, Piotrograd 1921, s. 5.

³⁷ B. Jarcho, *Mietodologija tocznogo literaturowiedienija...*, dz. cyt., s. 27.

³⁸ W. Szklowski, *Gamburgskij szcet. Stat'i – wospominanija – esse (1914–1933)*, Moskwa 1990, s. 347.

embrionalnego od czynników zewnętrznych. Szkłowski cytował wypowiedź Zawadowskiego:

W ten sposób odpowiedź tkanek zwierzęcych na bodźce zewnętrzne – w tym przypadku zimno – jest zdeterminowana przez cechy dziedziczne istoty żywej, określona przez wewnętrzne siły obecne w niej od samego początku³⁹.

Ta, oraz inne biologistyczne koncepcje prestrukturalistów zasługują na to, żeby potraktować je poważnie przede wszystkim dlatego, że nie były aberracją pojedynczego umysłu, ale wynikały z syndromu światopoglądowego o precyzyjnie określonych tradycjach historycznych. Literacki saltacjonizm, nomogeneza tropów, wersologiczny morgанизm, genetyka dramatu, teoria recesywności w ewolucji literackiej – uzmysławiają, że rosyjski prestrukturalizm wyłaniał się z dociekań wokół problemów znacznie rozleglejszych niż specyficznie literackie i językowe. Uwikłany był w rozstrzygnięcia podstawowych kwestii ontologicznych i epistemologicznych stawianych na gruncie biologistycznie zorientowanej *Lebensphilosophie*, w teoretycznej biologii ewolucyjnej i społecznych sporach ideologicznych porewolucyjnej Rosji. Sygnowana tymi, najdonioślejszymi tylko, przykładami antydarwinistyczna orientacja rosyjskiego prestrukturalizmu unaocznia, że przełom antypozytywistyczny oznaczał nie wykluczenie, ale przemianowanie relacji ewolucjonizmu i literaturoznawstwa zgodnie z nową samowiedzą nauk humanistycznych i nowoczesną samoświadomością nauk przyrodniczych. Rewolucyjne odkrycia w biologii pierwszych dekad XX stulecia stymulowały nowoczesną naukę o literaturze, która rodziła się równocześnie z antymechanistyczną biologią.

³⁹Tamże, s. 348.

Tamara Brzostowska-Tereszkiewicz

Prestructuralism and Anti-Darwinism

The article exposes correlations between early 20th century anti-Darwinian theories of biological evolution and Russian modernist literary studies discourse of the “Russian formalists” and the disciples of Nikolai Marr’s school of “pale-ontological semantics”. The proposed overview of concepts of literary evolution demonstrates that Prestructuralism was embedded in debates over fundamental epistemological and ontological questions posed in *Lebensphilosophie*, theoretical biology and in socio-ideological discourse of post-revolutionary Russia. Anti-Darwinist orientation of literary critics proves that the “anti-Positivist turn” did not entail exclusion of relations between biology and literary studies but their redefinition according to the new self-knowledge of humanities and modern self-awareness of natural sciences.

Aleksander Nawarecki
Uniwersytet Śląski, Katowice

Czy Ireneusz Opacki był darwinistą?

Formułując tytułowe pytanie waham się, czy miano „darwinisty” nie zabrzmiałoby deprecjonująco, tym bardziej, że dotyczy osoby mojego Mistrza. Ryzykowność takich porównań, szczególnie w Polsce, poczuł goszczący w naszym kraju, w roku 1996, Richard Rorty, kiedy musiał tłumaczyć swoim dyskutantom iż, „nie należy uważać żadnych odwołań do Darwina za oznakę redukcjonizmu i biologizmu”¹. Amerykański filozof zapewne zaskoczył warszawską publiczność pochwałą angielskiego przyrodnika: „Jakkolwiek Darwin nie żyje od ponad stu lat, potrzebujemy najprawdopodobniej kolejnych stu lat aby oswoić się z jego ideami, tak jak oswoiliśmy się z siedemnastowieczną fizyką (...)”².

Być może podobnie dzieje się z „darwinowskim” tekstem Ireneusza Opackiego; jest co prawda „oswojony”, a nawet dobrze znany, lecz nie starczyło 40 lat, aby docenić go w pełni. Przypomnijmy, jego *Krzyżowanie się postaci gatunkowych jako wyznacznik ewolucji poezji* powstało w roku 1961, w 1963 ukazało się na łamach „Pamiętnika Literackiego”, a w 1967 trafiło do 1 tomu *Problemów teorii literatury* pod red. Henryka Markiewicza (II wydanie 1987); po drodze doczekało się przekładu na niemiecki, a potem na angielski³. Ale kiedy w roku 1983 krakowscy teoretycy literatury kompletowali „wybór tekstów do uniwersyteckiego kursu poetyki”

¹ Habermas, Rorty, Kołakowski: *stan filozofii współczesnej*, przekł. i oprac. J. Niżnik, Warszawa 1996, s. 75.

² Tamże, s. 170.

³ Por. I. Opacki, *Krzyżowanie się postaci gatunkowych jako wyznacznik ewolucji poezji*, [w:] *Problemy teorii literatury*, seria 1, wyd. II, wyb. H. Markiewicz, Wrocław 1987, s. 131-167.

(*Genologia polska*), to na 545 stronach zabrakło miejsca dla *Krzyżowania...*, choć trafił tam młodzieńczy tekst Opackiego pt. *Genologia a historyczne konkrety*⁴. Kilkanaście lat później, w roku 2000, ukazał się pokonferencyjny tom *Genologia dzisiaj* (współredagowany przez Opackiego), w którym tylko dwóch spośród dwudziestu autorów marginalnie przywołało koronną pracę redaktora. Najdrobniejsza wzmianka o *Krzyżowaniu...* nie pojawiła się w otwierającym zbiór panoramicznym przeglądzie dokonanym przez Kazimierza Bartoszyńskiego *Wobec genologii* (pierwotny tytuł *Gatunki i potwory*), a w programowym tekście Stanisława Balbusa odnotowane zostało tylko w przypisie, „dla porządku”, jako znamię procesu, który jest „dobrze znany i dobrze już wielokrotnie opisany”⁵. Jeśli piszę o tym z wyrzutem, to dlatego, że efektowne tytuły obu artykułów (*Gatunki i potwory* oraz *Zagłady gatunków*) zawdzięczają swą malowniczość frazeologii darwinowskiej, a to przecież sugeruje „związki krwi” z tytułem wcześniej napisanej rozprawy Opackiego.

Po lekturze *Genologii dzisiaj* nasunąć się może wrażenie, że na przełomie stuleci o *Krzyżowanie się postaci* zaczynają zapominać jego „dłużnicy”, a pilna lektura pozostaje domeną uczniów Autora, tak wiernych jak Józef Olejniczak (aczkolwiek i on od Mistrza bierze tylko poboczną metaforę, zaś główny użytek interpretacyjny czyni z Nyczowej tezy o „sylwiczności”)⁶. Jednakże w tym samym roku 2000 w londyńskim wydawnictwie Longman przygotowano „wybór najważniejszych prac z teorii gatunku” powstałych w XX wieku, w którym znalazło się miejsce dla artykułu Opackiego. W antologii *Modern Genre Theory* zredagowanej przez Davida Duffa *Krzyżowanie...* pojawiło się wśród czternastu starannie wyselekcjonowanych „bestsellerów” światowej genologii, obok klasycznych pozycji Tynianowa, Bachtina, Proppa, Todorova, Frye’a, a także prac filozofów rangi Crocego czy Derridy. Ten akt „ukoronowania” rozprawy Opackiego jest mi znany dzięki entuzjastycznemu, a zarazem wnikliwemu omówieniu Krzysztofa Kłosińskiego w studium portretowym pt. *Profesor Ireneusz Opacki, czyli odkrywanie Innego*. Autor zwraca uwagę, że w „złotej czternastce” genologów Opackiemu przypadła szczególnie mocna pozycja. Doczekał się uznania, bo, jak można się domyśleć, nie uległ ani „neoklasycznym złudzeniom”, ani „strukturalistycznej fantazji

⁴ Por. *Genologia polska*, wyb. oprac. i wstęp E. Miodońska-Brooks, A. Kulawik, M. Tantara. Warszawa 1983.

⁵ S. Balbus, *Zagłada gatunków*, [w:] *Genologia dzisiaj*, red. W. Bolecki, I. Opacki, Warszawa 2000, s. 20.

⁶ Por. J. Olejniczak, *Gatunek jako temat (przykład Czesława Miłosza)*, [w:] *Genologia dzisiaj...*, s. 71.

o totalnej nauce”; natomiast uprawiana przez niego wersja historii literatury wytrzymała próbę czasu⁷. Duffowi wciąż aktualny zdaje się pomysł na „dostrzeganie gatunkowego spektrum danej epoki i jego dynamiki, polegającej na sąsiedowaniu gatunków, dominacji jednych i podporządkowaniu innych oraz zmiany tego spektrum”⁸. Ta sztuka wcześniej nie powiodła się nikomu, także Wellekowi i Warrenowi, których Opacki krytykuje i poprawia. Główną jego zasługą, jak twierdzi redaktor tomu, jest konsekwentny „ewolucjonizm”, a nadto – teoria „gatunków koronnych”, (dominujących), która jest „rozwinięciem quasi-politycznej metafory hierarchii gatunków”. W wywodach Duffa nie pada co prawda nazwisko Darwina (podobnie jak w tekście Opackiego), ale jakby wisiało w powietrzu, szczególnie wtedy kiedy redaktor antologii eksponuje ewolucjonizm polskiego genologa:

Opacki wysuwa przejrzysty teoretyczny opis procesu, którego ścisły charakter pozostawał niejasny w większości wcześniejszych ujęć ewolucji literackiej: w szczególności owego procesu, w jakim gatunki modyfikują się i kombinują wzajemnie, tworząc zmienne formy i ewentualnie dając początek nowym gatunkom, gdzie wciąż daje się wydzielić rozmaite płaszczyzny ewolucyjne⁹.

Powyższa charakterystyka, zdaniem Kłosińskiego, jest bardzo trafna, powiedziałbym nawet, że angielski krytyk próbuje lepiej zrozumieć Opackiego niż on sam – nagłaśniając jego dyskretny darwinizm. Dlatego sprostujmy od razu, iż Opacki ani przez chwilę nie zajmował się „początkiem nowego gatunku”, (co automatycznie kojarzy się tytułem *O powstawaniu gatunków*), ani nie podejmował „kwestii krzyżowania lub »hybrydyzacji« gatunków”. Jego dylematem było jedynie „krzyżowanie się postaci gatunkowych”, co bynajmniej nie prowadziło do tworzenia nowych gatunków, przeciwnie – gwarantowało ich ciągłość. Podmiotem zmiany nie jest tu „gatunek”, lecz „postać gatunkowa”. Ten termin nie brzmi może ostantacyjnie po darwinowsku, tym niemniej zgodny jest z jego badaniami nad zjawiskiem dwu- i trójpostaciowości roślin, dotkniętych niepłodnością (za rozwojowe uznał natomiast krzyżowanie odmian – produktywne bywa też ich potomstwo)¹⁰. Duff zagalopował

⁷ K. Kłosiński, *Profesor Opacki, czyli odkrywanie Innego*, [w:] *Tkanina*, red. A. Węgrzyniak, T. Stępień, Katowice 2003, s. 344.

⁸ Tamże.

⁹ Tamże, s. 345.

¹⁰ K. Darwin, *O powstawaniu gatunków*, [w:] tegoż, *Dzieła wybrane*, t. II, tłum. S. Dickstein i J. Nusbaum, Warszawa 1959, s. 292–309.

się także wtedy, kiedy „krzyżowanie” wymiennie nazywa „hybrydyzacją”. Tymczasem Opacki nie używa terminu „hybryda”, gdyż nie zajmuje się mieszańcami, a twierdzi wręcz, iż na badanym terenie „zjawisko mieszania gatunków nie zachodzi”. I znowuż bliski jest myśli Darwina, być może nawet czerpie ją z IX rozdziału jego rozprawy, gdzie czytamy, iż „mieszańcy międzygatunkowi są z zasady bezpłodni”. Widać że redaktor antologii w dobrej wierze eksponuje, czy wręcz „podkreca” ewolucyjny wywód Opackiego, co skądinąd jest zbyteczne, bo jego terminologia (i logika) bliższa jest w istocie myśli Darwina niż retusze Duffa.

Tak czy inaczej najbardziej jawnym i głośnym sygnałem „darwinizmu” pozostaje sam tytuł, *Krzyżowanie się postaci gatunkowych jako wyznacznika ewolucji poezji*, w którym słychać oczywistą aluzję do nagłówka *O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego czyli o utrzymaniu się doskonalszych ras w walce o byt*. Opacki (podobnie jak wcześniej Taine i Brunetière¹¹), przenosi przyrodniczą terminologię Darwina na teren literatury. Wymowa tytułu sugeruje analogię gatunków naturalnych i artystycznych, eksponuje ich ewolucyjność, a wreszcie związany z nią aspekt rywalizacji. Opacki nie przywołuje jednak Darwinowskiej „walki o byt” (omówionej szerzej w 3 rozdziale, skądinąd pojmowanej „w obszernym i przenośnym znaczeniu”)¹², a tam, gdzie angielski przyrodnik mówi o przewagach „wyższych ras”, polski teoretyk widzi potęgę „gatunków koronnych”. Obaj mówią o dominacji, ale brutalnie brzmiący w naszych uszach biologizm Darwina zastępuje Opacki eufemistyczną figurą władzy – „quasi-polityczną metaforą hierarchii gatunków” (jak zręcznie ujął to Duff). Zamiana rywalizacji biologicznej na polityczną nadal mieści się w logice darwinizmu, który zdaniem Rorty’ego, „sugeruje sposób myślenia o kulturze jako kontynuacji biologii”¹³. Mam nadto wrażenie, że w angielskim przekładzie metaforyka Opackiego zyskała dodatkowe sensory, gdyż słowo „korona” brzmiące po polsku dość staroświecko (feudalnie, a nawet baśniowo), dla poddanych Jej Królewskiej Mości stało się nieoczekiwane swojskim pojęciem, na dodatek świetnie

¹¹ W koncepcji Brunetière’a przeobrażenia rodzajów literackich opisywane są wedle kryteriów dosłownie przejętych od Darwina. Warto byłoby porównać jego *Ewolucję rodzajów w historii literatury* z rozprawą Opackiego, gdzie lakonicznie wzmiankowany jest francuski tytuł książki Brunetière’a. Jej fragment ukazał się po polsku dopiero w roku 1966 (w „pozytywistycznym” tomie antologii S. Skwarczyńskiej *Teoria badań literackich za granicą*), mam wrażenie, że Opacki znalazł rzecz pobieżnie za pośrednictwem Van Tieghema.

¹² K. Darwin, *O powstawaniu...*, dz. cyt., s. 70.

¹³ Habermas, Rorty, Kołakowski..., dz. cyt., s. 171.

korespondującym z językiem krytyki postkolonialnej, popularnej wśród Brytyjczyków, a na pewno bliskiej Duffowi¹⁴.

Opacki robi zatem zarówno darwinowskie gesty (miny) jak też całym precyzyjnie aluzje, ale konsekwentnie unika kluczowego nazwiska. Taka gra mogła być przejawem ostrożności, zrozumiałej na katolickiej uczelni (KUL) w roku 1961; epatowanie teorią ewolucji mogło stanowić *faux pas*, zresztą nie tylko z powodów religijnych. Słowo „rasa” kilkanaście lat po wojnie wciąż budziło niepokój, więc niefortunne brzmiały nawet odległe skojarzenia z rasizmem (i antysemityzmem), ale chyba jeszcze więcej ryzykował młody polonista wobec kolegów, dla których nazwisko Darwina (automatycznie łączone z Hipolitem Taine’em) oznaczać mogło teoretycznoliteracki regres. To jakby wsteczny krok poza cezurę przełomu antypozytywistycznego – recydywa genetyzmu, determinizmu, psychologizmu, naturalizmu. Dla pokolenia literaturoznawców rozczartanych w formalizmie i głoszących strukturalne *credo* przywołanie tego kontekstu mogło być kompromitujące.

Warto przypomnieć, że na polu genologii z relikdami pozytywizmu (szczególnie z naturalizmem) walczył wtedy ze szczególną pasją rówieśnik Opackiego – Michał Głowiński. W studium *Gatunek literacki i problemy poetyki historycznej* (1965) pokpiwał z anachronicznego, ale wciąż powszechnego myślenia o gatunku „tak jakby był darem natury”¹⁵. W wyznawcach tej tezy widział wszechobecnego wroga; cieszyło go, że „nikt już nie powtarzał za Goethem, że istnieją jakieś *naturalne formy poezji*”, ani nikt nie twierdził, jak poeta André Chénier, że „gatunki »natura podyktowała«”, ale mimo postępu, ten przesąd czał się jeszcze w „podświadomości naukowej”¹⁶. Co gorsza, czał się nie tylko wśród normatywistów i wyznawców klasycyzmu, ale także wśród badaczy zorientowanych historycznie, takich jak Brunetière. On to bowiem, wedle anegdoty, połączył fanatyka czystości gatunkowej (Chapelaine’na) z Darwinem (za pomocą Taine’a). Nie koniec na tym, w gronie myślących historycznie, ale „podskórnie” dzielących przesąd o apriorycznej „naturalności gatunku” znalazł się też Opacki. Wedle Głowińskiego, u podstaw jego tezy o „krzyżowaniu się gatunków (*sic!*) (...) znajduje się całkiem klasycystyczne przeświadczenie, o jednolitości i czystości tych gatunków, które w pewnych sytuacjach wchodzą ze sobą w związki i są

¹⁴ Na potencjalny związek metaforyki „koronnej” z terminologią „postkolonialną” zwrócił mi uwagę p. Michał Kłosiński.

¹⁵ M. Głowiński, *Gatunek literacki i problemy genologii*, [w:] *Genologia polska*, dz. cyt., s. 79–80.

¹⁶ Tamże, s. 81.

»zanieczyszczane« w toku dziejów»¹⁷. A zatem Opacki i Darwin (połączeni przez Brunetiere'a) w jednym stoją domu!

Prawdą absolutną genologii uprawianej przez Głowińskiego jest rozumienie gatunku jako czystej umowy, literackiej konwencji, paktu artysty z publicznością – „Skala możliwości (definicyjnych) jest ogromna: od instytucji do kategorii estetycznej”¹⁸. Opacki rzeczywiście myśli inaczej, bo jego zdaniem „pojęcie gatunku nie jest fikcją, stanowi zjawisko wyraźnie wyodrębnione w życiu literackim i mimo wielu zmian wciąż zachowuje jednolita ciągłość”¹⁹. Nie oznacza to jednak pozytywistycznej redukcji, równającej formę literacką z gatunkiem roślin czy rasą zwierząt. Opacki nie myśli o tekście substancjalnie, tym niemniej w trybie figuratywnym mówi o krwi, dominacji, walce. Uruchamia zatem wyjątkowo zmysłową wyobraźnię i organiczne obrazowanie, a w ostatnim zdaniu rozprawy wspomni nawet o „konkretnych organizmach literackich”. Głowiński prawdopodobnie nie porównałby utworu do organizmu, natomiast Opacki nie boi się terminów zaczerpniętych z biologii. Być może w tym momencie wypada z kolein strukturalistycznej ortodoksji i wbrew swoim intencjom nie potrafi konsekwentnie myśleć o poezji w trybie czystych, abstrakcyjnych relacji. Jest na to zbyt konkretny i zmysłowy, tym bardziej, że praktyka artystyczna (artefakt) zawsze ma dla niego ontologiczną wyższość nad teorią.

Jednakże Opacki, podobnie jak Głowiński i inni adepci strukturalizmu, preferuje myślenie opozycjami. Dychotomia pomaga w wytworzeniu symbolicznego wroga, z którym toczy symboliczny bój. Opacki zwalcza bowiem „dogmat o stałości gatunków”, który wedle obiegowych opinii, po raz pierwszy został złamany właśnie przez Darwina²⁰. Walka z owym dogmatem jest osią kompozycyjną rozprawy o *Krzyżowaniu...* (to jej założenie twórcze albo dominanta jakby powiedział Tynianów). Przypomnijmy, iż artykuł rozpoczyna się od konfrontacji dwóch doktryn genologicznych. Z jednej strony wyznawcy stałych cech gatunku (od Arystotelesa, przez Boileau, po Welleka i Warrena), z drugiej – wspomniany wcześniej darwinista Brunetiere, Van Tieghem i wreszcie mistrz Opackiego – Czesław Zgorzelski. Potem autor toczy polemikę z autorami *Teorii literatury*, których wizja zmienności gatun-

¹⁷ Tamże.

¹⁸ Tamże, s. 83.

¹⁹ I. Opacki, *Krzyżowanie...*, dz. cyt., s. 144.

²⁰ Pierwszeństwo w łamaniu tego „dogmatu” Wikipedia przypisuje Darwinowi, co nie jest poglądem ścisłym; internetowa encyklopedia, nie po raz pierwszy, wyraża stan wiedzy potocznej, wraz z obiegowymi uproszczeniami.

ku (na przykładzie dziejów tragedii elżbietańskiej), choć daleka jest od koncepcji „konstanty gatunkowej”, okazuje się jednak nadto statyczna. Z obu gorąco zrelacjonowanych starć wyłania się bardziej uniwersalne zderzenie dwóch postaw: „dwóch odmiennych teorii dzieła literackiego – statycznej i dynamicznej”²¹. Statyczność jest oczywiście błędem kardynalnym, ale genologii zagrażają jeszcze inne, jakby poboczne niebezpieczeństwa. Oto bowiem Kleiner, Wyka i Skwarczyńska zauważają, że takie arcydzieła jak *Pan Tadeusz* czy *Genezis z Ducha* „są absolutną nowością”, a zarazem „sumą gatunków” i ta „genologiczna złożoność” wydaje się nieogarniona, oszałamiająco odległa od łożyska jednego gatunku. Takie pojmowanie „genologicznej złożoności” (mieszaniiny) oznacza jednak kapitulację, to jest „klasyczne zabójstwo genologii”²².

Reakcją ratunkową jest propozycja Opackiego wyłaniająca się z pokazowej analizy trzech wierszy (Wolskiego, Staffa i Karpińskiego). Z wzorcowych (ingardenowskich) rozbiorów wyłania się obraz historii literatury immanentnie wpisany w strukturę tych tekstów. W ich budowie można zobaczyć jak „ścierają się antagonistyczne prądy”, a każdy z nich ma w swoim systemie „gatunek koronny”, który wchodzi w „związki krwi” z pozostałymi. W takiej wizji dziejów ewoluujące gatunki zostają „przepostaciowane” przez kolejne gatunki „królewskie” (to działa niczym feudalne „prawo pierwszej nocy”). Oto wielki ruch, nieustanne zmiany sił, wpływów, wewnętrzne metamorfozy gatunkowe, zmiany ogarniające wszystkie warstwy dzieła, ale – powtórzmy – bez aktów mieszania gatunków.

W tym modelu rozwojowym łatwo dostrzec darwinowskie impulsy. Na pewno wiążą się z tymi zjawiskami, które Opacki określa jako „dynamicznie” i „romantycznie”; ten aspekt rywalizacji gatunkowej oraz „krzyżowania”, który toczy na tym samym terenie, a charakteryzuje go wielość, względność i komplikacja, wielka rola indywidualizmu i idiosynkrazji, a zwłaszcza przypadku. Ani śladu kultu ogólnego prawa czy przyczyny. Przyszły autor *Poezji romantycznych przełomów* mógłby powtórzyć za Darwinem: „Moja teoria nie zakłada istnienia żadnego stałego prawa rozwojowego, lecz domaga się by wszyscy mieszkańcy jednej strefy zmienili się nagle, równocześnie i w jednakowym stopniu”²³.

Wielopoziomowa prezentacja literackiej ewolucji sama staje się tekstem wieloistnym. W artykule *O krzyżowaniu...* krzyżują się bowiem co najmniej cztery dyskursy (poetycki, teoretycznoliteracki, biologiczny

²¹ I. Opacki, *Krzyżowanie...*, dz. cyt., s. 143–145.

²² Tamże, s. 147.

²³ K. Darwin, *O powstawaniu...*, dz. cyt., s.

i polityczny), a także towarzyszące im fantazmaty (rozwoju, rewolucji, walki, kopulacji, rodzenia itp). Osią konfliktu, jak się rzekło, jest opozycja dwu sił – tendencji – obozów. Konflikt genologów konstytutywnych i historycznych nakłada się na starcie teoretyków statycznych i dynamicznych. Ta bitwa okazuje się repliką (echem czy kontynuacją) historycznego sporu klasyków z romantykami. To Mickiewicz jest liderem obozu zmian, a jego zdanie „o wyrabianiu się form” uznaje Opacki za sztandarowe i powtarza je w finale rozprawy. Eksponując tę frazę sugeruje jej utajony ewolucjonizm – to właśnie Mickiewicz jest Darwinem polskiej poezji! Na spór „klasyków z romantykami” nakłada się spór „starych” z „młodymi”, konflikt generacyjny (biologiczny), ale też polityczny i etyczny, bo skostniali starcy – jak wolno się domyślać – są ugodowcami, kolaborantami, stronnikami „świętego przymierza”, zachowawczego nurtu w soborowym kościele, Frontu Jedności Narodu, itp. itd. Młodzież natomiast jest patriotyczna, czyli rewolucyjna, aczkolwiek rewolucja oznacza tu romantyczny ruch, zmianę i dynamikę, więc trudno ją oddzielić od ewolucji. Wielkim nieobecnym jest lakonicznie tylko wspomniany autor *Genesis z Ducha*, entuzjasta ewolucji form w przyrodzie, a zarazem Rewolucjonista z Ducha. Pewnie największy polski ewolucjonista, godny porównania z Darwinem, nie tylko z racji tej samej daty urodzenia, o czym zresztą mówił Opacki wielokrotnie, przy innych okazjach²⁴. Tak więc Słowacki i Mickiewicz, Brunetière i Van Thiegem, a także młody duchem Zgorzelski, oraz dwudziestoośmioletni Ireneusz Opacki i oczywiście Karol Darwin, „grają” w tej samej drużynie. To grono wyznawców ruchu, zmiany, wolności, ale także walki, dominacji, krwi i płodności. Słowem – życia, którego atrybutem jest zarówno ciało jak i duch. Można by ich nazwać drużyną romantyczną, a nawet powstańczą, bo ostatnie słowo postawione pod tekstem (data powstania) brzmi – „listopad 1961”.

Jeśli zatem Opacki jest darwinistą, to Darwin czytany przez Opackiego jawi się romantykiem, a może nawet listopadowym powstańcem? To oczywiście tylko metafora, ale metaforą jest także „Krzyżowanie się postaci gatunkowych”, podobnie jak przenośnią była „walka o byt”. Przy okazji warto powtórzyć, że autor *O pochodzeniu gatunków...* świadom był metaforyczności swoich fraz, co z kolei zbliża go do świata literatury i form literackich.

²⁴ Słuchacze wykładów i ćwiczeń Opackiego pamiętają jego obrazową analogię między linią ewolucyjną Darwina i duchową Słowackiego – to ta sama „drabina bytów”, tyle że ustawiona pionowo.

* * *

Kiedy w latach dziewięćdziesiątych XX wieku zrobiło się głośno, także w mediach, o odkryciach genetyki molekularnej i rozpowszechnił się sąd, iż warunkiem powstania nowego gatunku jest mutacja, wówczas w swobodny sposób zapytałem Ireneusza Opackiego o opinię. Czy rewizja zasady „doboru naturalnego” ma także konsekwencje dla teorii „krzyżowania się postaci gatunkowych”? Odpowiedź zaskoczyła mnie kompetencją i powagą wobec koncepcji ewolucyjnych, których Opacki okazał się niezłomnym rzecznikiem. Widać że darwinowska „przygoda” sprzed kilkudziesięciu lat, nie była tylko młodzieńczą „wycieczką” wszechstronnego literaturoznawcy²⁵.

Ireneusz Opacki

Was Ireneusz Opacki a Darwinist?

The hero of the essay is Professor Ireneusz Opacki (1933–2005), a distinguished Polish philologist from the Silesian University, an author of a famous treatise *Krzyżowanie się postaci gatunkowych jako wyznacznik ewolucji poezji* (1961). The text (entitled *Royal Genres*) included in the anthology *Modern Genre Theory* (Ed. D. Duff, Longman 2000) establishes (along with texts by Croce, Tynianov, Propp, Bakhtin, Frye, Jauss, Genette and Derrida) the canon of literary genre theory. Opacki combines the history of literature with the theory of evolution in a much more modern way than the positivist followers of Darwin. He analyses relation between “royal genres”, which combine with others to establish “blood relations”. Traces of that process in individual poems reveal the course of evolution of poetry.

²⁵ Po publicznej prezentacji tego referatu głos zabrała dr hab. Danuta Opacka-Walasek, odsłaniając nieznaną mi informację z biografii Profesora Opackiego. Ojciec Ireneusza, Józef Opacki, z wykształcenia był biologiem, absolwentem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, uczniem i współpracownikiem prof. Rudolfa Weigla, a teza jego magisterium miała ściśle ewolucyjny (darwinowski) charakter. Stanowiła dokumentację eksperymentu przystosowania trzaski wodnej do życia na lądzie, prowadzonego przez Józefa Opackiego w latach dwudziestych minionego wieku. Praca była przetłumaczona na francuski, jej publikacja i streszczenia we francuskich czasopismach potwierdzały wagę i nowatorstwo darwinistycznego eksperymentu. Choć miał on miejsce przed urodzeniem się Ireneusza Opackiego, warto mieć w świadomości i tę (rodzinną) inspirację darwinowską przyszłego polonisty, zważywszy zwłaszcza na długoletnie, intelektualne relacje syna z ojcem.

Jan Potkański
Uniwersytet Warszawski

Krytyka literacka jako dobór płciowy

Rekonstruując bieżącą postać komunikacji literackiej, Przemysław Czapliński stwierdził:

Żyjemy w państwie synoptykalnym. Jest to państwo, w którym kultura nie określa już stan (...) „permanentnej inwigilacji”, lecz, przeciwnie, społeczne dążenie do bycia widzianym. W państwie panoptycznym nie możemy się ukryć (...), w państwie synoptykalnym natomiast nie chcemy się ukrywać, nie chcemy dłużej przebywać poza polem widzenia, ponieważ „nie być widzianym, to nie istnieć”¹.

Rozwijając własną myśl z *Powrotu centrali* we wstępie do zbioru *Polityka literatury*, krytyk ujawnia filozoficzne inspiracje: „Patronem nowoczesności był Bentham, patronem ponowoczesności jest Berkeley”². Centralną formułę idealizmu Berkeleygo, głoszącą: „to, co się mówi o absolutnym istnieniu rzeczy niemyślących, bez żadnego związku z tym, że są postrzegane, wydaje mi się całkowicie niezrozumiałe. Ich *esse* to *percipi* – i nie jest możliwe, aby miały jakiegokolwiek istnienie poza umysłami (...), które je postrzegają”³ – rzeczywiście można rozumieć w duchu Czaplińskiego, jako „nie być widzianym, to nie istnieć”. Warto jednak pamiętać o zastrzeżeniach Berkeleygo (szczególnie wyraźnych w *Trzech*

¹P. Czapliński, *Powrót centrali. Literatura w nowej rzeczywistości*, Kraków 2007, s. 61–62.

²Tenże, *Polityka literatury, czyli pokazywanie języka*, [w:] *Polityka literatury. Przewodnik Krytyki Politycznej*, Warszawa 2009, s. 30.

³G. Berkeley, *Traktat o zasadach poznania ludzkiego. Trzy dialogi między Hylasem i Filonousem*, przekł. J. Leszczyński, J. Sosnowska, Warszawa 1956, s. 37

dialogach, uzupełniających *Traktat o zasadach poznania*), który idealizmu nie zamierza czynić subiektywizmem, uzależniającym istnienie rzeczy od zmysłowych wrażeń poszczególnych ludzi – dla Berkeleya rzeczy niewidziane przez żadnego człowieka nie znikają, bo stale widzi je Bóg:

Dopóki rzeczy nie są aktualnie przeze mnie postrzegane, czyli nie istnieją w moim umyśle lub w umyśle jakiegoś innego ducha stworzonego, to albo muszą być pozbawione wszelkiego istnienia, albo też muszą istnieć w umyśle jakiegoś Ducha wiecznego (...). Stąd nie wnioskuję, że przedmioty te nie mają rzeczywistego istnienia, (...) tylko (...) że musi być jakiś inny umysł, w którym one istnieją; toteż równie pewne, jak istnienie świata rzeczywistego, jest to, że istnieje nieskończony wszechobecny Duch, który obejmuje świat i podtrzymuje go⁴.

Jeśli tak uzupełnioną koncepcję Berkeleya zastosujemy do literatury, okaże się, że każdy tekst – nawet nigdy nieopublikowany, ukryty w szufladzie – istnieje w literaturze na równi z bestsellerami, bo choć żadni ludzie go nie czytają, Bóg czyta wszystko (na dodatek wszystko naraz i bez przerwy). Z pewnością nie o to chodzi Czaplińskiemu – przeciwnie: „nie być widzianym, to nie istnieć” ma znaczyć, że tekst, który nie zwróci na siebie uwagi (uwagi wydawcy, jurorów konkursu czy nagrody, wreszcie „zwykłych” czytelników), nie staje się naprawdę utworem literackim, jest tylko jakimś przedliterackim pre-tekstem, bytem potencjalnym lecz niezaktualizowanym. Świat Czaplińskiego to zatem świat, w którym nie ma „Boga” literatów, czytelnika uniwersalnego i niestrudzonego⁵, mówiąc inaczej – świat nie pobożnego Berkeleya, lecz nietscheański świat „po śmierci Boga”.

Nietscheańskim sposobem na wywołanie czegoś z potencjalności ku żywej obecności jest ocena – wartościotwórczy akt podmiotowego spojrzenia, które temu, co szlachetne, każe wracać w wiecznym powrocie, licze zaś odsyła w niebyt. Jak wyjaśnia Gilles Deleuze:

Z wiecznego powrotu płynie nauka, że nie ma powrotu tego, co negatywne. Wieczny powrót oznacza, że byt jest selekcją. Powraca jedynie to, co afirmuje, lub to, co jest afirmowane. (...) Nie chodzi już o myśl selek-

⁴Tamże, s. 39, 232; por. s. 263–264.

⁵Aczkolwiek co jakiś czas powraca mit, że któryś z uznanych krytyków czyta „wszystko” ze swojej dziedziny (ostatnio np. Karol Maliszewski w dziedzinie młodej poezji) – najwyraźniej wyobrażenie takie odpowiada żywotnym potrzebom pisarzy (zwłaszcza może poetów, z natury rzeczy bardziej „niszowych”), nieświadomie wierzących Berkeleyowi; Czapliński jednak przekracza tak rozumianą „kryptoteologię” życia literackiego (być może ułatwia mu to specjalizacja w dziedzinie prozy, bardziej niż poezja urynkowana).

tywną, lecz o selektywny byt; wieczny powrót jest bowiem bytem, a byt jest selekcją. (Selekcja = hierarchia)⁶.

Także literatura to domena selekcji i hierarchii – pisarze są wybitni lub drugorzędni, jednych szacowne gremia wybierają jako laureatów nagród, inni pozostają niezauważeni. Jak niegdyś zauważył Jan Prokop, krytyczna selekcja literatury to nie tylko hierarchizowanie utworów w zbiorze, który skądinąd się ukonstytuował (właśnie jako „literatura”), lecz także dopuszczanie tekstów do tego zbiorów – dosłownie: dopuszczanie ich do istnienia. W artykule *Krytyk jako stwórca* pisał:

Chciałbym tutaj mówić (...) o momencie stwarzania Literatury z tego, co napisane. O geście powołującym do istnienia książkę jako literaturę. Gdy krytyk jak dobra (?) wróżka dotknięciem pałeczki wzywa „z nicości” dzieło, gdy z magmy tego, co napisane, rzeźbi oblicze literatury. (...) Grafomania jest wygodnym alibi Literatury: jasne, że wybrano właśnie najlepszych: decyzja wyboru nie ma w sobie nic arbitralnego, zgodna jest z Normą (...). Poprzez moją decyzję – mówi (myśli) krytyk – realizuje się wola Absolutu. (...) Ale to właśnie krytyk rozdziela światło od ciemności, kozły od owiec. On przewozi dzieło z brzegu nieistnienia, z mroków prywatności w jasność. (...) O ile krytyka-interpretacja i osąd dzieła-faktu literackiego dokonuje się na oczach wszystkich, (...) to krytyka-selekcja jest sądem kapturowym⁷.

Dla Prokopa granica literackiego istnienia i nieistnienia jest ostra: to próg publikacji; jak już jakiś tekst tę granicę przekroczy, na zawsze istnieje w literaturze, krytykowany – może się bronić, samodzielnie apełując do czytelnika⁸. Synoptyczny świat życia literackiego, jaki ćwierć wieku po Prokopie opisuje Czapliński, funkcjonuje trochę inaczej – próg zmienił się w permanentną praktykę: łatwiej opublikować, ale to jeszcze za mało, by zaistnieć, trzeba jeszcze zostać zauważonym (jako opublikowany) – docenionym, nagrodzonym; stabilny byt dzieł raz na zawsze

⁶G. Deleuze, *Nietzsche i filozofia*, przekł. B. Banasiak, Warszawa 1997, s. 201, 76; o „ustanawiającym wartości spojrzeniu” – zob. tamże, s. 61, 127.

⁷J. Prokop, *Krytyk jako stwórca*, „Teksty” 1976, nr 4–5, s. 86–88. Wątek selekcji powraca na kolejnych stronach – autor analizuje krytyka jako „tego, co dokonuje selekcji” (s. 89), jego bohater to „krytyk-selektor” (s. 90), wreszcie okazuje się, że „instytucja selekcji udzielająca kart wstępu do Literatury to sprawa czasów nowożytnych” (s. 91).

⁸Por. tamże, s. 86–87: „Krytyk bowiem, który pisze o książkach, gani je lub chwali, to głos wśród innych głosów. Jego publiczne słowa są przeciw innym publicznym słowom (...). Najostrzejszy *knock out* nie zdola odebrać dziełu jego nieodwracalnego istnienia jako literatury. Wszystko dzieje się to w świetle dziennym, nie ma decyzji ostatecznych. Ci, co toczą spór, otrzymali przecież kartę wstępu do raj, są wśród wybranych”.

opublikowanych zastąpiło nietrwale stawanie się w światłach synoptikonu, który nie zauważa bynajmniej wszystkiego, co opublikowane, albo zauważa tylko na chwilę, za moment z powrotem strącając w ciemność. W świecie Czaplińskiego wybór czyniony przez wydawcę, krytyka lub czytelnika (funkcjonalna różnica między nimi się zaciera) nie jest formatywem, którego skutki trwają, gdy sam akt odszedł do historii, lecz tylko pewnym stanem faktycznym, który trzeba podtrzymywać coraz to nowymi działaniami. Selekcja Czaplińskiego nie jest zatem selekcją teologiczną, w której dzięki pojedynczemu aktowi na wieczność trafia się do nieba literatury, lecz selekcją quasi-nietzscheańską, wiecznie powracającą i wymagającą stałej czujności. Niemniej od prawdziwego nietzscheizmu zdaje się ją sporo różnić, skoro, jak rekonstruuje Deleuze, Nietzsche odrzuca ideę poddawania się selekcji jako poszukiwania *cudzej* oceny, uznania przez cudze spojrzenie – co ma być równoznaczne z niewolniczym konformizmem⁹.

Czy współczesne życie literackie, zdominowane przez nagrody i promocję, zapewniające owo literackie „bycie widzianym”, o którym pisze Czapliński, to życie „niewolników”, nawet jeśli zwycięskich i triumfujących? Wydawałoby się, że skoro jego istotą jest „pokazywanie się” (na literackich imprezach, na gali prestiżowej nagrody, w zestawieniu najlepszych książek), wnioszek taki będzie nieunikniony. Można się jednak zastanawiać, czy teza, że uznanie można zdobyć jedynie za cenę konformizmu, nie jest nazbyt pesymistyczna. Są oczywiście takie miejsca uznania (miejsca, w których można się pokazać), które premiuja uległość wobec wartości obiegowych, i ludzie, którzy na taką uległość w pełni się godzą, a nawet godzą się z perwersyjną, ekshibicjonistyczno-masochistyczną rozkoszą, jak „celebryci”, brylujący w mediach masowych. Wartościowi pisarze stosują jednak strategię bardziej wyrafinowaną – trochę się ukazując, trochę skrywając, otwartość łącząc ze wstydem, stawiają raczej na „neurotyczną” ambiwalencję, która bardziej uwodzi niż sama ulega, tak iż nie tyle „poddają się” ocenie instancji wyższej, co ją negocjują z partnerem równorzędnym; czym innym jest wtedy wystawianie się na ocenę jako śmiałe wejście w spór, którego wynik pozostaje otwarty, od uległego zabiegania o pozytywną ewaluację wedle kryteriów z góry narzuconych. Wbrew sugestiom Czaplińskiego z *Powrotu centrali*, „centrala” życia literackiego nie odtworzyła się w pełni, nie narodził się nowy Absolut literacki, selekcja literacka dotyczy więc nie tylko ocenianych pisarzy i ich dzieł, lecz także oceniających instytucji

⁹Zob. G. Deleuze, *Nietzsche i filozofia*, dz. cyt., s. 86–87.

– niektóre wydawnictwa, niektóre nagrody są prestiżowe i przyciągają pełne szacunku spojrzenia tak autorów jak czytającej publiczności, inne budzą uśmiech politowania lub w ogóle nie są zauważane; prestiż taki nie jest dany raz na zawsze – aktualna pozycja jurora, wydawcy czy krytyka zależy od jego dotychczasowych wyborów i powtarzające się wybory nietrafne mogą nią zachwiać; konformizm przy tym nie wydaje się dobrą strategią starań o prestiż – werdykty nie powinny być „szalone”, ale nie szanuje się też jurorów w pełni przewidywalnych, głosujących zawsze tak, jak statystyczny czytelnik, ani też wydawców, którzy publikują wyłącznie „to, co wszyscy” albo „to, co zawsze”.

Konformistyczną pseudo-selekcję Nietzsche kojarzył z darwinizmem:

Nietzsche krytykuje Darwina, gdyż interpretuje on ewolucję, a nawet przypadek w ewolucji, w sposób całkowicie reaktywny. Podziwia Lamarcka, ponieważ Lamarck przewidział istnienie prawdziwie aktywnej *siły plastycznej*, pierwszej w odniesieniu do przystosowania: siły przekształcenia. U Nietzschego (...) „szlachetną” zwie się energię zdolną siebie przekształcać. Moc przekształcenia, władza dionizyjska, jest pierwszym określeniem aktywności. (...) Walka nigdy nie jest aktywnym wyrazem sił ani przejawem woli mocy, która afirmuje (...). Dlatego Nietzsche przeciwstawia się Darwinowi: Darwin pomylił walkę i selekcję, nie dostrzegł, że walka ma rezultat odwrotny, niż sądził; selekcjonuje ona, lecz selekcjonuje tylko słabych i zapewnia ich tryumf¹⁰.

Argumentacja wydaje się jasna: dobór naturalny selekcjonuje przypadkowe zmiany, jakim ulega organizm, „siła sprawcza” ewolucji jest zatem na zewnątrz selekcjonowanego, który się jej biernie poddaje; podobnie „walka” – toczy się o jakieś dobro zewnętrzne w stosunku do walczących, ono więc ostatecznie panuje nad sytuacją, Nietzsche zaś marzy się zmienność w pełni endogenna, selekcja zwrotna, w której przedmiot wyboru jest zarazem jego podmiotem – zamiast takiej, w której zewnętrznemu selekcjonerowi dostarcza tylko surową „materię” przypadkowych mutacji. Stosunek Nietzschego do Darwina to jednak bardziej złożona kwestia, niż mogłyby sugerować binarne opozycje, w jakich umieszcza ich Deleuze. Jak sugeruje monografista tej relacji, John Richardson, ataki Nietzschego na Darwina to, z jednej strony, próba obrony własnej oryginalności w konfrontacji z myślą bardzo w gruncie rzeczy bliską, „gatunkiem siostrzanym” w ramach wspólnego rodzaju, z drugiej – po części nieporozumienia, gdy wiedzę o Darwinie niemiecki

¹⁰ Tamże, s. 48, 88.

filozof czerpie z drugiej ręki, przeciwstawiając czasem poprzednikowi jako własną propozycję to, co w istocie on sam twierdził¹¹. Nietzscheańska „selekcja” jest zatem nader blisko związana z selekcją Darwinowską, z pojęciem doboru, choć wykracza poza plan biologiczny w sferę kultury, antycypując – zdaniem Richardsona – powstała na marginesie neodarwinizmu koncepcję memetyki jako selekcji idei w kulturze¹². Skoro jesteśmy pomiędzy naturą i kulturą, o jaki typ doboru chodzi – naturalny czy sztuczny? Nietzsche często pisze o „hodowli”¹³, co mogłoby sugerować rodzaj eugeniki (lub jej odpowiednik w sferze wartości kulturowych, jaki mogą praktykować np. wydawcy czy redaktorzy czasopism, dobierający teksty do publikacji), gdy ktoś – „hodowca” – selekcjonuje innych pod kątem wybranych przez siebie kryteriów; jednak byłby to układ „niewolniczy” i premiujący konformizm (wobec selekcionera), a zatem dla Nietzschego nie do przyjęcia. Filozof pragnie „autoselekcji”, którą utożsamia z wolnością – mechanizmu, w którym – korzystając z reguł wiecznego powrotu, a nie odwołując się do decyzji zewnętrznej podmiotowości – „selekcjonujemy” (udoskonalamy) się sami, ustalając dzięki temu hierarchie i rangi¹⁴. Temu modelowi nie odpowiada ani model doboru sztucznego – gdy selekcjonuje hodowca, ani naturalnego – gdy selektorem okazuje się przyrodnicze otoczenie; w obu przypadkach jest to selekcja sterowana z zewnątrz, a więc, w terminologii nietzscheizmu Deleuze’a, reaktywna. Pozostaje jednak trzecia możliwość: dobór płciowy, ze względu na wewnątrzgatunkową atrakcyjność i „piękno”, a nie praktyczny „interes”, mierzony kryterium zewnętrznym. I rzeczywiście, zdaniem Richardsona dojrzała estetyka Nietzschego u podstaw umieszcza ideę atrakcyjności seksualnej, pokrewną pojęciu doboru płciowego u Darwina, tak iż ostatecznie selekcja ma się odbywać ze względu na szeroko rozumiane piękno, tworzenie siebie w toku „hodowli” okazuje się dziełem estetycznym¹⁵.

Jeśli mechanizm samoselekcji umieścimy na poziomie indywiduum (a tak można rozumieć ideał nadczłowieka jako indywidualności niepoddającej się społeczeństwu), nietzscheański „dobór płciowy” okaże się czymś w rodzaju selektywnego narcyzmu: udoskonalamy siebie tak, by coraz bardziej być godnymi miłości własnej, coraz bardziej podobać

¹¹ Zob. J. Richardson, *Nietzsche's New Darwinism*, Oxford 2004, s. 3, 14–16, 21–25, 43.

¹² Por. tamże, s. 41, 67–71, 78–82, 100, 148, 154–157, 168–169.

¹³ Por. tamże, s. 190–194.

¹⁴ Tamże, s. 69–71, 95, 115, 196–197, 200–201.

¹⁵ Zob. tamże, s. 227–229, 237–238, 242, 263, 268. O związkach idei doboru płciowego z estetyką – por. W. Menninghaus, *Das Versprechen der Schönheit*, Frankfurt am Main 2007.

się sobie w lustrze; z tych podstaw wyrasta chyba myśl późnego Foucaulta, postulującego „troskę o siebie” i estetykę egzystencji. Można jednak Nietzschego rozumieć inaczej, uwzględniając jego idee „samoprzekroczenia”, selekcji nie w obrębie indywiduum – choć też nie na poziomie abstrakcyjnego zbioru-gatunku – lecz w ramach „linii ewolucyjnej” czy lineażu, łańcucha osobników następujących po sobie¹⁶, zwłaszcza w połączeniu z rozważaną przez współczesny neodarwinizm koncepcją koewolucji dwóch lineaży – np. drapieżnika i jego ofiary, selekcyjnych się wzajemnie; w odniesieniu do doboru płciowego taki model zaakcentuje relacje między płciami jako estetyzację wzajemną, a nie narcystyczną: selekcję samców przez samice i samic przez samców, w której zniesiony zostaje „niewolniczy” aspekt selekcji zewnętrznej: po pierwsze dzięki wzajemności, w której dwie linie – żeńska i męska – tworzą jedną strukturę (gatunek rozumiany nie abstrakcyjnie, lecz jako stemporalizowana i rozmnażająca się płciowo populacja), to co egzogenne czyniąc endogennym na wyższym poziomie, po drugie – na poziomie samego wyboru, który jest tyleż aktywną decyzją, co pasywnym uleganiem uwiedzeniu¹⁷.

„Środowiskiem naturalnym” współczesnej kapitalistycznej kultury jest rynek, sądzę zatem, że w sferze selekcji literackiej za odpowiednik doboru naturalnego można uznać konfrontację pisarza bezpośrednio z rzeczywistością rynku książki – wydawców pojmowanych po prostu jako przedsiębiorców i „zwykłych” czytelników, którzy funkcjonują jako konsumenci: dzieło literackie przyjmuje się na owym rynku lub jest przezeń odrzucane po prostu jako towar. Krytyk-selektor, opisany przez Prokopa, to „hodowca” literatury, kształtujący ją świadomie jako podmiot doboru sztucznego. Oba te modele – selekcji przez rynek i przez profesjonalnego selekcyjnera – zakładają radykalną heterogeniczność przedmiotu i mechanizmu (lub podmiotu) selekcji: literatura selekcyjnowana jest przez coś zasadniczo od niej odmiennego i niezależnego. Synoptrykalne życie literackie, jakie opisuje Czapliński, to natomiast rzeczywistość nasładowaująca dobór płciowy, w którym różne równorzędne

¹⁶ J. Richardson, *Nietzsche's New Darwinism*, dz. cyt., s. 44, 62–63, 77, 80.

¹⁷ Deleuze podkreśla, że uleganie wpływowi (i tym samym, jak sądzę, uwiedzeniu) paradoksalnie nie klóci się z aktywnością sił (zob. *Nietzsche i filozofia*, s. 68). Być może jednak takie rozwiązanie jest zbyt heglowskie z ducha, by Nietzsche mógł je w tej postaci zaakceptować. Należy też pamiętać, że sam Darwin nie prezentuje doboru płciowego jako symetrycznego – uwzględni taką możliwość, ale zasadniczo uważa, że to samice jednostronnie dokonują wyboru, przedstawiając je tak, jakby były niemal dosłownie „hodowcami”, selekcyjnymi samców ze względu na piękno podobnie, jak ogrodnik selekcyjnie piękne kwiaty.

w zasadzie lineaż – twórczość pisarzy rozumiana jako łańcuchy dzieł, serie literackie kreowane przez wydawców, szeregi książek uhonorowanych prestiżowymi nagrodami – wchodzi w interakcje, wzajemnie się potwierdzając i utrzymując w istnieniu.

Jan Potkański

Literary Criticism as Sexual Selection

In the article I inquire relations between contemporary literature and literary criticism, as a central metaphor employing Darwin's idea of sexual selection. Inspired by the literary criticism of Jan Prokop and Przemysław Czapliński and their observations, as well as the philosophical theses of Nietzsche and Deleuze, I aim to determine the role played in the literary creation by selection mechanisms of various kinds of readers. I distinguish between three main types of such mechanisms: (i) spontaneous selection of the publications by the reader market, (ii) arbitrary building the literature according to a conscious scheme (by a critic or a publisher with an authority sufficient to impose his or her taste), and (iii) mutual selection, joining writers and institutions of literary life into one system, in which each party influences the authority of the other. The first model structurally corresponds with the natural selection, the second – with artificial selection, and the third – sexual selection. Amongst them the third one is, in my opinion, most distinctive and important for the contemporary literature.

Jerzy Paszek
Uniwersytet Śląski, Katowice

Małopolskie monografie modernistów Poststrukturalizm w świetle darwinizmu

Nie lekceważmy przy tym erudycji –
wiele tekstów luminarzy polonistyki zawiera błędy
wynikające nie z pośpiechu czy roztargnienia,
lecz po prostu z ignorancji.
(Henryk Markiewicz¹)

Nie zamierzam wcale ukrywać, że moje wystąpienie w obronie humanistycznych imponderabiliów sprowokowane zostało namiętnymi polemikami, pojawiającymi się w roku 2009 na łamach „Tygodnika Powszechnego” w cyklu zatytułowanym *Dyskusje o polonistyce*. W niektórych z tych wypowiedzi postulowano, by literaturoznawca (a w tym i nauczyciel-polonista) mógł poszczycić się wiedzą antropologa, filozofa, psychologa, filmoznawcy, historyka sztuki, medioznawcy itd., itp. Sądzę konserwatywnie – jak na emeryta przystało! – i tego zamierzam bronić, że nauczyciel i badacz języka polskiego (a także literatury polskiej) powinien głównie koncentrować się na różnorodności dykcji (gwar, narzeczy, dialektów), którą nieprzerwanie od tysiąca lat oferują, dostarczają i prezentują nam nasi pisarze. Po cóż znać wiele języków obcych i idiolektów poszczególnych dyscyplin naukowych, jeśli zawodzi się nadzieje i oczekiwania czytelnika w rzeczy fundamentalnej: filologicznej staranności w wyjaśnianiu i interpretowaniu klasycznych tekstów naszej kultury (a tyleż tu jeszcze do zrobienia, jeśli chodzi np. o wydania krytyczne polskich wielkich twórców!). Żywię przekonanie,

¹H. Markiewicz, *Resentymenty i utopia*, „Tygodnik Powszechny” 2009, nr 35, s. 46.

że XXI wiek stanie się stuleciem spektakularnych sukcesów studiów stylistycznych (albo w ogóle nie zaistnieje w dziejach humanistyki!).

1. Krótkie credo

Po pierwsze, wierzę, iż po zachłyśnięciu się powszechną propagandą literatury popularnej nadejdzie czas na ujawnienie skarbów kultury niszowej bądź elitarniej. Pod koniec roku 2009 reklama Empiku na ponad 120 stronicach darmowego katalogu, zdominowanych przez „populiteraturę” (Grochola, Pilipiuk, autorzy kryminałów), wskazuje na bodaj jeden tylko łącznik pomiędzy krańcowymi obiegami literackimi (Tokarczuk) i jeden polski tytuł z wyższej półki (tomik wierszy Szymborskiej). Myślę, że z czasem czytelnicy staną się snobami i zaczną sobie wybierać i dobierać dzieła bardziej wymagające i więcej w rezultacie przynoszące pożytku i satysfakcji lekturowej.

Po drugie, wierzę, iż nadejdzie czas filologii, bo tak wielki naród (38 000 000 tuziemców + 17 000 000 w diasporze) nie może dopuścić, by nasi najwięksi pisarze nie mieli wydań krytycznych: np. Adam Mickiewicz stale oczekuje na realizację takiegoż prestiżowego przedsięwzięcia, bo dysponujemy aktualnie jedynie czterema woluminami *Wierszy* (w opracowaniu Czesława Zgorzelskiego) i *Panem Tadeuszem* (w opracowaniu Konrada Górskiego) w obrębie *Dzieł wszystkich* (nb. Juliusz Słowacki ma kompletną edycję swoich *Dzieł wszystkich* opracowaną pod kierunkiem Juliusza Kleinera).

Po trzecie, wierzę (w kontrze do domniemań zblazowanych besserwischerów), iż także w dzisiejszej epoce ponowoczesnej (cokolwiek miałyby to oznaczać!) można napisać tradycyjną polonistyczną monografię, dotyczącą twórczości wybranego pisarza. Dowodem potwierdzającym to przekonanie mogą być setki wstępów do obchodzącej swe 90-lecie serii „Biblioteka Narodowa”, okazujące się w istocie obszernymi (prawie po sto stronic każda) syntezami wiedzy o prezentowanym w tomiku utworze. Pojawiają się oczywiście i DUŻE monografie różnych współczesnych tekstów: przykładem jest „podręcznik akademicki” Włodzimierza Boleckiego pt. „*Inny świat*” *Gustawa Herlinga-Grudzińskiego* (Kraków 2007, UNIVERSITAS).

Istnieją też nowe formy wypowiedzi polonistycznej – ujęcie syntetyczne życia i twórczości pisarza. Po serii „kalendarzy” (np. *Stefan Żeromski. Kalendarz życia i twórczości*. Kraków 1976; opracowali Stanisław Eile i Stanisław Kasztelowicz) narasta nam obecnie kolekcja „encyklopedii”: Jarosław Marek Rymkiewicz ułożył trzy tomy, zatytułowane

kolejno: *Leśmian. Encyklopedia* (Warszawa 2001), *Słowacki. Encyklopedia* (Warszawa 2004), *Mickiewicz. Encyklopedia* (Warszawa 2001; współautorami tej książki byli: Dorota Siwicka, Alina Witkowska, Maria Zielińska). O jeden rok pracowników IBL-u ubiegli moi koledzy – Marek Piechota i Jacek Lyszczyna – wydając *Słownik Mickiewiczowski* (Katowice 2000). Z katowickiego środowiska polonistycznego pochodzi też wieloautorska monografia utworu Parnickiego: „*Słowa i ciała*”. *Szkice o powieści Teodora Parnickiego*, pod redakcją Tomasza Markiewki i Krzysztofa Uniłowskiego (Katowice 2008).

Tak się szczęśliwie – zaiste! – składa, że kategoria monografii jest najwyższej punktowana w rankingach dorobku polonistów, więc gatunek ten (zgodnie z prawami darwinizmu – ulegając mutacjom i metamorfozom) ma szansę na przetrwanie.

2. Teren egzaminowany

Z perspektywy badań młodopolskich (czyli naszego pierwszego modernizmu), pamiętając o skrzydlatym słowie Czesława Miłosza („Tam nasz początek”), postaram się wyrywkowo i nieco subwersyjnie (najmodniejsze ostatnio słówko-wytrych) zaprezentować cztery tomy z lat 2007-2009, napisane przez profesorów UJ, a opublikowane przez firmę UNIVERSITAS. Jeden z tych tomów jest akademickim podręcznikiem (chodzi o wielkoformatową księgę Michała Pawła Markowskiego), a trzy pozostałe, wydane kolejno jako numery 18, 25 i 29 serii „Modernizm w Polsce”, stanowią zapewne tzw. prace awansowe trzech uczonych polonistek².

Najbardziej tradycyjny kompozycyjnie kształt ma tom Gabrieli Matuszek, w którym chronologicznie omówiono eseistykę, prozę poetycką i powieści Stanisława Przybyszewskiego (poza tą obszerną rozprawą znalazły się dramaty, przekłady i listy pisarza). Opasły wolumin (472 s.) Anny Czabanowskiej-Wróbel zawiera intrygującą paralelę poetyckiej drogi Leopolda Staffa i Bolesława Leśmiana. Dopelnieniem tomu jest aneks pt. *W kręgu modernizmu*, składający się z trzech rozdziałów: *Od bicia i powtórzenia. Młodopolski „traktat o Narcyzie”*; *„Uspokojona, uspokoi-*

²M. P. Markowski, *Polska literatura nowoczesna. Leśmian, Schulz, Witkacy*, Kraków 2007; M. Popiel, *Wyspiański. Mitologia nowoczesnego artysty*, Kraków 2007; G. Matuszek, *Stanisław Przybyszewski – pisarz nowoczesny. Eseje i proza – próba monografii*, Kraków 2008; A. Czabanowska-Wróbel, *Złotnik i śpiewak. Poezja Leopolda Staffa i Bolesława Leśmiana w kręgu modernizmu*, Kraków 2009. Cytując te publikacje w tekście głównym, stosuję odpowiednio skróty: MPM, MP, GW, ACW. Wszystkie podkreślenia majuskułami pochodzą ode mnie.

jająca..." *Elegia młodopolska jako ogniwo modernistycznych dziejów gatunku; Spadkobiercy i turyści. O „młodszych braciach” Staffa i Leśmiana.*

Dość zwichrowaną budowę – moim zdaniem – ma publikacja Magdaleny Popiel, gdzie cz. III (*Estetyka modernizmu z Wyspiańskim w tle*) stanowi pokazywany segment całości (s. 231–307), nie wnosząc nic nowego do portretu Wyspiańskiego; jest tu siedem rozdziałów o następujących nagłówkach: *Powieść o artyście jako gatunek literacki i rodzaj dyskursu; Dwie koncepcje młodopolskiej szczerości; Monolog i milczenie; Autoportret w zbroi, czyli średniowiecze modernistów; Kryzys i odrodzenie idei „Gesamtkunstwerk” w XX wieku; O monumentalności jako kategorii estetycznej; Fotografia i dzieło sztuki. „Dziwni ludzie” polskiego modernizmu.* W pozostałych dwóch częściach swej książki Popiel analizuje rewelacyjny korpus epistolografii poety (*Powieść o artyście w listach*), a także wielkich prekursorów dramaturga i jego próby uwolnienia się od wpływu tych znakomitych poprzedników (*Wyspiański – artysta Agonu*).

Tom Markowskiego składa się z trzech równorzędnych (wedle autora) monografii dorobku Leśmiana (o czym głównie będę pisał), Schulza oraz Witkacego. Pod okładkami tego foliału (format 20 na 25 cm) znalazły się jeszcze takie rozdziały jak: *Polska literatura nowoczesna, Ekskurs o interpretacji, Komentarz do braku ilustracji*, a ponadto *Podsumowanie*. Na wstępie dodano *Instrukcję obsługi!* Z góry zaznaczam, że szczególnie jako podręcznik akademicki jest to książka-prowokacja, bo każdy z polonistów zajmujących się Młodą Polską lub XX-leciem międzywojennym pod nadtytułem Markowskiego umieściłby inną triadę twórców!

3. Guru górą

[Z]dystansowany stosunek do teorii [literatury] wynika w dużej mierze z wątpliwości dotyczących roli filozofii jako matrycy metodologicznej, która znajduje zastosowanie w całej humanistyce (Leszek Drong³).

Na początku swojego trójdziałnego podręcznika Markowski śmiało mówi o „«świętej trójcy» polskiej krytycznej literatury nowoczesnej” (MPM, 64). Stanowiąc mają tę trójcę właśnie Leśmian, Schulz i Witkacy. Gdy w moich *Muchomorach i zimowitach* wytypowałem (jako najbardziej interesujące) trzy powieści z roku 1903 (*Pałuba, Popioły, Próchno*) i nazwałem je „tryumfalną ową trójcą”⁴, to spotkałem się z zarzutem kole-

³L. Drong, *Narodziny literaturoznawstwa neopragmatycznego z ducha starożytnej sofistyki*, [w:] *Znaki, tropy, mgławice. Księga pamiątkowa w sześćdziesiątą rocznicę urodzin Profesora Wojciecha Kalagi*, red. L. Drong i J. Mydla, Katowice 2009, s. 68.

⁴J. Paszek, *Muchomorzy i zimowity. Kłacza i złącza powieści XX wieku*, Katowice 2003, s. 7.

żeńskim, iż propaguję „prywatne hierarchie”⁵, a omawiana triada jest dla mnie bez wątpienia „święta”: „«tryumfalna trójca», przenajświętsza, oczywiście”⁶. Myślę, że Markowski w podręczniku akademickim (moja książeczka była zbiorem przewrotnych esejów, wydanym w serii „Bibliotheca Alia Universa”) – trochę w niezgodzie z wymaganiami stawianymi skryptom – także nagłaśnia i reklamuje swe „prywatne hierarchie”!

a. Podręcznik-prowokacja

Markowski z otwartą przyłbicą zaatakował wartości, do których przywiązani są literaturoznawcy. Powszechnie wiadomo, że punktem dojścia wielu uczonych polonistów jest opublikowanie wydania krytycznego danego pisarza. Markowski kpi z tych hierarchii, wprowadzając w *Bibliografii komentowanej* (zakończenie monografii o Leśmianie) potok poliptotonów, wyszydających przywiązanie filologów do edycji krytycznych:

Nie doczekaliśmy się jeszcze KRYTYCZNEJ biografii Leśmiana. (...) Ostatnie dzieło [Piotra Łopuszańskiego] także nie spełnia oczekiwań KRYTYCZNEGO czytelnika (...) Nie dysponujemy także KRYTYCZNYM wydaniem wszystkich utworów poety. (...) Jedynym KRYTYCZNYM opracowaniem twórczości prozatorskiej Leśmiana pozostaje nadal edycja *Klechd polskich* w opracowaniu W. Lewandowskiego (Kraków 1999). (...) w KRYTYCZNYM opracowaniu powinien [edytor] także wydać przekłady Leśmiana (MPM, 157).

Wywody te są nad wyraz bałamutne, gdyż trudno sobie wyobrazić, jak miałyby wyglądać „krytyczna biografia” jakiegokolwiek pisarza. Toż dotyczy edycji przekładów (a u Leśmiana są one z drugiej ręki: Poe – Baudelaire – Leśmian): wydawca miałby się zająć tu tekstem oryginału czy przekładu na język francuski jako quasi-oryginałem?

Zresztą nie wiadomo, o czym myśli Markowski, pisząc o „krytycznym wydaniu wszystkich utworów poety”, gdyż opracowanie *Klechd polskich* nie jest w żadnym wymiarze edycją krytyczną (w przyjętym przez tekstologów rozumieniu tego terminu). Żeby było ciekawiej, gdy już autor *Polskiej literatury nowoczesnej* ma do czynienia z wydaniem krytycznym (chodzi o 23 tomy dzieł Witkacego), to wcale nie używa tegoż określenia (MPM, 392)! Na początku podręcznika pojawia się zapis bibliograficzny: „S. I. Witkiewicz: *Dzieła zebrane*. Wydanie krytyczne ze

⁵W. Forajter, *Prywatne hierarchie*, „Opcje” 2003, nr 4, s. 75–78.

⁶D. Nowacki, „Tryumfalna owa trójca”, „FA-art” 2003, nr 3–4, s. 117.

wstępem J. Błońskiego, przewodniczący komitetu redakcyjnego J. Degler" (MPM, 12), ale fakt ten Markowskiego do żadnych zmian języka wypowiedzi nie zmusza!

A wszystko to wiąże się w jakiś powikłany sposób z definicją epitetu „krytyczny”, zamieszczoną na kapsułce (jak w książkach Normana Daviesa):

Krytyczny oznacza w tym wypadku – opisujący kryzys lub wywołujący kryzys. Ale krytyczny oznacza także kwestionujący, czyli „stawiający pytania”. Nie oznacza natomiast: negujący, odmawiający czemuś prawa istnienia. Tak właśnie – problematyzująco, a nie destrukcyjnie – należy rozumieć znaczenie słowa „krytyczny” w wyrażeniu „krytyczna nowoczesność” (MMP, 8).

Stąd też w monografii o Leśmianie Markowski nie wspomni, że dramat *Zdziczenie obyczajów pośmiertnych* w ogóle nie ma ustalonego definitywnie tekstu, bo nikt nie porównał rękopisu utworu (znajdującego się w USA) z przedrukami opartymi na teatralnych scenopisach. Tak jak trop amerykański nie został podjęty i wyzyskany (tekstologicznie), tak trop rosyjski przeinwestowano (patriotycznie?). Niepokoi mnie u Markowskiego bezzasadna sugestia, że Leśmian mógł zostać wybitnym poetą rosyjskim: „Kto wie jednak, jak potoczyłyby się losy polskiej poezji, gdyby Leśmian – a było to całkiem możliwe – wybrał język rosyjski jako własny” (MPM, 85). Chyba jednak nie stanąłby na równi ze znanymi symbolistami rosyjskimi (Błokiem, Białym, Briusowem czy Buninem), bo fakt, iż brał udział w poetyckim konkursie, „w którym zdobył nagrodę, dystansując m.in. Konstantego Balmonta” (MPM, 85) należy włożyć między bajki. Nb. Seweryn Pollak, Jerzy Ficowski i Jarosław Marek Rymkiewicz uważają, że rosyjskie wiersze Leśmiana są słabe.

b. Przekłamania

Zacznę od niedopowiedzeń związanych z oceną Leśmiana. Wedle Markowskiego nie należy tego twórcy łączyć z epoką Młodej Polski, bo to zdecydowanie umniejsza rangę i rolę tego „najbardziej ontologicznego polskiego poety” (MPM, 158) czy „być może największego poety języka polskiego” (MPM, 158), czy wreszcie jednego „z największych poetów religijnych w XX wieku” (MPM, 127); ta litania superlatywów kończy się zdumiewającym zdaniem o liryku-agnostyku: „Leśmian należy do największych poetów religijnych nie tylko dwudziestego wieku” (MPM, 128).

Teza o deprecjonowaniu poety przez przyklepienie mu łatki „młodopolanin” jest oparta na dziwacznych argumentach (nb. Anna Czabanowska-Wróbel, podawszy daty urodzenia Staffa – 1878 – i Leśmiana – 1877 – nie ma wątpliwości, że obaj byli młodopolakami!), odwołujących się do ewaluacji pochodzących ponoć z XXI wieku:

Historycy literatury długo nie mogli się zdecydować, gdzie zaliczyć Leśmiana. Artur Hutnikiewicz zdecydowanie zalicza jego twórczość do Młodej Polski (*Młoda Polska*, 1977) [w istocie: 1994]. Podobnie postępuje M. Podraza-Kwiatkowska w eseju *Gdzie umieścić Leśmiana? Próba lokalizacji historycznoliterackiej* (w: *Młodopolskie harmonie i dysonanse*, Warszawa 1969), wpisując poetę w krąg ostatniego pokolenia Młodej Polski. Najnowsze badania rezygnują już z tej młodopolskiej kwalifikacji (MPM, 85).

Głosem Gombrowicza grzmie: „Jak rezygnują, kiedy najwyraźniej nie rezygnują?” Do roku 2007 (data wydania pracy Markowskiego) – po syntezie Hutnikiewicza (wielekroć wznawianej) – pojawiło się kilka podręczników, ale nie zauważyłem, by Leśmiana zaczęto gremialnie łączyć w XX-leciem międzywojennym. *Młoda Polska* (2001) Jana Tomkowskiego poświęca lirykowi cały rozdział, ale wcale nie rezygnuje z „secesyjności” autora *Gada*⁷. W popularnym *Słowniku literatury polskiej* (Katowice 2006) także omawia się go w dziale *Młoda Polska*⁸. Dla mnie kuriozalną myślową operacją byłoby wykreślenie dorobku poety z ćwierćwiecza, czyli lat 1895–1920, byleby tylko nie przywarł doń ten straszny epitet „młodopolski”. Czyżby 25 lat był czeladnikiem w swym zawodzie (w dwuznacznym sensie ostatniego słowa)? Popiera me wątpliwości autor *Późnych tropów Młodej Polski*, Jan Jakóbczyk⁹.

Dalsze pomyłki czy przegapienia faktów rodem z osłej łączki (jak pisywał Julian Krzyżanowski, który nb. miał czelność wytykać rytmiczne

⁷ J. Tomkowski, *Młoda Polska*, Warszawa 2001, s. 120: „znacznie więcej łączy go [Leśmiana] z Młodą Polską niż następną epoką”. Nb. o secesyjności poety mówił Czesławowi Miłoszowi Aleksander Wat (*Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, cz. 1, Warszawa 1990, s. 45). Inny awangardzista, Adam Ważyk, też nie miał wątpliwości co do epoki, z którą należy wiązać autora *Znikomka*: „Leśmian, który w 1912, w *Sadzie rozstajnym*, w wieku lat 34 [właściwie 35], zaprezentował się jako poeta Młodej Polski, w późniejszych latach również zachował pełne zaufanie do ducha i duszy. Nie zgodził się na redukcję semantyczną i pozostał wierny językowi swojej młodości” (A. Ważyk, *Kwestia gustu*, Warszawa 1966, s. 156).

⁸ Zob. *Słownik literatury polskiej*, red. M. Piechota, M. Pytasz, P. Wilczek, Katowice 2006, s. 576–578 (autorka hasła: Krystyna Kralkowska-Gątkowska).

⁹ Zob. J. Jakóbczyk, *Późne tropy Młodej Polski (1914–1939)*, Katowice 2009, s. 201: „O kwalifikację [młodopolskiej] można się spierać, ale rodowód da się zwykle łatwo wylegitymować”.

błędy Leśmiana¹⁰) dotyczą w omawianym skrypcie recepcji krytycznej (czyli ilości recenzji w ówczesnej prasie) *Sadu rozstajnego*. Markowski pisze o tym tak:

Nie spotkał się z przychylnym przyjęciem, doczekał się ledwie dwóch recenzji, w których podkreślano, że „książka miłośnikom poezji może dostarczyć prawdziwie pięknych wrażeń”, czyli oceniano ją według młodopolskich przyzwyczajęń, nie dostrzegając niczego innego poza sentymentalną nastrojowością (MPM, 85).

To zapewne z encyklopedii Rymkiewicza Markowski zaczerpnął wiadomość, że „debiut książkowy Leśmiana został niemal przeoczony – ukazały się prawdopodobnie (sprawa ta nie jest może dostatecznie zbadana) tylko dwie recenzje z *Sadu*, obie dość zdawkowe¹¹. Wtrącenie („sprawa ta nie jest może dość zbadana”) nie zastanowiło Markowskiego jako troszczącego się „z potrójną dbałością (...) o zsumowanie najważniejszych poglądów na twórczość trzech pisarzy” (MPM, 5). A powinno! Rutynowe zerknięcie do *Nowego Korbuta* przekonałoby autora skryptu o istnieniu TRZECH recenzji *Sadu rozstajnego* (w „Przeglądzie Wileńskim”, „Kurierze Porannym” i „Prawdzie” – wszystkie z 1912 roku). Okazuje się wszakże, iż jest i CZWARTA recenzja, którą cytuje sam Markowski, wyzyskując dane z książki Łopuszańskiego pt. *Leśmian* (seria: „A to Polska właśnie”)¹².

Najmieszniejsza wpadka Rymkiewicza i Markowskiego wiąże się z zaprezentowaniem rzekomego paradoksu: poeta entuzjastycznie lubił kwiaty i „był całkiem obojętny na urok kwiatów” (odosobnione zdanie znajomej poety, Heleny Wiewiórskiej, niezgodne z większością głosów przyjaciół). Rymkiewicz dochodzi do absurdałnego wniosku:

Leśmian (...) z czułością pochyla się nad kwitnącymi tam [w ogrodzie botanicznym] liliami i różami (...) i jednocześnie z wielkim obrzydzeniem (a nawet strachem) od róż i lilii się odwraca¹³.

¹⁰ Zob. J. Krzyżanowski, *Dzieje literatury polskiej od początków do czasów najnowszych*, Warszawa 1970, s. 486: „rym i rytm sprawiały mu [Leśmianowi] niezwykle trudności. Stąd w *Sadzie rozstajnym* wystąpiły uchybienia średniówkowe w pospolitym jedenastozgłoskowcu”. Por. też: *Spacerkiem po osłej łączce. Szkic z dziejów naszej kultury literackiej*. „Silva Rerum” 1981, s. 189.

¹¹ J. M. Rymkiewicz, *Leśmian. Encyklopedia*, Warszawa 2001, s. 328.

¹² P. Łopuszański, *Leśmian*, Wrocław 2000, s. 220.

¹³ J. M. Rymkiewicz, *Leśmian...*, dz. cyt., s. 147.

Markowski za Rymkiewiczem pogrąża się (nie tylko) w wątpliwościach: „Trudno z tego paradoksu (o ile jest prawdziwy) wybrnąć” (MPM, 115). Otóż wcale nie tak trudno, gdyż we *Wspomnieniach o Bolesławie Leśmianie* jest mnóstwo argumentów przeciwko tezie Wiewiórskiej¹⁴.

c. Wyjaśnienia *Goryla* (Z kim lepiej stracić?)

Punktem centralnym podręcznika Markowskiego jest analiza wiersza pt. *Goryl*, zajmująca sześć stron w rozdziale *Filozofia umierania*, kończącym segment poświęcony Leśmianowi (po rozbiórce ballady pojawia się jeszcze tylko *Słownik* [terminów leśmianowskich] oraz *Bibliografia komentowana*). Zgodnie z zapowiadaniem na wstępie postulatem „oryginalności interpretacji” (MPM, 5-6), autor prezentuje nam wysokie loty wirtualnej (bo nie historycznoliterackiej) krytyki tekstu, oderwanej całkowicie nie tylko od tradycji badawczej, ale i od dorobku Leśmiana.

W czwartym dystychu ballady Markowski odkrywa coś, co nikomu przed nim nie przyszło do głowy. Oto ten fragment:

I drwiąc, przedrzeźniał wieczności minę,
Kiedy z błękitu schodzi w dolinę (MPM, 137).

Otóż mowa tu o kenozie, inkarnacji Jezusa Chrystusa: „Chrystus, którego naśladuje goryl” pojawia się w liryku obok wersu mówiącego o Bogu. „W takiej sytuacji wiersz w tym fragmencie jest bardzo obrazoburczy, albowiem goryl nie tylko «przedrzeźnia», ale też «drwi» z Boga-Człowieka” (MPM, 142).

Markowski zupełnie nie bierze pod uwagę stylu i języka analizowanego liryku. Uważam, że *Goryla* cechują takie chwytły artystyczne (w tym i mankamenty), które nie powinny iść w parze z religijnym tenorem wywodów, do czego namawia nas interpretator. W incipicie zderzają się ze sobą dwa aliteracyjne szeregi: „Spoza drzew Gęstwy Goryl Kosmaty // Śmieszliwym Ślepiem wyzierał w Światy” (MPM, 137). Wątpię, czy tak powinna zaczynać się ballada religijnego poety: dla mnie zapowiada się w ten sposób tekst komiczny, a nie kosmiczny! Jest kilka przesłanek, na których opieram swe osady. Jedną z nich jest błąd językowy: orzeł „Wlecze po ziemi nic warte ciało” (dystych drugi). Po polsku możliwe jest jedynie powiedzenie: „Wlecze po ziemi nic NIE warte ciało”. I nic

¹⁴ *Wspomnienia o Bolesławie Leśmianie*, red. Z. Jastrzębski, Lublin 1966, s. 77, 11-12, 159-160.

na brutalną gramatykę nie pomoże nawet najwymyślniejsza nauka o niczym, czyli NIHILOLOGIA (zob. wyjaśnienie terminu: MPM, 119). Rymy ballady też nie powalają na kolana, gdyż albo trącą częstochowszczyzną („umiał – zrozumiał”, „psiemu – czemu”), albo nawiązują do tematyki i stylizacji chłopomańskiej („szary przyodziej – zbladł nad spodziej”); nb. Stanisław Papierkowski informuje, że „przyodziej” jest wyrazem gwarowym, a – to już moja uwaga – „nad spodziej” jest charakterystycznym derywatem Leśmiana, wymyślonym na potrzeby rymu i rytmu.

W dystychu czwartym (tak ważnym dla Markowskiego) dostrzegam nie tyle „metaforę (...) wiecznego Boga, który schodzi z nieba i wciela się w świat” (MPM, 141), co dziwaczne potraktowanie wieczności, przybierającej tu rysy antropologiczne. Nb. nie schodzi w dolinę wcale wieczność, lecz jej MINA, co powiększa do kwadratu (homonimia słowa „mina”) komiczność zjawy.

Tu dygresja dotycząca dorobku Leśmiana. Wiersz *Goryl* był wydrukowany po raz pierwszy w „Tygodniku Polskim” (1922), a następnie w druku okolicznościowym pt. *Ballady* (Zamość 1926), by w końcu wejść do *Napoju cienistego* (1936). We wcześniejszym od tych publikacji *Goryla* tomie *Łąka* (1920) kilka razy pojawia się wieczność w ujęciu antropologicznym lub zoomorficznym:

Jedna trumna dla jednego, dla drugiego – druga,
W jednej WIECZNOŚĆ prawym okiem, w drugiej lewym MRUGA!

(*Świdryga i Midryga*)

WIECZNOŚĆ ku nam znikąd zbiegła,
U stóp naszych WARCZAĆ legła,

(*Łąka*)¹⁵

Uważam, że taką wieczność „miniastą” (a miniasta jest nawet śmierć w wierszu *Śmiercie!*) można łatwo przedrzeźnić i drwić z niej do woli. Nb. Leśmian wyobrażał sobie, że wieczność – jak miłość – może być pierwsza, druga itd. (*Dusza w niebiosach*).

Jacek Trznadel w swej monografii nazywa *Goryla* stworem absurdalnym, natomiast Michał Głowiński pisze o całym wierszu jako utworze

¹⁵B. Leśmian, *Poezje zebrane*, Warszawa 1957, s. 201, 312.

groteskowym¹⁶. Stąd też – będąc zwolennikiem komiczności *Goryla* – wolę stracić z Trznadlem i Głowińskim niż zyskać poklask wraz z Markowskim, uciekając się do rozważań o obrazoburczej dykcji „religijnego” poety i dociekań z dyscypliny nihilologicznej.

4. Rządek Prządek

Kobiety-autorki – pisze Władysław Jabłonowski – „są to pracowite prządky banalnej rzeczywistości” (Krystyna Kłosińska¹⁷).

Autorki, do których teraz powracam, są Prządkami, ale nie tyle „banalnej rzeczywistości”, co raczej niekonwencjonalnej historii literatury (oczywiście, nie wszystkie w takim samym stopniu!). Wolno im jako uczonym tworzącym monografie (o zaletach i wadach kompozycyjnych tych tomów pisałem już) o wiele więcej niż Markowskiemu, piszącemu podręcznik akademicki. A jednak w oryginalności interpretacji czy mnieryczności stylu lub metodologii – chyba go jednak nie zdołały prześcignąć!

Najbliżej wyżyn niepowtarzalności analitycznej (zalecanej przez Markowskiego) stawiałbym książkę Matuszek. Autorka-polonistka, przystępując do kreślenia syntetycznego obrazu prozy Przybyszewskiego, zapomina się tak dalece, iż nie cytuje ani jednej rozprawy na temat języka autora *Zmierzchu*: od przytaczanych przez Teresę Skubalankę esejów Boya o dewaluacji słowa w pismach Przybyszewskiego (*Blaski i nędze mowy polskiej* zostały w roku 2006 przedrukowane w pięknym edytorsko tomie *W perspektywie czasu*) czy książki Zofii Goczółowej (*Składnia powieści Stanisława Przybyszewskiego*, Lublin 1975) – po samą syntezę Skubalanki (*Historyczna stylistyka języka polskiego. Przekroje*, Wrocław 1984). Jak w takim znakomitym towarzystwie śmiałym upominać się o moją niszową książeczkę *Muchomorzy i zimowity*, w której ujawniam wpływy prozy Przybyszewskiego na Berenta, a także Berenta na późnego Przybyszewskiego¹⁸.

Staje przede mną pytanie: jeśli nie wolno (?) poloniście pisać o języku literatów, to cóż mu pozostało do analizy? Chyba li tylko antropologia i objawy męskiego szowinizmu, które łatwo skarcić, „udowadniając”,

¹⁶J. Trznadel, *Twórczość Leśmiana. (Próba przekroju)*, Warszawa 1964, s. 256; M. Głowiński, *Zaświat przedstawiony. Szkice o poezji Bolesława Leśmiana*, Warszawa 1981, s. 263.

¹⁷K. Kłosińska, *Kobieta autorka*, „Teksty Drugie” 1995, nr 3/4, s. 97.

¹⁸J. Paszek: *Muchomorzy...*, dz. cyt., s. 99–115 (rozdz. *Bies jada Berenta*).

że Przybyszewski w gruncie rzeczy to przecharakteryzowana subtelna kobieta:

Przypadek Przybyszewskiego potwierdzałby tezę o powinowactwie kobiecości i modernizmu. Cechy „kobiecego pisania”, które wyszczególnia Virginia Woolf w eseju *Własny pokój* (1929), a które potwierdziły współczesne feministki (...), można przyporządkować utworom Przybyszewskiego. U polskiego pisarza dzieje się jeszcze coś więcej – rozluźnienie logicznego uporządkowania prowadzi do histeryczności stylu (GM, 394–395)

Tak więc histeryczność stylu danego pisarza mogą odkrywać feministki (z Woolf na czele), ale osady Boya (np. „Spiętrzy on [Przybyszewski] potem tyle przesady, tyle superlatywów, że nikt nie będzie mógł w końcu znieść tej HISTERII słowa, tego «tańca św. Wita»”¹⁹) się tu nie liczą...

Matuszek woli się odwoływać stale do zagranicznych autorytetów (Woolf a Boy). Gdy tłumaczy nam, o co chodziło z tą chucią i nagą duszą, nieodwołalnie uwspółcześnia rangę pisarza:

Przybyszewski wyczuwał (jak później surrealiści), że nerwice i psychozy stanowią najbardziej wyraziste ekspresje ukrytych szyfrów kultury, i kody te próbował złamać i zdemaskować – wiele lat wcześniej niż Foucault [czytaj: Foucault] poddał analizie podmiot „chory”, „szalony” i „erotyczny”. W utworach Przybyszewskiego można znaleźć kilka rewelacyjnych odkryć dezintegrujących mechanizmów, ekspresji zahamowanego i „chorego” libido, sublimacji i SUBWERSJI (paranoiczna idea pandestrukcji jest SUBWERSJĄ obsesji aktu defloracji, histeryczna nienawiść do społeczeństwa i jego wytworów rezultatem nieurzeczywistnionej idealnej miłości itp.) (GM, 371).

Zacytowałem dwa dłuższe fragmenty wywodów Matuszek, by przygotować czytelnika na potop (już nie potok!) neologizmów i okazjonalizmów semantycznych tejże autorki. Oto kilka z większego zbioru takich i podobnych potworów (Darwin lubił tę klasę stworzeń ewolucji i mutacji) polsko-obcych hybryd lub lekko spolszczonych barbaryzmów, mających odgrywać tu zapewne rolę *Goryla* z podręcznika Markowskiego. Lista jest niechronologiczna, acz smaczna:

ekskluz (GM, 277; w dalszym ciągu – same stronicie), antycierpienia (275), mitologeny (374 i 385 – może „mitologemy”?), blasfemie i demonofanie (389), anomiczne samobójstwa (389), libidinalne (391), archetreści (391),

¹⁹T. Boy-Żeleński, *W perspektywie czasu*, Warszawa 2006, s. 123.

treścioforma (391) miłość incestualna (393), egologiczny model podmiotowości (19), „fenotex” polsko-niemieckiego twórcy (20), kulturowy genotekst (20), nerwowa hipersensytywność (22), dar makrosyntetyzujący (33), własna prosygnatura (35), kakafonie niebieskie (37), hилоzoistyczny żywioł (47), histero-epilepsja (48), forma arche-rytuałów (48), hipnogenne narkotyki (52), satanizm jako zjawisko transreligijne i transmoralne (54), socjo-semiotyczna rama porozumienia z odbiorcą (57), legitymizacja antymimetyzmu i antyinstrumentalizmu (59), autopsychiczność (152), nazwać parergonem (...) paradygmatu (161: słowo „parerga” nie ma liczby pojedynczej w języku polskim), autor inskrybuje siebie w cudze teksty (162), hiperrozbudzenie (185), poetyckie psychobaśnie (197), apłciowy Mistrz (289).

Czy roztargnienie autorki spowodowało, że aż 3 razy powtarza myśl Jeana Baudrillarda, iż „kobieta jest niczym i w tym tkwi jej siła” (GM, 40, 381, 386)? Horrendalny jest byk w dacie urodzenia Przybyszewskiego: 1898 zamiast 1868 (GM, 135). Podoba mi się natomiast kalambur w końcowej części książki: *Postsumowanie – domknięcie i otwarcie* (GM, 367). Żeby nie być dłużnym: zważywszy na zalew słów i autorytetów obcych – może tytuł mojego tekstu też po dwóch inicjalnych sylabach powinien mieć dywiz?

Czabanowska-Wróbel i Popiel nie są konkurentkami dla Matuszek, gdyż nie śpią jak z rękawa swoimi własnymi neologizmami czy nie wypiekają na maśle erudycji semantycznych okazjonalizmów. Choć i u nich co nieco by się znalazło z tej łączki. Otóż Czabanowska-Wróbel w rozdziale o mistyce żydowskiej w dziele Leśmiana (chwalonym przez Markowskiego – MPM, 158) nie może oprzeć się pokusie „pobarbaryzowania” sobie (na wzór: pobaraszkowania sobie). Co prawda Leśmian w wierszu *Kabała* traktuje tytuł jako synonim wróżenia z kart, ale – jak sądzi autorka – powiązania z mistyką Kabały (tak pisze to słowo, ACW, 295) ujawniają się w wielu utworach poety. To nic, że jego związki z judaizmem „były słabe” (ACW, 296), ale jak tu nie skorzystać z przetłumaczonych na język polski dzieł Gershoma Scholema czy Rachel Elior – i nie epatować czytelnika takimi słówkami jak: *sztetł* (pisany kursywą – ACW, 298 – choć wyraz ten, obok formy *sztetl*, używany jest w polszczyźnie), *pardes* (ACW, 306), *luz* (= kość, ACW, 312), *Makom*, *tikkun* (ACW, 313), *cimcum* (ACW, 316), *nigun*, *gilgul* (ACW, 317).

Możliwe, iż Magdalenę Popiel przed popadnięciem w emulację z jej koleżankami uchroniła świadomość niezrozumiałstwa i niestaraności języka Wyspiańskiego: „Magia guseł i hasał zaciera semantyczną wyrazistość języka, w jakim przemawia romantyzm [w *Legionie*]; (...)

katarynkowe, często gramatyczne rymy, wyjątkowa, nawet jak na Wyspiańskiego, ilość językowych niezręczności i dziwołagów sprawiają, że przerysowanie jest tu [chodzi o *Legion*] tak daleko posunięte, iż przekształca się w niezamierzoną parodię” (MP, 56–57). Nie oznacza to wcale, że książka Popiel jest bezbłędna! Zdarzają się dziwne przeoczenia: badaczka Berenta zapomina, kto jest tłumaczem tomu *Tako rzecze Zaratustra*, nie pamięta też o Irzykowskiego batalii z „niezrozumialcami”; a czemu pisze coś „z dużej litery” (MP, 98) pani redaktor serii „Biblioteka Polska”, to już pozostanie słodką jej tajemnicą!

Przędki biegle przędą wzorzyste tkaniny, ale nie każdy obrządek Przędek jest religijny, święty – czy jak one by napisały – numinotyczny!

5. Perspektywy darwinizmu

Chamiejemy!

(całe kazanie ks. M. M.²⁰)

Walka o byt w dziedzinie nauki sprowadza się do znanego hasła: Publikuj albo giń! Nikt nie mógł przewidzieć, że w pogoni za laurami w rankingach dojdzie do tego, że niektórzy autorzy lawinowo zaczną produkować swoje książki (Markowski ponoć ma ich już 20!), nie czekając w ogóle na jakąkolwiek recepcję. Gwarantami jakości rzeczy publikowanych są firmy wydawnicze, które z jednej strony wymuszają na recenzentach wewnętrznych peany (w walce o dotacje i granty), a z drugiej – każdą książkę traktują jak towar szybko psujący się i po roku przeceniają bezlitośnie, nie omijając nawet *Polskiej literatury nowoczesnej!*

Uczeni od tego są uczonymi, by przystosować się do każdego warunków środowiska, w którym przyszło im walczyć o swą rolę i rangę. Doprowadzili do mistrzostwa rytuały mimikry i metamorfozy. Gdy dotowany jest podręcznik, to Markowski za wszelką cenę upchnie swoje „prywatne hierarchie” metodologiczne i ewaluacyjne w ramy tegoż wehikułu, a tylko nieliczni będą powątpiewać w „podręcznikowość” jego przedsięwzięcia²¹. Jeśli promuje się grantami monografię, to i zbiór różnotematycznych szkiców może udawać tę ponętą (rankingowo) odmianę gatunkową naukowego piśmiennictwa! Bo któż w erze postmodernizmu czy poststrukturalizmu: po pierwsze – cokolwiek czyta,

²⁰ J. T. Skotarczak, *Został księdzem, bo mu się księża nie podobali*, „W drodze” 2000, nr 7 (323).

²¹ J. Jakóbczyk, *Nowoczesny, ale czy podręcznik?*, „Nowa Poliszczyna”, Kraków 2008, nr 4, s. 55–57.

po drugie – czyta ze zrozumieniem, po trzecie – czyta krytycznie, dając w dodatku pisemną odprawę i ripostę głupstwu?!

Książka naukowa stała się towarem bezwstydnie reklamowanym, jak produkty popkultury! Okładka akademickiego podręcznika Markowskiego zalana jest hagiografią marketingową: „odkrywcze odczytanie”, „nowatorska propozycja historycznoliteracka” (?), „trzy odrębne monografie”, „fascynująca opowieść o przygodach nowoczesnych pojęć i słów” itp., itd. Takiego gatunku nawet Darwin by nie wymyślił, bo jest zbyt niebiański.

Jerzy Paszek

Lesser-Polish Monographs of Modernists. Post-structuralism in the Light of Darwinism

The author combines polemics and analysis in order to defend the tradition of thorough philological commentary and a philological monograph. As a representation of a phenomenon the author presents four volumes written by Jagiellonian University professors and published by the Universitas Publishing House between 2007 and 2009.

The author claims that scholars are meant to be able to adapt to every environmental circumstances in which they happened to struggle for their role and status. They have mastered the rituals of mimicry and metamorphosis.

The struggle to survive in the field of humanities boils down to the well known watchword: Publish or perish! The guarantor of the quality of publications are publishing houses, which, on the one hand, force the in-house reviewers to write paeans (in order to get grants and subsidies), and on the other hand – treat every book as a perishable good and discount it ruthlessly the next year.

**MATERIAŁY,
KOMENTARZE,
RECENZJE**

Marek Bernacki

Akademia Techniczno-Humanistyczna, Bielsko-Biała

„Oby moje dzieło przyniosło ludziom pożytek...”

[Czesław Miłosz. *Bibliografia druków zwartych*, oprac. Agnieszka Kosińska przy współpracy Jacka Błacha i Kamila Kasperka, Wydawnictwo Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego i Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską, oddział Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, Kraków–Warszawa 2009, ss. LXX + 816]

We fragmencie III wiersza *W Szetejniach*, który wszedł do tomu *Na brzegu rzeki* (1994), Czesław Miłosz zapisał znamienne słowa, które uznać można za najkrótszą syntezę przyrastającej przez ponad 70 lat, niczym słoje dorodnego dębu, jego własnej twórczości literackiej: „Wybiegłem o letnim świcie między głosy ptaków / i wróciłem, a **między chwilą i chwilą napisałem dzieło**¹.

Od wielu już lat miłośnicy i znawcy twórczości autora *Ocalenia* próbują zmierzyć się z fenomenem tego jedyne w swoim rodzaju, polifonicznego zarówno pod względem tematycznym jak i genologicznym, dzieła. Książki Jana Błońskiego, Aleksandra Fiuta, Jolanty Dudek, Jerzego Szymika, Marka Zaleskiego, Krisa van Heuckeloma, Kim Jastremski czy Elżbiety Kiślak, artykuły i eseje Mariana Stali, Ryszarda Nycza, Jerzego Jarzębskiego – by ograniczyć się do wyliczenia tylko najwybitniejszych przedstawicieli nieformalnego bractwa miłoszologów rozsianych w kraju i za granicą – odsłoniły niespotykaną różnorodność i bogactwo Miłoszowej poezji, prozy, eseistyki i publicystyki. To mierzenie się z „górami Miłosz” (wedle celnego określenia Jerzego Jarzębskiego) potrwa jeszcze przez wiele lat, a trud hermeneutycznego dociekania ukrytych w tym dziele tropów i sensów stanie się wyzwaniem dla następnej gene-

¹ Cz. Miłosz, *W Szetejniach*, [w:] tegoż, *Na brzegu rzeki*, Kraków 1994, s. 76 (podkreślenie moje – M. B.).

racji literaturoznawców. W dużej mierze to właśnie do nich skierowana jest książka *Czesław Miłosz. Bibliografia druków zwartych* przygotowana do druku przez Krakowską Akademię im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego i Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską. Ta monumentalna pozycja, będąca pierwszą na rynku wydawniczym pełną bibliografią na dodatek twórczości adnotowaną, obejmującą wszystkie publikacje książkowe (wydawnictwa samoistne) noblisty, a także najważniejsze opracowania naukowe i popularnonaukowe traktujące o jego dziele, powstała dzięki benedyktyńskiej pracy i zaangażowaniu Agnieszki Kosińskiej. Przez ostatnie osiem lat życia Czesława Miłosza była ona jego osobistą sekretarką i współpracowniczką, a obecnie, od chwili śmierci poety 14 sierpnia 2004 r., opiekuje się mieszkaniem i archiwum Czesława Miłosza przy ul. Bogusławskiego 6 oraz prawami autorskimi do jego twórczości. Już na wstępie tego omówienia należy zaznaczyć, że Agnieszka Kosińska, jako kierownik projektu „Międzynarodowa Bibliografia Czesława Miłosza”, zapowiada przygotowanie do druku w ciągu następnych kilku lat kolejnych tomów poświęconych bibliografii czasopiśmienniczej noblisty.

Omawiana przez nas publikacja, licząca niemal tysiąc stron druku, obejmuje następujące rozdziały i podrozdziały: I. *Kalendarz życia i twórczości Cz. Miłosza; Spis pierwszych wydań jego dzieł i Spis pierwszych wydań prac przekładowych, ważniejszych prac redakcyjnych i innych*. Właściwa część bibliograficzna składa się z następujących rozdziałów: II. *Twórczość poety*, III. *Prace przekładowe*, IV. *Prace redakcyjne*, V. *Korespondencja*, VI. *Rozmowy*, VII. *Wybory wierszy*, VIII. *Wybory esejów*, IX. *Wybory wierszy w językach obcych*, X. *Wybory esejów w językach obcych*, XI. *Edycje dzieł zebranych*, XII. *Teksty różne*, XIII. *Miscellanea*, XIV. *Opracowania*. Całość bibliograficzną wieńczy szkic wspomnieniowy nestorki polskich bibliografów prof. Jadwigi Czachowskiej pt. *Czesław Miłosz a bibliografia polska*. Zawartość publikacji (poza *Wstępem* i *Aneksem*) została w XVI. rozdziale zindeksowana, obejmując (na przeszło trzystu stronach!) trzy niezwykle użyteczne w pracy literaturoznawcy indeksy: tytułów utworów, nazw osobowych i tytułów czasopism.

Ze *Wstępu* Agnieszki Kosińskiej warto przytoczyć *in extenso* fragment ujmujący kwintesencję całego, opisywanego tutaj przedsięwzięcia:

Bibliografia obejmuje wszystkie wydania książek Miłosza, od debiutu poetyckiego w 1930 roku do 2008 roku włącznie: pierwsze wydania, następne, wydania drugoobiegowe (poza cenzurą) oraz tłumaczenia na języki obce. Jako równorzędne wydawnictwa traktujemy druki przygotowane i wydane przez Miłosza w jednym egzemplarzu. Na przykład: *Świat, poema natwne* czy *Wiersze pół-perskie*. Podstawową,

numerowaną jednostką opisu jest każde wydanie samoistne (książka, druk zwarty)².

Niezwykle cennym elementem opisu bibliograficznego większości druków jest „spis zawartości” omawianej pozycji wydawniczej, który

oddaje rzeczowy układ opisywanego druku i obejmuje: motta, wstępy, przedmowy, noty, poszczególne części utworu właściwego, uwzględniając ich dalszy podział na rozdziały oraz podrozdziały, a w ich obrębie integralne całości (np. w eseju wiersz, jeśli przytoczony w całości), posłowania, noty edytorskie, spisy treści.

Jak cenna jest to pomoc dla osób zajmujących się profesjonalnie twórczością Czesława Miłosza – nikomu chyba nie trzeba tłumaczyć!

Przejdziemy teraz do, z konieczności wybiórczego, opisu poszczególnych części *Bibliografii*, koncentrując się na rzeczach mniej znanych, które mogą stanowić zachętę do pogłębienia albo weryfikacji wiedzy na temat dzieła noblisty. W *Kalendarzu życia i twórczości*, pod datą „2007” odnajdujemy informację, że w czerwcu tego roku Ambasada USA w Polsce, za zgodą rodziny Czesława Miłosza, ustanowiła Nagrodę jego imienia, przyznawaną za umacnianie porozumienia między USA a Polską. Laureatami tej prestiżowej nagrody zostali dotychczas: Andrzej Wajda, Adam Zagajewski i Julia Hartwig. Już tylko pobieżny ogląd *Spisu pierwszych wydań prac przekładowych Czesława Miłosza, ważniejszych prac redakcyjnych i innych* pokazuje noblistę jako prawdziwego gospodarza polskiej poezji i jej ambasadora w świecie. Jak wiadomo, w 1965 roku Miłosz wydał w Nowym Jorku jedną z najbardziej znanych za granicą antologii polskiej poezji współczesnej *Postwar Polish Poetry*. Zawiera ona wybrane utwory 21 polskich poetów (w tym także samego Miłosza). Wybór wierszy (tłumaczonych przy wsparciu zaprzyjaźnionych translatorów anglojęzycznych) poprzedzają krótkie biografie i charakterystyki pisarzy występujących w antologii. Warto przypomnieć, że aż do otrzymania literackiej Nagrody Nobla w 1980 r. Miłosz znany był w Ameryce przede wszystkim jako tłumacz poezji polskiej, a nie jako jeden z jej najwybitniejszych przedstawicieli! Wspomniana antologia nie wyczerpała bynajmniej pasji autora do prezentowania i komentowania dokonań najlepszych polskich poetów. W kolejnych latach Miłosz przetłumaczył na język angielski osobne wybory wierszy: Zbigniewa Herberta (w 1968), Aleksandra Wata (1977 i 1998), Anny Swir [Świrszczyńskiej] (1985 i 1996). Do tego dodać jeszcze należy książki poświęcone klasykom polskiej poezji: Adamowi Mickiewiczowi (*Ballady i romanse*), Juliuszowi Słowackiemu (*Godzina myśli*), Jarosławowi Iwaszkiewiczowi (*Noc w polu*) oraz Julianowi Tuwimowi (*Bal w operze*), które ukazały się w latach 1999–2004 nakładem kra-

² Czesław Miłosz. *Bibliografia druków zwartych*, oprac. Agnieszka Kosińska przy współpracy Jacka Błacha i Kamila Kasperka, Kraków–Warszawa 2009, s. XII.

kowskiego Wydawnictwa Literackiego jako kolejne części serii „Lekcja literatury z Czesławem Miłoszem”.

W opracowanym w najmniejszych detalach i kluczowym dla *Bibliografii* rozdziale *Twórczość* odnajdujemy kilka ciekawostek. W roku 1980, z okazji przyznania Miłoszowi Nagrody Nobla, Warszawski Oddział Towarzystwa Przyjaciół Książki wydał bibliofilski druk dwóch debiutanczkich wierszy poety: *Podróż*; *Kompozycja* (przypomnijmy, oba wiersze ukazały się po raz pierwszy na łamach pisma „Alma Mater Vilnensis” 1930, z. 9). Dzięki uważnej lekturze opisu bibliograficznego dwóch innych pozycji: *Wierszy* Jana Syrucia (pseudonim literacki Miłosza obrany na cześć pradziadka ze strony matki, Szymona Syrucia) oraz *Legend nowoczesności* – uświadamiamy sobie, jak bardzo autor *Ocalenia* angażował się w konspiracyjne życie kulturalne okupowanej Warszawy. *Wiersze* ukazały się w nakładzie 46 egzemplarzy i były pierwszym w stolicy konspiracyjnym tomem poezji. Druga z wymienionych książek, wydana drukiem dopiero w 1996 r., obejmuje eseje i korespondencję Miłosza z lat 1942–1943. Większość tekstów czytana była przez Autora podczas podziemnych zebrań dyskusyjnych. Swoje eseje Miłosz odsprzedał Zbigniewowi Mitznerowi 14 sierpnia 1943 r. z myślą o wydaniu ich zaraz po wojnie (do czego nie doszło). Warto w tym miejscu przypomnieć, że innym ważnym drukiem konspiracyjnym przygotowanym przez Miłosza (tym razem pod pseudonimem ks. Jan Robak) był tom wierszy *Pieśń niepodległa. Poezja polska czasu wojny* (1942). Obejmował wiersze krążące wówczas w odpisach w okupowanej Warszawie i czytane na potajemnych spotkaniach. W tomie znalazł się m.in. fragment *Kwiatów polskich* Juliana Tuwima – pozyskany przez Miłosza od pani Wańkowiczowej (część poematu dygresyjnego autor przesłał adresatce w anonimowej paczce nadanej w Portugalii). Z okresu okupacyjnego odnotować warto jeszcze trzy ciekawostki opisane w rozdziale *Miscellanea* pod numerami: [915] i [917] i [924]. Pierwsza rzecz dotyczy prawdziwej rzadkości – krótkiej kompozycji dramatycznej pt. *Prolog*, napisanej – jak czytamy „pod pseudonimem Jan Syruc” na zamówienie konspiracyjnej Rady Teatralnej. Utwór miał otwierać po wojnie działalność Teatru Narodowego i poprzedzać *Akropolis* Stanisława Wyspiańskiego (w inscenizacji Leona Schillera, ze scenografią Andrzeja Pronaszki). Bohaterem utworu jest Warszawa w dniu ogłoszenia końca wojny”. Zaginiony podczas powstania tekst odnalazł i ogłosił drukiem w 1981 r. na łamach „Pamiętnika Teatralnego” Tadeusz Byrski, przyjaciel Miłosza jeszcze z lat międzywojennych; 23 listopada 1997 r. *Prolog* został wyemitowany na falach Programu Pierwszego Polskiego Radia (w głównych rolach wystąpili Mariusz Bonaszewski, Zbigniew Zapasiewicz i Teresa Budzisz-Krzyżanowska). Rzecz następną jest równie oryginalna i unikatowa. Otóż wiosną 1945 roku Czesław Miłosz i Jerzy Andrzejewski, na podstawie rozmów przeprowadzonych ze znanym pianistą Władysławem Szpilmanem, który od 1943 do 1945 r. ukrywał się

w ruinach Warszawy, napisali nowelę filmową zatytułowaną *Robinson warszawski*. Zakupione przez państwową firmę Film Polski dzieło zostało całkowicie przerobione i wykorzystane w filmie *Miasto nieujarzmione* w reżyserii Jerzego Zarzyckiego (1950). Ze względu na zbyt daleko idące zmiany autorzy byli zmuszeni do wycofania swoich nazwisk z czołówki. I w końcu rzecz trzecia, czyli wspomniane już wcześniej *Wiersze pół-perskie*, które ukazały się w 2001 r. (z dołączoną płytą CD) w Wydawnictwie Znak. Tomik ten zawiera faksymile dziesięciu utworów, przepisanych odręcznie przez Autora. Został on opracowany graficznie przez autora w jednym tylko egzemplarzu w Goszycach pod Krakowem (w majątku państwa Turowiczów, którzy udzielili poecie i jego żonie Jance gościny w burzliwym 1945 roku). Tomik dedykowany był Jerzemu Turowiczowi (z dowcipnym określeniem: „członkowi Bratniej Pomocy Słoniów Europejskich”). To niezwykle wydanie, wraz z nagraniami wierszy Miłosza na taśmie, odnaleziono po śmierci adresata zbioru w jego prywatnym archiwum.

Pod numerem [13] opisano w *Bibliografii* podobny unikatowy tom wierszy – napisany w kwietniu 1943 r. cykl *Świat, poema naiwne*, sporządzony własnoręcznie przez Miłosza w jednym egzemplarzu, z podpisem na okładce: „napisał B.B. Kózka”. Tomik ten, sprzedany przez Autora Zbigniewowi Mitznerowi, znajduje się obecnie w warszawskim Muzeum Literatury. W roku 1999 krakowskie Wydawnictwo Literackie wypuściło na rynek księgarski faksymile wydania pierwszego z dołączonym referatem Helen Vendler *Świat już doskonały* (w tłumaczeniu na język polski Michała Rusinka). W opisie bibliograficznym pierwszego wydania powojennego tomu *Ocalenie* (z 1945 r.) znajdujemy informację o tym, że korektę książki wykonał Jerzy Turowicz (za co Miłosz dziękował mu w liście wysłanym z placówki dyplomatycznej w Ameryce) oraz, że po decyzji pozostania autora na emigracji w 1951 r., tom ten został wycofany z bibliotek publicznych i szkolnych, a jego liczne egzemplarze trafiły wówczas do prywatnych księgozbiorów i zaczęły krążyć w odpisach. Ważną informację przynosi także opis pozycji ujętej pod numerem [33] zatytułowanej *Wielkie pokuszenie; Bieliński i jednorożec*. Dwa teksty, które składają się na to unikatowe wydanie (Toruń, Archiwum Emigracji Uniwersytetu Mikołaja Kopernika 2002), wydobyte na światło dzienne przez Mirosława A. Supruniuka, kierownika Archiwum Emigracji w Toruniu, powstały w Paryżu (odpowiednio: na początku 1951 r. i w 1955 r.) w języku francuskim. Pierwszy z nich stanowił preludium do napisanego w 1953 r. *Zniewolonego umysłu!* Tekst drugi odczytany został przez Miłosza podczas Kongresu Wolności Kultury zorganizowanego we wrześniu 1955 r. w Mediolanie, był później tłumaczony na kilka języków europejskich. Aż dziesięć stron zajmuje opis bibliograficzny wszystkich odnotowanych wydań (także drugoobiegowych) *Zniewolonego umysłu* – eseju politycznego, który – trochę wbrew samemu autorowi – przyniósł mu

rozgłos i etykietkę pisarza politycznego (czego sam Miłosz nie akceptował – dopiero napisanie *Doliny Issy* w 1955 r. stanowiło dla niego, jak wiadomo, powrót do poetyckiej weny i jako takiej równowagi duchowej). Warto odnotować, że *Zniewolony umysł* doczekał się tłumaczenia aż na 27 języków, co autorzy *Bibliografii* skrupulatnie odnotowują. W opisie pierwszego wydania *Zdobycia władzy* („Biblioteka Kultury”, Paryż 1955) odnajdujemy ciekawą informację o tym, jak egzemplarze tej powieści próbowano przemycać do kraju:

część egzemplarzy, dla ułatwienia przemycenia do Polski, opatrzono fikcyjną kartą tytułową i adresem wydawnictwa: „Zygmunt Kornaga: *Wyzwolenie*, Paryż: Stowarzyszenie Budowniczych Polski Ludowej im. Wandy Wasilewskiej. Sekcja Paryż 1955”.

Co więcej, na okładce umieszczono reprodukcję rysunku Daniela Mroza przedstawiającego radzieckiego krasnoarmiejca z pepeszą wraz z notą mówiącą o wdzięczności Polaków za wyzwolenie spod okupacji faszystowskiej. Także ten utwór Miłosza doczekał się licznych tłumaczeń (na 17 języków, w tym te zupełnie egzotyczne, jak: gudżarati, marathi i telugu). Ponieważ pobieżne choćby omówienie wszystkich ciekawostek i „odkryć” dotyczących poszczególnych dzieł Miłosza opisanych w tej części *Bibliografii* jest niemożliwe, ograniczymy się jeszcze do jednej wybranej pozycji. Chodzi o felietony dyktowane przez Miłosza niedługo przed śmiercią Agnieszce Kosińskiej, które publikowane były najpierw regularnie na łamach „Tygodnika Powszechnego” (od czerwca 2003 do czerwca 2004), a następnie ukazały się w wydaniu książkowym pt. *Spiżarnia literacka*. Dowiadujemy się, że roboczy tytuł tego zbioru brzmiał *Przypomnienia*, jednak został zmieniony przez Miłosza w dniu 3 kwietnia 2003 r. oraz, że z powodu terminu oddania książki do druku (na 93. urodziny poety) nie zamieszczono w niej 7 felietonów znajdujących się w cyklu publikowanym uprzednio w „Tygodniku”.

Lektura rozdziału *Prace przekładowe* przypomina, że w latach 50. Czesław Miłosz koncentrował się przede wszystkim na tłumaczeniu tekstów klasyków XX-wiecznej myśli politycznej i filozoficznej, przyswajając polszczyźnie dzieła Raymonda Arona (*Koniec wieku ideologii*, Paryż 1956), Jeanne Hersch (*Polityka i rzeczywistość*, Paryż 1957), Daniela Bella (*Praca i jej gorycze...*, Paryż 1957) oraz Simone Weil (*Wybór pism*, Paryż 1958). Miłosz był w tym czasie także tłumaczem i redaktorem tomu *Kultura masowa* (Paryż, 1959), stanowiącym autorski wybór z antologii *Mass culture, the popular arts In America*. Dopiero lata 60. XX w., kiedy przyszły noblista złapał w Ameryce oddech wolności i rytm twórczy, obfitowały (o czym pisaliśmy wcześniej) w liczne przekłady poezji polskich poetów na język angielski.

Pożytecznym zajęciem jest przestudiowanie zebranych w rozdziale *Wybory wierszy* kolejnych edycji *Wierszy wybranych* autora *Ocalenia* – od

pierwszego emigracyjnego wydania londyńskiego w 1967 r. (*Wiersze*, Londyn: Oficyna Poetów i Malarzy) po liczne wybory krajowe wydawane już po 1989 r., kiedy twórczość Miłosza wróciła pod krajowe strzechy. Ważna informacja pojawia się w rozdziale *Wybory wierszy w językach obcych* – dowiadujemy się, że poezja polskiego noblisty została przetłumaczona aż na 22 języki światowe (w tym na hebrajski, hindi, kataloński czy węgierski). Uzupełnieniem tego rozdziału jest następny, zatytułowany *Edycje dzieł zebranych*, w którym odnotowano trzy wielkie próby przyswojenia czytelnikom pełnego wymiaru dzieła Czesława Miłosza. Pierwsza paryska edycja (z lat 1981–1985) obejmowała 12 osobnych pozycji (w tym 3 tomy *Poezji*); w skromniejszej edycji krajowej (z lat 1984–1989) Wydawnictwa Literackiego udało się wydać zaledwie trzy tomy (*Wiersze*, *Dolinę Issy* oraz *Widzenia nad Zatoką San Francisco*). Najbardziej imponującym przedsięwzięciem jest (kontynuowane po dziś dzień) wydanie wspólne Wydawnictwa Znak i Wydawnictwa Literackiego, któremu od początku (tj. od 1999 r.) patronował komitet naukowy w składzie: Jan Błoński, Aleksander Fiut i Marian Stala. Autorzy *Bibliografii* odnotowują i skrupulatnie opisują 26 tomów tej edycji. Z rozdziału *Miscellanea*, który spenetrowaliśmy już wcześniej, odnotujemy unikatową pozycję opisaną pod numerem [929]. Wydanie trójjęzyczne (polskie, litewskie i niemieckie) pt. *Rozmowy o przyszłości pamięci* stanowi udokumentowanie pobytu w Wilnie trzech noblistów Günthera Grassa, Czesława Miłosza i Wisławy Szymborskiej w dniach 1–4 października 2000 r.

W ostatnim rozdziale właściwej *Bibliografii* zebrano i opisano najważniejsze opracowania: autokomentarze, rozmowy, monografie, biografie, zbiory szkiców, a także wybrane „studia poszczególnych zagadnień”. Znalazł się tu także spis (obejmujący 21 tytułów) numerów monograficznych pism poświęconych twórczości i życiu Miłosza – od amerykańskiego numeru „World Literature Today” z 1978 r. po bielski półrocznik naukowy „Świat i Słowo” nr 1(6) z 2006 r. pt. *Czytanie Miłosza* pod red. Anny Węgrzyniak i niżej podpisanego. Ten ostatni rozdział dopełniają jeszcze spisy wspomnień, albumów oraz filmów dokumentalnych i reportaży – od zrealizowanego w 1980 r. przez Wiktora Mellerera i Andrzeja Miłosza (brata poety) dokumentu *Być poetą* po wyemitowany w TVP w roku 2004 pożegnalny film pt. *Czesław Miłosz, In memoriam* w reż. Aleksandry Czerneckiej.

Niezwykle cennym uzupełnieniem podstawowej części bibliograficznej są dwa indeksy, obejmujące łącznie prawie trzysta stron! Dzięki nim czytelnik szybko i sprawnie może odnaleźć interesujący go tytuł czy nazwisko. Jako ciekawostkę warto odnotować, że na początku *Indeksu nazw osobowych* (obejmującego także nazwy osobowe występujące w tytułach utworów) autorzy zestawili listę 28 pseudonimów i inicjałów używanych w różnych okresach twórczości przez Czesława Miłosza. Obok powszechnie znanych (Jan Syruć, ks. Jan Robak, B. B. Kózka, C. M. czy

Adrian Zieliński) odnotowano także te mniej lub prawie w ogóle nie znane, jak np. Aron Primas, milcz., N. czy Stefan Kunce).

Osobną rolę pełni w omawianej przez nas księdze rozdział zatytułowany *Czesław Miłosz a bibliografia polska. Relacja o dziejach hasła w „Słowniku współczesnych pisarzy polskich”*, umieszczony między właściwą częścią bibliograficzną a indeksami. Jego autorka, Jadwiga Czachowska, która wspierała swoim doświadczeniem autorów *Bibliografii*, pisze w nim o perypetiach związanych z opracowaniem hasła Miłosza w ww. słowniku. Dowiadujemy się m.in. o tym, że wysłaną na początku 1951 r. na warszawski adres pisarza ankietę osobową wypełnił nie Czesław, ale Andrzej Miłosz, młodszy brat poety (Czesław znajdował się wówczas w Paryżu, podejmując życiową decyzję o pozostaniu na emigracji, o czym nie mogli wiedzieć redaktorzy słownika!). Ponieważ styl pisma nie budził zastrzeżeń, ankietą została zarejestrowana w IBL pod datą 15 luty 1951. Cała sprawa wyszła na jaw dopiero po 44 latach, kiedy Czachowska wróciła do hasła Miłosza przy ponownym jego opracowywaniu dla potrzeb słownika biobibliograficznego *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury* (notabene, hasło Miłosza zajmuje tam aż 40 stron!). Dopiero wtedy zwróciła uwagę na – jak pisze „niezrozumiałe omyłki i pominięcia w informacjach dotyczących dorobku twórczego pisarza”. Błędnie podane zostały m.in. daty wydania dwóch pierwszych przedwojennych tomików wierszy Miłosza: *Poematu o czasie zastępnym* – w kwestionariuszu z 1951 roku widnieje data 1934 zamiast 1933, i *Trzech zim* – wpisano 1938, a nie 1936 rok.

W zacytowanym na początku tego omówienia wierszu *W Szetejniach* Czesław Miłosz napisał: „Teraz myślę, że **dzieło** jest zamiast szczęścia i że zostaje / skażone litością i grozą”, a nieco dalej dywagował: „Oby moje **dzieło** przyniosło ludziom pożytek i więcej / ważyło niż moje zło”. Studiując monumentalny tom *Bibliografii druków zwartych* Czesława Miłosza, przygotowany profesjonalnie dzięki benedyktyńskiej pracy włożonej przez mały zespół kierowany przez Agnieszkę Kosińską, czytelnik dojść musi niechybnie do wniosku, że obawy Poety były płonne. Z całą bowiem odpowiedzialnością rzecz można, iż pogłębiona, uwzględniająca wielość kontekstów lektura tytanicznego Miłoszowego dzieła, ułatwiona teraz stokrotnie dzięki omawianej publikacji bibliograficznej, będzie pożyteczna dla kolejnych pokoleń badaczy. Piszący te słowa nie ma cienia wątpliwości, że kolejne zastępy miłoszologów oddadzą się temu zadaniu z pasją, odnajdując w nim zarówno coś ze szlachetnej misji interpretowania i komentowania „nieobjętej” twórczości klasyka, jak i bardzo osobistą przygodę odsłaniania nieznanych egzystencjalnych horyzontów, w której Miłosz będzie ich mistrzem i przewodnikiem.

Anna Jaworska

Akademia Techniczno-Humanistyczna, Bielsko-Biała

[„*We mnie jest płomień, który myśli*” – glosy do Herberta (w 10. rocznicę śmierci Poety), pod red. Marka Bernackiego, Bielsko-Biała 2009]

Literatura to trudna sztuka wydobywania sensów z otchłani tekstu. Jeśli przyjmijemy założenie, że również świat jest tekstem, to musimy poczynić refleksję, iż zgodnie z tym rozumowaniem, każdy tekst będzie stanowić miejsce nieustannych poszukiwań sposobu istnienia w świecie, odkrywania samego siebie w dziele Drugiego. Twórczość Zbigniewa Herberta nieustannie otwiera przed nami nowe horyzonty poznawcze. Świadczyć może o tym choćby niedawno wydana praca zbiorowa stanowiąca pokłosie panelu dyskusyjnego, który miał miejsce 26.02.2008 r. na deskach Małej Sceny Teatru Polskiego. Wówczas doszło do spotkania wielu wybitnych osobistości: literaturoznawców, kulturoznawców, aktorów, którzy postanowili po raz kolejny zmierzyć się z niełatwym w odbiorze dziedzictwem kulturowym autora *Pana Cogito*. Książka zajmuje niewątpliwie wysoką pozycję wśród prac badaczy, należących do kręgu tzw. „herbertologów”.

Nieprzypadkowo redaktor Marek Bernacki opatrzył publikację cytatem z wiersza *Napis*, pochodzącego z tomu *Struna światła*. „*We mnie jest płomień, który myśli*” – bo o to zdanie tutaj chodzi – stanowi być może jedną z trafniejszych formuł, określających specyfikę natury twórczej Zbigniewa Herberta. Ta bowiem skoncentrowana jest na poetyckim dotyku tego, co głęboko ludzkie, arcyłudzkie (Nietzsche). Płomień – synekdocha ognia, funkcjonuje w tradycji europejskiej jako symbol obciążony niejednokrotnie wieloma wzajemnie znoszącymi się sensami. Płomień odnosi się jednocześnie do tego, co przynależne sferze intelektualnej, duchowej człowieka, jak i do tego, co w nim zmysłowe, namacalne, cielesne. W geście artystycznej kreacji pierwiastki z obu sfer przeniesione zostają w przestrzeń dzieła literackiego. Płomień to także znak rozpięty między

sacrum a *profanum*, a zatem możemy go definiować także jako swoiste centrum egzystencjalne człowieka, przechowujące „prawdę bycia” (Heidegger). Herbert zdaje się więc podążać za imperatywem francuskiego filozofa hermeneuty, Paula Ricoeura „Niechaj byt się myśli we mnie”¹.

Nie sposób omówić wszystkich artykułów – nie pozwala na to ograniczona objętościowo forma wypowiedzi. Ograniczę się więc do zasygnalizowania i omówienia tylko niektórych prac, przy czym nie chciałabym w żadnym wypadku umniejszyć rangi pozostałych.

Już sama struktura książki wskazuje na zawartość problemową zebranych prac. Prezentowany tom został podzielony zasadniczo na dwie części: Pierwsza część – *Akademickie glosy do Herberta* – obejmuje zbiór artykułów, szkiców i esejów oraz analizy i interpretacje wybranych utworów Zbigniewa Herberta. Druga natomiast zawiera teksty zorientowane na szkolną recepcję autora *Pana od przyrody*. Od razu pozwolę sobie zaznaczyć, że prezentacja poszczególnych tekstów nie ma ukierunkowania linearnego.

Rozpoczę od szkicu otwierającego wspomnianą wyżej publikację. W artykule *Zbigniew Herbert w kręgach tradycji* Jacek Łukasiewicz-Petelenz dąży do opisu możliwie całościowego wizerunku twórczego wspomnianego w tytule pisarza. Autor artykułu sytuuje twórczość Herberta w trzech konstytutywnych „kręgach tradycji”: pokolenia rocznik 1920, poezji światowej oraz poezji polskiej. Wskazuje także na zażyłą relację, łączącą Herberta z filozofem Henrykiem Elzenbergiem. Tę linię biograficzną kontynuują kolejno w swoich publikacjach Agata Rydz, Wojciech Kudyba, Marek Rembierz czy wreszcie Dorota Sieroń-Galusek, która w całości poświęciła swój szkic korespondencjom Herberta z „Mistrzem” Elzenbergiem.

Powyższe rozpoznania są bardzo ważne, zaświadczać bowiem o nierozzerwalnych więziach ukształtowanych już na początku rozwijania się drogi twórczej Herberta oraz ich silnym wpływie na późniejszą świadomość kreacyjną autora *Struny światła*. Dzieje się tak między innymi dlatego, że pomiędzy przeszłością a teraźniejszością istnieje pewna „niewspółobecność” (Bachtin) obarczona większym chłodem i dystansem. Stąd też u Herberta tendencja do twórczego czerpania z rezerwuaru tradycji i przekształcania jej w odmienne jakości oraz skłonność do mitologicznych przewartościowań.

Warto zwrócić uwagę na esej Stanisława Gębali – *W środku życia czy „U wrót doliny”?* (Różewicz – Herbert), który poszerza tę kwestię o relację z Tadeuszem Różewiczem. Gębala z właściwą sobie erudycją oraz lekkością stylu, uwolnioną od „wysokiej”, obciążonej nadmiarem naukowego idiolektu tonacji, dokonuje porównania utworu Herberta *U wrót doliny* oraz wiersza Różewicza *W środku życia*. I mimo, iż – jak konkluduje S. Gę-

¹M. Philibert, *Ricoeur, czyli wolność na miarę nadziei*, Kraków 1998, s. 98.

bala – oba teksty ustawiają się wobec siebie polemicznie, to jednocześnie autor artykułu dąży do sformułowania uniwersalnych uogólnień wyłaniających się z uważnej lektury obu wierszy w wymiarze egzystencjalnym oraz eschatologicznym.

Równie ciekawe są szkice księdza Jerzego Szymika oraz księdza Leszka Łysienia. Pogłębiają one bowiem rozumienie tekstów autora *Brewiarzy* o perspektywę teologalną. Ksiądz Szymik umieszcza poezję Herberta w wymiarze personalistycznym. Jak rozumieć tę – zdawałoby się – dość ryzykowną hipotezę? Jerzy Szymik ostatecznie definiuje ją jako ideę, opowiadającą się „po stronie człowieka a przeciw nicości”. W stronę człowieka skłania się również filozoficzna analiza i interpretacja „ludzkiej rzeczywistości, znajdującej się nieustannie *in statu nascendi*”, wraz z jedną z najważniejszych konstatacji o samostanowieniu siebie oraz poszukiwaniu własnej tożsamości za sprawą literatury, wynurzająca się z tekstu księdza Leszka Łysienia. „Współ-mysząc”, współ-wędrując” z Herbertem filozof dochodzi do uznania (za poetą) szczególnej, ożywiającej roli słowa poetyckiego. Powtórzmy za poetą: „Świat jest bowiem szary i niewidomy, trzeba go dotknąć poezją, wtedy ożywa”. W tym miejscu chciałabym poczynić dygresję dotyczącą szczególnej formy edytorskiej tego tomu. Utrzymana w monochromatycznej tonacji okładka (przewaga szarości) sugeruje określony sens. Szarość dana w wymiarze dnia codziennego, namaszczone artystycznym gestem podkreśla trwanie (słowa poetyckiego, pamięć o Herbercie jako człowieku i twórcy), a także w wymiarze literackim – oznacza stałą dążność autora *Pana Cogito* do tworzenia własnych jakości na poziomie odcieni (znaczeniowych) czy też etyki kulturalnej. Przy czym wychodzi tutaj pisarz poza uproszczoną relację albo-albo, dobro-zło, sacrum-profanum, życie-śmierć. Definicję kultury przejmuje on za Mistrzem Elzenbergiem: „Kultura jako proces to przekształcanie człowieka, a przez niego i świata, w kierunku coraz większej wartości”².

Zdecydowanie wartym przeczytania jest szkic Mirosława Dzieńcia *Z Herberta „Kamyk” (jedenaście ułomków myśli)*. Tekst ten zaciekawia nie tylko interesującą formą wypowiedzi (jedenaście sekwencji – „ułomków” myśli) przejawiającą tendencję do poszukiwania „formy bardziej pojemnej” (Miłosz), jedynej zdolnej pomieścić w sobie jak najwięcej „kamiennego sensu”. Rozważania M. Dzieńcia są niczym innym, jak filozoficzną medytacją nad bolesnym zderzeniem doskonałości bytu kamyka z niedoskonałością ontologiczną człowieka.

Nie mogłabym także nie odnotować publikacji Anny Węgrzyniak, która z charakterystyczną dla siebie erudycyjnością, celnością „sądów postrzeżeniowych” (M. M. Ponty), w finezyjnym stylu, przełamującym subtelną ironią, analizuje wieloaspektowość *Potwora Pana Cogito*, zesta-

²H. Elzenberg, *Kłopot z istnieniem*, Warszawa 2002, s. 245.

wiając go z różnymi wizerunkami św. Jerzego, jednocześnie pogłębiając swoje rozważania o próbę zdiagnozowania epoki (po)nowoczesności, niewyartykułowanego wprost świata chaosu oraz relatywizacji wartości.

Inspirującym, bo otwartym na nowe wykładnie (teatrologiczne) jest też wyjątkowy szkic Ewy Szkuclarek *Ukryte lęki w dramacie „Druzi pokój” Zbigniewa Herberta*.

Autorka formułuje konstatację o nieuchronności ludzkiej śmierci oraz śmierci jako takiej, co może zabrzmieć truistycznie, gdyby nie fakt, iż łączy się ona z inną ważną konkluzją ustanowioną po lekturze dramatu Herberta: Język – by posłużyć się terminologią Heideggerowską – nie stanowi już domostwa, ochraniającego istotę bytu, nic już bowiem nie wyraża, zostaje na zawsze oderwany od rzeczy, do których ma odsyłać, tym samym unicestwiając je. Stąd też wszystkie lęki ukryte w dramacie wyartykułowane zostają na poziomie wokalicznym. Ciska staje się tutaj desygnatem śmierci. Autorka osadzając twórczość dramatyczną w kontekście teatrologicznym (Ionesco, Beckett) oraz filozoficznym, kreśli ostateczny wniosek o nieuchronnej przemianie w „To, co za ścianą”, będącej wyrazem „zminiaturyzowanej apokaliptycznej wizji ludzkości”.

Uwzględnienie w tomie tekstów dramatycznych, a także eseistycznych (na nich skupili swoją uwagę głównie Daria Urbańska oraz Michał Kopczyk), unaocznia jedynie fakt niezmiernego bogactwa form gatunkowych, w jakich przejawiała się twórczość artystyczna Z. Herberta. Analizując eseistykę, pochodzącą głównie z tomu *Martwa natura z wędzidłem*, Urbańska podkreśla bardziej indywidualistyczne nastawienie podmiotu autorskiego do otaczającej go rzeczywistości, w tym większą subiektywność, sensualność obrazowania – innymi słowy – „zmysłowe” postrzeganie świata. To, co stanowi pewnego rodzaju *novum* w wykładni interpretacyjnej D. Urbańskiej, to osadzenie twórczości apokryficznej w kontekście *Powszechnej historii nikczemności* J. L. Borgesa.

Tekstem zamykającym pierwszą część książki jest wnikliwie i skrupulatnie przedstawiona swoistego rodzaju historia recepcji spuścizny literackiej Zbigniewa Herberta, stale obecnego w bułgarskim życiu kulturalnym. To osobliwe studium, którego podjęła się wybitna literaturoznawczyni, tłumaczka tekstów Witkacego na język bułgarski – Kalina Bahneva, mieści w sobie rzetelną analizę trzech prymarnych książek tłumaczy autora tomu *Struny światła*: Nikołaja Kynczewa, Wery Dejanowej oraz Dimitriny Lau-Bukowskiej. Literaturoznawczyni zaznacza, że podstawowym zadaniem tłumacza jest – jak sugeruje tytuł artykułu – ocalenie obrazów, czyli podjęcie takich strategii pisarskich (formalnych i jakościowych), które zachowają wspólne tak dla polskiej, jak i bułgarskiej tradycji sensy wyłaniające się z poetyckich wizji, a także dążą do „syntezy »globalnych« nastawień duchowych”, a które w dużej mierze przyczyniają się do osiągnięcia sukcesu translatorskiego.

Druga część książki zawiera pięć tekstów poświęconych szkolnej recepcji twórczości Herberta. Stanowią przede wszystkim omówienie programowych, jak i „nadprogramowych” utworów Herberta. W tym miejscu należy wyróżnić pracę Ewy Szymanek-Płaskiej, komentującej utwór *Pan Cogito o nocie* czy też Cecylii Dunat, proponującej nieszablonową interpretację wiersza *Modlitwa Pana Cogito – podróżnika*. Wnikliwej analizy przedmiotowej, dotyczącej miejsca dla twórczości autora *Pana od przyrody* w trzech seriach podręczników przyjętych do nauczania w liceum ogólnokształcącym oraz profilowanym wydanych w okolicach 2004 roku, podjęła się Anna Stemka. Znajdując się obecnie w sytuacji „pluralizmu podręcznikowego” wymusza na nauczycielu – jak pisze badaczka – dokonanie wyboru, dostosowując go do możliwości intelektualnych swoich uczniów.

Żyjemy w epoce późnej nowoczesności/ponowoczesności, u podstaw której tkwi nieustannie aktualizująca się dialektyka stwarzania i rozpadu, obejmująca wszystkie obszary życia społecznego, również instytucję szkolnictwa. Unicestwienie, usuwanie istotnych dla polskiej świadomości kulturalnej pozycji, współtworzących tzw. kanon, w najlepszym wypadku skupienie uwagi czytelniczej na fragmencie, rodzi poważne pytanie, na jak długo jeszcze twórczość Zbigniewa Herberta (uchodząca przecież za trudną w interpretacji) zdomowi się w myśleniu kolejnych pokoleń? Kwestię tę pozostawiam otwartą, natomiast warto zadać jeszcze jedno pytanie. Jak odczytywać zawarte w tomie propozycje metodologiczne – scenariusze lekcji w dobie, w której „brak odkrywczności wypowiedzi uznany został za pożądaną normę”³? Zaproponowane lekcje zdecydowanie wykraczają poza stereotypową, redukcjonistyczną lekturę wierszy Zbigniewa Herberta. Projekty lekcyjne Cecylii Dunat, Angeliki Matuszek czy też Renaty Jochymek uświadamiają nam jeszcze jedną, bardzo ważną rzecz. Z zawartych w scenariuszach oraz propozycjach metodologicznych treści wyłania się silna potrzeba niezgody na podporządkowanie się regułom rządzącym współczesnym światem oraz podążanie w kierunku poszerzania wiedzy uczniów o nowe przestrzenie intertekstualne (np. nawiązanie utworów Herberta do arcydzieł malarstwa europejskiego).

Podsumowując, książka „*We mnie jest płomień, który myśli*”... to kompozycja rozpisana na wiele różnorodnych, często odmiennych w swej interpretatorskiej artykulacji głosów. Wobec powyższego recenzent niniejszego tomu musi zadać sobie pytanie o zasadność interpretacji/reinterpretacji wszystkich zgromadzonych w tomie publikacji.

Nie czuję się osobą kompetentną, aby o tym rozstrzygać. Pomysłowość odczytań twórczości autora *Pana Cogito* przynosi czytelnikowi tekstów niewątpliwą satysfakcję poznawczą, poza tym, jak zauważa jeden

³M. Janion, *Niesamowita Słowiańszczyzna*, Kraków 2007, s. 9.

z najwybitniejszych fenomenologów, Maurice Merleau-Ponty: „To, co jest przede wszystkim prawdą, to to, że ani błąd, ani wątplenie nigdy nie odgradzają nas od prawdy, ponieważ są one otoczone horyzontem światła, w którym teleologia świadomości zachęca nas do szukania dalszych rozwiązań”⁴.

Prawdą bowiem jest, że wiersze są płaszczyzną dialogu między twórcą a ich odbiorcami, tkaniną, w którą refleksyjnie wplecione zostały słowa „dające do myślenia” (Ricoeur). Jednocześnie dziś znajdujemy się w sytuacji poznawczej, w której wyeliminowany zostaje podmiot autor-ski jako instancja decydująca o sensie interpretacji. Istotnie, najważniejsze jest to, abyśmy mogli zrozumieć zarówno tekst, jak i siebie samych. Wydobycie zmaterializowanych sensów na powierzchnię ma przyczynić się do poszerzenia wiedzy o nas samych oraz otaczającym nas świecie.

⁴ M. Merleau Ponty, *Fenomenologia percepcji*, przekł.. M. Kowalska, J. Migasiński, Warszawa 2001, s. 9.

Artur Żywiólek

Akademia im. Jana Długosza w Częstochowie

[Recenzja książki: *Romantyzm i nowoczesność*, red. Michał Kuziak, Kraków 2009, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, ss. 404]

Koniunkcja pojęć, widoczna w tytule książki pod redakcją Michała Kuziaka, zakłada *a priori* kwestię granic między romantyzmem a nowoczesnością, tudzież zagadnienie podobieństwa i różnicy obu formacji kulturowych. Problem relacji między romantyzmem a nowoczesnością, romantyczne kontynuacje i nawiązania w późniejszych epokach, lokalizacja w pierwszej połowie XIX wieku początków nowoczesności wielokrotnie była już przedmiotem wnikliwych studiów.

W artykule wprowadzającym Michał Kuziak przywołuje szereg kluczowych publikacji poświęconych tematyce związków romantyzmu i nowoczesności. Są to między innymi *Romantyzm a początek świata nowożytnego* Marii Janion, *Język modernizmu. Prolegomena historycznoliterackie* oraz *Literatura jako trop rzeczywistości. Poetyka epifanii w nowoczesnej literaturze polskiej* Ryszarda Nycza, także polemiczne wobec prac Ryszarda Nycza książki Agaty Bielik-Robson *Inna nowoczesność. Pytania o współczesną formułę duchowości czy Duch powierzchni. Rewizja romantyczna i filozofia*. Sprawa jest jednak złożona, bo, jak pisze Michał Kuziak: „Romantyzm polski kształtuje się bowiem jako splot tendencji modernizacyjnych i zarazem radykalnej krytyki modernizacji, apologii tradycji (s. 10). Redaktor tomu wskazuje jednak na inne możliwości „prze-pisania polskiego romantyzmu”: próbę ujęcia polskiego romantyzmu „jako fragmentu procesów kształtującej się nowoczesności, trwających od XVII wieku aż po naszą współczesność” (s. 11), a także prze-czytanie tekstów polskiego romantyzmu przez kod kultury nowoczesnej. Pojawia się jednak wówczas problem utraty perspektywy historycznej na rzecz kreowania (pod wpływem zmiany języka metodologii) innych niż faktyczne zjawisk artystycznych. Dotyczy to choćby takich modernistycznych kwestii jak

„ciało”, „tożsamość”, „doświadczenie” itp. Niebezpieczeństwo bierze się więc z dwojakiej natury języka, już to jako narzędzia opisu faktów, już to jako swoistej ich kreacji. Autorzy wszystkich publikacji z tomu *Romantyzm i nowoczesność* mają tego świadomość, dlatego też prawie każdy z nich stara się podać własną, adekwatną formułę pojęcia nowoczesności; pojęcia o niekreślonej i nieoczywistej wykładni, a także o wątpliwych niejednokrotnie walorach poznawczych.

Lista pytań, do których skłania lektura książki jest obszerna: czy nowoczesność jest sygnowana przez romantyzm, a romantyczne powtórzenia, powroty i kontynuacje konstytuują współczesną refleksję kulturową?; czy zainteresowanie romantycznymi tropami w nowoczesności świadczy o „zamknięciu” jednej bądź drugiej formacji kulturowej? Być może specyfikę polskiego romantyzmu określa współlistnienie różnych, często sprzecznych stanowisk, o czym pisze w słowie wstępnym Michał Kuziak. Relację między romantyzmem a nowoczesnością ustanawia specyficzna „mowa syndromu”, rządząca się inną regułą niż logika binarnych opozycji (oświecenie/tradycja, postęp/regres, romantyzm/klasycyzm, rozum/uczucie), a „manifestująca się w naszej nowoczesnej kulturze wyłącznie w postaci *śladów*: krótkotrwałych wystąpień, które wprawdzie zaburzają hegemonię oświeceniowego racjonalizmu, same jednak nie składają się na system alternatywy”¹. Być może w inicjowanym przez *Romantyzm i nowoczesność* dialogu o romantycznych konstelacjach nowoczesności warto dostrzec próbę odpowiedzi na apel Marii Janion dopominającej się o nową narrację w humanistyce.

Dialog z tropami romantycznymi we współczesności przybiera w książce, przygotowanej przez Michała Kuziaka, następujący układ tematyczny: w części pierwszej, zawierającej prace Jakuba Momro, Michała Kuziaka, Agaty Bielik-Robson i Tomasza Kizwaltera, pojawiają się teksty dotyczące metodologii i genealogii romantyzmu, część druga zawiera artykuły Michała Kuziaka, Magdaleny Siwiec, Andrzeja Waśki, Sławomira Rzepczyńskiego poświęcone nowoczesności dzieł Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i Norwida. Kolejny segment („Mickiewiczowski”) *Romantyzmu i nowoczesności* wyznaczają prace prezentujące modernistyczne tematy i motywy o romantycznej genealogii, to jest klasycznego motywu bezdomności i wykorzenia (tekst Mikołaja Sokołowskiego o motywie „nikogo” w twórczości Adama Mickiewicza) oraz „niewystarczalności jako wybranych aspektach cielesności” u autora *Dziadów* (tekst Bernadetty Żynis). Część czwarta obejmuje artykuły o romantycznych gatunkach mowy (*W stronę romantycznej genealogii – rekonesans* Olgi Płaszczewskiej), dyskursie feministycznym (*Germana Ritza Między gender a narodem – kobietę w polskim romantyzmie albo język płci*). Osobne miejsce ze

¹ A. Bielik-Robson, *Duch powierzchni. Rewizja romantyczna i filozofia*, Kraków 2004, s. 51.

względem na rozmiar i zakres badawczy zajmuje artykuł Jarosława Ławskiego *Symplifikat. Kartka z dziejów Mickiewiczowskiego mesjanizmu* będący nie tylko swoistą kadencją omawianego tomu, lecz także polemiką z tezą Marii Janion o zmierzchu paradygmatu romantycznego. Ławski pokazuje, w aspekcie historycznym, proces powstawania i oddziaływania, niszczących autentyczną substancję kulturową, stereotypowi uproszczeń wiodących osobny żywot niezależnie od faktycznego stanu kulturowej przeszłości. Autor tego finalnego tekstu udowadnia, że pogłoski o śmierci romantyzmu okazały się przedwczesne. Już zatem samo pobieżne spojrzenie na propozycje tematyczne omawianej pracy wyznacza ciekawy i ważny obszar badań romantyzmu i jego (po)nowoczesnych repetycji i przetworzeń.

Książka *Romantyzm i nowoczesność* stanowi, wedle słów Michała Kuziaka, „świadectwo poszukiwania języka – nowoczesnego mówienia o romantyzmie i mówienia o nowoczesności romantyzmu” (s. 13). W pierwszym, otwierającym część „metodologiczną” obszernym tekście Jakuba Momro *Granice i marginesy nowoczesności. Wokół teorii badań nad romantyzmem*, autor podejmuje refleksję o możliwościach nowoczesnych języków badawczych aplikowanych do interpretacji romantycznego dziedzictwa. To swoiste „powtórzenie” romantycznego wyznania wiary odbywa się w granicach wyznaczonych przez fenomenologię, krytykę tematyczną, dekonstrukcję i socjologię. Szczegółowy rejestr zagadnień dotyczących takich kwestii jak: konflikt podmiotowości wynikający z doświadczenia kryzysu świadomości rozdartej między pragnieniem autokreacji, „mocnej” tożsamości a klęską tożsamości wyrażającą się w doświadczeniu Ja jako „pochodu różnorodnych figur i metafor”, powiada Jakub Momro, parafrazując Nietzschego. Jakub Momro pisze również o nieobecności „miejsca”, „punktu”, z którego można by pomyśleć i prze-myśleć dzieło, o „niepowtarzalności”, ale i niespójności czytelniczej percepcji. Socjologiczna perspektywa ukazuje nadto romantyczno-nowoczesną podmiotowość skazaną na wygnanie z „odczarowanej” rzeczywistości pozbawionej metafizycznych perspektyw. Kluczowa sprawa dotyczy jednak konsekwencji przyjęcia wymienionych perspektyw badawczych. Momro, wnikliwie rekonstruując i „testując” walory poznawcze fenomenologii, dekonstrukcji oraz socjologii, stara się odkryć i zdefiniować relacje między całością (systemem) a idiomatyczną podmiotowością, partykularnością. Romantyczny przewrót „kopernikański” stanowił bowiem jedną z pierwszych prób wyrwania jednostkowej podmiotowości z opresji systemu, całości, rozumu. Dwudziestowieczne teorie akcentują napięcie między całością a fragmentem, pokazując przy tym, jak ta dialektyka warunkuje proces poznawania dzieła i pisarza. Jakub Momro wprowadza stąd tezę o istotnym (nie tylko dla romantyków!) związku sztuki i filozofii. Sztuczne separacje obu tych porządków wydają się nie do pogodzenia nie tylko w świetle Kantowskiej „krytyki władzy sędze-

nia", ale i „odkryć” Nietzschego („człowiek jako armia metafor”) oraz Derridy (metafora jako ukryte założenie dyskursu filozoficznego). Jakub Momro konsekwentnie rozpisuje dialektykę systemu i partykularności na antynomię ironii (fragmentu) i całości, pokazując, że romantyczne pojmowanie literatury jest możliwe tylko przez ironię i fragment (s. 43). Literatura dla romantyków kwestionujących różnice między gatunkami jawi się bowiem jako indywidualna sygnatura, idiom.

Agata Bielik-Robson w tekście *Racjonalność romantyzmu* podejmuje zagadnienie romantyzmu jako „wehikułu modernizacji” (s. 61). Przyjęte założenie jest efektem fascynacji autorki romantyzmem brytyjskim, któremu obcy jest „teutoński belkot”, bliska natomiast „zasada rzeczywistości”. Stąd przekonanie, że reguły romantycznej *modernitas* określają naszą mentalność. Ostatnim w tym metodologicznym segmencie artykułem jest tekst Tomasza Kizwaltera. Autor ujmuje z pozycji historycznej i społecznej romantyzm jako „specyficzną reakcję przeciwko modernizacji” (s. 78), a jego „emancypacyjne i wyzwolenicze dążenia (...), pragnienie odrodzenia świata można z powodzeniem umieścić w obrębie tego, co uznajemy za nowoczesne” (s. 79). Tomasz Kizwalter świadom jest tego, że otwiera w tym miejscu szereg wątpliwości dotyczących określenia czym jest nowoczesność? A na to pytanie, podobnie jak na pytanie o istotę romantyzmu, nie ma jednoznacznej odpowiedzi.

Druga grupa tekstów obejmuje rozważania zworga autorów (Michała Kuziaka, Magdaleny Siwiec, Andrzeja Waśki, Sławomira Rzepczyńskiego). W tej części czytelnik znajdzie prace poświęcone śladom nowoczesności w twórczości wielkich romantyków polskich: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i Norwida. W artykule *Mickiewicz wobec nowoczesności* Michał Kuziak omawia trzy tematy świadczące o modernistycznym profilu twórczości Mickiewicza: genealogię nowoczesności, stosunek twórcy romantycznego do tradycji, ontologiczny i epistemologiczny status relacji między literaturą i rzeczywistością. Założycielskim gestem nowoczesności jest mit Wyjścia, który u Mickiewicza ma charakter ambiwalentny: wierze w postęp i nieograniczone możliwości człowieka jak cień towarzyszy retrospektywna tęsknota za epoką dawności nieskażonej nowoczesnym odczarowaniem. Jest to zatem „genealogia nowoczesnego, emancypującego ja” (s. 88). Mickiewicz, zdaniem Michała Kuziaka, reje-struje proces rozpadu sakralnych wymiarów człowieka i teleologicznego ładu oraz „podważenie religii i proponowanej przez nią wizji świata” (s. 90). Oryginalnym pomysłem autora *Dziadów* jest wizja kultury „zakorzenionej w transcendencji” (s. 90). Jest to wizja swoistej „fortyfikacji” człowieka przeciwko entropii kulturowych wzorów niesionych przez tradycję. Dziedzina umożliwiającą zbliżenie teraźniejszości i przeszłości, syntezę mitu i historii jest literatura mesjaniczna, która to, co archaiczne łączy z „tegoczesnością”. Mickiewicz, twierdzi Michał Kuziak, odrzuca koncepcję literatury powstałej poza obszarem tradycji. Widoczne po 1831

roku rozczarowanie literaturą (fiasko romantycznej obietnicy *le Tout*, „nowoczesny” konflikt „mimetyczności” i „semiotyczności”) doprowadziło Poetę do milczenia. Autor *Pana Tadeusza* nie mógł bowiem zaakceptować literatury pozbawionej funkcji widzenia, opisywania i „transsubstancjacji” świata przez Słowo. „Mickiewicz w swojej biografii, drodze poety i myśliciela zapowiada i streszcza drogę modernizmu”, pisze Michał Kuziak (s. 108). W tekście Magdaleny Siwiec *Słowacki i nowoczesność* przedstawiony zostaje rejestr zagadnień „wpisujących” twórczość Słowackiego w kontekst nowoczesności. Wyznacznikami procesów modernizacyjnych są, zdaniem Magdaleny Siwiec, doświadczenie wykorzenienia i melancholii, ekspresywistyczna koncepcja podmiotu i syllepsa jako jego retoryczna manifestacja, intertekstualność, poczucie teatralności rzeczywistości, mistyka oraz poetyka epifaniczna wizja rzeczywistości uobecniająca się poprzez znaki pisma (Księgi?). Teza o związkach rzeczywistości pozajęzykowej i figur retorycznych każe autorce przywołać opinię Jarosława Ławskiego o pozornej dychotomii ironii/mistyki, która staje się wszak symptomem innej dialektyki: pełni/nicości oraz bytu/niebytu. Rozbijanie formy, fragmentaryzowanie dzieła to romantyczne strategie „gry z nicością”². W artykule Andrzeja Waśki *Krasiński: nowoczesność jako temat i jako postawa* czytelnik znajdzie nie tylko uwagi o rewolucyjnym szaleństwie jako odmianie świeckiego mesjanizmu (co w przypadku autora *Nie-Boskiej komedii* wydaje się oczywiste), lecz także niezwykle inspirujące rozważania o Krasińskim podejmującym refleksję kulturową. Dla Zygmunta Krasińskiego dychotomia regionalne/universalne w odniesieniu do kultury polskiej i europejskiej nie oznacza bowiem przeciwieństwa lecz swoistą syntezę. Romantyzm nie uznawał tego, co człowiek Zachodu podświadomie akceptuje, tego mianowicie, że istnieją lepsze i gorsze kultury, centralne i marginalne (peryferyjne). Romantycy odrzucają tę logikę wykluczenia i w każdej kulturze widzą jej boskie pochodzenie (s. 179–180). Łączy się z tym również idea autokreacji poprzez kulturową identyfikację: „siebie samego stworzyć pięknie”, czytamy w szkicu Andrzeja Waśki (s. 182). Jedna uwaga, wypowiedziana przez Autora mimochodem, wydaje się szczególnie istotna. Ustępuje na szczęście, zauważa Andrzej Waśko, lekceważenie Krasińskiego jako „gorszego” romantyka. Lekceważenie to wynika z przesadnej fetyszyzacji literackiej autonomii, absolutyzowanie ulotnych *de facto* walorów estetycznych, podczas gdy prawdziwa wartość twórczości Krasińskiego wynika z jego historyczno-kulturowej refleksji nad stanem europejskiego dziedzictwa. To niezwykle ważna, w moim przekonaniu, uwaga dotycząca jeszcze jednej, spośród wielu przedstawionych w tej książce, strate-

² Por. M. Janion, M. Żmigrodzka, *Romantyzm i egzystencja* (zwłaszcza rozdział: *Apokalipsa bez zbawienia. Tematy jeanpaulowskie; Rozdrożny i gra z nicością*), Gdańsk 2004 oraz *Nihilizm. Studia o literaturze XIX i XX wieku*, pod red. J. Ławskiego i M. Sokołowskiego, Warszawa-Białystok 2009.

gii reinterpretacji polskiego romantyzmu. W zamykającym ten segment artykule Sławomira Rzepczyńskiego *Norwid a nowoczesność* pojawia się kolejna próba prze-czytania dzieła Norwida w języku nowoczesnej metodologii. Autor, powołując się na interpretacyjne ustalenia między innymi Michała Głowińskiego³, Arenta van Nieuwerkerena⁴ oraz Wiesława Rzońcy⁵, rekonstruuje szereg wyznaczników nowoczesnej poetyki Norwida. Są to: technika punktów widzenia, ostry demontaż elementów dzieła, otwartość kompozycji – niespójność, politematyczność, czasoprzestrzeń mitu i aktualnej dziejowości (Głowiński); przekraczanie granic, ciężenie ku metafizyce, reintegracja wiedzy i religii (van Nieuwerkeren); hybrydyczność, polinarracyjność, eksperymenty językowe, mimetyczność kreatywna, dialogiczność, depersonalizacja podmiotowości (Rzońca). „Norwid to (...) poeta znajdujący się w położeniu krytycznym, który jakby zamykając romantyzm, jednogłośnie otwierał nowoczesność”, konkluduje Sławomir Rzepczyński (s. 215).

Dwa artykuły: Mikołaja Sokołowskiego „*Nikt*”. *Mickiewiczowska interpretacja klasycznego motywu* oraz Bernadetty Żynis *Niewystarczalność – o wybranych aspektach cielesności u Mickiewicza* składają się na odrębną część poświęconą analizom ważnych motywów korespondujących z nowoczesną (i ponowoczesną) wrażliwością. Motyw „Nikogo” to kolejna wersja „romantycznych gier z nicością” („gra w nikogo”), zaś „cielesność” dekonstruuje w pewnym stopniu pozornie ustabilizowaną opozycję dusza/ciało, zastygłą od lat w stereotypie romantycznego spirytualizmu. Oba teksty wnoszą istotny wkład w reinterpretację projektu romantycznej antropologii. „*Nikt*” to „romantyczny wzorzec podmiotowości” (s. 217), pisze Mikołaj Sokołowski, przywołując zarazem europejski kontekst metaforyczny tego motywu u Blake’a, Richtera, Achima von Armina, u których semantyka motywu „nikogo” obejmuje rozległy obszar znaczeń związanych z takimi pojęciami jak „bezdomy”, „żebrak”, „obcy”; istota wykluczona, odseparowana. Logika „Nikogo” staje się znakiem jakiegoś mistycznego kataklizmu osobowości. Chodzi również o pokazanie etapów złożonego procesu kształtowania się romantycznej jaźni (duszy czującej?). Na tym tle ukazana została koncepcja podmiotu w twórczości Mickiewicza. Mickiewicz wykreował istotę, która pozostaje całkowicie nieobecna, jest negatywem” (s. 225) i „preformułował mit Homerycki” (s. 226), stwierdza Mikołaj Sokołowski. Mickiewiczowski bohater „*Nikt*” jest specyficzną figurą: łamie bowiem kilka konstytutywnych mitów romantycznych takich między innymi jak „powrót do domu” czy „dzieciństwo”. Nie oznacza to jednak, zauważa

³ M. Głowiński, *Ciemne alegorie Norwida*, [w:] *Prace wybrane. Intertekstualność, groteska, parabola. Szkice ogólne i interpretacje*, tom V, Kraków 2000.

⁴ A. van Nieuwerkeren, *Ironiczny konceptyzm. Nowoczesna polska poezja metafizyczna*, Kraków 1998.

⁵ W. Rzońca, *Norwid poeta pisma. Próba dekonstrukcji dzieła*, Warszawa 1995.

autor, formuły „słabej”, zdeintegrowanej podmiotowości, chodzi raczej o przedstawienie napięcia między uniwersalistycznym a nieortodoksyjnym modelem podmiotowości (s. 230). Refleksje antropologiczne stanowią przedmiot dociekań Bernadetty Żynis, która wyznacza ciekawą perspektywę badawczą, twierdząc, że „stosunek do ciała i cielesności odzwierciedla znacznie szerszy problem – rozumienia człowieczeństwa, świata oraz własnego miejsca w tym świecie” (s. 235). Autorka świadoma jest trudności, w jakie wikła się romantyczny dyskurs ciała. Na ile prawdziwy, utrwalony w tekstach epoki, a na ile fantazmatyczny jest ów dyskurs? Czy problematykę cielesności wywołuje jedynie gramatyka antynomii (dusza/ciało), czy jest efektem działania nowoczesnych języków badawczych? Mickiewiczowski dyskurs ciała lokalizuje Bernadetta Żynis, wbrew tradycyjnym ujęciom, wedle których „ciało” ma jedynie stereotypowe konotacje znaczeniowe, w takich obszarach tematycznych jak miłość, zmysłowość, ból, lęk, śmierć. Autorka zwraca również uwagę na zasadniczą niewyraźność wymienionych doświadczeń oraz ich komplementarność w refleksji antropologicznej Mickiewicza.

Czwartą grupę artykułów tworzą teksty dotyczące romantycznego światopoglądu w aspekcie mimetycznym (*Mimesis romantyczna. Teoria i praktyka w Polsce* Magdaleny Bąk), genologicznym (*W stronę romantycznej genologii* Olgi Płaszczewskiej) i genderowym (*Między gender a narodem – kobiety w polskim romantyzmie albo język płci* Germana Ritza). W artykule Magdaleny Bąk pojawia się ważne rozróżnienie, na mimesis *romantyczna* oraz mimesis *w romantyzmie*, spowodowane istotną zmianą w postrzeganiu rzeczywistości. *Mimesis romantyczna* sprowadzałaby się do ekspresywistycznej koncepcji podmiotu, natomiast mimesis *w romantyzmie* stanowiłaby określenie złożonej problematyki poznawczej i ontologicznej. Rekonstruując teorię i praktykę mimesis, autorka odwołuje się do znanej tradycji badań (a zarazem ją reinterpretuje), wedle której wymieniona kategoria jest synonimem doświadczeń epifanijnych (naśladowanie jako objawienie, kontemplacja transcendentnego szyfru natury, księgi Boga) oraz epistemologicznych (romantyczna *episteme* jako praktyka „odzwierciedlania”, „powtarzania” natury, ale także jej re-kreacji⁶ w sferze wyobraźni). Magdalena Bąk wskazuje ślady takiego rozumienia mimesis u Mickiewicza (tzw. „efekt rzeczywistości” wynikający z dialektyki obecności/nieobecności w *Panu Tadeuszu*), Słowackiego (intertekstualne uwikłanie mimesis jako polemiczne naśladowanie innych tekstów), czy u Norwida („odpowiednie dać rzeczy słowo”)⁷. W szkicu poświęconym romantycznej genologii Olga Płaszczewska pisze o polemikach z norma-

⁶ Por. M. H. Abrams, *Zwierciadło i lampa. Romantyczna teoria poezji a tradycja krytyczno-literacka*, przekł. M. B. Fedewicz, Gdańsk 2003.

⁷ Autorka przywołuje w tym miejscu również określenie Michała Kuziaka, który wychodząc z założenia o niemożliwości bezpośredniej reprezentacji rzeczywistości w języku, proponuje następującą parafrazę: „dać Słowo – Słowu”. Por. tegoż, *Norwi-*

tywnością i o poszukiwaniu własnego idiomu artystycznej ekspresji. Brak kodyfikacji gatunkowych, podważanie konwencjonalnych reguł estetycznych umożliwiała romantikom „naturalną” ekspresję. Paradoks polega jednak na tym, że romantycy dekonstruując wiele gatunków mowy, zaskakująco wiele wytworzyli i ściśle skodyfikowali (s. 304). Autorka pokazuje przy tym gatunkową dominantę, którą w omawianej epoce stanowi „narracja podróżnicza” (s. 298). Podróż (*travel*) stanowi narrację stricte romantyczną, a zarazem nowoczesną – charakterystyczną dla europejskich mitów założycielskich⁸. „Polskiej historii płci dotąd nie napisano” (s. 323), zauważa German Ritz w swoim szkicu o kobietach w polskim romantyzmie. Wyjątkiem, zdaniem autora, są monumentalne *Marie romantyków* Jarosława Ławskiego⁹. Kobięcy romantyzm pozostaje do odkrycia, twierdzi German Ritz, który pokazuje symboliczną tożsamość kobiety w romantyzmie, tożsamość uwarunkowaną kulturowo, historycznie, politycznie i geograficznie. Retorykę kobiecości wyznaczają figury „wzniosłości” i „metafizyczności”, zaś kobieta jako *Obca*, *Imna* nie istnieje, bowiem uniwersalną instancją sensotwórczą pozostaje mężczyzna. W wymiarze gatunkowym autor konstatuje, że kobiety dominują w prozie romantycznej, natomiast główne gatunki mowy w epoce stanowią dominację mężczyzn. Czytelnik ma wrażenie, że German Ritz pokazuje swoiste puste miejsce, lukę w badaniach nad polskim romantyzmem, ale również brak *realnej* formuły kobiecości uprzednio przechwyconej przez sieć znaczeń symbolicznych. W tym miejscu otwiera się szeroka przestrzeń debaty nad zagadnieniami narodu, społeczeństwa, kultury, języka. Niepodważalną zasługą Germana Ritz, ale także pozostałych autorów *Romantyzmu i nowoczesności* jest przedstawienie tych kwestii określających wszak naszą dawną i współczesną tożsamość.

Nowego prze-pisania wymagają także dzieje romantycznego (polskiego) mesjanizmu, którego (nie)rozumienie ogniskuje w sobie wszelkie błędy w podjęciu na nowo romantycznego dziedzictwa. W obszernym tekście zamykającym omawianą książkę, autor proponuje gest szlachetnej hermeneutyki nasłuchującej głosu przeszłości; hermeneutyki „rozumiejącej”, bo zmniejszającej dystans między tym, co minione, a tym, co współczesne. Pośród innych kultur może trwać tylko ta wspólnota, która dobrze zrozumie „swoją własną przeszłość, odnosi się do niej krytycznie, zarazem z szacunkiem”, pisze Jarosław Ławski (s. 361). *Kartka z dziejów Mickiewiczowskiego mesjanizmu* oprócz waloru wnikliwej i precyzyjnej rekonstrukcji dziejów symplifikatu (autor sporo miejsca poświęca analizie słownikowych definicji, licznych skrótów myślowych zniekształcających Mickiewiczowską formułę mesjanizmu) zawiera również rozpisaną

dowskie przedstawienie w „*Vade-mecum*”, [w:] *Liryka Cypriana Norwida*, pod red. P. Chlebowskiego i W. Torunia, Lublin 2003, s. 216.

⁸Por. Z. Bauman, *Europa niedokończona przygoda*, przekł. T. Kunze, Kraków 2005.

⁹J. Ławski, *Marie romantyków. Metafizyczne wizje kobiecości*, Białystok 2003.

na wiele głosów polemikę wobec ciągle aktualizowanej przez niektóre środowiska tezy o zmierzchu romantycznego paradygmatu; tezy będącej *de facto* inkarnacją tezy o końcu historii. Mamy do czynienia nie ze zmierzchem, ale z przemianą jako naturalnym etapie kształtowania się kultury „po”, pisze Ławski. Mit końca wpisuje się, wedle autora, w pragnienie zaznaczenia przez intelektualistów swojej obecności. „Zmierzch romantyzmu” sprowokowany został przez tendencje postmodernistyczne. Nie jest to więc opis rzeczywistości, lecz „konstrukcji” życzeniowej, wygodnej dla intelektualnych środowisk odrzucających tradycję i przeszłość, twierdzi Jarosław Ławski. Jednym z głównych adresatów polemiki Ławskiego jest Maria Janion, której opinie o szkodliwości i zaściankowości polskiego mesjanizmu uważa autor za przykład „trywialności i uproszczeń” (s. 333). Jarosław Ławski proponuje rewizję polskiego mesjanizmu poprzez powtórnię interpretację pojęcia, kluczowego, jak się zdaje, dla autentycznego odczytania tekstów kultury romantycznej, a także dla zbudowania „nowej opowieści humanistyki”, jak chciała tego sama Maria Janion. Jarosław Ławski odrzuca przekonanie o „niższości” i „peryferyjności” kultury mesjanistycznej, widząc w takiej opinii efekt działania zachodnioeuropejskiej „logiki”, skazującej niektóre kultury na miano „zaściankowych” i marginalnych. Być może z tego właśnie powodu „romantyzm poddawany jest procedurom likwidacyjnym” (s. 335). Istota polemiki Ławskiego idzie w kierunku ukazania złożoności formuły polskiego mesjanizmu, a tym samym polskiego romantyzmu. „Mesjanizm jest złożoną formą myśli, postawą, historiozofią, formą wyobraźni”, stanowi kompleks różnorodnych czynników takich jak: spór z katolicyzmem pobarokowym, antropologia, projekt nowego języka, świata, wyobrażenia o naturze i historii, „topografia mesjanistyczna, kosmologia, aksjologia, symbolika etc...” (s. 335). W wersji zaproponowanej przez Marię Janion, mesjanizm jest synonimem zdegenerowanej polskości, zaścianka i prawicowości. Rzetelny przegląd wydarzeń XX i XXI wieku każe zweryfikować pogląd o zmierzchu romantycznego paradygmatu, twierdzi Jarosław Ławski. Projekt nowej historii polskiego mesjanizmu obejmowałby, zdaniem autora, szereg kwestii dotyczących między innymi przedromantycznej genezy, związków z ontologią, kosmografią i aksjologią, religią, różnicy między mesjanizmem a misjonizmem, odrębnych idiolektów Mickiewicza i Krasińskiego, mesjanistycznego kodu (tekstowości i retoryki), tendencji do uproszczeń wywołanych dyskursem bieżącej polityki, funkcji w polskiej wyobraźni zbiorowej, zagranicznej recepcji.

Jeśli za wiarygodną uznać tezę o romantycznej genezie nowoczesności, to powstaje pytanie o to, jaki obszar badawczy wyznacza relacja obu formacji? Struktura tematyczno-problemowa *Romantyzmu i nowoczesności* wskazuje na cztery kierunki poszukiwań badawczych. Pierwszy z nich dotyczy genealogii i semantyki nowoczesności. Problem genezy

nowoczesności zakłada ujęcie romantyzmu jako antycypacji i prefiguracji modernizmu. Drugi kierunek obejmuje rozważania o możliwościach nowoczesnej reinterpretacji twórczości wielkich polskich romantyków. Trzeci poświęcony jest nowoczesnym tropom i motywom odgrywającym w literaturze romantycznej ważną rolę. Wśród modernistycznych figur myśli uwaga autorów omawianego zbioru skupia się na metaforze człowieka-bez-właściwości oraz problematyce ciała. Czwarty nurt badawczych eksploracji obejmuje rozważania dotyczące statusu romantycznej wyobraźni, swoistej mapy pojęć. Umieszczone w tej części książki teksty, poświęcone są analizie takich zagadnień jak mimesis, genologia, krytyka genderowa. Opis wymienionych tropów wyobraźni, wzorów i postaw myślowych współbrzmi z pytaniami formułowanymi przez naszą współczesność. Romantyzm antycypował bowiem te projekty kulturowe, które określają w dużej mierze klimat modernizmu. Projekt kultury nowoczesnej, podobnie jak i romantycznej, oscyluje wokół nierozstrzygniętych dotychczas kwestii takich choćby jak: tożsamość podmiotu, zakres wolności i odpowiedzialności jednostki, granice poznania, symetria, bądź asymetria porządku estetycznego i etycznego, spłot religii i polityki, status języka, napięcie między tradycją a współczesnością itd. Dialog na temat relacji nowoczesności i romantyzmu jawi się więc jako próba zrozumienia tego, co przeżyliśmy i co nadal przeżywamy, by powtórzyć powiedzenie Stanisława Brzozowskiego, jednego z pierwszych twórców romantycznej rewizji.

Mateusz Płotkowiak

Akademia Techniczno-Humanistyczna, Bielsko-Biała

Sherlock, jaki jest...

[Nick Rennison, *Sherlock Holmes. Biografia nieautoryzowana*, WAB, Warszawa 2010]

Dzięki zawartym w *Biografii nieautoryzowanej* informacjom, historię rodu Holmesów śledzić można już od roku 1219, w którym po raz pierwszy pojawia się to nazwisko w annałach sądowych hrabska York. Patrząc na kariery przodków Sherlocka, jak i na przytrafiające się im niepowodzenia natury na przykład finansowej, czytelnikowi – mimo, że opisywane historie mają miejsce na kilkaset lat przed pojawieniem się na świecie genialnego detektywa – przychodzi na myśl szukać podobieństw życiorysów wewnątrz rodziny. Czytając o niebagatelnych talentach w niej się pojawiających, jasnym się staje, że Sherlock nie wypadł sroce spod ogona, ale że jest fantastyczną kompilacją cech, które – każda z osobna – warte są najwyższych pochwał, jednak dopiero zsumowane stanowią o geniuszu.

Poznajemy, dzięki skrupulatności Rennisona, pochodzenie dość rzadkiego imienia detektywa, obserwujemy jego dzieciństwo i przebieg edukacji, zarówno domowej, jak i uniwersyteckiej; zainteresowanie boksem i teatrem, miłość do muzyki i ciekawość zagadnień parapsychologicznych. Przyglądamy się początkom pracy w charakterze detektywa-doradcy i popularności Holmesa rosnącej dzięki Doyle'owi, pełniącemu funkcję agenta literackiego doktora Watsona. Biografia Sherlocka – co jest szczególnie interesujące – nie odnotowuje trzyletniej przerwy w działalności po swingowanej śmierci przy wodospadzie Reichenbach. Dociekliwość Rennisona znacznie przekraczająca ciekawość doktora Watsona pozwala dowiedzieć się, dlaczego Holmes pojechał do Lhasy, czego szukał w Chartumie i jakież to były pochodne dziegiu, które badał w laboratorium w Montpellier. Zaś po wielkim powrocie i po okresie największej sławy Sherlocka przychodzi nam patrzeć na jego reumatyczną starość trawioną na przylądaniu się pszczołom i wreszcie śmierć.

Dopiero tak opisana historia najwybitniejszego z detektywów pozwala skupić się nie na metodach jego pracy – naukowego wykrywania zbrodni, ale na jego niezwykle złożonej osobowości i to złożonej z cech skrajnie opozycyjnych – z całym wachlarzem zalet genialnego umysłu i wad mizogina, mizantropa, aroganta i bałaganiarza; człowieka, który w społecznych relacjach był krańcowo nieporadny. Holmes służył prawu, ale „czuł dziwny pociąg do nieporządku i bezprawia”, pracował na rzecz społeczeństwa, którego wartości i normy negował, był zdeklarowanym racjonalistą „świadomym potęgi tego, co nieracjonalne”.

Ta wadliwa część detektywa, często przyćmiewana przez okazałość jego intelektu, która jakoś łatwiej zapada w pamięć, niż skłonność do różnego typu narkotyków albo jawna pogarda dla policjantów czy dziennikarzy; ta właśnie ciemna strona Sherlocka – paradoksalnie – dodaje jego osobie stabilności. Jest oczywiste, że historie snute przez Watsona nie skupiają się na ewentualnych problemach samego Holmesa, niemniej zrozumiałe winno być, że Holmes, by móc zachować homeostazę i nie popaść w dewiacyjną skrajność, potrzebował tego typu przeciwwagi.

Rennison, pokazuje również, jak bardzo Holmes był związany z rzeczywistością, w której dorastał, żył i pracował, jak dalece był on dzieckiem swojej epoki – dzieckiem cudownym, ale przecież nie sierocym. Zarówno świadomość życia w samym centrum największego światowego mocarstwa, jakim było ówczesne Imperium Brytyjskie, jak i duch epoki wiktoriańskiej i kontynentalnego *fin de siècle* nie mogły pozostać bez wpływu na jego usposobienie i temperament.

Niemalą radością i satysfakcją daje rozszyfrowywanie pseudonimów postaci, jakie pojawiają się w opowieściach o Holmesie, odgadywanie właściwych miejsc akcji (prawdziwe musiały zostać ukryte nie tylko ze względu na ochronę danych osób, których dotyczyły, ale zwłaszcza z powodu tajnego charakteru pracy polegającej na tropieniu przestępców) pozwala zrozumieć, jak głęboki związek istniał pomiędzy Sherlockiem a sprawami Imperium oraz poszczególnych, nierzadko sławnych i wybitnych ludzi tamtego czasu. Przydomek Kuby Rozpruwacza z jednej i nazwisko Marii Curie-Skłodowskiej z drugiej strony powinny zasygnalizować skalę i wagę tych relacji.

Dla tych, którzy jednak chcieliby doszukiwać się w opisanych przez Rennisona wydarzeniach fałszu, autor *Biografii nieautoryzowanej* zakamuflował w tekście opis paralelnej reakcji „pewnego brytyjskiego urzędnika”, który do opowiadanie Doyle’a pod tytułem *J. Habakuk Jephson’s Statement* odniósł się ze „świętym oburzeniem” wzięwszy fikcję literacką „za relację na temat przypuszczalnych faktów”. Otóż urzędnik ten „uty-skując, że cała historia to od początku do końca czysty wymysł i spekulując, jakie może ona przynieść szkody, ośmieszył się tylko”.

Książka Rennisona jest majstersztykiem syntezy wątków opowiadań Conan Doyle’a, faktów historycznych oraz motywów zaczerpniętych

z literatury zarówno dziewiętnastowiecznej, jak i współczesnej. Jest przy tym nie tylko postmodernistyczną zabawą w intertekstualność – ta kunsztowna konstrukcja zawiera rzetelne studium postaci detektywa z Baker Street i rzeczywistości, w jakiej funkcjonował. Wszystko to sprawia, że *Biografia nieautoryzowana*, lektura zajmująca, błyskotliwa i sprawiająca nie lada przyjemność, staje się zarazem – przynajmniej w zakresie polskiej literatury tematu – kamieniem milowym w sposobie postrzegania Holmesa.

Dorota Chłopek

Akademia Techniczno-Humanistyczna, Bielsko-Biała

Znaczenie poprzez hasła leksykonu Longman Dictionary of Contemporary English New Edition

[*Longman Dictionary of Contemporary English New Edition*, Pearson Education Limited 2009]

Nowy słownik jednojęzyczny *Longman Dictionary of Contemporary English* został opublikowany przez Wydawnictwo Pearson Longman w 2009 roku. Jest to już piąta edycja tej pozycji, teraz bardziej nowoczesnego i atrakcyjnego leksykonu semajologicznego oraz częściowo onomajologicznego. Dlaczego moim zdaniem jest on nowoczesny i atrakcyjny, wyjaśnię opisując złożoną strukturę tego leksykonu, która wspomaga odwzorowanie znaczenia, co jest zasadniczym przeznaczeniem słownika obcojęzycznego. Po krótkim wprowadzeniu do tego czym z kognitywistycznego punktu widzenia jest znaczenie, przedstawię w jaki sposób *Dictionary of Contemporary English* je wyjaśnia. Nie służą do tego jedynie artykuły hasłowe zawarte w papierowej księdze. Czyni to poprzez zintegrowane źródła wersji drukowanej, elektronicznej i internetowej, co sprawia, że postrzegany jest przeze mnie jako nowoczesny i atrakcyjny, przede wszystkim jednak skuteczny.

Zgodnie z zasadami prezentowanymi przez językoznawstwo kognitywne **znaczenie jest oparte o użycie** (ang. *meaning is usage-based*). W związku z tym postulatem w semantyce kognitywnej rozważane są następujące założenia¹:

Struktura pojęciowa jest ucieleśniona, pojęcia powstają w oparciu o nasze doświadczenie². Za Markiem Johnsonem, w naszym postrzeganiu bezustannie funkcjonują struktury schematyczne (ang. *schematic*

¹ Zob. V. Evans i M. Green, *Cognitive Linguistics An Introduction*, Edinburgh 2006 [2007], ss. 157–163.

² Zob. G. Lakoff, *Women, Fire, and Dangerous Things. What Categories Reveal about the Mind*, Chicago i London 1987 [1990]; M. Johnson, *The body in the Mind. The Bodily Basis of Meaning, Imagination, and Reason*, Chicago 1987 [1990].

structures), ruch ciała w przestrzeni, fizyczne manewrowanie przedmiotami. Schematy (ang. *schema*), schematy ucieleśnione (ang. *embodied schema*), oraz schematy wyobrażeniowe (ang. *image schema*) istnieją w naszym pojmowaniu w ciągły sposób. Są to struktury, które organizują nasze interpretacje pojęciowe (ang. *mental representations*) na poziomie bardziej ogólnym i abstrakcyjnym niż ten, na którym powstają nasze konkretne wyobrażenia pojęciowe³.

Struktura semantyczna to struktura pojęciowa, tzn. znaczenia konwencjonalnie związane z jednostkami językowymi są tożsame z pojęciami. Niemniej jednak nie są one identyczne. Według semantyków kognytywnych znaczenia słów stanowią pewną część możliwych pojęć.

Reprezentacja znaczenia posiada charakter encyklopedyczny, tzn. słowa są punktami dostępu do olbrzymich zasobów wiedzy na temat danych pojęć, lub za Ronaldem W. Langackerem, domeny pojęć⁴.

Konstruowanie znaczenia jest konceptualizacją, tzn. powstaje ono na poziomie pojęciowym. Konceptualizacja to proces dynamiczny, w którym jednostki językowe pełnią rolę podpowiedzi (ang. *prompts*) dla różnorodnych operacji pojęciowych i uaktywnienia wiedzy kontekstowej (ang. *background knowledge*).

Zgodnie z tezami 1–4⁵ znaczenia nie sposób zawrzeć w jednej definicji, nawet w kilku definicjach, gdyż wyrasta ono z użycia danej konstrukcji i odnosi się do określonego kontekstu językowego i sytuacyjnego, lub za Croftem i Crusem, kontekstu fizycznego, społecznego oraz kontekstu wiedzy utrwalonej w umysłach⁶. W związku z regionem geograficznym odnosi się również do kontekstu kulturowego i do czasowego np. w odniesieniu do dekad. Zatem znaczenie istnieje wyłącznie w kontekście, natomiast poza nim, wyizolowany znak pozbawiony jest interpretacji. Kontekst aktywuje potencjalne znaczenie, w nim się ono realizuje. William Croft i D. Alan Cruse twierdzą, iż wyizolowany znak posiada semantycznie odpowiednie własności oraz potencjał semantyczny, i te własności wpływają na końcowe interpretacje, lecz powinny one być odróżnione od samych interpretacji⁷. W przykładzie Croft i Cruse kontrastują użycie czasownika *raise* 'podnieść' w zdaniu *the dog raised his shaggy head* 'pies podniósł swoją kudłatą głowę' i w zdaniu *nervously she raised her head* 'nerwowo podniosła głowę'. Czynności wyrażone przez czasownik *raise* są inne nie tylko dlatego, że w pierwszym przypadku głowę podnosi pies, a w drugim kobieta, lecz głowa psa wędruje wyżej w stosunku do

³ Zob. M. Johnson, *The body...*, s. 23–24.

⁴ Zob. R. W. Langacker, *Foundations of Cognitive Grammar Volume I Theoretical Prerequisites*, Stanford 1987.

⁵ Zob. V. Evans i M. Green, *Cognitive Linguistics...*, s. 164.

⁶ Zob. W. Croft i D. A. Cruse, *Cognitive Linguistics*, Cambridge 2004, s. 102–103.

⁷ Zob. tamże, s. 98–99.

ziemi niż głowa człowieka, kobieta tylko lekko przechyla głowę⁸. Gdy konstruujemy znaczenie korzystamy z kontekstu, z wiedzy. Znaczenie jest oparte o użycie, jest zapisane poprzez konwencję, tzn., zgodnie z założeniem Crofta i Cruse'a, główne źródło różnicy semantycznego potencjału pomiędzy jednym słowem a drugim wyrasta z różnicy dotyczącej kojarzonego sensu (ang. *associated purport*). Konwencja wybiera pewne odwzorowania znaczenia ponad innymi⁹. Leksykon powinien sprostać wymaganiom ukazania słowa w urozmaiconym kontekście i łatwego wyodrębnienia użycia językowego zgodnie z aktualnie panującą konwencją i nie tylko.

Znaczenie w odniesieniu do leksykonu kojarzone jest nie ze słowem lecz z jednostką leksykalną (ang. *lexical item*). **Jednostka leksykalna**, zgodnie z opinią Andrew Carstairs-McCarthy'ego, to konstrukcja, której znaczenia nie sposób przewidzieć, zatem powinna zaistnieć w słowniku¹⁰. Jest nią zarówno słowo (cegielka tworząca wyrazy i frazy), np. *to kick* 'kopnąć' lub *a bucket* 'wiadro', wyrażenia idiomatyczne, np. nieformalne *kick the bucket* 'odwalić kitę'¹¹, idiomy rzeczownikowe, np. *white elephant* 'bibelot', 'rupień'¹², frazy ze znaczeniami słów ograniczonymi kolokacyjnie, np. *white coffee* 'kawa z mlekiem'¹³, słowa występujące tylko w pewnych wyrażeniach idiomatycznych, np. *umbrage* w *to take umbrage (at sth)* 'poczuć się urażonym (czymś)' oraz *to give umbrage to sb* 'urazić kogoś'¹⁴, także całe zdania, takie jak przysłowia, np. *Too many cooks spoil the broth* 'Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść'¹⁵. Zatem nie istnieje zupełne podobieństwo pomiędzy słowami i jednostkami leksykalnymi. Idealny słownik powinien umożliwiać odkodowanie znaczenia jak największej ilości jednostek leksykalnych. Ze względu na to, iż ich znaczenie nie jest motywowane, nie zawsze można je odkodować na podstawie kontekstu.

Zamiast *jednostka leksykalna*, używam tutaj pojęcia KONSTRUKCJA za Adele Goldberg¹⁶. Badaczka zwie *konstrukcjami* zarówno podstawowe jednostki języka, których znaczenia nie można przewidzieć na podstawie właściwości ich komponentów składowych lub innych konstrukcji,

⁸ Zob. tamże, s. 99.

⁹ Zob. tamże, s. 102.

¹⁰ Zob. A. Carstairs-McCarthy, *An Introduction to English Morphology*, Edinburgh 2002 [2007], s. 12–13.

¹¹ Za *Wielkim multimedialnym słownikiem polsko-angielskim angielsko-polskim Oxford-PWN*. PWN SA i OUP, Warszawa 2008. Przykłady jednostek leksykalnych pochodzą z A. Carstairs-McCarthy, *An Introduction...*, s. 12–13.

¹² Zob. tamże.

¹³ Zob. tamże.

¹⁴ Zob. tamże.

¹⁵ Zob. tamże.

¹⁶ Zob. A. E. Goldberg, *A Construction Grammar Approach to Argument Structure*, Chicago 1995.

co odnosi się do teoretycznych ustaleń dotyczących pojmowania konstrukcji, np. reprezentowanych przez Ronalda W. Langackera¹⁷. Także, w rozumieniu Adele Goldberg, konstrukcjami są morfemy, gdyż przypisane jest im znaczenie, którego nie sposób przewidzieć¹⁸. Jak przedstawia konstrukcje słownik, który spełnia oczekiwania obcojęzycznych użytkowników?

Odkodowanie znaczenia na podstawie haseł leksykonu *Longman Dictionary of Contemporary English New Edition* dotyczy konstrukcji ukazanych w kontekście. Zróżnicowanego kontekstu dostarczają ogólnie pojęte hasła tego słownika: (1) w części drukowanej, (2) elektronicznej na płycie DVD, oraz (3) internetowej. Jeśli chodzi o tę ostatnią, hasła pojęte są w sposób ogólny, gdyż są otwarte, tzn. poprzez łącza sieciowe sięgają licznych źródeł kontekstu służącego odwzorowaniu aktualnego znaczenia danej konstrukcji.

Część pierwsza, drukowana, to 2082. stronicowa księga w twardej lub miękkiej oprawie. Tutaj skupiam się na wersji pierwszej – twarda oprawa sztywno zamyka w sobie cienkie kartki, przy czym, choć opasła, książka ta posiada podręczny charakter. Gruba, aczkolwiek wygodna w posługiwaniu się zawiera: 230,000 słów, fraz i znaczeń, 165,000 przykładów z źródeł korpusowych, 65,000 kolokacji, 18,000 synonimów i antonimów i słów spokrewnionych, 3000 słów z największą frekwencyjnością występowania, oraz 2000 prostych słów stosowanych w definicjach (zob. tylna strona okładki słownika). Opisuując zawartość twardej oprawy postaram się także odpowiedzieć na pytania jak skonstruowane są słowniki oraz hasła w słownikach semazjologicznych oraz dłaczego omawiany leksykon jest także częściowo onomazjologiczny.

Rozprawiając o słowniku omawiamy jego *megastrukturę*, czyli dane dotyczące tytułu, roku wydania, wydawnictwa, nazwiska autora czy redaktorów wydania¹⁹, także przewodnik użytkownika na początku leksykonu²⁰, *makrostrukturę*, inaczej – sposób rozplanowania artykułów hasłowych, *mikrostrukturę*, tworzoną poprzez wewnętrzną strukturę artykułu hasłowego, oraz w przypadku omawianego leksykonu *mezostrukturę*²¹, w ramach której istnieje *interstruktura* funkcjonująca za spr-

¹⁷ Zob. R. W. Langacker, *Foundations of Cognitive Grammar Volume I Theoretical Prerequisites*, Stanford 1987.

¹⁸ Zob. A. E. Goldberg, *A Construction Grammar Approach...*, s. 4.

¹⁹ Zob. D. Gibbon, *Spoken language lexicography: an integrative framework*, [w:] *Translatologie – Neue Ideen und Ansätze*, 2005, s. 247–289.

²⁰ Za: T. Trippel, *Representation Formats and Models for Lexicons*, [w:] *Linguistic Modeling of Information and Markup Languages. Contributions to Language Technology*, red. A. Witt, London i New York 2009, s. 166.

²¹ Za: D. Gibbonem: *Mesostructure 'mezostruktura': Generalisations 'uogólnienia': grammar 'gramatyka', phonetics 'fonetyka', cultural background 'podłoże kulturowe', ... Composition of lexicon object types 'typy przedmiotów wchodzących w skład struktury leksykonu': idioms 'idiomy', words 'słowa', morphemes 'morfemy', ... Lexical access 'do-*

wą hiperłączy internetowych. *Mezostuktura* to struktura dodatkowa, która opisuje związek artykułów leksykonu z odsyłaczami do zewnętrznych systematycznie uaktualnianych źródeł.

W ramach *megastruktury* Longman Dictionary of Contemporary English New Edition, na okładce, oprócz tytułu z informacją *for advanced learners* 'dla uczniów zaawansowanych' oraz trzech ikon symbolizujących formy słownika: DVD-ROM 'płyta DVD', ONLINE 'dostęp przez Internet' i MOBILE 'dostęp przez telefon komórkowy', na kolejnych stronach początkowych wewnątrz książki znajdują się: tabela wymowy (ang. *pronunciation table*), tabela ze skrótami i oznaczeniami, oznaczenia gramatyczne oraz wzory (ang. *grammar codes and patterns*), strona tytułowa, informacje wydawnicze, spis treści (ang. *contents*), podziękowania (ang. *acknowledgements*), słowo wstępne (ang. *foreword*) autorstwa Profesora Randolpha Quirka, wprowadzenie (ang. *introduction*), oraz wyczerpujące informacje jak korzystać ze słownika (ang. *how to use the Dictionary*). W licznych niewielkich tabelach ujmują one wszystkie stosowane oznaczenia i symbole. Są to szczegółowe objaśnienia z boku każdej tabeli, które wskazują użytkownikowi sposób odczytywania poszczególnych znaków.

Tuż przed częścią z artykułami hasłowymi, mieszczą się przykładowe liczby i wyjaśnienia poszczególnych symboli skopiowanych z klawiatury. Informacje te zawarte są przed stroną oznaczoną numerem 1. Po nich następuje *makrostruktura* leksykonu z artykułami hasłowymi i elementami *mezostruktury*, np. pomiędzy stronami nr 1154 i nr 1155 z kilkunastu poradnikiem dotyczącym stopnia formalności w mówionym i pisanim języku angielskim, z oznaczeniem numerów stron od A1 do A16. Na końcu książki znajduje się alfabetycznie ułożona lista 3000. słów, najczęściej używanych w języku angielskim, alfabetycznie skonstruowana lista 2000. słów funkcjonujących w powszechnym użyciu (ang. *common words*), wykorzystanych tutaj do formułowania definicji (ang. *Longman Defining Vocabulary*), tabela z czasownikami tzw. „nieregularnymi”, mapy Zjednoczonego Królestwa, USA i Kanady, oraz Australii, nazwy geograficzne, liczby, oznaczenia wagi i miary, informacje z dziedziny morfologii dotyczące formowania słów, odniesienia do źródeł wykorzystanych w słowniku ilustracji oraz dane dotyczące wymogów dla systemu operacyjnego w związku z wersją na płycie DVD. Choć wszystkie te dane odgrywają istotną rolę w sprawnym posługiwaniu się słownikiem, sprawdzając znaczenie sięgamy do artykułów hasłowych w ramach *makrostruktury* leksykonu.

Piotr Źmigrodzki objaśnia, iż *makrostruktura słownika to wzajemny układ jego artykułów hasłowych. [...], może on być alfabetyczny, gniazdowy lub*

step leksykany': *inferential query* 'poszukiwanie sugestii'. Zob. Dafydd Gibbon, *Hypermedia Lexica and Lexicon Metadata. The MetaLex model in the ModeLex project*. E-MELD Workshop, Detroit 2002. Uniwersytet Bielefeld. Prezentacja dostępna w internecie, kadr nr 11 pt. *Metalex implementation: architecture*.

pojściowy. Do zagadnień związanych z makrostrukturą należą również problemy hasłowania, tzn. różnych typów hasel, obecnych w słowniku, także decyzje, czy określone fakty językowe odnotowywać w postaci hasel odrębnych (samodzielnych), czy podhasel włączanych w obręb innych hasel²². Słownik *semazjologiczny*, lub raczej jego makrostruktura, czyli rozplanowanie jednostek leksykalnych, oparty jest o formę ortograficzną wyrazu lub konstrukcji i skoncentrowany jest na odpowiedzi na pytanie co ona znaczy. W takim słowniku artykuły hasłowe ułożone są według alfabetycznego porządku. Z pomocą słownika *onomazjologicznego*, za Henrykiem Kardelą, bada się, w jaki sposób kilka różnych słów może określać podobne lub identyczne pojęcia²³. Przykładem słownika *onomazjologicznego* jest słownik synonimów, który zwykle posiada gniazdowy układ artykułów hasłowych. Układ *pojściowy* cechuje słownik synonimów o nazwie *teaurus*²⁴. Omawiany leksykon, w formie drukowanej, posiada strukturę *semazjologiczną* z elementami struktury *onomazjologicznej*.

Mikrostruktura leksykonu łączy w sobie dobór składników językowych w poszczególnych artykułach hasłowych, sposób ich rozplanowania i zaprezentowania²⁵.

Artykuły hasłowe w **wydrukowanej wersji** *Longman Dictionary of Contemporary English New Edition* otwierane są konstrukcją hasłową, zwaną *definiendum*, zapisaną jednolitym wyeksponowanym różowym kolorem. *Definiendum* to konstrukcja bądź człon definiowany. W tym słowniku *definiendum* jest także zapisane czcionką koloru niebieskiego. Wyróżnienie typograficzne w kolorze różowym obejmuje zapis artykułów hasłowych, które stanowią odrębne konstrukcje, np. *design*¹ rzeczownik, *design*² czasownik, *designer*¹, *desire*¹, *desk*, *desperate* (zob. s. 457–459). Jednak pomiędzy poszczególnymi artykułami hasłowymi występują inne, znaczeniowo nie związane z sąsiednimi artykułami, np. *desist* tuż przed *desk*, które wyróżnione są niebieską czcionką, np. różowy artykuł hasłowy: *designer*¹, pod nim niebiesko zaznaczone hasła: *designer*², *designer baby*, *designer drug* (zob. s. 458). Słowa *designer*¹ rzeczownik i *designer*² przymiotnik posiadają tę samą formę graficzną lecz reprezentują odmienne części mowy, zatem oznaczone są innymi numerami. Między innymi, dzięki kolorom *makrostruktura* całego słownika jest czytelna i przyjazna dla odbiorcy.

²² P. Żmigrodzki, *Wprowadzenie do leksykografii polskiej*, Katowice 2003, s. 52.

²³ Zob. H. Kardela *Onomazjologiczny aspekt semantyki kognitywnej*, [w:] *Język a kultura*, tom 8 *Podstawy metodologiczne semantyki współczesnej*, red. Iwona Nowakowska-Kempna, Wiedza o kulturze, Wrocław 1992, s. 43 [http://www.lingwistyka.uni.wroc.pl/jk/spis08.htm],

²⁴ Zob. P. Żmigrodzki, *Wprowadzenie...*, s. 53–54.

²⁵ Zob. D. Chłopek, *Kategoryzacja czasowników ruchu w leksykozbiorach internetowych (na przykładzie języka angielskiego)*, Bielsko-Biała 2007, s. 90.

W definicji omawianego leksykonu, obok *definiendum*, wyrazu lub terminu, który ma zostać objaśniony²⁶, tak jak w większości słowników *semajologicznych*, znajdują się następujące składniki językowe: w przypadku konstrukcji o wysokiej frekwencyjności występowania w języku angielskim – oznaczenie informujące o częstotliwości występowania danej konstrukcji, np. *designer*¹ W3 (zob. s. 458) oznacza, iż wyraz ten jest jednym spośród 3000. najczęściej używanych w pisanim języku angielskim (ang. *written English*), dla kontrastu – S oznacza język mówiony (ang. *spoken*); cyfra 1 symbolizuje 1000 najczęściej używanych słów, a cyfra 2 oznacza 2000 takich słów (zob. s. xi). Symbol AC informuje, iż wyraz jest ujęty w *Academic Word List* ‘akademickiej liście słów’ (zob. s. xi). Te składniki nie są powszechnie stosowane w leksykonach, należą raczej do rzadkości.

Następnym komponentem jest zapis fonematyczny wymowy danej konstrukcji wraz z zaznaczonym akcentem wyrazowym, w przypadku różnic – osobny zapis dla języka angielskiego BBC (*BrE*) oraz dla ogólnego angielskiego amerykańskiego (*AmE*). Wymowie amerykańskiej towarzyszy znak dolara, np. *designer*¹ W3 /dɪˈzainə \$ -ər/.

Kolejnymi elementami są kwalifikatory dla części mowy: w przypadku rzeczowników (ang. *nouns*) – dla policzalnych [C] i niepoliczalnych [U], czasowników (ang. *verbs*) – dla przechodnich [T] i nieprzechodnich [I], informacja o niewystępowaniu w formie ciągłej, np. *desire*² v [T not in progressive] (zob. s. 458), lub występowaniu w formie strony biernej, np. *dub*¹ /dʌb/ v (**dubbed, dubbing**) [T] 1 [usually passive] (zob. s. 524). Licznym hasłom rzeczownikowym towarzyszy zapisana **boldem** forma liczby mnogiej, np. *desk tidy* n (**plural desk tidies**) [C] (zob. s. 458) lub możliwy akronim, np. *DTP* dla *desktop publishing* n [U] (**abbreviation DTP**) (zob. s. 458). W przypadku niektórych hasel czasowników podany jest imiesłów czasu przeszłego i teraźniejszego, np. *dial*² v (**dialled, dialling** *BrE*, **dialed, dialing** *AmE*) (zob. s. 465), oraz dla tzw. czasowników „nie-regularnych” forma czasu przeszłego (ang. *past tense*) i imiesłowu czasu przeszłego (ang. *past participle*). Przymiotnikom towarzyszą informacje wspomagające ich użycie, takie jak ‘tylko przed rzeczownikiem’, np. *fledgling*², **fledgling** adj [only before noun] (zob. s. 661), lub w przypadku wielu przymiotników stopniowalnych (ang. *gradable*), wyraz ukazany jest w stopniu wyższym (ang. *comparative*) i najwyższym (ang. *superlative*), np. *heavy*¹ S1 W1 /ˈhevi/ adj (*comparative heavier, superlative heaviest*) (zob. s. 817).

Kolejnymi składnikami są *definiensy*, czyli terminy definiujące. *Definiens* to wyrażenie przy pomocy którego definicja informuje o znaczeniu wyrazu definiowanego²⁷. Na początku definicji często występują kwalifikatory dla stylu języka lub umiejscowienia go w epoce: *formal* ‘formalny’, *informal*

²⁶ Zob. <http://portalwiedzy.onet.pl/108195,,,definiendum,haslo.html>.

²⁷ Za: <http://pl.wikipedia.org/wiki/Definiens>.

'nieformalny, *literary* 'literacki', *technical* 'techniczny', *not polite* 'nieuprzejmie', *old use* 'dawne użycie', *old-fashioned* 'staroświeckie', np. *desire*² v [T not in progressive] 1 *formal* (zob. s. 458). Informacje o rejestrze zawarte są w tabelkach pod definicjami, np. pod hasłem *dull*¹ 'nudny' widnieje informacja, iż w codziennym angielskim ludzie zwykle mówią **boring** 'nudny' nie **dull** 'nudny': *a long, boring film* 'długi, nudny film' (zob. s. 525). Definicje wsparte są przykładami użycia zarówno dla wyrazu hasłowego, jak i zapisanych **boldem** konstrukcji w podhasłach. Wskazane składniki mieszczą różnorakie informacje naprowadzające użytkownika leksykonu na poprawne użycie danej konstrukcji. Jednak lista nie jest jeszcze zamknięta jeśli chodzi o linearną strukturę artykułu hasłowego.

Mikrostruktura także ujmuje fioletowe strzałki z napisem THESAURUS 'tezaurus', kierujące użytkownika do leksemu znaczeniowo bliskiego, na przykład na dole, pod *definiensami* dla znaczenia centralnego czasownika *combine*¹ 'połączyć', 'zmieszać' strzałka taka wskazuje leksem MIX 'zmieszać' (zob. s. 322). Jednak w wielu artykułach hasłowych zamiast strzałki wstawiona jest fioletowa rama tabeli z białym napisem THESAURUS na fioletowym tle. W niej mieści się lista wyrazów bliskoźnaczných, co wnosi aspekty *onomazjologiczne* do leksykonu. Oprócz tabeli z nagłówkiem THESAURUS, artykuły hasłowe zawierają także tabele w tym samym kolorze z etykietą COLLOCATIONS 'kolokacje'. Kolorem niebieskim z kolei obramowane są wykresy wskazujące na frekwencyjność użycia danej konstrukcji, np. *pretend (that)* 60%, *pretend to do sth* 30%, *pretend* 10%, *pretend sth* i *other* 'inne' zajmują nieznaczný procent na skali użycia (zob. s. 1372). Aranżacja systemu oznaczeń, np. zastosowanie kolorów i tabel itp., czyni *mikrostrukturę* oraz *makrostrukturę* leksykonu przejrzystą, czytelną i zrozumiałą. Pozwala to sprawnie odszukać pożądaną konstrukcję i efektywnie sprawdzić jej znaczenie. Poza tabelami i notkami gramatycznymi, niektórym hasłom towarzyszą kolorowe ilustracje, szczególnie pomocne w odwzorowaniu znaczeń konstrukcji w ramach sieci radialnych, np. *handle* (zob. s. 794) 'klamka', 'pałak', 'kablak', 'uszko', 'rączka', 'trzonek', 'uchwyt'²⁸.

Wydrukowana wersja słownika zawiera wyczerpującą listę haseł, podhaseł oraz definicji z licznymi kwantyfikatorami i przykładami ułatwiającymi konceptualizację konstrukcji i wspomagającymi ich poprawne użycie. Ponadto wersja książkowa jest technicznie przyjazna dla jej użytkownika. Słownik wzbogacają dodatkowe wersje, które umożliwiają korzystanie z leksykonu w różnych sytuacjach.

Do wersji książkowej dołączona jest **plyta DVD** z zapisem cyfrowym całego słownika. Ponadto zawiera ona 82000 dodatkowych kolokacji i 30000 dodatkowych synonimów, antonimów oraz spokrewnionych słów. Oprócz tekstu pisanego na płycie DVD nagrany jest głos lektora dla

²⁸Za: *Wielkim multimedialnym słownikiem polsko-angielskim angielsko-polskim Oxford-PWN*. PWN SA i OUP, Warszawa 2008.

88000. wypowiedzianych przykładów (zob. obwoluta płyty). Cenną zaletą jest fakt, że oprócz zapisu wymowy pojedynczego wyrazu – *definiendum*, użytkownik może odsłuchać wszystkie zapisane przykłady zdań, te same, które występują w książce. Odczytane przez lektora całe zdanie zawiera odszukiwany wyraz w przykładowym kontekście użycia, jest wzorem z właściwym akcentem i poprawną intonacją. Trudno wskazać drugi słownik, który dawałby użytkownikowi możliwość odsłuchania wszystkich przykładowych zdań ze sprawdzanym wyrazem. Poza tym, płyta DVD zawiera dodatkowe ćwiczenia leksykalne w tytułach: *Longman Language Activator* 'aktywator języka', *Longman Vocabulary Trainer* 'trener słownictwa', *Longman Writing Assistant* 'asystent w pisaniu', oraz dla nauczyciela – *Teacher's Lesson Plan* 'nauczycielski plan lekcji'.

Co więcej, numer zamieszczony w białym prostokącie na płycie DVD służy jako hasło dostępu do **internetowej wersji słownika**, z której użytkownik może korzystać przez jeden rok od daty zalogowania się. Krótka, bo jednoroczny okres użytkowania internetowej wersji, to jedyny mankament, jakiego dopatrzyłam się w związku z omawianym leksykonem. Z kolei sam dostęp do internetowej postaci słownika jest dużym jego atutem. Oprócz treści zamieszczonych w książce i na płycie DVD, internetowe wydanie niesie z sobą dodatkowe dane oraz całą *mezostrukturę* leksykonu, utożsamianą tutaj z *interstrukturą*. Poprzez internetowe łącza wychodzi ono poza ten konkretny słownik w każdej jego wersji.

Jeśli chodzi o dodatkowe treści w internetowej wersji są to między innymi cztery *dictionary pictures of the day* 'obrazki ilustrujące cztery słowa na dany dzień'. Ponadto, klikając na danym łączy tematycznym, takim jak TRADE 'handel' w przypadku czasownika *handle*, oprócz długiej wielopoziomowej i tematycznie związanej listy konstrukcji, pojawia się 'słowo na dany dzień' w ramach określonej domeny. W przypadku TRADE, w dniu 06 marca 2010, słowem tym jest *lot* 'parcela', 'działka'²⁹. Pod artykułem hasłowym *trade* mieszczą się liczne łącza z nazwami pokrewnych tematów lub domen, które prowadzą do innych artykułów hasłowych. Co więcej, poszczególnie strony z rozwijającymi się wyjaśnieniami zawierają *Ads by Google* 'reklamy z wyszukiwarki Google', tematycznie odpowiadające danej jednostce hasłowej. Użytkownik ma dostęp do niezaadaptowanego, codziennego języka angielskiego używanego w odniesieniu do określonego tematu poprzez komputer lub telefon komórkowy.

Konceptualizacja danej konstrukcji językowej poprzez hasła różnych kompatybilnych wersji leksykonu *Longman Dictionary of Contemporary English New Edition* przebiega na podstawie źródeł o charakterze encyklopedycznym, co zgodne jest z charakterem *znaczenia*. Zatem łatwiejsze jest nie tylko zrozumienie i utrwalenie danego wyrażenia, także jego przechowanie i odtworzenie w konstruowanym lub odbieranym tekście.

²⁹Za: *Wielkim multimedialnym słownikiem polsko-angielskim angielsko-polskim Oxford-PWN*. PWN SA i OUP, Warszawa 2008.

Justyna Łabędź
Uniwersytet Śląski, Katowice

Abrakadabra, hokus-pokus, haxenabkratzen

[wideoinstalacje Sławomira Rumiaka, *Haxenabkratzen Ciemna*, premiera w lutym 2010 w Galerii Bielskiej BWA]

Gra w kino. Któż w nią nie gra? Siadamy w mniej lub w bardziej wygodnych fotelach i pozwalamy się mamicić przez wyświetlane obrazy. Ciemnej sali kinowej powierzamy codzienne emocje. Boimy się, płacemy ze wzruszenia, śmiejemy się. Nie lubimy być oszukiwani, a jednak pozwalamy filmom na małe kłamstwa, tworzenie iluzji innego świata. Czasami wystarczy przesunąć trochę wzrok, poczuć fotel ograniczający ruchy, żeby wrócić do sali pełnej ludzi, przypomnieć sobie, że to tylko projekcja. Światło z ekranu – biegnące gdzieś nad naszymi głowami – śmieje się z tego, że znowu daliśmy się nabrać. Dyspozytyw – ogół zasad wiążących się z percepcją filmu – to jeden z wielu poruszanych tematów w najnowszym projekcie Sławomira Rumiaka *Haxenabkratzen Cinema*.

Projekt składa się z trzech wideoinstalacji: *Haxenabkratzen*, *Ich bin der Welt abhanden gekommen* oraz *Purple rose of Chybie*. Nie tworzą one spójnej całości, jednak łączy je związek pomiędzy obrazem filmowym a przestrzenią, w której jest wyświetlany. Podczas projekcji filmu – zauważa artysta – tworzy się iluzja, lecz zakłócają ją takie elementy jak migające światło projektora, fotel wskazujący jedyny kierunek odbioru, obraz obcinany kadrami. Dlatego traktuje on obraz filmowy jako punkt odniesienia, jako coś, co swobodnie przemieszcza się pomiędzy dwoma różnymi płaszczyznami: dwuwymiarowego ekranu i rzeczywistością człowieka zamkniętego w ciemnej sali projekcyjnej.

Wideoinstalacja *Haxenabkratzen* została poświęcona tematowi przemijania, nieuchronnie nadchodzącemu końcowi wszystkiego. Brzmienie niezrozumiałe „Haxen abkratzen” jest napisem na tabliczce umieszczonej na drzwiach wejściowych do mieszkania dziadków artysty, w którym Sławomir Rumiak spędzał swoje dzieciństwo. Te słowa – będące w rze-

czywistości niemiecką prośbą o wytarcie podeszwy – były dla artysty magiczną inkantacją, baśniowym „abrakadabra” strzegącym trwałości tego miejsca. Do pewnego czasu wszystko zachowywało odwieczny porządek: fotel, zegar, obrazy, mieszkańcy. Potem, mikrokosmos tego mieszkania zaczął się rozpadać, czar prysnął, i tabliczka „Haxen abkratzen” wróciła do swojej pierwotnej funkcji przypominania o tym, że wchodząc trzeba wytrzeć buty. Świadomość starzenia się dziadków stała się impulsem do powstania tej niezwykle intymnej pracy.

Można tę pracę podzielić na dwie zasadnicze części: film oraz antyteycznie ustawiony do niego model przestrzenny. Film przedstawia wyświetlany w skali 1:1 fragment mieszkania z stojącym pośrodku fotelem, obrazami, szafką, zegarami i różnymi bibelotami. Obraz tej przestrzeni wyświetlany jest w kadrze o wymiarach framugi drzwi. Mimo idealnej iluzji zrobionej z wprawą Georges'a Mélièsa, widz uświadamia sobie, że otrzymuje tylko namiastkę, gdyż to, co jest ważniejsze, dzieje się poza kadrem. Dochodzą bowiem zza kadru odgłosy rodzinnego spotkania oświetlanego popołudniowymi promieniami słońca. Widz ulega wrażeniu, że wystarczy podejść bliżej ekranu i wychylić się minimalnie, by zobaczyć tę niedzielną scenę rodzajową. Iluzji dopełnia dźwięk rozmowy prowadzonej z zasłoniętej części „sceny”. Niepokojem napętnia głos artysty, który dobiega z głośnika umieszczonego tuż obok nas. W trakcie filmu artysta wielokrotnie prosi dziadków, aby pokazali się w wyznaczonym przez niego kadrze. Lecz prosi bezskutecznie, fotel pozostaje pusty, a w pokoju pojawiają się całkiem inne osoby.

Zapełniony film rozpoczyna się i kończy tą samą sekwencją – blaknięciem koloru, aż do zaniku, do białości. Taki efekt przywołuje na myśl zamrażanie nagranego na taśmie wspomnienia. To białe, wyblakłe do cna pomieszczenie nawiązuje do drugiej części instalacji – wykonanej w skali 1:1 idealnej plastikowej kopii tego samego mieszkania, z meblami obciętymi dokładnie jak w kadrze filmu. Dopełnieniem pracy jest kamera zwrócona w stronę modelu z możliwością podglądu nagrywanego obrazu. Film z pomieszczeniem tętniącym życiem wyraża kontrastuje z martwą i głuchą makietą pokoju. Sławomir Rumiak – niby proustowski bohater – „w poszukiwaniu straconego czasu” zapisuje swoje wspomnienia na taśmie filmowej, potraktowanej jak zewnętrzna pamięć. Ba, nawet odtwarza wierną kopię drogiego mu miejsca, tworząc swój prywatny pomnik przeszłości. Na zamrożonym fotelu-tronie artysta umieszcza wszystkie bezcenne wspomnienia wiążące się z dziadkami, mieszkaniem i dzieciństwem.

Kolejną pracę prezentowaną na wystawie jest wideoinstalacja *Ich bin der Welt abhanden gekommen*, która z założenia miała być dyptykiem (druga część jest w trakcie realizacji). Na tę ukończoną partię – też dwudzielną – składają się: ekran z wyświetlanym filmem oraz szklana podłużna gabłota, nieco muzealna, w której na trawie leży obcięta w połowie piłka

do amerykańskiego futbolu. Nawiązuje ona oczywiście do filmu, w którym kadr tak samo postępuje z wyświetlanym na ekranie obrazem piłki. Zapętłony film przedstawia typowy mecz: widzimy i słyszymy krzyczących mężczyzn toczących się po murawie, wyrwujących sobie piłkę. Pod koniec filmu dzieje się jednak coś niespodziewanego: gdy rozlega się kobiecy śpiew operowy, oswobodzona z ramion sportowców piłka zaczyna wykonywać coś na wzór tańca. Turlając się, kończy swoje płasy w położeniu odtworzonym w gablocie – ucięta kadrem w pół. Ale nie jest to jedyny efekt wywołujący zaskoczenie odbiorcy. Wystarczy zrobić dwa kroki w prawo, żeby zobaczyć, co kryje wewnątrz przeciętej piłki. Znajdują się tam organy ludzkie przypominające macicę z zaczątkiem nowego życia w postaci dwóch małych mięsistych kulek. Typowo męska, agresywna gra zostaje zderzona z tym, co kryje wewnątrz piłki – z kobiecym fragmentem ciała.

Instalacja przywodzi również na myśl początki kina. Jurij Łotman w książce *Semiotyka filmu* opisywał historię pierwszego zetknięcia się z kinem człowieka, który już na początku seansu uciekł przerażony z sali projekcyjnej. Nie wiedział jeszcze o filmowej relacji części do całości, nie znał umowności pewnych znaków, które z obciętych rąk, nóg i głów wcale nie czynią makabrycznego obrazu. Kadr w instalacji staje się filmowym katem, który przecina przedmioty i ludzi znajdujących się na jego granicy. We współczesnej kinematografii efekty specjalne potrafią zaprzeczyć wszelkim prawom fizyki. Sławomir Rumiak – wprawny mistyfikikator – ożywia piłkę nie tylko na płaskim filmie, ale również w trójwymiarowym kadrze w formie gabloty z murawą.

Trzecią i zarazem ostatnią pokazaną wideoinstalacją jest praca *Purple rose of Chybie*, tytułem nawiązująca do znanego filmu Woody'ego Allena *Purple rose of Cairo*. Opowiada on historię Cecylii – młodej kobiety, która prowadzi ponure życie kelnerki w New Jersey. Z szarej rzeczywistości Cecylia ucieka do kina, w którym, ku zdziwieniu wszystkich widzów, wypatruje ją filmowy bohater – Tom Baxer i schodzi do niej z ekranu.

W filmie Sławomira Rumiaka można zobaczyć znaną w podbeskidzkim regionie postać Franciszka Dzidy. Amator-filmowiec (mieszkający w Chybiu, gdzie tworzy swoje filmy), ubrany we frak, podąża ku widzom długą pełną ścieżką, żeby ostatecznie „wyjść” z ekranu i „usiąść” na krześle umieszczonym przed ekranem. Dla Franciszka Dzidy film jest formą eskapizmu, pozwala mu uciec z szarej codzienności w świat bardziej atrakcyjny, w którym może on mieć wpływ na wszystko, co się dzieje.

Motyw ucieczki jest popularny w kinematografii, ale praca Sławomira Rumiaka przedstawia odwrócone działanie projekcji filmowej: tym razem film nas nie pochłania, ale – przeciwnie – zmierza ku widzom, przekracza swoje ciasne ramy, wychodząc ku całkiem innej rzeczywistości.

Kim jest autor tej głośniejszej już wystawy? Milczący przez kilka lat, wyczerpany prawdopodobnie wcześniejszym projektem, Sławomir Rumiak urodził się w 1972 roku w Bielsku-Białej. W 1999 roku obronił dyplom w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (filia w Katowicach). W jego biografiach podkreśla się to, że o wiele bardziej jest popularny w Japonii niż w rodzimym kraju. Jego zabawa w oszukiwanie oka widza rozpoczęła się wraz z cyklem fotografii, na których pokazał kobiety oszpecone w wymyślny sposób, kobiece ciała pokryte ornamentami najróżniejszych blizn i ran, ozdobami z kolczastych drutów. Jego *Książka miłosna* (na którą złożyły się te fotografie) stała się w Japonii bestsellerem i trafiła do antologii *246 Loaded Photography Books: The Edge of Photography* (wydanej w Tokio w 2005 roku). W tej antologii Sławomir Rumiak jako jedyny artysta został wyróżniony osobnym, tylko jemu poświęconym rozdziałem. Choć Rumiak podkreśla fakt tego wyróżnienia, okres tworzenia takich fotografii uznaje za całkowicie zamknięty. Rok 2007 był dla niego czasem kolejnego projektu – rowerową podróżą na Biennale Sztuki w Wenecji. Z przyczepioną do roweru miniaturową makietą Pawilonu Polskiego przez trzy tygodnie jechał do Wenecji, budząc nią oczywiście spore zainteresowanie.

Multimedialny artysta z Czechowic-Dziedzic jawi nam się w nowym projekcie jako doskonały iluzjonista. Z doświadczeniem zdobytym w *Książce miłosnej* po raz kolejny oszukuje nas, zwodzi swoimi obrazami, ale tym razem daje powód do zadawania ważnych pytań: o trwałość istnienia, o naszą nową multimedialną rzeczywistość. Bo wprawdzie ona z „ery filmu” już dawno przeniosła się w „erę wirtualności”, to przecież tak samo polega na obrazie, którym można w dowolny sposób manipulować. W czasach sztuki korzystającej masowo ze środków multimedialnych, eksperymenty Rumiaka z filmem przywracają wiarę w to, że choć od czasu braci Lumière minęło ponad sto lat, filmy nadal mogą budzić emocje tak wielkie jak u widzów *Wjazdu pociągu na stację Ciotak*.